

Dc. II. 1.

TOM CCLIV

ROK 64

SERYA 9

ZESZYT 762

# BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

KWIECIEŃ.

1904.

---

TOM II. — ZESZYT 1.

---

WARSZAWA.

Redakcja i Administracja: Krakowskie Przedmieście 5.

—  
1904.

## TREŚĆ ZESZYTU.

	Stron.
1. JÓZEF KS. PONIATOWSKI,—przez prof. Szymona Aske- n a z e g o . . . . .	1
2. A GDY W GŁĘB DUSZY WNIKNIEMY... Powieść współczesna (dalszy ciąg), — przez G a b r y e l ę Z a - p o l s k ą . . . . .	39
3. KARTKI ZE LWOWA. (W sprawie uprzemysłowienia Galicyi), — przez H e n r y k a R a d z i s z e w s k i e g o . . . . .	61
4. Z CYKLU „ŻYCIE”. (Poezye), — przez M a r y ę K o n o - p n i e k ą . . . . .	84
5. GDZIE ARNO PŁYNIE, — przez W o j c i e c h a D z i e d u - s z y c k i e g o . . . . .	89
6. DRAMAT I OPERA, — przez W. B o g u s ł a w s k i e g o . . . . .	127
7. WŁADYSŁAW SYROKOMLA, — przez A. D r o g o s z e - w s k i e g o . . . . .	153
8. PIŚMIENICTWO: <i>Zygmunt Gloger</i> : Encyklopedia staropolska ilustrowana. Tom I — IV. Warszawa, 1900 — 1903, — przez prof. A. B r ü c k n e r a . . . . .	180
<i>Dr E. Stempfe</i> : Polenfrage und Ansiedelungs-Kommission. Darstellung der staatlichen Kolonisation in Posen-West- preussen und Kritische Betrachtungen ueber ihre Erfolge. Berlin, 1902, — przez A.R. . . . .	189
9. KRONIKA MIESIĘCZNA: Spółki rolnicze włościańskie. — W sprawie zabaw dla ludu. — Wypuk czynszów wieczystych. — Rozwój czy- telnictwa. — Oddziały prowincjonalne Towar- zystwa technicznego. — Walka z alkoholiz- m i z projekt p. W. Szukiewicza. — Dom, w którym umarł Mickiewicz. — Ś. p. Tadeusz Kowalski. — Ś. p. Wacław Zeremba . . . . .	197
10. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRA- FICZNE . . . . .	214
11. WYJAŚNIENIE, — przez ks. A. B r y k e z y ũ s k i e g o . . . . .	219

**BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.**

PROWACZNIK JAKOŚCI



OGÓLNEGO ZBIORU TOM 254.

---

BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.

---

Rok 1904. — Tom II.

---

WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ul. Krakowskie Przedmieście Nr. 5.

—  
1904.

WALBRZYSKI TOM III

BIBLIOTEKA

WALBRZYSKI



Дс. II 1

Дозволено Цензурою.

Варшава 24 Марта 1904 года.

Рок 1904 - Том II

WALBRZYSKI

WALBRZYSKI TOM III

1904

# Józef ks. Poniatowski.\*)

## I.

Józef Poniatowski urodził się d. 4 maja 1763 r. w Wiedniu, w pałacu Kinskych przy Herrengasse, z ojca Andrzeja, starosty ryckiego, generała, potem feldcechmistrza wojsk austriackich, młodszego brata późniejszego króla Stanisława-Augusta, i matki Teresy z Kinskych; i ochrzczony został tamże w sąsiedniej Schottenkirche. Szczegół to do niedawna mało znany: ks. Józef *ein wiener Kind*, choć dotychczas we wszystkich biografiach podawano mylnie, jako miejsce jego urodzenia — Warszawę. Ale bo też w rzeczy samej ten nasz ks. Józef, choć po raz pierwszy otworzył oczy w Wiedniu jako generałowicz austriacki, a po raz ostatni zamknął je pod Lipskiem, jako marszałek francuski, choć było mu przeznaczonem pierwsze i ostatnie tchnienie wydać na obczyźnie, jednak naprawdę sam się uczynił rodowitem, ukochanem dzieckiem tej naszej Warszawy, uczynił się wcieleniem pewnych najrdzenniejszych, nieśmiertelnych czynników swojej narodowości i został nie tylko jednym z najświetniejszych, lecz z najbardziej swojskich, najbardziej polskich jej przedstawicieli.

Przez ojca miał szlachezną krew litewską po babce Konstancyi z książąt Czartoryskich Poniatowskiej, przez matkę starą krew czeską, z domieszką włoskiej po babce Maryi z markizów Rofranco Kinskyj. Sam wkrótce zyskał podwójnie godność książęcą, gdy skutkiem niebawnej, w rok po jego urodzeniu, elekcji stryja na króla polskiego, całą rodzinę Poniatowskich na sejmie koronacyjnym warszawskim obdarzono tytułem dziedzicznym książąt polskich, gdy nadto jego

---

\*) Z powodu przygotowywanego do druku, z archiwów krajowych i zagranicznych (głównie paryskich i drezdeńskich), wydawnictwa: *Correspondance du prince Joseph Poniatowski (1787—1805) 1806—1813.*



ojcu nadała cesarzowa Marya-Teresa dyplom książęcy czeski z prawem pierworodztwa. Ale nie z tych świeżych, przygodnych tytułów będzie on czerpał istotne swoje dostojenstwo: własnem czuciem i czynem on się uksiążęcy w opinii swego narodu i świata. Szczęśliwym jakimś przyrodzonym dobozem z dziedzictwa krwi, wziął po swoich prawie wszystko co lepsze; wszystko, co najpośledniejsze, odrzucił. Po ojcu, Austryaku raczej niż Polaku, który ostatnią swą kampanię odbył przeciw własnym rodakom, nie wziął nic albo nie celnego. Po dziadzie, towarzyszu broni Karola Szwedzkiego, wziął wspaniałą postawę, animusz rycerski, ale jakże daleko od awanturniczego kasztelana krakowskiego, który naprzemiany kondotyerem służywał Karolowi, Leszczyńskiemu i Sasom, odbiegł wnuk, sługa jednej sprawy! Przejął się poczuciem pańskiej godności i obowiązków obywatelskich Familii, ale jakże obcym pozostał jej popędowi zaciętości stronnicej i ambicyi rodowej. A jeśli przejął dosyć, za dużo, z płochości życiowej stryja—króla, jakże przecie nieskończenie różnym, nawet w wybrykach burzliwego temperamentu, pozostał od rozkładowego sybarytyzmu Stanisława-Augusta. Doprawdy, jeśli z pominięciem drugorzędnych rysów prywatnych, rozpatrywać się w dominujących liniach tej szlachetnej postaci, rozważanej jako zjawisko dziejowe a odbijającej tak silnie od najbliższego, rodzinnego swego środowiska—chciałoby się rzec o niej z Tacytem: *Curtius Rufus videtur mihi ex se natus*. Ale to byłoby mylne. Zapewne, był on istotnie więcej „z siebie zrodzony“ aniżeli ze starszej generacyi krewniackiej, lecz przedewszystkiem był już z tej młodszej generacyi narodowej, jaką z łona swego wydało społeczeństwo, był przedewszystkiem nieodrodnym tworem tego swego własnego społeczeństwa rodzimego, a tem samem był jednym z wielkich, żywych świadectw dokonywanej w niem naprawy i odnowy wewnętrznej, wiodącej je od zmierzchów XVIII do świtań XIX stulecia.

Wcześniej, w dziesiątym roku życia utraciwszy ojca, zmarłego w marcu 1773 r., jeszcze w sile wieku, na zapalenie płuc, chowany był naprzód w Wiedniu i Pradze, pod okiem czulej, przeczulonej matki, wybuchowo kochającej syna jedynaka, obsypującej go naprzemiany zbyt wyrozumiałą pieśczęcią i zbyt ostrym wyrzutem. A doznawał także już odtąd stałej, nad wyraz troskliwej opieki króla Stanisława-Augusta, szczególnie przywiązanego do tego właśnie synowca, do ukochanego P e p i. Ani dzieci własnych, ani nikogo tak, na ten sposób, król nie kochał. Wprawdzie i dla drugiego swego synowca, ks. Stanisława, bywał równie hojny albo bodaj hojniejszy jeszcze, skoro nawet po sobie przeznaczał mu koronę;—lecz czynił to, wiedząc dobrze, co był wart ten kandydat, powodując się racją polityczną i obowiązkiem familijnym. Względem ks. Józefa powodował się zgola

czem innym. Tutaj szedł za popędem serca, a zarazem za mimowolną nieodpartą reakcją niespokojnego sumienia. W tym świetnym młodzieńcu on kochał nietylko krew swoją, ale samego siebie, takim, jakim byłby chciał być, a jakim nie został. Widział go, wstępującego w życie, z impetem, z blaskiem, jak sam był przychodził ongi, tak już dawno, w swojej dobie wiosennej; widział w nim własną swoją młodość górną, tak już teraz daleką, niemiłosiernie ściętą szronem klęsk męskich i mrozem beznadziejności starczej, a niestety skalaną także, sponiewieraną przez własną ciężką winę. Takim jak ten synowiec, młody, piękny, ubóstwiany,—i on był niegdyś, ale nie był nigdy takim, jakim był nadto ten młodzieniec szlachetny, rycerski, ofiarny, czysty. Kochał w nim stary król to połączenie swoich błyskotliwych zalet i swoich nieodżałowanych braków; kochał tego niedoścignętego dla siebie ducha prawości, bohaterstwa, poświęcenia, którego nigdy sam osiąść nie umiał, i ten honor, który sam utracił. W jego osobie on, jakgdyby brał odwet za samego siebie, jakgdyby zasłaniał się przed ścigającą go własną samowiedzą moralną. A nieszczęśliwy, słaby do końca, skazany grzęznąć do końca w swojej topieli, będzie też usiłował zasłaniać się jego osobą przed groźbą realną i swoje przywiązanie i dobrodziejstwa drogo opłacić mu każe.

Ks. Józef tymczasem chowany na Austryaka, w 1777 r. na manewrach pod Pragą przedstawiony cesarzowi Józefowi II, zachęcony był przez niego do służby wojskowej austriackiej. W następnym roku piętnastoletniem chłopięciem sprowadzony został do Warszawy, wyprawiony na Litwę do ojczyzszego majątku, i odtąd kilkakrotnie, na wyraźne życzenie królewskie, te wycieczki do kraju ponawiał. W lutym 1780 roku wstąpił do armii austriackiej, jako podporucznik konsystującego w Czechach II regimentu karabinierów im. W. Ks. Toskańskiego, własności feldmarszałka Lascy, sędziwego wodza austriackiego, w którym znalazł opiekuna i kierownika militarne; w 1781 r. został rotmistrzem *en second*, w 1782—dowódcą szwadronu w 1784—majorem. W służbie bardzo gorliwy, kawalerzysta nadzwyczaj śmiały, zimą t. r. padłszy z koniem, nogę złamał, lecz dość prędko do zdrowia wrócił. T. r. odkomenderowany do formowanych w Galicyi dywizyonów ułańskich, odtąd nad żołnierzem polskim, rekrutem galicyjskim, miał dowództwo. Po wcieleniu jego dywizyonu do pułku szwoleżerów im. v. Levenehr, został tutaj drugim, w 1786 r. pierwszym podpułkownikiem, jesienią t. r. przeszedł do pułku szwoleżerów cesarskich im. Józefa II. T. r. dość ciężką przebył gorączkę nerwową. Do przypadłości tego rodzaju miał skłonność, gdyż, jakkolwiek doskonale zbudowany, krwisty, bardzo żywy, bardzo prosty, nieraz szalenie wesoły, naprawdę przecie uczuciowiec, nerwowiec, na



pozór tylko sangwinik, w gruncie trochę nawet melancholik, miał temperament nadmiernie wrażliwy, subtylizujący, łatwo podlegający czarnowidztwu, niebronny przeciw głębokiej depresji duchowej i przygnębieniu myśli i woli. Ozdrowiawszy, udał się przez Berlin, gdzie przedstawiony był Fryderykowi-Wilhelmowi II, na pobyt dłuższy do Warszawy; wiosną, następnego roku, towarzyszył Stanisławowi-Augustowi w podróży kaniowskiej i prezentował się w Kijowie Katarzynie II. Poznał w ten sposób osobiście trzech monarchów trzech państw ościennych, z którymi po kolei, w pokoju i wojnie, będzie miał do czynienia.

W styczniu 1788 r. został adjutantem przybocznym cesarza Józefa. Już zanosilo się na ową fatalną wojnę turecką, do której od dawna palił się nieopatrny cesarz, a która miała go wpędzić do grobu. W ślad za monarchą rwano się na tę wojnę, jak do tańca w rozkarnawałowanym Wiedniu t. r. To był ostatni, na długie lata, na przeszło ćwierć wieku, huczny karnawał wiedeński: odtąd zacznie się tutaj długi popielec klęski, doba rewolucyjna, Napoleońska, aż hen do nowego karnawału Kongresu wiedeńskiego, którego już nie dożyje ks. Józef. Tymczasem żegnał się on wesoło z wesołą naddunajską stolicą na premierze *parée* Mozartowskiego *Don Juana*, ostatniej praskiej nowości, wystawionej właśnie po raz pierwszy w Operze wiedeńskiej dla wyjeżdżającego na kampanię turecką cesarza. Nasz polski Don Juan w mundurze austriackim, piękny podpułkownik szwoleżerów austriackich, był jeszcze wtedy bardzo Wiedeńczykiem, był pod urokiem lekkiej, rozbawionej *Kaiserstadt*, lekkiej, ujmującej, tamecznej kultury. Istniała tam już podówczas, od pierwszego podziału, pierwsza kolonia polska nad modrym Dunajem, bardzo podatna na te przyjemne wpływy wiedeńskie. Ogniskiem jej był salon słynnej księżnej marszałkowej Lubomirskiej, Czartoryskiej z domu, kuzynki a nieprzyjaciółki śmiertelnej króla. Zresztą ks. Józef żył tu w bezpośrednim zetknięciu ze światem, czysto wiedeńskim, przez swoich krewnych macierzystych, Kinskych. Miał on tutaj zamknięte kółko t. zw. „Nierozłącznych“, *Indissolubles*, osób młodych, wykwintnych, czułych, złożone z dwóch tylko mężczyzn, Karola Ligne i ks. Józefa, oraz kilku kobiet niepospolitych: księżnej Jabłonowskiej, księżnej Liechtenstein, pani Lichnowskiej, księżnej Kinskiej, hrabiny Kińskiej-Dietrichstein, w której kochał się Ligne, i młodziutkiej, wdzięcznej panny Karoliny Thun, w której kochał się na zabój starszy od niej o lat sześć Poniatowski. To pierwsze, półdziecinne, czyste i nieszczęśliwe kochanie, to była jednak, być może, jedyna prawdziwa miłość ks. Józefa, który tyle później kochał. W tem ścisłym kółku bawiono się wesoło a czule, walcowano, flirtowano

śpiewano Mozarta, czytano Szekspira, rzecz wtedy bardzo śmiała przed odkryciem Szekspira przez Schległów, byronizowano przed Byronem, przed romantyzmem robiono romantykę, ale jakąś szczególną, salonową, filigranową, delikatnie przypruszoną sentymentalnym pudrem gasnącego *ancien régime*. Biedny Ligne, nieszczęśliwie żonaty z Polką, a wnet zabity w pierwszej rozprawie starego świata koalicji z nową Francją rewolucyjną, w testamencie swoim, gdzie przekazywał tym paniom rozmaite medaliony, szeslongi, pieski i kokardki, zapisywał też konia i szablę „drogiemu przyjacielowi Poniatowskiemu, za którego chętnie oddałby życie“. Kiedy po dwudziestu latach swój testament będzie redagował ks. Józef, wybierając się na śmiertelną wyprawę wspólnie z Francją przeciw koalicji, będzie tam wprawdzie jeszcze jakieś echo tej staromodnej czułościowości wiedeńskiej, ale stłumione przez ton prostszy, męski, nowoczesny i swojski. Jego tęga, rdzennie polska natura, pod grozą wielkich przewrotów krajowych otrząśnie się z tamtych miłych, wdzięcznych, ale mdłych, osłabiających naleciałości obcych, które już tylko jakgdyby wiotki zapach zaschłego kwiecia, dobywać się będą z jego zmęźniałej duszy.

Pierwszą swoją kampanię 1788 r. rozpoczynał 25-letni młodzieniec pod okiem cesarza a w towarzystwie kilku rówieśników i przyjaciół od serca, z którymi później dziwnie go sprzęgnąć miały losy, takich np. jak ks. Karol Schwarzenberg, potem zdradziecki sojusznik w odwołaniu z pod Moskwy, w końcu przemożny przeciwnik na polu śmierci pod Lipskiem, a teraz po bratersku uderzający u jego boku na Turka. Lecz ta wojna turecka, zła, napastnicza ze strony Austrii, nie przyniosła szczęścia ks. Józefowi. Zaraz przy oblężeniu twierdzy tureckiej Sabaczu, w końcu kwietnia 1788 r., prowadząc osobiście z nadzwyczajną brawurą kolumnę szturmującą, ciężko ranny kulą w udo, ledwo uratowany został przez prostego szeregowca, Körnera, później zaufanego sługę. Posunięty na drugiego pułkownika szwoleżerów cesarskich, ledwo z rany wyleczony, wyprosił sobie uczestnictwo w następnej kampanii 1789 r. i już rozkazem odręcznym cesarza z maja t. r. odkomenderowany był do regimentu Modena armii czynnej na plac boju, — kiedy nagle odwołany został do kraju pod sztandar Rzpltej.



## II.

Uchwała Sejmu Wielkiego warszawskiego o wojsku stutysięcznym, spowodowała konieczność wezwania oficerów rodaków z obcych służb, w myśl uchwały sejmowej z grudnia 1788 r. Ks. Józef, podczas ostatniej swojej bytności w kraju, musiał zobowiązać się przed stryjami, królem i prymasem, że wróci na pierwsze zawołanie; a zdaje się, że pierwotnie miano tu na niego widoki polityczne, chciano użyć go w sejmie a nawet zaślubić z jaką możną dziedziczką polską. Jego te widoki, te żądania wytrącały zupełnie z równowagi. „Poczucie delikatności — pisał do starszej, jedynej siostry latem 1788 r. — wzdraga się we mnie na ten rodzaj oszukaństwa, jakie popełniam; nagrody udzielane mi (przez cesarza) wydają mi się prawie kradzieżą na kolegach, poświęcających się całkowicie służbie (austriackiej). ... Wyznaję, że marzyłem, iż będę mógł kiedyś poślubić kobietę miłą, której charakter byłby mi doskonale znany, która mogłaby mi być przyjaciółką, osłodzić mi wycofanie się z życia czynnego do cichego spoczynku, której zawdzięczałbym swoje szczęście i którą sam mógłbym uczynić szczęśliwą. Karolina (Thun) zdaje mi się posiadać większą część tych zalet i wyznaję, że gdyby na mnie czekała i gdybym był niezależnym, ... byłbym w niej znalazł ustalenie losów swoich“. Ale — dodawał z goryczą — „zbyt dobrze wiem, że istnieję i żyję jedynie z dobrodziejstw (królewskich), abym potrafił zdobyć się na jaki projekt.“ Widocznie trzymał go jeszcze Wiedeń, służba, sentyment. Tej kariery politycznej ani małżeńskiej, jaką mu gotowano w Warszawie, jaką mu stamtąd narzucano, on nie chciał. „Cierpię, — pisał z rozpaczą w duszy, a jeszcze rekonwalescent z tureckiej rany — jestem nieszczęśliwy, życie mi ciąży, kiedy myślę o ofiarach tyrańskich, jakich wymagają odemnie.“ Ale warował wyraźnie w tej samej chwili: „gdybym mógł przez swoje wiadomości wojskowe być w czemkolwiek użyteczny ojczyźnie, gdybym z narażeniem życia mógł zachować jej prawa i przywileje, — wtedy nie chcę spoczynku, pogody, wszystko poświęcę.“ To też nie zawahał się teraz, kiedy pora po temu nadeszła i kiedy wezwany został już nie na ławę poselską ani na ślubny kobierzec, lecz do szeregów armii krajowej. Stanisław-August pisał do niego w czerwcu 1789 r.: „Wczoraj senatorowie i posłowie przez Sejm wyznaczeni do utworzenia projektu o składzie wojska, żądali odemnie publicznie na sesyi sejmowej, abym

Cię odwołał do służby krajowej. Po tym publicznym kroku nie mogę, jak tylko oświadczyć Ci życzenie i wolę moję, abyś nam tu powrócił.“ To zdecydowało ostatecznie o losie ks. Józefa, który ledwo na kilkanaście dni przedtem wybierał się jeszcze na Turków. Po ułatwieniu przeszkód formalnych przez pismo królewskie do cesarza, natychmiast, w początku lipca, wniósł podanie o dymisyę ze służby austriackiej wraz z prośbą o zwrot rewersu (*Quittirungsrevers*) zobowiązującego go, jako poddanego austriackiego, nie podnosić nigdy oręża przeciw domowi habsburskiemu. Niezwłocznie, już w dni kilka, otrzymał żadaną dymisyę, lecz, na wyraźny rozkaz cesarski, z odmową żadanego zwrotu rewersu. Nareszcie znalazł się na stanowisku właściwym, na służbie kraju własnego.

W sierpniu t. r. stanął w Warszawie; w październiku uchwałą sejmową był mianowany generał-majorem wojsk polskich wraz z Kościuszką i innymi; został szefem gwardyi pieszej koronnej i członkiem Deputacyi do ułożenia regulaminu wojskowego. Wszedł w dużą, niewprawnie jeszcze prowadzoną czynność organizacyjną a zarazem w zawiłą robotę polityczną, toczącą się dokoła wielkich przedsięwzięć sejmowych. Dostał się przecie także w szalony wir płochego wielkoświatowego życia warszawskiego, biorącego nastrój od dworu, które wrychle świeżego młodzieńca porwało aż zanadto, rozpalałając śpiące w nim dotychczas namiętności. Od wiosny 1790 r. objął dowództwo IV dywizyi braclawskiej, następnie i kijowskiej, z kwaterą główną w Tulczynie. Tutaj, na kresach, zajął się czynnie wyćwiczeniem wojsk sobie powierzonych, zwłaszcza kawaleryi, broni dobrze sobie znanej ze służby austriackiej. Szczególną uwagę zwracał na kozaków granowskich, przysłanych mu od ks. Czartoryskiego, objeżdżał ich i musztrował często, znał każdą sotnię, połączył ich z kozakami berszadzskimi, korsuńskimi i in., i utworzył z nich osobny pułk z dziesięciu sotni, pięknie umundurował, trzymał przy swojej kwaterze na biwakach, czterdziestu mołojców do swego dobrał boku. Później jeszcze, podczas przygotowań 1811 r., z żalem wspominał ten pułk ulubiony, przeformowany przez konfederacyę targowicką na lekkokonny bohski i wnet oczywiście stracony. Naogół jednak, dość mierznie przykładając się dotychczas do teoretycznej nauki wojskowości, wyższych wiadomości militarnych z aplikacyi austriackiej nie wyniósł; posiadał natomiast wyborną znajomość techniki kawaleryjskiej; zaś przede wszystkim przyniósł wrodzony oryentacyjny instynkt bojowy, uzdatniający go do wyrobienia się z czasem na wybitnego, nawet na wielkiego wodza. Jeśli przychodzi w tem miejscu stwierdzić wyraźne braki przygotowania pod względem teoretycznym i praktycznym,



dające się postrzegać w Poniatowskim w chwili niniejszej, kiedy wypadło mu w niedoświadczone jeszcze ręce wziąć niepomierne brzemie rozległej akcji organizacyjnej, a niebawem kapitalnej akcji wojennej, to przecież zarazem należy stwierdzić natychmiast i tę ostatnią okoliczność, należy podnieść istotne, utajone w nim wyższe uzdolnienie militarne, które z biegiem czasu, w miarę nabywanego doświadczenia, miało stopniowo dorastać do zadań największych, do najtrudniejszych wymagań strategii Napoleońskiej. Należy tembardziej nacisk położyć na tę okoliczność, że nawet w swojskich ocenach fachowych nie raz pod tym względem działa mu się krzywda, że, chwalony zazwyczaj jako żołnierz, bywał niedoceniany jako wódz, bywał usuwany na plan drugi wobec znamienitych zasług rodaków, Dąbrowskich, Zajączków, Sokolnickich i innych, którym przecie w swoim zawodzie nie ustępował zgola, którym w pewnych rzeczach niewątpliwie nie dorównywał, ale których skądinąd na swój sposób nawet przewyższał. Istnieją w tym względzie świadectwa nieulegające zakwestyonowaniu, pochodzące od rzeczoznawców najpierwszych, a sędziów naocznych i najpowołanszych, zaszczytne świadectwo pośmiertne wydane talentom wojskowym Poniatowskiego przez Napoleona na św. Helenie, albo lapidarne świadectwo surowego Davoust'a, który wręcz oświadcza, iż ks. Józef więcej, niż którykolwiek inny z generałów polskich, niewyłączając „mądryego Dąbrowskiego“, posiadał w sobie materiału na wielkiego wodza. To wszystko jednak wyhodować miała dopiero przyszłość. Narazie, jak się rzekło, braki ukształcenia militarne go w dwudziestokilkuletnim Poniatowskim, były znaczne i niepomalu też utrudniały jego obecne zadanie. Sam on przecie najlepiej, aż do przesady, zdawał sobie z nich sprawę, i nad nimi ubolewał. „Może doszedłem do tego — pisał z piękną skromnością królowi latem 1790 r. — że potrafię z dobrą wolą i rozumnie pułk prowadzić w ogień, ale nie miałem czasu dojrzeć na generała komenderującego i pozyskać dość wiadomości i talentów na zapelnienie tak ważnego miejsca. Użyję wszelkich sił, jakie mi niebo dało, aby rzeczy szły najmniej źle, ale aby one szły dobrze, na to potrzeba ludzi innej miary niż ja jestem.“ Jesienią t. r., zastąpiony w obozie przez niestrudzonego Kościuszkę, udał się do Warszawy, dokąd ciągnęła go młodość i stołeczne uroki, ale dokąd też powoływał arcydoniosły obrót sprawy publicznej. Asystował przy uchwaleniu Ustawy majowej; w lipcu wrócił do swej kwatery; we wrześniu i październiku w obozie pod Braclawiem odbył większe manewry, wykazując niemały postęp w wyrobieniu wojska, więcej jednak w gatunkach broni opracowanych głównie przez generała Kościuszkę, w piechocie i artyleryi, aniżeli w jeździe, która dość pozostawiała do życzenia. W połowie listopada znów przybył do War-



szawy na pobyt dłuższy; i tutaj, posunięty w drugiej połowie marca następnego roku na generał-lejtnanta, zabawił do początku maja 1792 r., aby wprost stąd pośpieszyć na rozprawę z nadciągającą armią nieprzyjacielską.

Wyjechał z Warszawy na Ukrainę przekonany o niepodobieństwie dotrzymania trzykroć, w linii zawsze dwakroć silniejszemu, a nierównie sprawniejszemu przeciwnikowi. Prosił króla, „aby powierzył dowództwo jakiemu bieglejszemu odemnie obcemu wodzowi, chętnie pod nim służyć będę“. Szedł w 20 tysięcy, niedoświadczonego i źle opatrzonego żołnierza na 60 tysięczną w ogólnym składzie, blisko 40 tysięczną w linii bojowej, doskonałą armię, wracającą ze zwycięskiej kilkoletniej wojny. Odbywał tę kampanię, jak sam powiada, „bez kwatremistrzostwa, bez sztabu generalnego, bez komisaryatu“. Co gorsza, na samym kresowym terenie walki, spotykał się ze złą wolą w najżywotniejszych sprawach prowiantowych i wywiadowczych; a nawet, co najgorsza, spotykał się z niekarnością we własnych szeregach. Zmuszony był osobiście — ten straszny szczegół stwierdza list naocznego świadka, ks. Eustachego Sanguszki — przebić pałaszem żołnierza z kolumny Lubomirskiego, który za drugich odpowiedział, że w ogień nie pójdą. Śród tak trudnych, niemal rozpaczliwych warunków, nieszczęśliwe lecz zaszczytne toczył walki w przymusowym odwrocie przed przemagającym nieprzyjacielem. Pod Zieleńcami, w połowie czerwca, utrzymał pole; i tutaj osobiście pieszo prowadził w ogień batalion Potoczek: stałym odtąd swoim zwyczajem, dając z siebie przykład szeregowcom, dając też upust swej impetycznej brawurze żołnierza, biorącej aż górę nad oględnością wskazaną wodzowi. Ponieważ w raportach swoich o sobie stale przemilczał, podnosząc natomiast zasługi podkomendnych, Kościuszki, Mokronowskiego, Wielhorskiego, doszło to do króla dopiero z boku, zachwyciło go, ale też przeraziło. „Życie Twoje — pisał mu Stanisław-August — jest koniecznie potrzebne i mnie i państwu... Zaklinam Cię, jeśli mnie kochasz, nie oddawaj się rozpaczy... Pamiętaj, że jesteś duszą armii i jeśli ona utraci tę duszę, trupem się stanie“. Król pisywał mu ciągle, z początku bardzo często, prawie codzień, niekiedy parę razy dziennie, z otuchą i szczerością; potem i rzadziej i mniej jasno. Otwierał mu tajemnicze jakieś, bałamutne widoki osobiste. A zarazem donosił o zniechęceniu opinii, o rozgoryczeniu Warszawy przeciw cofającemu się wodzowi, na którego już paszkwile rozrzucane są po Ogrodzie Saskim. Nie było tam w tych listach królewskich żadnych instrukcyi wprost zdradzieckich, jak później głoszone w skrajnym kącie emigracyjnym, gdzie nawet cień tej rzekomej zdrady ośmielono się rzucać na samego ks. Józefa. Ale

była w tych listach cała wątpliwość duszy królewskiej, napewno niesposobna bynajmniej do podniesienia na duchu w tak ciężkiej potrzebie stroskanego wodza. Już w kilka dni po Zieleńcach, ciągle w odwrocie, musiał on na rozkaz królewski prosić przeciwnika o rozejm—oczywiście nadaremnie. Po okazanej niemożności obrony linii Bugu przez krwawą potyczkę pod Dubienką w połowie lipca, cofał się książę dalej na Lublin; i wtedy, w obozie pod Kurowem, odebrał z Warszawy piorunującą wiadomość o przystąpieniu króla do Targowicy i rozkaz: zaprzestać działań wojennych, cofnąć się na lewy brzeg Wisły, rozproszyc wojsko aż do Wielkopolski, samemu wedle nowej obywatelskiej dylokacji stanąć kwaterą w Poznaniu. Król dołączał obszerny wywód usprawiedliwiający, przeznaczony dla oficerów; zaś osobno do swego „drogiego Pepi“ pisał krótko i czule, jakby chodziło o drobnostkę, upewniał, że rzeczy nie stoją tak źle, jak się pierwotnie wydawało: „przybądź, aby odebrać moje uściśnienia, na które tak sobie zasłużyłeś,.. co do Twojej osoby urządzimy się w taki sposób, abyś nie miał wcale zmartwienia“. Pierwsza myśl ks. Józefa była może śmierć: gdyż nie wspominając nikomu o treści odebranej ekspedycyi, zaproponował kilku przyjaciółom dla rozrywki mały rekoniesans, gdzie omal nie zginął; dopiero potem ogłosił wojsku fatalną wiadomość warszawską. Ale jeszcze z faktem dokonany się nie godził. „Mój Boże—odpisał zrozpaczony do Stanisława-Augusta—czemuż doczekałem się tego dnia nieszczęśliwego! Mógłżebyś wahać się, Najjaśniejszy Panie, wybrać raczej chwalebny zgon!“ Nie kwapił się bynajmniej do Warszawy w objęcia królewskie. Przeciwnie, podnosiła się w obozie myśl, przyniesiona tam pewnie z Warszawy od zaciętszych głów stronnictwa majowego, aby króla wziąć do armii i zmusić do wytrwania. Ks. Józef, jak się zdaje, w pierwszej chwili przechylał się ku tej myśli, choć nie decydował się wykonać jej z całą bezwzględnością przeciw swemu monarsze i dobroczyńcy. Pisał do króla w mocnych słowach, lecz tem samem uprzedzając go a nie zabierając wprost choćby przemocą, jak pragnęliby gorętsi; żądał przyjazdu do obozu: „o to W. K. M. prosimy wszyscy, o to błagamy—o to nakoniec będziemy się dobijać.“ Król struchlał. Niepознаwał swego łagodnego, posłusznego Pepi. „Jeśli będziesz się przy tem upierał, jestem zgubiony, *je suis un homme perdu*—odpisał drżącą ręką—a co więcej, państwo jest zgubione“. Zaklinał go na „przywiązanie i wdzięczność, jaką mi jesteś winien, jeśli nie chcesz być przyczyną mojej śmierci, bo tego nie przeżyję... Na Boga, Pepi, Pepi, pamiętaj, że tu chodzi o mój honor, o moje życie, co więcej, o całe państwo.“ Ks. Józef uległ zaklęciom. Odstąpił od pierwotnej myśli porwania króla. I odtąd to właściwie datuje się głęboki, zadaw-



niony i zatruty zatarg pomiędzy nim a tej myśli inicjatorami, Kollątajem, Zajączkiem, w pewnej mierze i Potockim Ignacym, zatarg, który jeszcze znacznie później miał wyrządzić niemałą krzywdę sprawie publicznej. Dziś, spokojnie rozważając sytuację, możemy orzec, iż ks. Józef, zaniechawszy w ostatniej chwili doradzanego mu zamachu, którym niczego już naprawić nie było podobna, uczynił roztropnie i dobrze, iż w tem pierwszym już swoim tragicznym przesileniu publicznym, jeśli poszedł za osobistym pociągiem uczucia, poszedł także za trafnym instynktem obowiązku obywatelskiego i zdrowego rozumu stanu. Postąpił, wedle słów własnych, „w sposób jaki przystoi temu, który wprzód się uczył być posłusznym, nim zaczął rozkazywać.“ Ale w posłuszeństwie zatrzymał się ściśle u granicy, nakazywanej przez obowiązek i honor. Podał się natychmiast do dymisji wraz z całą generalicyą. Król ledwo co pocieszony ustępstwem, które ratowało jego osobę, strasznie był dotknięty tą decyzją, która obnażała jego fatalne odosobnienie. Wzywał do subordynacji tych złych oficerów, co mu zbałamucili synowca: „gdzie ja jestem, gdzie zemną będą, tam honor ich zawsze ocalonym zostanie.“ Samego egzaltowanego synowca próbował na wszelki sposób odwieść od niepraktycznej dymisji, uspić jego sumienie łzawą prośbą, gorzkim wyrzutem a nawet osobliwszą pokusą. Ale tym razem wszystko nie zdało się na nic. Książę pozostał nieugięty, nie ruszał się z obozu: „Boże mnie uchowaj — pisał królowi — ażebym kiedykolwiek miał nadużyć zaufania godnych ludzi, których los w moich rękach jest złożony“; dopiero po podpisaniu swej dymisji przez króla, nazajutrz o północy, serdecznie żegnany i pięknie uczczony od wojska, udał się do Warszawy. Posyłając stąd Kościuszcze dymisyę, pisał, „że największy prezent, jaki mu teraz zrobić może, jest, że mu abszyt posyła“.

W Warszawie, zajętej przez wojska nieprzyjacielskie, zabawił książę krótko. Był zanadto niedogodny swą otwartością bezwzględną, samą swoją obecnością. Król sam go niebawem wydalil, opatrzywszy go zresztą po ojcowsku. Wziął na siebie jego długi, wynoszące wtedy 19½ tys. dukatów; wyznaczył mu ze swojej szkatuły pensyę, jak na trudne stosunki ówczesne, dość znaczną, około 12 tys. dukatów rocznie, skąd po strąceniu 1/3 na rozmaite obciążenia, zostawało mu około 8 tys. dukatów. Z końcem sierpnia 1792 r. wyjechał książę do Wiednia. Od króla, z Warszawy i Grodna, odbierał listy częste i czułe, ale w samej tej czułości bolesne bardzo, okrutne. Tłómaczył się przed nim z grodzieńskiego sejmu Stanisław-August, czemu we wszystkim ulega, czemu do ostatka oburącz trzyma się korony: „muszę zapłacić długi moje i Twoje, *et les vôtres*, zapewnić byt Twój i Twej siostry“. Odrzącał przecie podobne tłómaczenie synowiec.

W serdecznych, ale też mocnych wyrazach, monitował starca młodzieńiec, już dojrzały na męża: „Kocham Cię, Najjaśniejszy Panie, nad życie, ale droższym jeszcze, niż ty sam, jest mi Twój honor, Twoja dobra sława“. W kilku bardzo aktualnych i bardzo drażliwych zartach, gdzie wtedy o własną jego chodziło osobę, pomimo nadzwyczajnego nacisku moralnego i nawet materyalnego, wywieranego przez króla, pozostał niewzruszony. W tych jego listach wiedeńskich, tchnących niewysłowioną męką, przebija się cała skala ostrych wzruszeń świeżej, wrażliwej duszy, targanej niemiłosiernie między lojalnem uczuciem synowskiej wdzięczności a wyższym nakazem honoru, którego pogwałcić on nie może, choćby i chciał, fizycznie wprost nie może, bo to przechodzi jego siły, bo byłoby negacją samej jego natury, byłoby szarpnięciem, zerwaniem tego nerwu duchowego, który go utrzymuje przy życiu. „Życie stałoby się dla mnie ciężarem, gdyby nie towarzyszyło mu wewnętrzne poczucie, że nie mam sobie do wyrzucenia nikczemności“. Dyskretnie, prawie wstydliwie dawał do zrozumienia, że życie mu obmierzło, że z niego ucieknie, że nie jest dalekim od samobójstwa, jeśli go dłużej męczyć będą. Wyrzekał się dobrodziejstw królewskich, skoro za taką miałyby być cenę, za cenę własnego dla siebie szacunku. „Zostaw mnie, Najjaśniejszy Panie, zapomnij o mnie, odepchnij od siebie... może za to kiedyś moje ręce, im będą czystsze, tem godniej potrafią Ciebie pielęgnować w potrzebie“. Nie było wątpliwości żadnej: jeszcze on był nazywany od króla „ukochanym Pepi“, jeszcze sam króla nazywał „dobrym ojcem“, ale już był dla niego niepowrotnie stracony.

W Wiedniu długo zagrać miejsca mu nie dano. Dokonywał się już drugi podział. Równocześnie gotowała się redukcya wojska, t. j. faktyczne zniesienie armii. Wobec tego obecność byłego jej wodza w Wiedniu wydawała się zbyt blizką jeszcze, prowokacyjną, niebezpieczną. Król, skłopotany trudnościami grodzieńskimi, pragnął teraz niewygodnego synowca mieć jak najdalej, gonił go, naglił do najodleglejszych wozajów, do Niderlandów, Anglii, Włoch. Wzdragał się naprzód ksiązę, wreszcie musiał usłuchać, udał się do Brukseli, gdzie przebywała wtedy jego siostra, pani Wincentowa Tyszkiewiczowa. Spoczął tu trochę, ale fatalną zaraz zrobił znajomość. Znużony, zgorzkniały, wyczerpany i przeczulony doznaniem przejściami, a tem bardziej bezbronny, poznał wówczas w domu siostry w Brukseli „margrabinę“ Henryette Vauban. Nie żyła ona wtedy z mężem, z którym przecie później zejść się miała wybornie, sprowadziwszy go do domu księcia w Warszawie, a o którym mało co wiadomo. Sama pani niepierwszej już była młodości, nieładna, wysoka,



chuda, zdenerwowana, spazmatyczna, grymaśna, w dodatku bardzo interesowna, ale nadzwyczaj subtelna, udrapowana w cierpienie nieszczęśliwej, niezrozumianej istoty, ujmująca chorobliwym, mdlejącym jakimś urokiem. Zadzierzgnięty został węzeł na życie całe, z wielu względów z niemałą krzywdą dla reputacyi Poniatowskiego.

Nagle, z wiosną 1794 r., z tych niezdrowych wywczasów brukselskich wytrąciła ks. Józefa wieść o dokonanym czynie Kościuszkowskim. Książę był zaskoczony zupełnie, bo nie był zgoła wtajemniczony. Rzecz wydać mu się musiała rozpaczliwą, beznadziejną. Wzwyczajony do karności, do wojny regularnej, do broni liniowej, nie mógł żywić zaufania do wojny insurekcyjnej, do przedsięwzięcia ludowego, którego przygotowanie i zakres były dlań tajemnicą. Nie miał więc wiary. Ale król, który go tak niedawno przegnał, aby uwolnić się od jego nieprzyjemnego moralnego nagabywania, teraz, z tych samych pobudek samolubnych, osamotniony pośrodku wzburzonej Warszawy, na gwałt wzywał go do powrotu, aby okryć się jego moralną osłoną. Ciężko to było wśród takich warunków, pod dwuznacznemi auspicjami królewskimi, wrócić do wstrząśnionego, rozpalonego kraju. Czuł to dobrze ks. Józef, lecz się nie uchylił, w końcu maja stawił się w obozie Kościuszki, niedawno podkomendnego, teraz Naczelnika. Umieszczony był naprzód jako zwykły ochotnik przy korpusie Mokronowskiego w Warszawie, gdzie jak najbliższy przy swym boku chciał go mieć wystraszony król; następnie przy oblężeniu miasta przez Prusaków otrzymał dowództwo części linii obronnej od Powązek do Młocin, odpierał pomyślnie ataki pruskie, lecz pod koniec sierpnia dał się zaskoczyć, wyprzeć z Opalina, zabrać sobie baterię, po części z winy podwładnego dowódcy bateryi na Górach Szwedzkich, lecz po części także skutkiem nieopatrzności własnej. Wziął później jeszcze dowództwo kilkotysięcznego korpusu wyprawionego nad Bzurę, aby utrzymać czucie z generałem Dąbrowskim, działającym w Wielkopolsce, i zapewnić mu otwór do odwrotu, lecz manewrował niefortunnie i chybił celu. Po wzięciu Pragi, zdesperowany zupełnie, a zapewne także nie bez wpływu presyi od Stanisława-Augusta, pierwszy zdał komendę swego korpusu, który też natychmiast w zupełną poszedł rozsypkę, zaczem z kolei poszła całkowita dezorganizacya armii, prowadząc wnet do ostatecznej kapitulacyi radoszyckiej. Na ogół ta kampania była najniezszczęśliwszą dla ks. Józefa, gdyż, jakkolwiek pozwoliła mu niejednokrotnie stwierdzić jego wyższą po nad wszelką wątpliwość brawurę i lojalność osobistą, lecz naraziła na szwank jego reputacyę wodza, a w każdym razie nietylko



nie podniosła go, lecz nawet zepchnęła na plan drugi w opinii wojskowej i krajowej z tego stanowiska naczelnego, jakie był zajmował przed dwoma jeszcze laty. Inaczej zresztą być nie mogło. Związany swoim położeniem z gruntu fałszywem względem króla i względem samego przedsięwzięcia, nie mógł on tutaj dać właściwej miary swojej indywidualności publicznej i bojowej wśród warunków, tak bardzo do niej niedostosowanych. To nie był człowiek insurekcji.

### III.

Tymczasem dokoła waliło się wszystko. Król wyjechał do Grodna po abdykację. Ks. Józef, jak Dąbrowski i wielu innych, nie powołanych do Petersburga, pozostał w Warszawie, zajętej przez Suworowa. Był z wizytą u feldmarszałka, podobnie jak inni generałowie polscy, i miał sobie od niego zostawioną zupełną swobodę, z której korzystał z wielkim taktem, ze zrezygnowaną godnością. Środki mając bardzo uszczuplone, zamierzał osiąść w odziedziczonej po prymasie Jabłonnie i zaczął urządzać ją na stalszy pobyt. Ale znalazły się figury podrzędne, Buxhövdén, Diwow i inni, które krzywo patrzyły się na rzekomą zbyteczną wyrozumiałość Suworowa; ci gorliwcy jęli na własną rękę oskarżać ks. Józefa przed Bezborodką, Repninem i wyżej, że „on chadza po Warszawie bez orderów, w starym płaszczu rewolucyjnym, ugaszcza i utrzymuje mnóstwo oficerów zniesionej armii“. Pierwszy oczywiście zatrzwożył się król. Zaraz zaczął z Grodna molestować synowca, dopytywać, jak on się sprawuje? jak ubiera, czy nie, broń Boże, po parysku? jak włosy nosi, czy czasem nie krótko strzyżone, po jakobińsku? Sumitował się biedny książę, wykazywał zupełną bezzasadność tych obaw, z gorzkim uśmiechem zapewniał króla, że unika wszelkiej polityki w toalecie i fryzurze, że nawet wysiła się na jakiś „cień warkocza“, że *toupetu* wprawdzie nie nosi, ale dlatego tylko, iż nad czołem całkiem wyłysiał, że wprawdzie wielkie peruki, *habits brodés* i *talons rouges* schował do szafy, bo to już nie w modzie, ale zresztą stara się być elegantem, być „podobnym do wszystkich Anglików, do wszystkich emigrantów francuskich“, do wszystkich ludzi dobrze myślących. Ostatecznie, reskryptem cesarzowej Katarzyny do ks. Repnina, wielkorządcy Litwy, w połowie marca 1795 r., został niedopuszczony do przysięgi na starostwa posiadane na Litwie; w kwietniu otrzymał od króla stanowczy rozkaz

wyjazdu z Warszawy do Wiednia. Tutaj, w Wiedniu, siedział odtąd prawie bez przerwy lat blisko trzy, mając przy sobie siostrę i nieodstępną już panią Vauban. Już nie widział tu hrabianki Karoliny Thun, teraz lady Guirfold, którą zabrało mu życie, a niebawem, po kilku leciech, jeszcze w kwiecie wieku, zabierze śmierć przedwczesna. Był w kłopotach materyalnych, w ciężkiej depresji duchowej, gryzł się, chorował na febrę, żółtaczkę, odnowioną starą ranę. Położenie materyalne nieco się poprawiło ze zmianą panowania, gdyż cesarz Paweł I natychmiast, w parę tygodni za ledwo po objęciu rządów, jeszcze przed amnestyą ogólną, reskryptem z początku grudnia 1796 r. do ks. Repnina, zatwierdził ks. Józefa bez żadnych warunków we wieczystej własności dziedzicznej starostwa żyzmorskiego, uszpolskiego i części wieluńskiego w gubernii Wileńskiej, bądź wprost, bądź po dożywociu matki i hetmaństwa Ogińskich. Jednak następnie zamiast Uszpoła, należącego już do Sapielów, otrzymał księżę Bejsagołę w powiecie szawelskim; wszystkie te dobra niebawem wyprzedał marszałkowi Pusłowskiemu za bezcen. Położenie społeczne pozostało ciągle nader trudne i naprężone. Do króla, pomimo wielokrotnych wzywań, nie kwapił się i już go nie oglądał aż w trumnie. Po śmierci Stanisława-Augusta wiosną 1798 r. udał się do Petersburga, dokąd powoływały go najnieodzowniejsze czynności homagialne i sukcesyjne. Kilka miesięcy zabawił nad Newą, z wielką łaskawością przyjęty przez cesarza, mianowany przeorem Zakonu maltańskiego, później wniesiony do ranglisty wojskowej rosyjskiej w stopniu generała-lejtnanta i szefa kazańskiego regimentu kirasjerów.

Odtąd, od lata 1798 r., osiadł na stałe w pruskiej wtedy Warszawie. Była to niby długa, ośmioletnia pauza w jego życiu. Tam, na Zachodzie, świat stał w płomieniach, Republika francuska wtargnęła poza Ren i Alpy, Bonaparte płynął do Egiptu, legiony wkraczały do Wiecznego Miasta. Ks. Józef kłopotał się i zabawiał w Warszawie. Wiązało go, jak jeńca, położenie. Hamowała rodzinną i osobistą sytuacja polityczna w stosunku do trzech rządów podziałowych, uniemożliwiająca styczność z Francją. Krępowały konsekwencye drugorzędnej i niepomyślnej roli, odegranej w ostatniej kampanii, utrudniając styczność z przywódcami legionów. Przygniatał wreszcie spadek majątkowy po królu, w największym nieporządku będący, obciążony ogromem długów, zawisły od pokrycia przyjętego przez trzy skarby podziałowe, wymagający wyjątkowej procedury ulgowej, bo podpadający nadzwyczaj skomplikowanej dystrybucji pomiędzy niezliczonych wierzycieli, oraz pomiędzy spólsukcesorów, którzy, formalnie zrzekłszy się sukcesji, cały jej ciężar zwalili z dobrodziejstwem inwentarza na ks. Józefa. Dostał się on tym sposobem w przymusową



zależność od sądownictwa pruskiego, nie dla siebie osobiście, gdyż regulacyi spadku nawet nie dożył, ile dla honoru rodziny. Z rządem pruskim stanął w stosunkach dość znośnych, zarówno z administracją lokalną, wielkorządcą prowincyi uczciwym Vossem, gubernatorem Warszawy, zacnym Köhlerem, jakoteż z dworem królewskim. Istotnie też pomocna interwencya samego prawodawcy ułatwiła mu zabójcze kłopoty sukcesyjne: osobny dekret królewski wyznaczył pięciu członków kamery warszawskiej na komisarzów do osądzenia w ostatniej instancyi wszelkich żądań, wytoczonych przez trzystu wierzycieli Stanisława-Augusta na sumę z górą pół miliona dukatów; inne reskrypty proceduralne, uzyskane przez księcia, miały uprościć czynność likwidacyjną; z tem wszystkim jednak na wyrok klasyfikacyjny, regulujący około połowy wierzytelności, wypadło czekać lat ośm, t. j. doczekać się go właśnie w fatalnej porze, kiedy miał zostać nagle zawieszony przez wojnę, przez Jenę. Osobiście w tym czasie pozostawał ks. Józef z dworem pruskim na stopie pewnej uprzejmej zażyłości. Przez przyjaciela, ks. Antoniego Radziwiłła, spowinowaczonego z domem panującym, miał ułatwione zbliżenie z Fryderykiem-Wilhelmem III i królową Luizą, i od obojga za bytności ich w Warszawie i swojej w Berlinie odbierał oznaki życzliwości i szacunku, obwieszony został Orłem Czerwonym i Czarnym, choć zresztą dóbr, wziętych do skarbu, mu nie oddawano.

Naogół przez tych lat ośm pruskich pędził książe życie prywatnego człowieka, w pałacyku Pod Blachą, albo w Jabłonnie, w domu zanadto wystawnie i hucznie, zanadto po kawalersku i zanadto na modłę cudzoziemską prowadzonym przez panie Tyszkiewiczową i Vauban, w kole domowników i ulubieńców, wcale niefortunnie dobranych, życie bardzo swobodne, dostarczające obfitego żniwa stołecznej kronice skandalicznej, poniżej jego imienia, a już nawet ponad jego wiek płoche i puste, do położenia kraju niedopasowane. Taka skala życiowa człowieka, stojącego na świeczniku, nie mogła nie wyrządzić dotkliwej krzywdy i ogółowi, i jemu samemu u ogółu. Z jednej strony niezdrowy przykład książęcy pociągał do naśladownictwa i tym sposobem mimowoli szedł na rękę rządowi pruskim w ich rozkładowej robocie koło oszołomienia i wydziedziczenia społeczności. Z drugiej strony wywoływał uzasadnioną reprobację, wyzywał poważniejszą opinię, a uprzedzonej, nieżyczliwej dawał dopiero grunt istotny i łatwą wygraną. Cóż było łatwiejszego, jak w obliczu opinii piętnować oczywiste wybryki bałamuctwa i szalu, i na lekkomyślnego ich sprawcę ściągać surowy wyrok publicznego potępienia? Surowo też, bezlitośnie potępiono te wybryki ks. Józefa. Zapewne — bez nich byłoby lepiej. Chwalić tych zbroceń nikt nie będzie. Każdy nad niemi głęboko musi ubolewać. Ale sąd spra-

wiedliwy znajdzie dla nich wyrozumiałość, poniekąd nawet wytłómaczenie. Położenie ówczesne ks. Józefa było prawie bez wyjścia. On nie mógł, jak pierwszy lepszy ochotnik, pójść do lombardzkiej kwatery Dąbrowskiego albo naddunajskiej Kniaziewiczza. Jakże wyobrazić go sobie z jego stanowiskiem, przeszłością, z jego prostym a niezmiernie czułym punktem honoru, pośrodku rozstrzelonej emigracji, gdzie dla niego właśnie tyle było nieufności, podejrzliwości, wprost nienawiści śmiertelnej? Jakże wyobrazić go na tułactwie w owych ciemnościach, owych raptownych odmianach polityki dyrektoryalnej i konsulackiej, kiedy to dziś tworzone, jutro zwijano legie, dziś wojowano, jutro traktowano, dziś otwierano najśmielsze widoki, jutro je niweczono? Jakże wyobrazić go z tą jego nadwrażliwą a nieodporną, nawskroś uczuciową naturą, ścieranego na pył wszystkimi temi przeciwnościami i zawodami, albo może dźgniętego sztyletem neapolitańskiego lazzarona lub oszczepem murzyna z San Domingo, — i co nareszcie na tem zyskałby kraj? Że zaś w tej przymusowej w domu bezczynności on nie potrafił, nie miał dość siły zamknąć się w sobie, dostroić codziennego swego życia do powagi okoliczności krajowych, — to niezawodnie było godne pożałowania, a jednak i to nawet w pewnej mierze przynajmniej było zrozumiałe. To nie była pospolita tężyzna obojętnej sybaryckiej duszy. To była, obok pewnej wrodzonej słabości charakteru i błędów wychowania, przedewszystkiem negatywna reakcyja duszy pięknej i szlachetnej, wyrwijącej się do ambicyi podniosłych, do czynów wielkich, a skazanej na bezwładzę przymusową, trawiącej się w narzuconej przez okoliczności niemocy, i szukającej sobie upustu w wybuchach silnego temperamentu, jak się winem zalewa toczącego robaka, byle oszołomić, znieczulić samego siebie, byle zapomnieć. Zgoła pominąć te wszystkie warunki faktyczne i czynniki psychiczne — niewątpliwie rzecz nadzwyczaj łatwa. Łatwa i tania ciskać bez zastrzeżeń gromy cnotliwego oburzenia, jakich swego czasu i w kraju, i zwłaszcza na emigracji nie szczędzono ks. Józefowi. Nie brakowało nigdy, a najmniej w emigracji owocniejszej, sędziów drakońskich, z tego gatunku faryzeuszów i doktorów cnoty publicznej, co to lekką ręką precz odpędzają celników i grzeszników od stołu Pańskiego. A jakże wielu z tych Katonów domowych i emigracyjnych później, za Królestwa Kongresowego, haniebnie spuściło z tonu, pierwszej nie wytrzymało próby, obnażyło całą mizeryję swojej istotnej zawartości ludzkiej i obywatelskiej. W sądach społeczno-dziejowych miara zasadnicza jest jedna, ale właśnie dlatego zastosowanie jej do różnych obiektów musi być różne. Istnieje dyferencyacya obowiązków i win, zasługi



i poczytalności społeczno-dziejowej. Miało się to niebawem okazać jaknajdowodniej na ks. Józefie w nadchodzącej już godzinie najwyższej próby, skoro nad samem uchem jego i kraju ogromną, wytrącającą z letargu pobudką, ozwą się lotne pioruny Napoleońskie, zaniezione na ziemię polską.

#### IV.

Jak gdyby z długiego letargicznego uspienia zbudziły ks. Józefa podstępujące coraz bliższą i górnieszą falą potężne odgłosy epopei Napoleońskiej, coraz jaśniej, coraz konieczniej ogniskowane ze światowej, zachodniej oddali w samym ośrodku ziem i rzeczy polskich. Ale przyszły one do niego nasampierw z wprost przeciwnego krańca. Jesienią 1805 r. cesarz Aleksander I, ciągnąc na pierwszą swoją walną z Napoleonem rozprawę, stanął kwaterą główną w domu książąt Czartoryskich w Puławach. Cesarz szedł na Francję; ale przedewszystkiem podówczas myślał on iść na Prusy, na pruską Warszawę. Wielki plan odnowienia Królestwa Polskiego pod berłem Domu Romanowów, częściowo tylko urzeczywistniony po latach dziesięciu na Kongresie wiedeńskim, wtedy to właśnie, na naradach puławskich, pod kierownictwem rosyjskiego ministra spraw zagranicznych, ks. Adama Czartoryskiego, gotował się w całej pełni. Za pośrednictwem Czartoryskiego wtajemniczony został w ten plan przez cesarza Aleksandra ks. Józef. Już nawet miał on sobie powierzone stanąć na czele akcji w Warszawie. Lada dzień spodziewano się tutaj z Puław wjazdu monarchy, czekano tylko znaku do rozpoczęcia działań przeciw Prusakom. Tymczasem jednak Poniatowski, bacznie strzeżony przez władze pruskie, widział cesarza przeciągającego na wahaniach pobyt puławski, wstrzymującego się ciągle z podaniem hasła, odcieranego przez Prusy. Dopiero w drugiej połowie października mógł powitać monarchę, przecieź nie z zamierzonym wjazdem w Warszawie na Zamku, tylko przejazdem, z ominięciem stolicy, na przelotnej gościnie w pałacu wilanowskim. Doznał ks. Józef przy tem spotkaniu dowodów zaufania cesarza Aleksandra, odprowadzał go z Wilanowa konno, — ale już na drogę wiodącą do Berlina, do sojuszu, nie do wojny z Prusami, a tem samem wiodącą do odroczenia, właściwie zaś do zaniechania tamtego planu. Miewał jeszcze przez parę tygodni u siebie Pod Blachą



przyjazne odwiedziny generałów rosyjskich, śpieszących za cesarzem na plac boju; lecz na zwycięzką ich otuchę nie mógł już zapatrywać się bez wewnętrznej rezygnacji. Wkrótce potem, z początkiem grudnia, nastąpiła bitwa pod Austerlitz. Narazie prysły doszczętnie wszelkie z tej strony widoki. Otwierały się natomiast niebawem inne, całkiem pokrewne, z wręcz przeciwnej strony pruskiej, skoro zaraz w następnym 1806 r. dobiegał wybuchu nowy zatarg wojenny Prus z Napoleonem. Zjawiły się w tej samej chwili rozległe propozycje polskie od dworu i gabinetu berlińskiego. Ks. Antoni Radziwiłł wspólnie z Feliksem Łubińskim redagowali w Berlinie projekt ustawodawczy na podstawie liberalnych „Prawideł,” aprobowanych uprzednio przez Fryderyka-Wilhelma III. Zarazem za zgodą królewską układany był pośpiesznie przez Radziwiłła plan legii prusko-polskich. Zaś oczywiście przedewszystkiem pomyślano znowu o pozyskaniu ks. Józefa, najpierwszej w Warszawie osoby, starano się zabezpieczyć sobie „przystąpienie dobrze myślącego Poniatowskiego.” Znowu więc, tym razem przez Radziwiłła, jak poprzednio przez Czartoryskiego, został on mimowoli wtajemniczony w te nowe konsyderacje i widoki. Aliści i tym razem miecz Napoleoński inaczej rozstrzygnął. Jak przedtem Austerlitz, tak teraz Jena przecięła jednym zamachem wszystkie te tak sztuczne a tak kruche i śliskie pomysły. Prusy same legły u nóg zwycięzcy. Francya stanęła nad Wisłą. Dziejów Polski porozbiorowej nowa otwierała się era.

Zakotłowała się nieznanem oddawna, gorączkowym życiem Warszawa. Opuszczone przez Prusaków miasto zajęli Francuzi pod Muratem, wnet pojawiły się tutaj oddziały wielkopolskie Dąbrowskiego, zjechał wreszcie Napoleon. Śród tych warunków nadzwyczajnych, drażliwym niezmiernie stawało się raz jeszcze położenie ks. Józefa. Tego człowieka, tak nawskroś prostego, stale, jakby z umysłu pogrążało przeznaczenie w coraz zawilsze i trudniejsze komplikacje. On onegdaj miał przeciw Francji tryumfalnie wprowadzić do Warszawy cesarza Aleksandra; wczoraj może konstytucyjnie obwołać przeciw Francji króla Fryderyka-Wilhelma; dzisiaj przeciw Rosyi i Prusom wstępował tu zwycięską Napoleon. Był w tem zgrzyt bardzo ostry, rzut bardzo gwałtowny, niebezpieczny. Ale książe rezygnować dłużej ze swych obowiązków nie chciał, nie mógł. Jeszcze przez tydzień, jak się zdaje, ważył w sobie nieuniknione, nieodwołalne postanowienie. A tu tymczasem w początku grudnia stawiał się pośpiesznie w Warszawie Dąbrowski, gotowy do objęcia naczelnej władzy wojskowej. W rzeczy samej, po Kościuszcze, który Napoleonowi odmówił, Dąbrowski był niezaprzeczenie jedy-

nym wodzem powołanym do objęcia tego stanowiska, gdyby go nie objął natychmiast ks. Józef. Dłużej namyślać się nie było sposobu. Księżę tym razem nie mógł zostać podkomendnym legionisty, zostać niczem. Nie mógł, jak przed dwunastu laty, pójść na miejsce drugorzędne. Nie był już na to dosyć młody, a zbyt wiele miał do odrobienia. Miał do wyboru albo stanąć na czele, albo zniknąć. Wybrał pierwsze po długich zewsząd, a zwłaszcza od Murata naleganiach, po głębokim namyśle, a z zupełną świadomością, że po raz ostatni przestaje być człowiekiem prywatnym, że całego siebie nieodwołalnie oddaje nowym losom sprawy publicznej na życie i śmierć. Im dłużej rzecz w sobie wprzódy ważył, im swojej odpowiedzialności był świadomszy, tem ściślej i jaśniej postanowienie swoje wreszcie objawił. Zapadło ono ostatecznie tegoż wieczora grudniowego, kiedy przybył do Warszawy Dąbrowski, kiedy zatem chwili dłużej nie było do stracenia. Księżę otworzył się przed Muratem. Wyraził gotowość objęcia wydziału wojny, zastrzegając się przeciw ubieżeniu go przez Dąbrowskiego na tym odpowiedzialnym posterunku. Ale zarazem zastrzegł stanowczo, że żąda od Murata wyraźnego na to rozkazu w imieniu Napoleona. Żądanie było razem roztropne i godne: okrywało poczytalność moralną księcia, precyzowało polityczną cesarza. Znamionowało w powziętej decyzji nie samą tylko odruchową pobudkę żołnierską, ale głębsze ujęcie racji stanu. Powziąłem tę decyzję — w tych wyrazach odezwał się wtedy ks. Józef przed Muratem — nie jak „entuzyasta, niemający nic do stracenia,“ ale „z dojrzałą rozważą“ człowieka, na którego „można liczyć.“ Odtąd czynem nieprzerwanym, wreszcie krwią serdeczną przypieczętuje on te proste wyrazy: że na niego liczyć można. Szlachetny Francuz, który odrazu ocenił go i pokochał, natychmiast zaszczytnym rozkazem dziennym na mocy najwyższej swej władzy zastępczej polecił mu urzędownie przywdziać z powrotem dawną rangę w stanie czynnym generał-lejtnanta, jaką piastował w b. armii Rzpłtej, objąć komendę siły zbrojnej polskiej i zająć się jej organizacją w tych prowincjach, gdzie to jeszcze skutecznionem nie zostało. Jednakowoż zaraz stwierdzić przychodzi, że ta tymczasowa namiestnicza uchwała Murata w owej chwili bynajmniej nie była sankcyonowana przez powszechność opinii publicznej krajowej i warszawskiej, przeciw księciu poczęści rozgoryczonej, a bardziej jeszcze przeciw niemu przez swoich podniecanej. Tysiączne też najprzykrzejsze z własnymi rodakami rodziły się kolizye, w tej pierwszej zwłaszcza zmaconej dobie gorączkowego podrażnienia umysłów. Tymczasem wypadało zyskać przedewszystkiem sankcyę osobistą cesarza. W drugiej połowie grudnia powitał Poniatowski przybyłego do Warszawy Napo-



leona, Przyjęty był w pierwszej chwili dość chłodno, nawet surowo. Usłyszał od cesarza wyrzut bardzo ostry, że stawiał ów warunek, ów uprzedni rozkaz w imieniu cesarskiem zażądany i otrzymany od Murata. Nie zrażał się jednak, nie oglądał na dobrze sobie wiadome zatrute podszepty do cesarskiego ucha. Nie występował jako dworak, lecz jako sługa swego kraju. Zdał cesarzowi ścisłą sprawę techniczną ze stanu rzeczy wojskowych, a nie wahał się spełnić także wyższego obywatelskiego obowiązku, przekładając mu zarazem, otwarcie i mocno, ogólniejsze zagadnienia społeczne. Ks. Józef spokojnie, jak mu każe sumienie, referujący po raz pierwszy przed chmurnym, nieufnym jeszcze cesarzem Napoleonem na Zamku królewskim:—jakież to obraz uderzający myśl i wyobraźnię. Jakież uczucia w takiej chwili musiały budzić się i burzyć w górnej duszy Poniatowskiego. On stał, świetny, dorodny mężczyzna, pogromca serc niewieścich z Pod Blachy, przed tym małym, szarym człowiekiem, pogromcą państw i ludów z pod Piramid, Marenga, Austerlitzu i Jeny, który z krańców świata przyszedł rządzić w tym Zamku, w którym on się prawie wychował. Stał, polski książe krwi, bogato uposażony od samej kolebki, przed tym ubogim, korsykańskim szlachcicem, upośledzonym przez urodzenie, który był porucznikiem artylerji, kiedy on był naczelnym wodzem, który był jeszcze w mroku i tłumie, kiedy on już był u wielkiego ołtarza, a który potęgą geniuszu i woli wyniósł się na najpierwszego wodza, najpierwszego Francuza, najpierwszego Europejczyka. Stał, 44-letni, a poczynający dopiero, przed tym 38-letnim, przed młodszym, który już doszedł. A tu za nim widział młodzieńcze, śmiałe twarze oficerów rodaków, opalone prochem stu bitew, znaczone zaszczytnymi blizny, promieniejące sławą i nadzieją. Cała szlachetna ambicja, tak długo ściągnięta w cuglach, ukrócona, upokorzona, musiała w nim stanąć dęba w tem mgnięciu, i odtąd, niby pełnokrwisty rumak, niewstrzymanym rozpędem ponieść go na nowe życie, na piękną śmierć i chwałę nieśmiertelną.

Tymczasem położenie, jak się rzekło, niesłychanie było trudne. Wszystko było dopiero w stanie tworzenia, losów wojny, ani kraju niepodobna było przewidzieć. W początku stycznia 1807 r. posłał ks. Józef Napoleonowi do obozu zasadniczy memoriał polityczny. Przemawia tutaj ze szczerością roztropną i silną: przedstawia rzecz ze spokojną i przekonywającą powagą, „z punktu widzenia czysto francuskiego“; odwołuje się do przyrzeczeń danych przed dziesięciu laty Sułkowskiemu we Włoszech przez generała Bonapartego; stwierdza doznane ciężkie i zbijające z tropu zawody; usprawiedliwia wstrzeźliwość Kościuszki jęgo „wielką i uzasadnioną odpowiedzialnością mo-

ralną“; dosadnie maluje niejasne, rozstrzelone położenie kraju: „ja sam—powiada—czyliż nie jestem generałem rosyjskim, austryackim, pruskim?“; zaleca Ustawę majową, zaleca objęcie rządów nad 14-milionową ludnością, jeśli nie przez samego cesarza to przez członka jego rodziny, wyrzekając się narazie conajwyżej Obojga Galicyi. Ale w tym samym czasie z innej strony inaczej także odzywano się do Napoleona. Generał Zajączek, śmiertelnie nienawidzący Poniatowskiego, złożył cesarzowi pismo, całkiem odmiennie brzmiące, tchnące nietyle już krajową myślą obywatelską, ile dworacką, partyjną, emigracyjną. Dopraszał się on ustawy i praw francuskich, nie bez słuszności zapewne oskarżając Ustawę majową o niedostateczną dla włościanina troskliwość; lecz przedewszystkiem podawał ludzi do rządu, do dostojęństw, po staremu do wakansów; oczywiście radził oddać władzę Kollątajowi, „jedynemu człowiekowi z głową“; odsuwał zupełnie ks. Józefa, zaciekle oskarżał, wprost denuncyował w czambuł całą Familię Czartoryskich, która „od wieków“ spiskuje i pretenduje do tronu, której dziełem była konfederacja barska, porwanie Stanisława-Augusta, uwięzienie Kollątaja i wszelakie zbrodnie, której „kreaturą i agentem“ był Kościuszko, i którą też należy „stałe trzymać pod dozorem“ i oddalić raz na zawsze od wszelkich urzędów. Ten głos zasłużonego żołnierza, ale tylko żołnierza, głowy napozór postępowej, nawet radykalnej, ale naprawdę po staroświecku wstecznej, mętnej i ciasnej—to był w odnowionej postaci stary, anarchiczny głos fakcyi i prywaty. Jeszcze nie było nic, nie było kraju, a już podnosił się zawczasu ten głos fatalny, monopolizując z góry dla jednych dobro i prawość publiczną, odsądzając z góry innych, najlepszych, od rady i służby publicznej, dzieląc to, co należało jednoczyć, osłabiając to, co należało umocnić, podnosił się i wciskał zgrzytliwem, przeczącem echem samobójczych błędów przeszłości pomiędzy czyste i twórcze hasła przyszłości społeczeństwa.

Na szczęście, dzięki zdrowemu sądowi Napoleona, a zapewne też nie bez przyjaznej pomocy Murata, może także dyplomatycznej Talleyranda, te przeciwne wpływy nie wzięły skutku. Ks. Józef, choć narazie tylko zwyczajny dowódca legii czyli dywizyi I, obok Zajączka i Dąbrowskiego jako dowódców II i III, pozostał jednak Dyrektorem wojny w Rządzie Tymczasowym warszawskim. Jeszcze przecie nie dał za wygraną zacięty Zajączek i dochodząc w swej zaciekłości aż do brutalnej zniewagi, do niesubordynacyi, wywołał tak ostry zatarg z księciem, że trzeba było odwołać się do Komisji Rządzącej, francuskiego ministra wojny ks. Neufchâteau, i samego Napoleona, aby większego nieszczęścia uniknąć. Zanosilo się już nawet wprost na odebranie księciu dy-



rektorstwa wojny i oddanie Dąbrowskiemu; a nie ulega wątpliwości, że w tym kierunku u boku cesarza w obozie, wraz z innymi osobistymi nieprzyjaciółmi Poniatowskiego, najsilniej agitował Zajączek, który w ponawianych raportach pisemnych do Napoleona nie przedstawiał uzalać się na „indolencyę“ warszawskiej administracji wojskowej. Ks. Józef zmuszony był w maju 1807 r. zwrócić się z poufnym piśmie do Stanisława Potockiego, prosić go o zasłonę i tłumaczyć, jak szkodliwe skutki dla napoczętych dopiero robót organizacyjnych, dla samej subordynacji w tworzonych dopiero szeregach pociągnęłaby za sobą tak nagła, nieczem nieusprawiedliwiona zmiana władzy naczelnej, zrzućcie Dyrektora wojny w kilka miesięcy za ledwie po nominacji, a w chwili zatargu z niekarnym generałem. Można domyśleć się, znając wysoką ambicyę i drażliwość Poniatowskiego, wiele kosztować go musiało to odwołanie się do Potockiego Stanisława, brata Ignacego, będącego w tak bliskiej styczności ze starą partją Kollatajowską, a którego głęboka, choć zresztą zrozumiała niechęć do domu królewskiego, nikomu lepiej nie była znana, jak księciu, choćby z minionych czasów Kościuszkowskich; ale można też łatwo stąd wywnioskować, jak poważną musiała być groźba utraty dyrektorstwa, skoro wypadło zdobyć się na krok podobny. Co zaś w tem wszystkim było najboleśniejszego, to ta okoliczność, że po stronie takiego przeciwnika, jak Zajączek, stała wtedy część niemała opinii wojska i Warszawy, która większe tytuły do dowództwa przyznawała Dąbrowskiemu, która w ks. Józefie mogła już za pomnieć wodza z pod Zieleniec, nie znała jeszcze wodza z pod Raszyna i Lipska, a pamiętała niefortunnego komendanta z pod Powązek i widziała ciągle „Szarmanckiego“ z Pod Blachy, synowca Stanisława-Augusta, krew abdykacyjną, osławione jeszcze, nie wsławione imię Poniatowskiego. Tak być musiało. Nie mogło być inaczej. Była tu sprawiedliwość nawet w niesprawiedliwości. Zaś dla człowieka tej miary, co ks. Józef, była w tem ostroga, szarpiąca boleśnie, ale też potężnie podnosząca do lotu.

Nastąpił pokój. Po zjeździe monarszym w Tylży ustalone zostały w pewnym zakresie losy kraju przez stworzenie Księstwa Warszawskiego, utrwalone w niem zarazem stanowisko Poniatowskiego, jako ministra wojny i naczelnika siły zbrojnej. Stało się to uiezawodnie nie bez uprzedniej zgody na jego osobę między cesarzem Aleksandrem a Napoleonem. Księstwo było kompromisem między Francją a Rosją, nietylko kompromisem jako twór terytoryalny, lecz także jako organizacja administracyjna. W obsadzeniu jego administracyi naczelnej brano były na uwagę względy dla sojuszniczej

Rosyi. Dlatego też ludzie, zanadto z poprzedniej doby przeciw Rosyi zdeklarowani, nie byli obecnie nadto wysuwani naprzód, dlatego niektórzy najwybitniejsi, jak np. Ignacy Potocki, całkiem zostali pominięci. Ks. Józef podobnych wątpliwości nie budził, a nawet w jego osobie, jeszcze z czasów planów puławskich i wilanowskiego spotkania w roku zaprzyszłym, pokładano, jak się zdaje, dalsze widoki, których on sprawdzić nie miał zgoła. Wtedy to, wnet po Tylży, oczywiście dla ułatwienia sytuacji księcia, cesarz Aleksander nakazał osobiście generał-adjutantowi Nelidowowi wykreślić go z ranglisty wojskowej rosyjskiej bez wyszczególnienia powodów, gdy równocześnie Napoleon obdarzał go orłem złotym Legii honorowej.

Wypadło teraz nasamprzód w pokojowym czasie przystąpić do ogromnej a naglącej roboty organizacyjno-wojskowej w Księżtwie. Zabrał się do niej ks. Józef bez zwłoki, zabrał szczerze, gruntownie, z większą, niż się zwykle przypuszcza, gorliwością, siłą roboczą i rzeczywistym pożytkiem. Świadczą o tem dokumenty, świadczy jego korespondencya wojskowa, polska, saska, francuska, nadzwyczaj rozległa, bardzo rzeczowa, umiejętna, rozumna. Naogół, więcej jest znana i ceniona sama strona uczuciowa, tak powabna i świetna w ks. Józefie, aniżeli jego prosty, zdrowy rozsądek. A przecież on odznaczał się, gdy było potrzeba, takim właśnie trzeźwym rozsądkiem, i to nietylko w swoim zawodzie wojskowym, lecz nieraz i w obcych mu całkowicie materyach publicznych. W podobnych materyach, na posiedzeniach Rady Stanu, zwykle słuchał uważnie i milczał; lecz kiedy czasem, spytany wprost o opinię, głos zabierał i zaczynał jak zwykle od słów: „ja w moim głupim rozumie sądzę“—zawsze to jego zdanie tak dobrze utrafiło w samo sedno, tak było zwięzłe, jasno, dobitnie a prosto z mostu wyrażone i uzasadnione, że najwytrawniejszych członków Rady wprawiało w zadziwienie i pociągało za sobą. Jednakowoż we właściwej jego działalności szkodziła mu jedna wada kapitalna: zbyttnia dla podwładnych wyrozumiałość, często przechodząca w słabość, a związana ze wspomnianym już niedość rozważnym dobozem otoczenia, gdzie byli wprawdzie tacy współpracownicy doskonali, jak Fiszer albo Wielhorski, ale znaleźli się też tacy nieosobliwi, jak Kamieniecki albo Rautenstrauch. To mu szkodziło dotkliwie i w robocie i w opinii. Publiczność, i bez tego nienajlepiej dlań usposobiona była skłoną zwalać na niego winy podkomendnych, do czego zresztą w pewnej mierze niezawodnie miała prawo. Trzeba tu także pamiętać, że opinii ówczesnej bardzo trudno przychodziło zdobywać się na zupełną równowagę sądu. Ogół ludności po przebytych gwałtownych wstrząśnieniach jeszcze nawet nie miał sposobu zorientować się na-



leżycie w sytuacji. Samą Tylżę odczuto pierwotnie nie jako sukces, lecz jako cios; fragmentaryczne Księstwo — nie jako zdobycz lecz jako stratę. W tem nadspodziewanie skromnem rozwiązaniu dopatrywano się ukrytych machinacyi. Burzono się na fakt dokonany i jeszcze długo z nim się nie godzono. Dostrzegać się dawało silne wrzenie umysłów, wiele dające do myślenia, a zapewne z rozmaitych źródeł podsycane. Ostrożny Łubieński, Dyrektor wydziału sprawiedliwości, w tajnych swoich relacjach latem 1807 r. przestrzegał o rosnącym nieukontentowaniu i „szemraniach tak w wojsku jak w cywilności“. Jednocześnie rezydent francuski w Warszawie, Vincent, donosił o rozsiewanych po departamentach pogłoskach o nowej insurrekcyi celem zmasakrowania Francuzów i wyrażał przekonanie, że w Księstwie „jedyne stronnictwo, wymagające nadzoru, to stronnictwo rosyjskie, liczne i wzmacniające się z każdym dniem“. Niezadowolone i niepokój wyładowywały się we zdwojonej podejrzliwości a ta znów najchętniej kierowała się przeciw najwplywowszemu człowiekowi w rządzie, przeciw osobie ks. Józefa. Posądzano go o rzeczy najpotworniejsze a nawet najprzeciwiejsze. Wytykano mu zakulisowe z Talleyrandem intrygi u Napoleona. Oskarżano go zarazem, że utrzymuje tajne stosunki familijne za kordonem i że wedle ułożonego z góry planu stwarza sztuczne przeszkody do skonsolidowania przyszłości Księstwa. Raz zarzucano mu rozmyślną „indolencyę“ niedopuszczającą należytego podniesienia siły zbrojnej kraju; drugi raz rozmyślny zbytek militarizmu, prowadzący *ad absurdum* zubożone państewko. Zaufania do niego nie było, a stąd nie było przywiązania, nie było harmonii. Mściła się tu wszędzie przeszłość; teźniejszość, zamiast goić, jątrzyła; tracił na tem kraj i tracił człowiek.

Przez dwa lata przeszło, w rozlicznem stopniowaniu, trwał ten stan utajonej scysyi pomiędzy głową siły zbrojnej a znacznym odłamem społeczności Księstwa. Trzeba było dopiero mocnego przesilenia, aby ten stan niezdrowy i krzywdzący przełamać, aby słuszną przywrócić harmonię, aby tę postać wspaniałą ostatecznie z ogółem zjednoczyć, postawić w świetle właściwym i na miejscu jej przynależnem. Uczyniła to wojna z Austryą 1809 r. Rozpoczęła się ona pod wróżbą najfatalniejszą i dla Księstwa i dla Poniatowskiego. Książę w pierwszej chwili dalekim był od przypuszczenia, aby burza wojenna, uderzająca w Napoleona, tak rychło i bezpośrednio przeciw niemu osobście miała się obrócić. Tak więc całkiem znieacka został zaskoczony nagle wtargnięciem do Księstwa arcyksięcia Ferdynanda z kilkudziesięcioletnim korpusem austriackim. Świeża, dopiero

organizowana armia polska, osłabiona przez zaciągi do armii francuskiej, przeszło dwakroć słabsza od nieprzyjaciela, nie mogła obronić kraju ani Warszawy. Na kogo zwalić winę? Oczywiście na wodza. Przypomniano sobie, że on był wszak oficer austriacki, syn feldcechmistrza austriackiego, syn Austriaczki, sam Austryak. Głucha uienfność ogarniała stolicę, przenikała do armii, zatrutym oddechem otaczała każdy krok, każdy rozkaz ks. Józefa. On odpowiedział na to wszystko, wydając Austryakom, swoim dawnym towarzyszom broni, bitwę pod Raszynem. Siłue musiały nim miotać uczucia, kiedy w lasku fałęckim pod Raszynem, z lulką w zębach, wzięwszy bagnet od szeregowca, prowadził osobiście w ogień pierwszy batalion pierwszego pułku piechoty. To potykanie się nierówne z tak znacznie przemagającym przeciwnikiem mogłoby wydawać się nierozwagą. A było ono własną, samorodną decyzją ks. Józefa, powziętą przez niego i wykonaną wbrew ostrzeżeniom, odbieranym nawet z nadzorczej strony francuskiej. Lecz ta odruchowa decyzja, raczej honoru niż rachuby, okazała się i pod względem praktyczno-wojskowym i moralno politycznym nietylko natchnieniem pięknem, lecz, co ważniejsza, zbawiennem. Wojsko polskie utrzymało się w swojej pozycji, zdobyło świadomość swojej sprawności bojowej, zagarnęło ten impet, którego pozbawiło nieprzyjaciela. Ks. Józef mógł zawrzeć krótki rozejm na warunkach nader korzystnych przez zapewnienie neutralności Pragi, odstąpić od Warszawy z całym wojskiem i zapasami, zyskać tym sposobem nową podstawę operacyjną na prawym brzegu Wisły. Lecz jeszcze opinia nie oddawała mu sprawiedliwości. Jeszcze teraz, po Raszynie, opuszczając Warszawę, słyszał zewsząd okrzyki: „na szubienicę zdrajców, co nas nieprzyjacielowi wydali“. Łatwo sobie uzmysłować, co czuć musiał. Odpowiedział Warszawie dopiero po tygodniu, „raportem“ z Zegrza, z dyskrecją o sobie, jak zazwyczaj, z pochwałą dla podkomendnych, z uboczną ledwo wzmianką o tamtym pierwszym batalionie, „przy boku moim będąc, prowadzonym przez oficera“, choć naprawdę przez niego samego. Odpowiedział wnet lepiej jeszcze, obracając marsz zdobywczy na Galicyę. Szczęśliwie wykonał tę niespodzianą dywersję galicyjską, myśl bardzo śmiałą, nie własną wprawdzie, którą wszakże łatwiej było uplanować podkomendnym, aniżeli wodzowi urzeczywistnić, wzięć ją na swoje barki na nieobliczoną swoją odpowiedzialność. I w tem właśnie przyjęciu owej myśli i owej odpowiedzialności, była znakomita zasługa Poniatowskiego w jego niezwykle trudnem położeniu, nietylko militarnem, lecz przedewszystkiem politycznem. On musiał wtedy liczyć się z wieloma rzeczami, które jego sztab mógł pomijać: z polityką pol-



ską, rosyjską, nawet pruską Napoleona, związanego jeszcze nad Dunajem, dziś jeszcze nie wagramskiego zwycięzcy, jutro może zwyciężonego; musiał liczyć się z potężnym korpusem rosyjskim na tyłach, dziś sprzymierzeńcem, jutro może nieprzyjacielem; musiał liczyć się z losem kraju. W świetle tej wielorakiej odpowiedzialności nikną prawie wszystkie główne zarzuty wahania się i ociągania, czynione wyprawie galicyjskiej ks. Józefa, a występuje tem jaśniej jego zasługa fortunnego tej wyprawy obrotu i końca.

Kampania 1809 r., zdwajając niemal Księstwo, świeżą sławą okrywając młodą jego broń, oczyściła nareszcie atmosferę, sprostowała opinię, na prawdziwie naczelne w niej stanowisko wyniosła ks. Józefa. Nareszcie można go było kochać, jak się chciało. On to odczuł głęboko; tem żywiej, im bardziej przedtem cierpiał. To też tem bardziej obecnie, z drażliwością sobie właściwą, unikał na wszelki sposób objawów zewnętrznych tej odmiany. Kiedy stał w zdobytym Krakowie, otoczony uwielbieniem powszechnem, wtedy, trochę zapóźno, zgłosił się do niego z wizytą Kołłątaj, bardzo czujny na takie zwroty opinii,—ale nie był przyjęty. Kiedy później zwycięskie wojsko wracało do stolicy i skruszona, poczciwa, impulsywna Warszawa, pamiętna jak nielitościwie niedawno była żegnała ks. Józefa, zapragnęła z całego serca powetować mu to teraz tryumfalnem powitaniem, on rozmyślnie uchylił się od wjazdu, zostawił owacyę wojsku, sam przeciągnął swój pobyt w Krakowie aż do końca roku, i choć bardzo go wtedy właśnie ciągnąć musiało do Warszawy, do kochanej osoby, do urodzonego w początku grudnia synka, jednak powrócił tu w najściślejsem *incognito*, jakby ukradkiem, dopiero w styczniu 1810 r. Dusza była razem wstydliva i dumna. Obchodziła się ona bez demonstracyi zewnętrznych; we własnej świadomości wewnętrznej odzyskanego z krajem moralnego zestroju, odzyskanego rządu dusz polskich, dostateczną odbierała nagrodę, nabywała nowego hartu i polotu na dalszą trudną służbę dla swoich. A tu służba gotowała się coraz trudniejsza i cięższa. A tu na tę duszę, czującą tak żywo, tak subtelnie, coraz cięższe waliło się brzemie, coraz twardziej cisnęło zwiernające się spżowe koło przeznaczenia.

## V.

Już ery Napoleońskiej ostatnia następowała faza, już zbliżał się kres. Rok ledwo upłynął od ostatniej wojny austriackiej, a już zawisł w powietrzu nieskończenie groźniejszy zatarg francusko-rosyjski. W naprężonym oczekiwaniu wyglądano nieuniknionego pojedynku między Napoleonem a Aleksandrem I. Cesarz rosyjski postanowił uprzedzić przeciwnika, śmiało cisnąć mu rękawicę, uderzyć na niego wiosną 1811 r. Chodziło o to, aby porwać za sobą Księstwo. W styczniu 1811 r., pismem własnoręcznym do Czartoryskiego Adama, otworzył się przed nim, żądając wysondowania w tym względzie mężów kierowniczych Księstwa. Czartoryski w pierwszych dniach lutego udał się do Warszawy, pokazał Poniatowskiemu odebrane pismo i przełożył mu życzenia i widoki cesarskie. Ks. Józef udzielił odpowiedzi przeczącej, o czem Czartoryski zaraz uwiadomił monarchę. Położenie Poniatowskiego w tej chwili było takie: Odebrał rewelację ściśle poufną. Ale ta rewelacya wagi najwyższej zapowiadała nieodwłoczny atak na powierzone mu Księstwo. Odkryć ją Napoleonowi znaczyło narazić doznane zaufanie. Nie odkryć—znaczyło gubić armię i kraj. Musiał bardzo się męczyć. 18 lutego napisał do Napoleona. Przemilczał zupełnie o uczynionem odkryciu, unikał wszelkich pozytywnych szczegółów, jakie był wyczytał w piśmie cesarza Aleksandra, powoływał się jedynie na informacje ogólne, z różnych stron i źródeł wywiadowczych czerpane, o gotowości wojennej i widokach Rosyi: ale ostrzegał mocno i stanowczo, błagał o przedsięwzięcie naglących środków obrony przed blizką offensywą rosyjską; „honorem moim ręczę, — pisał— że taki plan offensywny w tej chwili istotnie zajmuje myśli Cesarza Aleksandra“. Ale Napoleon tego ogólnikowego ostrzeżenia nie wziął na seryo. Książę przeczekał kilka tygodni w niepokoju śmiertelnym. Posyłał ponawiane ostrzeżenia, oparte na wywiadach pogranicznych, zaprzyjaźnionemu marszałkowi Davout, wodzowi naczelnemu armii w Niemczech. Potem ostrzegał, ciągle w dyskretnych wyrazach ogólnych, swego monarchę, króla saskiego. Wszystko napróżno. Wreszcie, widząc, że mu nie wierzą, otworzył się przed Bignonem, nowym rezydentem francuskim w Warszawie, odkrył przed nim prawdziwą groźbę, w formie całkiem już pozytywnej i ścisłej, ciągle przecie i teraz przemilczając dyskretnie źródło, lecz oświadczając wręcz, że jestto rzecz tak



pewna, „jakby wyznanie pochodziło od samego cesarza Aleksandra.“ Poczem, w początku kwietnia, osobiście udał się do Paryża. To poskutkowało. Otwarły się oczy Napoleonowi. Natychmiast zarządzone zostały olbrzymie zbrojenia. Sytuacja wywróciła się odrazu. Zaniechaną została tegoroczna ofensywa rosyjska; złuzowana przez przyszłoroczną francuską.

Ks. Józef zabawił w Paryżu do końca sierpnia 1811 r. Doznał dowodów łaski osobistej Napoleona. Jednak w rzeczy bardzo ważnej, a jak się wnet okazać miało, najważniejszej, nie znalazł posłuchu. Chodziło o plan przyszłej kampanii. Książę na ówczesnych konferencyach w Paryżu z cesarzem kładł nacisk na prowincye południowo-zachodnie, jako pierwszorzędnny obiekt strategiczny; sam ofiarował się z całą armią Księstwa maszerować na Wołyń. Wyobrażał sobie widocznie z tej strony przedsięwzięcie analogiczne do poprzedniej wyprawy galicyjskiej. Ale ta myśl strategiczna, podobnie jak pokrewny plan generała Sokolnickiego, została odrzuconą przez cesarza. Wrócił książę do Warszawy w połowie września. Zaczęła się tutaj w tempie gorączkowem ogromna przygotowawcza robota przedwojenna. Odbywała się ona śród warunków nader niepomysłnych przy zupełnem wyczerpaniu skarbu i kraju. Wyczerpywała zaś nie tylko całą siłę roboczą, lecz i wytrzymałość moralną ks. Józefa. Wszak on musiał być nie tylko organizatorem, lecz i egzekutorem; musiał ostatni dech wyciskać z ludności, brać na siebie główne *odium* za wymagane niepomierne wysiłki, słuchać z jednej strony gwałtownych, i na swój sposób zasadnych, żalów opozycyi burzliwego sejmu grudniowego w Warszawie, z drugiej—niecierpliwych, i na swój sposób zasadnych, monitów Napoleona z Paryża; i tak stać spokojnie, swoje robić, pomiędzy ruiną dobrobytu a koniecznością ocalenia publicznego. „Wyznaję,—pisał w tym okresie do Davouta—że jestem w stanie blizkim rozpaczcy“; że w chwilach upadku radby usunąć się, dać pokój wszystkiemu. Ale czuł już dobrze, że to nadaremne, że mu tego nie wolno, że już nie do siebie należy. Uderzała w tym czasie wszystkich z nim obcujących głęboka zmiana, jakby przełamanie się w jego temperamencie, nastroju, wyrazie, spojrzeniu; gdzieś ulotniła się lekka, wesoła, niepożyta młodzięczość ekspansywnej jego natury, wystąpiła natomiast jakaś obca mu dotychczas skupiona, zamysłona, smętna i smutna powaga. Dojrzał zupełnie, utożsamiał się zupełnie z rzeczą publiczną: już nosił na sobie wyciśnięte niewidzialne znamię jej wielkich a posępnych przeznaczeń.

Nastąpiła wiosna 1812 r. Kości zostały rzucone. W końcu marca odebrał ks. Józef dekret cesarski, powierzający mu dowództwo bo-

jowe nad armią Księstwa, jako V korpusem Wielkiej Armii. Natychmiast spisał testament własnoręczny „na wypadek nagłego zgonu“ (*en cas de mort subite*). Przekazywał cały majątek prawej sukcesorce, siostrze, pani Tyszkiewiczowej; trzem synom swoim wydzielał skromne stosunkowo legaty po 10 i 15 tys. dukatów; tyleż pani Vauban; opatrywał swe sługi i przybliżone osoby; zapisywał 200 dukatów żebrakom, a 1,000 ubogim miasta Warszawy, wstydzającym się żebrać; darował włościanom w swych dobrach wszelkie zaległości i pobrane awanse; konie i broń polecał rozłozować między oficerów; zostawiał „całemu wojsku najgorętsze dla wszystkich życzenia i dystrybucyę zaległości moich gaży, aby dało sobie chwilę wesołą, pijąc raz jeszcze na moją intencyę“. Poczem, po dwumiesięcznej jeszcze wysiłonej pracy mobilizacyjnej, w początku czerwca wyruszył w pole. Kampania napozór zapowiadała się świetnie; lecz naprawdę w samem połowicznym swoim założeniu była chybiona jako całość i spaczona zupełnie w szczegółach. Doznał tego odrazu ks. Józef oddany pod niezdarłą komendę króla westfalskiego, dowódcy prawego skrzydła, a mając pod sobą z wojsk 90 tysięcznych, dostarczonych przez Księstwo, ulamek ledwo 30 tysięczny. Odpowiadało to owym założeniem połowicznym, z jakimi do tej wyprawy przystępował Napoleon, rezerwując sobie wolną rękę w sprawie polskiej i roztopiając też z umysłu siły polskie w oceanie Wielkiej Armii. Skrupiły się wrychle na ks. Józefie oplakane stąd skutki, a zarazem spadły na niego tem ostrzejsze, im mniej zasłużone wymówki cesarza. Niedosć ufał jeszcze wtedy cesarz ani jego energii, ani nawet wyższej ponad wszelkie pokusy hartowności duszy. Jednak już pod Smoleńskiem, jakkolwiek spóźniony, doczekał się Poniatowski sprawiedliwszej oceny od Napoleona, i w końcu lipca, jako zakład przywróconego zaufania, wziął dowództwo prawego skrzydła po usuniętym królu Hieronimie. Powierzenie mu tak wysokiej i samodzielnej komendy marszałkowskiej był to zarazem dowód bardzo wybitny rzetelnego uznania dla jego talentów wodza, tego uznania, które później w pośmiertnych świadectwach Napoleona i Davouta tak zaszczytny znajdzie wyraz. Tymczasem wraz z wyższą komendą coraz cięższe zadania spadały na Poniatowskiego. Odtąd w walkach morderczych w marszu na Moskwę topniały szybko słabe kadry jego korpusu, wszędzie w straży przedniej forsowane; niknęły jeszcze gwałtowniej w straszliwych przeprawach odwrotu, wysuwane dla osłony w straży tylnej. Z zakrwawionem sercem patrzył się stroskany książę na rzednące szeregi polskie, sam w najcięższych potrzebach obecny, zawsze w ogniu na czele. W odwrócie pod Wiazmą, w początku listopada, na rekonesansie padł z koniem w skoku, zwichnął nogę i stłukł kolano, krew



puściła mu się ustami; niemógł dosiąść konia; musiał oddać dowództwo Zajączkowi; jechał odtąd przodem karetą z rannym adjutantem, Arturem Potockim. Na Berezynę przybył w przededniu katastrofy, wyczerpany od udręczeń, zimna i głodu; dano mu parę gorących kartoli, jadł ze smakiem, ale i płakał, patrząc na ńędzę żołnierza. Szczęśliwym tylko trafem, koło trzeciej w nocy przejechał przez most natłoczony. W Wilnie stanął z Polaków najpierwszy, zatrzymał się dla poczynienia najniezbędniejszych zarządzeń i dodania otuchy. W połowie grudnia stanął w Warszawie, gdzie za nim po dwóch tygodniach nadciągnęły przed Blachę pierwsze niedobitki V korpusu, paruset ledwo ludzi, lecz z artylerją i sztandarami: na ten widok zalał się łzami, słowa nie mógł przemówić. Ale nie było czasu do rozczuleń; opanować wypadło wrażenia; przyszło wyprężyć wolę. Po tak wysokiem wyładowaniu energii, trzeba było bez wytchnienia zdobyć się na wyższą. Po tak wielkiej, dopiero co przebytej próbie, bezpośrednio, bez chwili przerwy, nadeszła większa, największa w życiu ks. Józefa—przedśmiertna.

Zakończona tak fatalnie wyprawa moskiewska oznaczała dla Księstwa Warszawskiego katastrofę nie tylko militarną, lecz nade wszystko polityczną. Przegrany został jego byt. Co więcej — podważony odrazu w posadach cały duch publiczny kraju. Na widok niesłychanej porażki Napoleońskiej zachwiał się rząd Księstwa, zachwiały najtęższe w nim głowy. Już ministrowie Matuszewicz i Mostowski dawali posłuch propozycjom tajemnym, przychodzącym z kwatery nieprzyjacielskiej. Już ludzie najbliżsi ks. Józefa, osobiści jego przyjaciele, jak wiceregimentarz Konfederacji warszawskiej, ks. Eustachy Sanguszko, naciskali na niego w tym samym duchu: zaprzestać beznadziejnej walki, pozostać spokojnie na miejscu i oddać się w ręce zwycięscy. Inna tymczasem z drugiej strony spadała klęska. Ks. Schwarzenberg, dowódca korpusu posiłkowego austriackiego, mającego osłaniać Warszawę, będąc w porozumieniu z nieprzyjacielem, cofał się za Wisłę i wydawał miasto. Wszystko jakby się sprzysięgło, wszystko pchało do opuszczenia rąk i rezygnacyi. Ale ks. Józef pozostał nieugięty zarówno wobec skrytej namowy, jak jawnego odstępstwa. Na osobistem widzeniu się z Schwarzenbergiem w szlachetnym gniewie zerwał z dawnym towarzyszem broni, rzucił mu w oczy hańbiącą prawdę, jak rękawicę, której tamten nie ważył się podnieść. Zarazem stawił się niespodzianie na sesyi Rady ministrów i zażądał wycofania się rządu do Krakowa, skoro skutkiem zdrady Austryaków bronić Warszawy nie ma sposobu. W początku lutego 1813 r. opuszczał książę nasze miasto po raz ostatni.

W Krakowie odtąd przez kilka miesięcy wiosennych prowadził gorączkowo organizację armii wśród warunków rozpaczliwych. Był tutaj osaczony przez Austryaków, gotujących się do zrzucenia maski, do złączenia się z koalicją. Był już napierany przez zbliżającego się nieprzyjaciela. Co gorsza, był ciągle męczony przez swoich. Co najgorsza, był rozdzierany przez myśl własną, zapędzoną w położenie bez wyjścia, trzepocącą się, jak ptak ranny w sieci, w tym okrutnym dylemacie: pomiędzy przymusem okoliczności, osłoniętym, ukwieconym przez pozory dobra publicznego, i wlokącym na szerokie, gładkie tory kompromisu, a pomiędzy twardem przykazaniem obowiązku, zaćmionem przez pozory uporczywości samobójczej, lecz wiodącym naprawdę przepaścistą, śmiertelną ścieżyną do istotnych przeznaczeń przyszłości. Ludzie najgodniejsi, równej cnoty, a nawet wyższej od Poniatowskiego rozważli i doświadczenia, w pierwszym obrócili się kierunku i tedy jego pociągali za sobą. Czartoryski Adam nasyłał mu do Krakowa wymownych pośredników, radcę stanu Linowskiego, prokuratora Szaniawskiego i innych, aby przekonać go i zatrzymać. W marcu przywieziono mu do Krakowa dla okazania, własnoręczne pismo monarchy do Czartoryskiego, gdzie była rada „pozostać spokojnie w Warszawie“ i zapewnienie dość ogólnikowe: „nie będą tego żalowali“. Widziano w tem jedyną deskę ratunku. Nie pojmowano, że tą drogą nie uratowanoby niczego; że nietylko nie zabezpieczonoby tym sposobem interesów Polski, ale nawet w gruncie rzeczy istotnych interesów Rosyi, bo pracowanoby naprawdę jedynie *pour le roi de Prusse*; że podobniez tą samą drogą i temi samemi sposoby nie ocalały bynajmniej Sasi, którzy trwożliwą chwiejność swego króla i dezercję wojsk swoich na polu bitwy, koniec końcem opłacą utratą połowy Saksonii do Prus. Nie wiedziano, że, równocześnie z propozycjami pod adresem Poniatowskiego, szły tajne rokowania z Austryakami o przymusowe rozbrojenie wojska polskiego, że brane były pod uwagę nietylko odnowicielskie, lecz wprost aneksyjne projekty Prusaków, powrót do pogorszonych jeszcze zasad trzeciego podziału, mordercze zalecenia i pożądanja Knesebecka i Steina, cesya na rzecz Prus linii Wisły i Narwi t. j. dzisiejszych północno-zachodnich gubernii Królestwa, jednym słowem ewentualności najzgubniejsze. Nie wiedział i Poniatowski, ale szlachetnym instynktem odgadywał zgubę tam, gdzie naokoło niego szukano zbawienia. Wzdrygał się na podsuwaną mu coraz natarczywiej myśl pertraktacyi. Wszystko, na co się zdobył, było że wyczekiwał. Ale kiedy, w ostatniej jeszcze chwili, podsunięto mu propozycje generała Sackena: rozbrojenie i rozproszczenie wojska, on obruszył się gwałtownie. W końcu kwietnia wy-



stawiony był na nową przykrą próbę. Otrzymał serdeczne pismo od starego przyjaciela, ks. Antoniego Radziwiłła, który prosił go o prywatne widzenie się za miastem. Nie domyślając się o co chodzi, a nie mogąc wyjechać na jego spotkanie, Poniatowski dość nieostrożnie zaprosił go do Krakowa. Radziwiłł od dworu pruskiego przybywszy nie z osobistych oczywiście powodów lecz z misją polityczną, był zaraz u Stanisława Potockiego prezesa rządu Księstwa, widział się z Zamoyskim wiceprezesem Konfederacji, z ministrem Mostowskim, namawiał wszystkich usilnie do porzucenia przegranej sprawy Napoleońskiej dla uratowania krajowej, łatwo przekonał przekonanych:—lecz od ks. Józefa o którego głównie chodziło, otrzymał zupełną i stanowczą odmowę. Wynikły stąd w dodatku nieprzyjemne dla księcia skutki, gdyż rezydent francuski, Bignon, wywiedziawszy się o czynnościach Radziwiłła, przystawił mu żandarmów do mieszkania i natychmiast na sesji rządu upomniał się o uwięzienie go; ale wdał się w to ks. Józef, „z właściwą sobie szlachetną lojalnością“ — jak donosił Bignon cesarzowi — całą winę wziął na siebie, na nieostrożne swoje zaprosiny, i uwolnienie Radziwiłła uzyskał. Mylili się zupełnie i Czartoryski i Radziwiłł, kiedy teraz w 1813 r., przemawiali do Poniatowskiego głosem z 1805 i 1806 r.: do innego już teraz przemawiali człowieka.

Tymczasem z dniem każdym rósł nacisk moralny. Robiła się pustka dokoła ks. Józefa. Usuwali się jeden po drugim ludzie mu najbliżsi: podał się do dymisy wiceregimentarz Eustachy Sanguszko, opuścił szeregi pod jego wpływem generał Kniaziewicz, ustąpił pod wpływem brata pułkownik Konstanty Czartoryski, oddalili się Zamoyski i Mostowski, za tym przykładem wnet pójdą tacy nawet, jak Chłopicki albo Chłapowski. Można sobie wyobrazić, jakie chwile przeżywał wtedy ks. Józef w kwatrze głównej w Krzeszowicach pod „tańczącym Krakowem“. To nie była sytuacja tak prosta, jak ongi w Kurowie w 1792 r. I wtedy było ciężko, ale to była zabawka w porównaniu z położeniem obecnem. Wtedy wypadło wybierać między Stanisławem-Augustem i Targowicą z jednej strony, a całym narodem z drugiej: prosty wybór dla Poniatowskiego. Teraz wypadło pójść prawie w pojedynkę z garścią żołnierza, zerwać prawie ze wszystkimi najlepszej woli przewodnikami narodu, ze znakomitą większością społeczeństwa. W tem była tragedia. Dodać jeszcze na dobitkę potrzeba, że książę był pozostawiony bez wskazówek od swego monarchy, króla saskiego, który wtedy w Wiedniu już układał się o kapitulację, o przymusowe wydanie Księstwa, byle wyratować Saksonię, zagrożoną przez łakome ręce pruskie. Był bez rozkazów od Napo-

leona, którego nie opuszczała jeszcze myśl odnalezienia drogi porozumienia z cesarzem Aleksandrem, bodaj przez negocyacyę o Księstwo. Nie wiedział nawet, czy Napoleon nie weźmie mu za złe opuszczenia Krakowa i zaniechania stąd dywersyi offensywnej przeciw koncentracji wojsk koalicyjnych. Szarpał się w tym labiryncie sprzecznych wskazań obywatelskich, politycznych, militaryjnych. W jego listach z tych dni fatalnych z końca kwietnia i początku maja 1813 r. znać dobrze to szarpanie się i mękę. Ale w tych listach, śród wszystkich wątpień, ciągle, co parę wierszy, wracają, jak busola, te dwa wyrazy: „honor“ i „sumienie,“ *honneur, conscience*. Zdecydował się ostatecznie w początku maja wyjść z Krakowa i ruszyć do Saksonii do Wielkiej Armii. Rankiem dnia wymarszu przybiegł do niego Linowski z ostatnią namową. Zastał go w łóżku. Wymownie jął mu przedstawiać, że gubi siebie i kraj. Książę słuchał cierpliwie, w końcu wskazał leżącą przy łóżku broń nabitą. „Widzisz — rzekł — te pistolety? Dziś je w nocy dwa razy miałem w ręku, chciałem w leb sobie strzelić, aby wyjść z tak trudnego położenia, ale nakoniec wziąłem determinacyę, nie odstąpię Napoleona“. Determinacya ta wielka, jak przedtem mniejsza raszyńska, — to była osobista, samorodna własność Poniatowskiego, nie wymędrkowana, ale wyczuta, wynikająca z samej głębi jego natury, z koniecznością nieodpartą, z wewnętrzną koniecznością psychiczną, wyższą ponad wszelki nakaz okoliczności fizycznych. Jego piękna i wysoka, a dotychczas nieraz chwiejna i pospolitująca się dusza, już w tym punkcie dochodząc swego szczytu i kresu, zgoła już oczyszczona od wszelkich lichszych przymieszek, jakgdyby skoncentrowana, sklarowana pod ogromnem ciśnieniem dziejowem, sprowadzona do najprostszego, rdzennego swego pierwiastku, doszła tem samem do zupełnego, doskonałego utożsamienia się z pierwiastkiem rzeczy publicznej. I dlatego to właśnie w tym instynktownym odruchu woli był nietylko honor i sumienie prywatnego człowieka, lecz była oraz prawda, była mądrość, był nieomylny imperatyw interesu i dobra publicznego. Rycerz bez skazy był czemś więcej jeszcze, stawał się najpierwszym w tej chwili obywatelem, który z powszechnej ruiny siły materialnej wynosił ocaloną siłę moralną, tę, koniec końcem, najwaleńszą, najrealniejszą potęgę. I tak stało się, że koniec końcem nietyle trzeźwiejsza rachuba statystów polskich, ile całopalne postanowienie polskiego wodza, rzuciło realną podwalinę pod Królestwo Kongresowe.

Powoli wybierał się Poniatowski z kraju, jak gdyby dobrze czuł, że go nie ujrzy już nigdy. Wstrzymał się jeszcze w pochodzie na



rozkaz Napoleona, złudzonego dwulicową postawą austriackiego cesarza a teścia; wnet, gdy złudzenia się rozwiały, pomaszerował w polowie maja przez Szląsk i Czechy do Saksonii. Uciążliwy i niebezpieczny był ten przemarsz wespół bezbronych, gdyż broń szła na wozach za piechotę, jazda tylko mogła zostać przy pałaszach; utrudniony nadto złą wolą Austriaków, odmową żywności, namową do dezercyi. Nie obeszło się też bez przykrych stąd skutków w szeregach, dokąd zresztą nie mogło nie przeniknąć szkodliwe echo tamtych u góry zatańców i odstępstw: i poniekąd na podobieństwo onego przebitego żołnierza z kampanii ukraińskiej przed dwudziestu laty, wypadło obecnie w marszu na kampanię saską po drodze paru rozstrzelać dezercerów. Wtedy też, w drodze przez Czechy, wstąpił książe na godzin kilka do Pragi, pożegnać miejsce zabaw dziecinnych, idąc teraz na śmierć. Przybycie jego do Saksonii było tyleż pociechą i posiłkiem, co niespodzianką dla Napoleona. Cesarz bardzo na to nie liczył. On już nawet, w przewidywaniu dezercyi Poniatowskiego, był tworzył dla przeciwwagi drugi korpus polski nad Renem pod Dąbrowskim. Tem serdeczniej obecnie księcia powitał. Odtąd dopiero naprawdę poznał go wedle zasług i spełna ocenił. Wtedy to musiał ostatecznie wyrobić sobie o nim to zdanie, z którem później wynurzy się na Św. Helenie: „Poniatowski był prawdziwym królem, łączył wszystkie po temu tytuły i wszystkie talenty: a jednak on zmilczał — *il s'est tu*. Milczał, nie upominał się książe, bo nie po nagrodę on przychodził, ale po swój obowiązek. Zaraz przecie postarał się Napoleon zaznaczyć swoją wdzięczność: dekretem z końca czerwca 1813 r. w nowej organizacji przywiedzionego mu wojska polskiego, jako VIII korpusu armii francuskiej, wyznaczył ks. Józefowi, jako wodzowi tego korpusu, „tę samą rangę co marszałkom“ Francyi. Odtąd aż do samego końca utrzymywał z nim wprost ożywioną korespondencyę bezpośrednią; w sierpniu rozważał piękny memoriał Bignona o Polsce, niezawodnie z jego natchnienia. Tymczasem korpus polski krótkiego tylko, na schyłku lata, zażywał spoczynku. Z początkiem jesieni znów stanął ks. Józef, jak zwykle, na najbardziej narażonym posterunku. Bronił najpierw, w straży przedniej, wąwozów czeskich przeciw świeżym masom wojsk austriackich, debuszującym do Saksonii; następnie, pod koniec września i początek października, w ustawicznych, coraz ostrzejszych, a przeważnie pomyślnych utarczkach, wstrzymywał ich pochód w aryergardzie, odstępując krok za krokiem, a po kilkakroć nagłym naprzód rzutem boleśnie zarywając przeciwnika i utrzymując go w respekcie. W takiej postawie zwolna ściągnął na Lipsk.

Tutaj, pod Lipskiem, zamykała się nareszcie żelazna obręcz koalicyjna dokoła opuszczonego przez swoją gwiazdę Napoleona; tutaj miały zdecydować się losy świata w wielkiej bitwie narodów. Poniatowski ze swoim korpusem stanął na prawem, południowym skrzydle bojowego półkola, zatoczonego przez osaczoną armię francuską, oparty o błotniste łożyska Pleissy i Elstery, a narażony na najgroźniejsze uderzenie nadciągającej od Czech dwójecesarskiej potęgi. Już 12 października w forpocztowym starciu, sam szarżując na czele pułku trzeciego ułanów został lekko ranny w rękę piką. W przededniu pierwszej walnej bitwy lipskiej, 15 października zrana, przybył Napoleon na prawe skrzydło i obwieścił armii, że mianuje Poniatowskiego marszałkiem Francji. W biuletynie z tegoż dnia wyrażone zostało, iż książę dotychczas „we wszystkich bitwach okrył się chwałą”. Wojsko wystąpiło pod broń dla wysłuchania rozkazu dziennego o nominacji; wszystkie sztaby, złączone w deputacyi, stawily się przed księciem, by powinszować mu buławy marszałkowskiej, niebывалого dotychczas dla cudzoziemca zaszczytu. Czemże jednak dla niego w takiej chwili mógł być zaszczyt podobny? Przyjął łaskę cesarską z powinną wdzięcznością, lecz zresztą z obojętnością zupełną. W piśmie i raportach z kilku następnych, policzonych już dni życia, po dawnemu podpisywał się po prostu: generał - wódz naczelny korpusu VIII-go. Zaraz nazajutrz, 16 października, wystawiony był na straszliwą próbę ogniową, i zniósł ją z nieporuszonym spokojem, wyszedł z niej bez drgnięcia, z nadspodziewanym nawet sukcesem. W nierównych całodziennych zapasach, pod naporem ataków frontowych, ponawianych od świtu do wieczora głównie ze strony Austryaków nie ustąpił ani na piędź, utrzymał się na stanowisku, generała austriackiego wziął do niewoli. Ale straty poniósł znaczne, tem dotkliwsze wobec liczebnej przeciwnika przewagi, i sam został ranny kulą karabinową. D. 17 października był dniem spoczynku. Z tego dnia mamy jeszcze zachowane ostatnie pismo księcia, z pola bitwy, raport o sukcesie wczorajszym, proste, ścisłe, cechowane spokojną przedśmiertną powagą: „nieprzyjaciel nie zdobył ani piędzi terenu,... wojsko okazało zapał i wytrzymałość, godne podziwu“, ale — dodaje — straciłem  $\frac{1}{3}$  ludzi i nie mam amunicyi. Nazajutrz nastąpił dzień bitwy krytyczny, dla korpusu polskiego najgorętszy. Znów walka zawrzała od samego świtu. Tym razem atakowały z tej strony głównie kolumny związkowe pruskie. Poniatowski, przeciw dziesięciokrotnej przewadze broniąc klucza swojej pozycyi, wsi Probstheidy, swoim zwyczajem prowadził osobiście w ogień po kolei bataliony dywizyi Izydora Krasińskiego. Utrzymał się raz jeszcze na eksponowa-



nym niezmiernie stanowisku, ale ze stratą ogromną, niepowetowaną w ludziach i ładunkach. A tu tymczasem tego samego dnia na polu bitwy przeszli do nieprzyjaciela Sasi; a tu nadsięgnęły świeże nieprzyjacielskie rezerwy Blüchera i Bernadotta. Szale przechyliły się ostatecznie na stronę koalicji. Dalsza walka stawała się wręcz beznadziejną. Wieczorem wydał Napoleon rozkaz do odwrotu. Rozpoczął się tejeż nocy ten odwrót fatalny, utrudniony nadzwyczajnie przez samą konfigurację okolicy. Prowadził przez groblę długą, półmilową, wąską, poprzez ośm mostów, rzuconych na błotniste koryto Pleissy, Elstery i ich odnóg, których płytkie zwykle wody, teraz podniesione jesienną powodzią, wystąpiły z brzegów, tocząc się brudnym, spienionym i rwistym nurtem. Cisnęła się tą groblą, niby przez drugą Berezynę, zwarta masa cofającej się armii, artylerya, piechota, bagaże, ambulanse, jazda; po drugiej stronie, jak zwykle, straż tylną, pod czuwającym noc całą Poniatowskim, trzymali Polacy.

Wstał zimny, wietrzny, pochmurny ranek 19 października. Siwa, ciężka mgła podnosiła się z bagnistego nadrzecza, rozkładała po ogromnej równinie, przesycała oparami świeżej krwi, łączyła z mżącym gdzieniegdzie, przejmującym do szpiku jesiennym deszczem, z dymem palących się przedmieść lipskich i nieustających salw armatnich i karabinowych, tak gęsta, że o kilkadziesiąt kroków trudno było widzieć. Już cała prawie armia na drugą stronę przeszła, kiedy wtem, po 11-ej zrana, przedwcześnie wysadzony został w powietrze przez saperów francuskich most na Pleissie. Ks. Józef, mając przy sobie kilkuset ledwo ludzi, nagie został odcięty. Wycofywał się on właśnie z zachodniego przedmieścia lipskiego, Borny, na czele szczupłej eskorty kirasyerów i Krakusów, szarżując raz po razie nacierających rojami tyralierów nieprzyjacielskich. Wtedy po raz trzeci otrzymał postrzał w rękę, lecz owinąwszy ją chustką, na koniu pozostał. Otaczający go sztab, generałowie Małachowski, Grabowski i inni, wobec odciętego odwrotu i niemożności dłuższej obrony, błagali go, aby się poddał, osobę swoją dla kraju zachował. On nie słuchał. Oczy miał krwią nabiegłe, znużony był, wyczerpany śmiertelnie, osłabiony od ran, zgorączkowany, nawpół przytomny; odpowiadał na wszystko: „trzeba umrzeć mężnie“ (*il fait mourir en brave*). Rzucił się wpław do Pleissy, ale już koniem kierować niezdolny, porwany był siłą prądu. Wpadł za nim do rzeki młody kapitan francuski, Bléchamp, w chwili gdy uwalniał się od tonącego konia, i wydo był na brzeg przeciwny. Ruszył księżę dalej pieszo do Elstery przez błotniste ogrody, już wszędy napełnione tyralierką nieprzyjacielską; tutaj po raz czwarty odebrał kulę w bok; ślaniając się, padł

w objęcia paru dotrzymujących mu jeszcze kroku oficerów; po chwili odzyskał przytomność, dosiadł z trudnością podanego świeżego konia, ale chwiał się na siodle. Ociekał krwią, był już zapewne ranny śmiertelnie, śmierć miał w spojrzeniu i wyrazie; ale na ponawiane błagania towarzyszków nie odpowiadał już wcale, tylko coś z gniewnem uniesieniem mówił bez związku o Polsce i o honorze. Wtem, na widok nadbiegającej nieprzyjacielskiej piechoty porwał się raptem sił ostatkim i skoczył z koniem do Elstery. Tu ostatnią kulę odbiera w plecy, osuwa się z konia i po krótkim pasowaniu się — znika pod wodą.

Tak żył i umarł Józef ks. Poniatowski.

SZYMON ASKENAZY.



# A gdy w głąb duszy wnikiemy...<sup>1)</sup>

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

XXIV.

I nadszedł świt.

A był przejasny, przeróżowy, tak świeży, że jego tchnienia aż piersi człowieka ostrością dziwną przejmowały.

I wszystko w kryształ się zmieniało tak, jakby olbrzymia kropla rosy tęczowej objęła całą ziemię przyczystością swoją.

Anka całą noc prawie przekłęcząca na ziemi wpatrzona w ojca, wsłuchana w szalejącą i powoli konającą burzę.

Zagrodzki z martwoty, w jaką zapadł, przeszedł w sen ciężki—graniczący jakby z agonją i we śnie tym widocznie przeżywał wrażenia dnia, bo straszny, tępy ból wykrzywił mu pobladłą twarz.

Anka powstała z klęczek i do okna podeszła.

Otworzyła je na rozcież i świergot ptasząt ukrytych w krzakach skweru wpadł do wnętrza redakcyi z nieśmiałą naiwnością czekających u progu, winszujących imienin—dzieci.

Ta trocha zieleni, te akacye delikatnemi bukietami okalające basen, ta jasna trawa błyszcząca i jakby świeżo po deszczu wyrosła—przejęły Ankę uczuciem ulgi. Pragnęła z całej duszy iść w tę trawę, zmoczyć ręce w niej i myć oczy—twarz rozpaloną. Spojrzała na bruk uliczny.

Trochę podartych afiszy, dwa kije, kilka kamieni—oto wszystko, co pozostało po wczorajszej przeciw jej ojcu demonstracyi. Ci, którzy najgłośniej krzyczeli i gwizdali, w tej chwili wytrzeźwieni i najzupelniej obojętni—budzili się, witając z radością słońce, zdro-

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt wrześnieowy, str. 433; — październikowy, str. 16; — listopadowy, str. 240;—grudniowy str. 464 (1903);—styczniowy, str. 37; — lutowy, str. 226; — marcowy, str. 455.

wie własne i niespożyta siłę. Zdumieni, z niedowierzaniem przyjęliby wiadomość, że tam w redakcyi leży w tej chwili starzec z taką raną w sercu i z duszą tak zmiażdżoną—iż ta dziewczyna, której słońce łyż z oczów wyzera, lęka się i trwoży wyrwać go z bolesnego półsnu—wiedząc, iż ta agonja jest jeszcze dla niego znośniejsza niż jawa, nie mająca ani litości, ani przebaczenia.

Ci, którzy gwizdali wczoraj, ten, który rzucając kamienie rozuzdał się w krzyku: „hamaj kiciu“—albo chrapali w gorącej pościeli, albo zabierali się do porannego posiłku z tym apetytem, który cechuje czyste i spełniające swe obowiązki sumienia.

Jakaś dorożka zabłąkana przejeżdżała powoli. Anka zatrzymała ją gestem. Dorożka stanęła. Anka pragnęła usunąć z redakcyi ojca zanim ktoś się zjawi w środkowym pokoju. W przyległych słychać było ruch i kroki nocnego redaktora, układającego z metram-pażem poranne wydanie dziennika.

Delikatnie, jak dziecko chore, Anka zbudziła ojca. Gdy otworzył oczy—leżał długą chwilę, jakby z trudnością przypominał sobie wypadki dni ostatnich. Wreszcie zwłókł się z szeslongu—podjął cylinder, laskę i drząc, zataczając się jak pijany, skierował się ku wyjściu.

— Chodźmy!

Wyszli oboje—ona podtrzymując go—równie blada, z oczyma zapadłemi. Podobieństwo ich dopiero w tem zmizernieniu występowało z ogromną siłą. Gdy wysiadali z dorożki przed hotelem, Anka płacąc dorożkarzowi dostrzegła, że ten miał na piersi błękitną kokardę, zmiętą, zbrukaną—widocznie zapomnianą z dnia wczorajszego.

Ten drobny szczegół przejął ją wielkim bólem. Znak porażki jej ojca oblany wódką i posypany pyłem ulicznym, był jakby widmem pozagrobowym, które mignęło przed jej oczyma.

Ojciec jej wszedł już do swego pokoju i tam z pomocą kelnera położył się do łóżka. Gdy Anka weszła, leżał już woskowo blady na białem tle poduszek. Odmówił wypicia herbaty nieznacznym ruchem rąk. Anka krzątała się przez chwilę, poczem usiadła przy stole i oparłszy głowę na rękach, zdrętwiała w półsennem majaczeniu. Obudził ją chrapliwy głos.

— Proszę pani!...

Spojrzała.

Przed nią stał Wierciak, straszny, niewyspany, z okiem podbitym, z rozdartym rękawem. Wiało od niego piwniczym smrodem, wódką i tanim tytoniem.

— Proszę pani!

— Odejdźcie... czego chcecie?...



— Jakto czego?... pani wie... należy mi się za agitację. Moi ludzie czekają.

— Ja nic o tem nie wiem.

— A któż ma wiedzieć?

— Ojciec... gdy wyzdrowieje. Widzicie przecież, że leży chory.

Ręką wskazała na łóżko, na którym leżał Zagrodzki—prawie martwy, tak wycieńczony, z oczyma zamkniętymi.

Wierciak ramionami wzruszył.

— E... gadanie!... ja też jestem chory... Wczoraj mi boki sprali, a i ślepie mało nie wylupili i to za moją robotę dla pana redaktora. Ja muszę być zapłacony i moi ludzie także... Ankę ogarnął wstręt i jakaś nieokreślona rozpacz nad nędzą tego położenia.

— Ileż się wam należy?

Wierciak głową pokazał w stronę łóżka.

— On wie... bo się godził...

— Ależ ojciec chory!

— I! to zawsze tak panowie chorują po wyborach. Jak się im nie uda, to chorują... co nam do tego! My swoją robotę czysto odrobili. A że i pan Zagrodzki klapnął, to już jego rzecz i jego partyi.

Stawał się zuchwały. Patrzył Ance prosto w twarz w tak dziwny sposób, iż zdawało się jej, że te spojrzenia oblewają ją całymi potokami rozpalonego błota. Podnosił głos i posuwał się do łóżka widocznie w celu zbudzenia Zagrodzkiego. Anka literalnie traciła głowę.

— Proszę stąd wyjść... ja to sama z panem załatwię... proszę iść...

Zdobyła się na energię.

-- Inaczej nie pan nie dostaniesz.

Skrzywił się i przymrużył oko.

— To jeszczebyśmy o tem pogadali!—roześmiał się—znam ja takie redakcje, gdzie chętnie całą sprawę opublikują, a wtedy źle będzie z pani Tatusiem!

Lecz ku drzwiom się cofał.

— Ja na dole poczekam. Moi ludzie stoją na rogu. Oni muszą być zapłaceni...

Otworzył drzwi.

Wyszedł.

Gdy zamknęły się drzwi, Zagrodzki od poduszek głowę dźwignął.

— Anka!... szepnął strwożonym głosem.

Anka przybiegła do łóżka i pochyliła się nad ojcem.

— Powiedz mu... niech idzie do Redakcyi... To oni zobowiązali się koszta ponosić... Tam... dziś będą wypłacać...

Zamknął znów oczy i zwrócił się ku ścianie. Widocznie sły-  
szał wszystko, lecz bał się spojrzeć w oczy swej wyborczej hyenie.

Anka włożyła kapelusz i kierowała się ku wyjściu.

Cichy szept Zagrodzkiego przywołał ją znów do łóżka.

— Zamknij ty mnie na klucz... niech tu nikt nie wchodzi... on  
znów może przyjść... ja nie chcę... boję się...

— Uspokój się ojcze. Zamknę drzwi i klucz wezmę, a na dole  
nie pozwolę, aby do ciebie kogokolwiek wpuszczali.

— Tak... tak... a... słuchaj...

Probował usiąść na łóżku, lecz nie miał sił.

— Daj mi teczkę, atrament, papier... Napiszę artykuł wstęp-  
ny... Powiedz im... będą mieli na jedenastą... najpóźniej.

— Nie pisz ojcze... odpocznij.

— Nie—nie. Wrogi się będą cieszyć. Pomyślą, że już po mnie...  
Nie trzeba się dać!...

Lecz oczy przygasłe przeczyły słowom.

— Ja jeszcze...

Nie dokończył. Opadł na poduszki. Ręce jego zaczęły wyko-  
nywać w powietrzu jakąś seryę nieokreślonych ruchów, które Ankę  
przejęły trwogą.

— Ojcze!.. ojcze!.. co tobie!..

Lecz zapadł w milczenie i pół sen.

Anka wyszła z numeru, zamknęła drzwi i zabrała klucz ze sobą.  
W bramie rozmówiła się z portyerem i zbliżyła się do czekającego na  
nią Wierciaka. Pod badawczym wzrokiem portyera musiała się wdać  
w rozmowę z tym dwuznacznym człowiekiem, i duma jej czystej istoty  
ogromnie na tem cierpiała.

— Proszę iść do Redakcyi—wyrzekła nie patrząc w tę strasz-  
ną opuchłą twarz—„ja tam zaraz przyjdę“. Nie miała mu odwagi  
powiedzieć, że Redakcyja ma mu wypłacić pieniądze.

Lękała się, że zaprotestuje, że nie zechce odejść i wywoła zbie-  
gowisko i skandal.

Nie czekała na jego odpowiedź.

Wybiegła z bramy i iść zaczęła szybko w stronę redakcyi.  
Ogarniała ją gorączka. Porywała ją tęsknota do cichego kąta,  
w którym był zamknięty jej świat własny—tak różny od tego, w któ-  
rym obecnie istnieć musiała. Lecz siła faktów rwała ją naprzód.  
Łańcuch przeznaczeń jej i tych wszystkich innych spełnić się  
musiał.

Doszedłszy do Redakcyi—przystanąła na chwilę.



Na chodniku roiło się od tego rodzaju indywidualów, jak Wierciak i jego adherenci. Z ulic pobocznych ścigali inni—z rękami w kieszeniach, wlokąc nogi, grzejąc się w słońcu charakterystycznym ruchem ludzi, wprawionych do bezczynności zupełnej. Szli, nie śpiesząc się—rozmawiając ze sobą ochryplemi głosami, śmiejąc się cynicznie. Wszyscy dążyli ku redakcyi, niektórzy już byli pijani—niektórzy nie byli jeszcze trzeźwi. Było to straszne zbiorowisko mętów miejskich, ten grzech i hańba miasta—to nieokreślone a takie silne podłoże najgłębszych warstw, na których wznosił się fałszywy dobrobyt i tandetna kultura pojedynczych jednostek. W ten ranek powyboreczy ciągnęli jak do żłobu tam, gdzie wiedzieli, iż wobec ich groźnej postawy nie będą śmieli im odmówić zapłaty, za ich problematyczną pomoc w szaleństwie politycznej pychy. Schodzili się jakby na schadzkę, a pomiędzy nimi tu i owdzie kręciły się kobiety—żony, kochanki, czyhające na wydarcie im tych pieniędzy, które oni za chwilę chytrnością i zuchwalstwem innym wydrzeć zdołają.

W jasności słonecznych promieni, i krystalicznej czystości poranku—odzienia ich zdały się być pokryte pleśnią zebraną ze ścian nor, w których mieszkali. Twarze ich miały niemal jeden i ten sam typ, a wyraz tych twarzy cały koncentrował się w ukrytej jakby sile poza widocznymi oznakami wycieńczenia i anemii.

Pomiędzy stojącymi przed bramą dostrzegła Anka Piotruškę. Była olśniewająco biała tą kredową białością złotych blondynek. Tylko na policzkach wykwitły jej dwie plamy gorączkowych rumieńców. Z włosów jej spadła chustka. Piotruška wspierając się na palce starała się zajrzeć do wnętrza bramy. Lecz tłum, cisnący się nie dozwalał jej zobaczyć nikogo. Nagle spostrzegła Ankę. Szybko rozpychając łokciami rzuciła się do niej.

— Pani nie wie gdzie on jest?—zapytała.

— Kto?

— No, Wierciak. Czekam na niego od wczoraj. Teraz już nie śmie do mnie tak mówić, jak dawniej, ale to jeszcze nic... ja z nim za to włóczenie się—inaczej skończę...

— Wierciak idzie tutaj. Będzie za chwilę.

— A... to dobrze!

Zacięła usta. Podniosła hardo głowę. Coś w niej było innego, jakby zbudzonego, ale zarazem nienaturalnego.

Z okien grzeczny sekretarz—spocony, z krawatką przekręconą, dostrzegł Ankę.

— Proszę... niech Pani wejdzie przez drukarnię. Rozstąpcie się... moi panowie i proszę! zróbcie miejsce dla tej damy...

Wychylił się, składał ręce. Tłum, ujęty jego grzecznością i urodą Anki, rozstępował się mimowoli. Lecz zaraz po przejściu zamykał się i Anka znalazła się przez kilka chwil w środku tego wału ciał ludzkich, które zionęły cuchnącą wonią brudu, potu i alkoholu.

Zebrała całą siłę woli i dostała się do małych drzwiczek, prowadzących do drukarni. Chciała je za sobą zatrzaskać, ale tłum zaczął się tłoczyć, chcąc wtargnąć do środka. Zecerzy rzucili się od kaszt, aby bronić wstępu.

Pod sklepieniem bramy aż huczało od rozpasanych głosów. Po krótkiej walce wyrzucono kilka „hyen“ za drzwi drukarni i drzwi zamknięto.

Anka z porwaną suknią i rozerwanym rękawem weszła do redakcyi, lecz na progu cofnęła się, nie wiedząc dokąd ma wejść, aby czuć się bezpieczną.

Wązki przedpokój wypełniony był doszczętnie masą „Wierciaków.“ Tak samo i dwa pokoje redakcyjne. W środkowym, największym, z biurek i stołów członkowie redakcyi urządzili sobie rodzaj przegrody i schronili się po za nią, broniąc silnie swych stanowisk, mocno naporem tłumowi zagrożonych.

Z po za tej zagrody odbywała się rozplata dziwna, bo niczem nie kontrolowana, rozplata upokarzająca i demoralizacyjną zionącą. Cały las rąk wyciągniętych, rąk urągających pysze, wyzyskujących sytuację, rąk groźnych i groźących w razie odmowy.

Naczelny redaktor, człowiek ciężko chory i zmęczony, usiłował zaprowadzić jakąś kontrolę. Co chwila powtarzał:

— Kto pan jesteś? czego chcesz? nie znam was wcale.

Lecz zaraz podnosił się chór groźnych głosów. Widocznie cały tłum zobowiązał się działać solidarnie. W miarę zmniejszających się kwot, podniecenie i zuchwałstwo rosło. Każda z „hyen“ twierdziła, iż położyła specjalne zasługi przy naganianiu wyborców.

— Ależ nic nie robiliście!—wrzasnęła wreszcie redaktor.—Przebież przegraliśmy przez was...

Na te słowa rozległ się wrzask protestu tak straszliwy, iż sekretarz zaczął czempredzej zamykać okna od ulicy. Powietrze przez to stało się niemożliwe do zniesienia. Odór łachmanów, wódki, źle utrzymanych ciał—wypełnił powietrze. Gorąco było piekielne. Za biurkami współpracownicy z trudnością oddychali. Z czoła redaktora spływały grube krople potu. Sekretarz zwrócił się ku Ance:

— Pani do nas?...

— Od ojca.



— A...

— Kazał mi powiedzieć, że wstępny artykuł będzie gotów na jedenastą.

Zbliżył się redaktor drżący, zdenerwowany.

— Pan Zagrodzki zawsze wtedy, gdy chwila najgorętsza, zwłoczy... My musimy skontrolować, co napisze... Proszę pani powiedzieć, że my musimy wcześniej otrzymać artykuł.

— Ojciec chory...

— I ja jestem chory, mam czterdzieści stopni gorączki, a mimo to stoję tu na stanowisku i ponoszę konsekwencye porażki.

Anka chciała powiedzieć o Wierciaku i jego pretensjach, ale porwał ją lęk wobec tej mowy redaktora, urywanej, pełnej gniewu i maskowanego żalu.

Nagle od drzwi powstał jeszcze większy hałas i wrzawa. Pierwsze szeregi, pchnięte całą siłą, wpadły na przegrodę biurka i stołów, posuwając je prawie do ściany. Cały skład redakcyi wraz z Anką został w ten sposób niejako przygwożdżony do ścian kantami stołów. Anka zadrżała, widząc wtargającą przez drzwi gromadę Wierciaka z nim samym na czele. Wierciak szedł spokojnie, rozpychając tłum łokciami, jak to niedawno czyniła Piotruska.

Silny był i straszny — ten i ów próbował mu stawić czoło, lecz on chwycił za kołnierz i usuwał z drogi.

Szedł prosto ku zgniecionym przy ścianie członkom redakcyi.

— A ze mną i z moimi to co? — zapytał, stając tuż przed redaktorem.

— Idźcie do diabła!... Nic już nie mamy. Komitet wszystko rozdał.

— Całuj psa... w nos... z twoim komitetem! Ja za darmo robić nie będę... Ta co? ta słyszane to rzeczy? Tamten się powalił w bety, a ci mówią, że rozdali...

— Wy wzięliście naprzód.

Dokoła rozległ się szmer.

— Com wziął?... com wziął?... dla muchy na piwo nie starczy... To ze mną tak nie będzie... Ja i moi nie damy się zbyć psim świędem. Co?...

Jak przed burzą zahuczało w gromadzie Wierciaka.

— Tak... tak... nie damy się!...

Pchnęli się naprzód. Jedno biurko przewróciło się. Wpadli na niego i złomotali je butami.

— Płaćcie! Płaćcie!...

— A, o!... Panna, co obiecała, że w redakcyi zapłacił... — wrzasnął Wierciak.

Był tak blisko Anki, że dotykał prawie jej piersi wyciągniętą ręką.

— Ta pani nie miała prawa nic obiecywać!... — krzyczał rozpaczliwie redaktor. Ta pani nie należy do redakcyi!...

— Nam nic do tego!

— Płaćcie!...

I zuów pełnęli się całą masą naprzód.

Powstał krzyk straszny.

Na ziemię, jak martwy, z wyczerpania i zdenerwowania osunął się omdlały redaktor. Upadł prawie pod stopy Anki.

Dziewczyna w tej chwili rzuciła się ku niemu i zasłaniając go, podnosić zaczęła jego bezwładną głowę.

— Wody! Wody!

Sekretarz rzucił się z zaciśniętymi pięściami w środek tłumu.

— Precz! precz! Zabiliście redaktora!

Ten grzeczny i wytworny chłopak znalazł w nerwach swoich całą moc siły i energii.

W tłumie powstała panika.

To słowo: „zabili“ — podziałało magicznie.

Kryminał! Zbrodnia!

Nikt w tem nie chciał brać udziału.

I rozpoczął się odwrót — pełen scen strasznych, zwierzęcych, bo tratowano się wzajemnie, pragnąc jak najwcześniej wydobyć się z lokalu redakcyjnego.

W przeciągu kilku minut lokal opustoszał od „hyen.“ Z bramy, z ulicy rozbiegały się całe grupy, uciekając przed ewentualnem nadejściem policyi.

Sekretarz rzucił się do zamykania drzwi, a otwierania okien.

Anka wraz z innymi współpracownikami trzeźwiła redaktora, którego złożono na sofie.

Powoli przychodził do przytomności. Wzrok jednak miał przegasły i cały płonął z gorączki.

Oczy jego zatrzymały się na drzwiach, prowadzących do pokoju, w którym siadywał Zagrodzki. Drzwi te znajdowały się właśnie w ścianie, do której przyparł tłum Ankę i cały skład redakcyi.

Otwarcie tych drzwi, wydostanie się do wolnego pokoju, mogło ich ocalić przed tą tłuszcą.

Lecz teraz wszyscy przypomnieli sobie, iż naprózno usiłowali te drzwi otworzyć.



Były szczelnie zamknięte od wewnątrz.

— Kto to zrobił? — zapytał zirytowany sekretarz. — Mogliśmy przecież spokojnie cofnąć się do tego pokoju... Kto to mógł zrobić?

Drzwi cicho się otworzyły.

Z pustego pokoju wyłoniła się tylko jedna postać — delikatna, wdzięczna, subtelna, z twarzyczką, jakby wyciętą z jakiegoś pastelu XVIII wieku.

Prześliczne oczy obieżyły wszystkich zgromadzonych, biała ręka podniosła ku ustom delikatny kwiat narcyza i jakby cień wytworony a ironiczny, ten chłodny i spokojny człowiek przesunął się pomiędzy zgorączkowanymi i zmaltretowanymi ludźmi.

Redaktor nie poznał go na razie.

— Kto to?

— To taki sobie... poeta... czy coś... Leljan...

— Czego on tu chciał?

— Przyszedł do Narbutta prawdopodobnie.

Redaktor powstał powoli z sofy.

— Czy on jest z tych wielkich, co to nie nie piszą?

— Podobno pracuje nad studyum o Satanicznym Dekameronie—Moreau...

— Niech go dyabli biorą z jego Dekameronem i podłym egoizmem. Zamknął się spokojnie w pokoju wtedy, gdy nas tratowano. Lecz sekretarz, który delikatnie nacierał ręce pianą z paczulowego mydła, odparł:

— Właściwie dobrze zrobił. To była nasza sprawa, nie jego. Dlaczego więc miał ponosić jej niemiłe konsekwencje?

Anka podeszła do okna, ażeby zobaczyć, czy będzie mogła przejść spokojnie przez ulicę.

Pod samym oknem dostrzegła Piotruškę i Wierciaka. Dziewczyna stała hardo, z oczów jej strzelały błyski.

— Idź do domu!—ryczał Wierciak.

— I zaraz—będę w domu gnić, a ty póndziesz do szynku... widzicie go... i ty chodź! Jaką robotę się chyc... Szewcem jesteś... zeluj w domu.

Wierciak aż drgnął pod tym głosem.

— Odczep się, pókim dobry, bo jak mnie złość chwyci... to cię tak wyzeluje tu na ulicy, że cała poczerniejesz!

Zamierzył się.

Piotruška machinalnie pochyliła głowę, zasłaniając twarz.

Nagle, jakby sobie coś przypomniała, podniosła głowę i krzyknęła:

— Spróbuj!... Na policję krzyknę, a bić się nie dam... Co to? ja twój bęben, żebyś ciągle w niego walił!

Wierciak machnął ręką, lecz Piotruśka uniknęła ciosu. Oblana rumieńcem, straszna, poskoczyła na środek ulicy. Dostrzegła w oknie Ankę. Ten widok ją podniecił. Otworzyła usta—zabłysły zęby, jak u młodej wilczycy, i nagle we wrzasku nieludzkim połała się cała struga najohydniejszych przekleństw i słów, mrozących dech w piersiach.

Te słowa, ten głos—były okropne—zionęły błotem, kałem, zaulkami rozpusty. Zdawało się, że wszystkie rzeczy niskie i szpetne rozwyły się w tym głosie, broniące się od pięści męskiej, kobiety.

Lecz równocześnie—w linii, w wyrazie tragicznym, w czemś bardzo duchowem i dziwnem była godność człowieka, w którym zbudziło się poczucie indywidualnej wartości. Opromieniało to nimbem przechyloną w tył głowę ulicznicy, i Anka uczuła, że serce jej drga jakąś radością, jakby w tem zbudzeniu przejawił się ten głąb duszy, który szarą mgłą do niedawna otaczał widmową postać Piotruśki.

Wierciak stał jakby zdumiony tym nagłym oporem, i w ślad za oczami Piotruśki pobiegł.

Dostrzegł w oknie redakcyi Ankę i natychmiast na maskę jego twarzy wystąpiła zuchwałość wprawnego szantażysty.

— No i co będzie—zapytał, zwracając się ku oknu—czy mam znów iść do hotelu?

— Nie!—zawołała pośpiesznie Anka.—Proszę tam nie chodzić. Ja panu zapłacę!

— Kiedy?

— Jutro proszę przyjść...

Zacięła się.

Nie chciała go sprowadzać do willi Stalewskich. Bała się samej Stalewskiej i jakiś wstyd ją ogarnął na myśl, że Jan dowie się, w jakiej kałuży życiowej tonęła od wczoraj.

Zdawało się jej, że ta nić, która się pomiędzy nimi rozprzędła, tkana w cudowne brylanty, że ta nić straci na uroku, na połysku, na pięknie.

— Proszę czekać na mnie jutro przy moście—wieczorem, od strony miasta.

— No... żeby tylko żadnych śpasów nie było, bo jak Boga mego kocham mam ich dosyć...

Odrzucił się na pięcie i gwizdnął na Piotruśkę, która cofnąwszy się na skwer, usiadła na skraju basenu.



Lecz Piotruśka na to gwizdnięcie nie reagowała. Patrzyła ciągle zuchwale i wyzywająco.

— Piotruśka... sam tul.. do nogil.. — ozwał się grubijański głos Wierciaka.

Lecz od strony basenu razem z powiewem delikatnych gałęzi akacyi doleciało:

— Gryźnij się baciarszu!..

— Sam tu!

— Łatynda!..

Wierciak zrobił krok naprzód, lecz postawa zbuntowanej dziewczyny była tak groźna, iż cofnął się i plunąwszy ruszył w kierunku miasta wetknąwszy ręce w kieszenie kurtki.

Piotruśka chwilę jeszcze siedziała na ocembrowaniu studni.

Widocznie walczyła ze sobą.

Wreszcie zsunęła się na ziemię, podwiązała z energią chustkę na głowie i poszła w stronę przeciwną od tej, którą się udał Wierciak.

Anka odstąpiła od okna. W redakcyi chłopcy i współpracownicy zaprowadzili możliwy ład--sekretarz mył ręce, redaktor naczelny siedział na szezlongu blady i zmęczony.

Anka czuła, że jest tu zbyt cenna, że wszyscy patrzą na nią, jakby na częstkową sprawczynię dzisiejszej katastrofy.

Poprawiła kapelusz, suknię i ukłoniwszy się wyszła na ulicę.

Śpieszyła do ojca.

Postanowiła mu nic nie mówić o tem, co zaszło.

Instynktem odczuwała, że Zagrodzki musi w tej chwili przechodzić straszne, przełomowe chwile.

Gdy weszła do numeru — zastała ojca siedzącego boso w swem jasnym palcie przed stołem i piszącego gorączkowo ów artykuł wstępny.

Zbliżyła się ku niemu, lecz on machnął ręką.

— Nie przeszkadzaj!.. idzie mi wybornie. Zobaczymy czy mnie zgnetli. Wypłynę niezadługo. Będą się musieli ze mną liczyć...

Straszny był w tej chwili.

Oczy krwią mu zaciekły, ręce drżały.

Miał zupełnie wygląd gracza, który zgrawszy się dzień przedtem do nitki—znów siada do zielonego stolika.

— Ojczy—zaczęła nieśmiało Anka—kazali mi powiedzieć w Redakcyi, że oni chcą...

Lecz Zagrodzki przerwał jej wybuchem dziwnego śmiechu.

— Oni chcą!.. oni chcą!..—wołał, gorączkowo numerując kartki—czego oni mogą chcieć, ta zbankrutowana partya, przez którą wczoraj padłem... Tak, tak, tylko przez nich!..

Wstał, drząc cały czepiał się brzegów stołu — szukał jakichś notatek.

— Ja się z nimi przeliczyłem... oni nie mają żadnego znaczenia..  
Znajdę inne silniejsze stronnictwo. Ci mnie wysuną...

— Och! ojcie, znów chcesz rozpocząć to samo?

— Tak... tak... do ostatniego tchu. Nie zawiodę nadziei, jaką kraj we mnie pokłada.

Potrząśł głowę.

Oczy miał szklane — mimo to migotliwe.

— Idź już stąd... idź.

— Jesteś chory — niemożesz zostać sam.

— Ja chory?.. oszalałaś!

Wyprostował się — cały poźółkły — z roztarganą brodą, z włosami zwichrzonymi.

— Idź... idź!.. muszę się ubrać... Pewnie ktoś przyjdzie..

Starął się „trzymać“. Jakaś gorączka wewnętrzna płonęła w nim niezdrowym, niszczącym ogniem.

— Idź!..

Anka czuła, iż pozostając drażni go coraz więcej.

Z oczyma lez pełnemi wysunęła się cicho za drzwi i skierowała się powoli w stronę swej pracowni.

## XXV.

Wszystkie płótna odwróciła od ściany i patrzy po nich — patrzy — i jedno snuje i rozumie aż nadto dobrze.

Tego nikt nie kupi, bo to jest malarstwo przyszłości.

A tego co idzie w przyszłość nie kupuje się, nie pragnie, nie pożąda.

Ceni się to w dziedzinie twórczości, jako śmieć bezużyteczny i śmiech wzbudzający. Gdy przejdzie w przeszłość, perłami miłości wysadza się te rzadkie klejnoty, które we wzgardzie, w jakiej powstały, nie straciły nic swego cennego piękna.

Lecz dziś — są niczem.

Anka wie, że za jej syntezę dusz ludzkich, nie da żaden przekupień nawet tyle co za oleodruk.

Pieniądzy dziś Ance potrzeba.



Weszła w błoto drobiazgów światowych i oto wlecze się za nią łańcuch konsekwencji. Troska materyalna żrąca jej delikatną i niepraktyczną naturę.

Co począć!

Ma kilka drobnociuchnych, panięskich klejnocików. Bransoletka z granatów, szpileczka z perłą, pierścionek z turkusem, łańcuszek cieniuchny wenecki. Ona nie wie ile się płaci za usługi hyen wyborczych, ale przypuszcza, że może ta kwota wystarczy. Chodzi jej głównie o to, aby nie szarpano nerwów ojca. Czuje bowiem, że się tam coś rozprzeża, coś odmawia posłuszeństwa, jakaś mglistość roztańczona w przestworzu rozpościera się koło niego i wtedy gdy się jest w jego pobliżu—traci się świadomość i równowagę.

Anka schodzi ze świata abstrakcyi i chce działać na realnym gruncie obowiązków dziecka względem rodziców.

Głęb duszy jej ojca odkrył się przed nią z nieubłaganą konsekwencją—postanawia uczynić coś i dla tej duszy, lecz musi ją ochronić od zewnętrznych wstrząśnień. Przez ciało lęka się o duszę. Uchroni przedewszystkiem ciało. W tę jej troskę i niepokój wchodzi jeszcze rozterka, która aż nadto widocznie opanowała Stalewskich. Ze słów goryczą przepojonych samej pani, dowiaduje się, iż Stalewski zamknął się w swej pracowni i maluje.

Odmówił wykończenia portretu owej damy tak ładnie uczesanej i posiadającej porcelanową gładkość lic i wachlarz z piór strusich. Co więcej—nie powiedział nawet żonie, czy obraz, który maluje, robi na zamówienie i czyje. Teraz właśnie jest czas najgorętszy. Kilka osób dlowiadywało się w Towarzystwie o jego adres i badało sekretnie o cenę portretów. Lada chwila mogły się zjawić nowe obstalunki, a ten dziwaczy!..

Stalewska mimo wszystkiego urządza dziś po południu zwykły „fix“ i od rana układa na kryształowych paterach bomby kawowe i makowe placuszki. To jej *spécialité de la maison*. Wyprawiła dzieci z nianką po masy maków, żyta i bławatków. Uważa bowiem, że można ładnie tę ozdobę polną spożytkować jako dekorację salonu. Jest zuchwała i niespokojna. Od kilku dni biega, kręci się — bo po przyjsciu do równowagi, zdecydowała, że pomimo wszystkiego, rąk opuszczać nie należy.

Mimochodem wpadła tu i owdzie, przypomniała o fixie, była w teatrze na premierze i dwa antrakty wierciła się jak bąk po kurytarzu, rozdzielając na prawo i na lewo oblesne uśmiechy. Ta żebraczka rozgłosu, ściśnięta jak osa w nowomodnym gorsecie i zbyt wysokim kołnierzyku, cierpiała poprostu tortury dla zdobycia sytua-

cyi, w której zdawało się jej, że przez artykuł Narbutta był jej rodziny zachwiany został.

Na kurytarzu teatralnym, w chwili, gdy niemal wszyscy zwabieni dzwonkiem wracali na swoje miejsca—Stalewska, chichocząca się na pozór rozkosznie w towarzystwie jakiegoś redaktora, dostrzegła Narbutta, opartego o ścianę i patrzącego w przestrzeń zamglonym wzrokiem. Krew jej zbiegła do serca.

Pod blaszem i różem, w świetle elektryczności, stała się nagle aż białą jak maska pośmiertna. Lecz opanowała się szybko.

Wyprostowała się, przygryzła usta. Do skarbu swej mądrości sięgnąwszy, znalazła w nim gotowy aksjomat, iż ludzie wyżsi są w każdej sytuacji wyższymi po nad fakta, które dla innych wyższymi się zdają.

I na blade usta wykwitnąwszy najobleśniejszym uśmiechem—ująwszy w rękę *face à main* ozdobioną monogramem, postąpiła ku Narbuttowi, wchodząc z nadzwyczajną śmiałością w krąg jego zamyslenia.

— Dlaczego pan jesteś naszym wrogiem?—spytała, starając się omotać go w tej chwili swą przeogromną grzecznością.

I stała się rzecz dziwna, ale ogromnie zwykła i ogromnie ludzka.

Narbutt uczuł się zmieszonym i wytrąconym z równowagi, widząc tę kobietę, wkraczającą z całym arsenałem swego fałszu w koło jego spojrzeń i myśli.

Ogarnął go jakiś lęk i—wstyd.

Stała mu tuż przed żrenicami i wyciągnęła rękę, a on bardzo grzecznie, brzydkim, pośpiesznym gestem rękę tę ujął i uściśnął.

— Ja wiem...—zaczęła znowu tak, jakby nie chciała mu dozwolnić opamiętać się na chwilę—ja wiem, że to jakieś uboczne wpływy musiały podziałać na pana w ten sposób. I jeżeli do pana przychodzę pierwsza, to dla tego jedynie, aby dać panu dowód, że tak ja — jak mój mąż — jesteśmy wyżsi ponad takie drobiazgi. Mój mąż stoi na tak wysokim stanowisku, iż artykułik pana zaszkodzić mu nie może, ale... zaszkodzić może panu...

Odetchnęła i czekała czy on co nie powie.

Ale ta rzecz „ogromnie ludzka“ — była tak silna i rozrastała się tak jak chwast dokoła niego, iż stał milczący przed nią, jak zak złapany na gorącym uczynku.

— Pan jest młody, pan potrzebuje oparcia ludzi solidnych — pan źle robi idąc tak na oślep przeciw nim...

Odzyskiwała coraz więcej pewności siebie — złudzona jego milczeniem. Podniosła głowę—zaczęła go traktować, jak żaka.



— Potem, gdy przyjdzie rozważa, gdy pan istotnie zrozumie czym jest życie, pożałuje pan swego wystąpienia... Ale my jesteśmy dobrzy, my z mężem nie umiemy chować urazy i dla tego...

Zawiesiła głos i zrobiła się zupełnie *bonne princesse*.

— I dlatego — dokończyła — czekamy na pana jutro u nas, w zwykłą godzinę przyjęć.. Spotka pan tam swoich znajomych, przyjaciół.

Przestała mówić, bo złamało się coś pomiędzy nimi. Ona uczuła w jednej chwili że przeholowała. To „ogromnie ludzkie“ prysło, jak bańka mydlana. Rozbiła je niebywałą u niej niezręcznością.

— Więc!.. — wykrztusiła jeszcze pomimo tego, iż jakaś siła wytrącała ją poprostu za nawias — poza owe koło nakreślone wzrokiem i myślą Narbutta.

On odzyskał teraz swą dawną krew zimną i otrząsnął się z czapraka dobrze ułożonego młodzieńca, jaki zupełnie niespodziewanie okrył mu plecy.

Ruchem bardzo podobnym do ruchu Wierciaka, wetknął ręce w kieszenie kurtki i przymglonymi oczami patrzył wprost w twarz Stalewskiej.

— A... państwo budę swą rozbili—gdzie?.. koło cyrku?.. — zapytał z całym okrucieństwem, tak dziwnym wobec słodyczy tej Narcyzowej twarzy, obramowanej pasmami czarnych, lśniących włosów.

Stalewska zrozumiała aluzję, lecz zapanowała nad sobą z taką siłą, że aż poczuła ból fizyczny w mięśniach twarzy.

— Niel..—odparła ze słodyczą, a tylko podmalowane oczka płonęły jak dwie świeczki — budy z cyrkiem i menażeryą są przed mostem, n a s z a w i l l a jest za mostem!

Podkreśliła to słowo „nasza willa“— chcąc chociażby niem zdruzgotać tego „projdyświta“ bez własności — żebraka, prawie cuchnącego fałszowanym absyntem.

I nie czekając na dalszą dyskusję, zaszeleściła suknią i odeszła, pozostawiając go znów samego i jakby wpatzonego w mgławicę, co się przed nim coraz szerzej rozsnuwać zaczynała.

Od strony sali dobiegały do niego tony orkiestry — jakaś fantazyja nieokiełznana, pełna żywiołowej siły. Coś się tam rozpętało w duszy twórcy. Pędził na karkach swych frazesów, uchwyciwszy się grzywy ich demonicznej potęgi.

Lecz do uszu Narbutta, do wnętrza jego duszy i te silne tony wpływały przez mgłę koła śmiertelnego, które okrążyło go od niedawnego czasu. Wał mgły melancholii i zwątpienia w konieczny pożytek istnienia coraz silniej się wznosił i odgraniczał go od świata rzeczywistego. To, co stało się pomiędzy nim a Stalewską, było

niemal ostatniem drgnieniem jego dawnego systemu układania swych czynów. Ta zmiana straszna, grozy pełna, dokonała się w nim prawie pod wpływem...

— Leljan!

Tak.

Lecz ten nie potrzebował używać perswazyi, słów, sięgać do głębin ezoterycznej wiedzy, wywoływać widma sferyczne i rozsnuwać przed nim dobroczynne słowa Buddy. Narbutt miał to już wszystko w sobie—niepochwytnie tak jak u Leljana, z rozmaitych broszur wypadkowo znalezionych, lub ze streszczeń dzieł; Narbutt gdy sennym kręgiem się otoczył, znalazł w nim cały świat ten sferyczny gotowy i przez niego przefiltrowany.

I dla tego, gdy Leljan zburzywszy kruchą w każdym człowieku wiarę w konieczność życiowej męki—chciał swoim zwyczajem zbudować czarowny pałac wizyi, spotkał się z rzeczą nieprzewidzianą, spotkał się z linią wyższą ponad tę, która jemu zdawała się już wyżyną.

A było to w jeden upalny wieczór.

. . . . .

— Chodź do Stefki.

— Głupia dziewczka.

— Nie, nie—przetworzyła się. To Kapalakundala.

— Jak?

— Nasze medyum—Kapalakundala... Lewituje...

— Ach!...

W milczeniu doszli do piętrowej kamienicy na jednej z najhałaśliwszych ulic.

W bramie stał magiel. Potknęli się o przewróconą konewkę. Przed nimi jakieś wążkie plecy znikają właśnie w klatce schodowej oświetlonej małą, nędzną lampeczką.

— O... już idą Yogi...

Leljan rzuca te słowa, jak zdawkową monetę.

Narbutt jednak ma minę tego, któremu rzucono ową monetę, lecz on się po nią nie schyla, pełen wewnętrznej pogardy.

Leljan odwraca się ku niemu:

— Zobaczysz rzeczy nadzwyczajne. Z niej płynie fluid destrukcyjny. Przetworzyła się. Śmierć Rosickiego — pamiętasz... na statku w kajucie... Wtedy dała dowód, jaką niepospolitą ma



w sobie potęgę. Odprowadziła go na kolej, śmiejąc się. I wiedziała... rozumiesz... wiedziała...

Poszli znów dalej po schodach.

Tam, gdzie działały się „rzeczy nadzwyczajne,” ktoś gotował karpasę. Fatalny zapach kuchni aż dławił, aż chwycił za gardło.

U drzwi, na których czerniał na białym tle napis jakiś—staęli.

*Robes-modes-confections,  
Mad. Stéphanie.*

Leljan dzwonek nacisnął.

Dzwonił dziwnie, delikatnie, jakby jakąś melodyę. Dość długo nie otwierano, wreszcie zadudniło bosemi stopami. Przyleciało coś z głębi i otwarło drzwi, a potem uciekło. Buchało z ciasnego przedpokoju wonią mydlin.

Widocznie tam, gdzie działały się „rzeczy nadzwyczajne”—odbywało się pranie.

W niewielkim frontowym pokoiku—prawie ciemno.

Na fortepianie lampa przesłonięta tanim, czerwonym abażurem. Przy klawiaturze mężczyzna, który tonie w cieniu. Na klawiszach spoczywają jego nieruchome ręce. Nie gra—ale rąk z klawiatury nie zdejmuje. Wygląda jakby figura woskowa lub osoba, biorąca udział w żywych obrazach na cel dobroczynny.

Tu i owdzie jakieś cienie. Siedzą, milczą, ssą cygara lub papierosy. Na stole butelka do połowy próżna zielonego płynu. Trochę kieliszków. Na ścianie obraz jeden—dużo rozlanej szarej farby i dziecinnie nakreślona figurka. Ma to być imitacja Syntetystów—coś na kształt genialno-chorobliwych fantazyi Van Poghla.

Na fotelu—kobieta.

Silna, tęga, ukrywająca swe kształty pod długim, czarnym fartuchem, spadającym jej do stóp. Ręce ma tylko ładne, białe i wypielęguwane.

W zielonych oczach całe morze ironii nawet źle ukrytej. Siedzi w hieratycznej pozie, śledzi zawartość butelki i nadślučuje chłapania, dopływającego z kuchni.

Ma wygląd statystki, wynajętej na to, aby udawała Destrukcyjną Siłę...

Leljan wsuwa się i skinieniem głowy obdarza milczących towarzyszy.

Ku niemu biegną spojrzenia. Stefka skinęła ręką.

— Siadaj — szepce — czekamy wszyscy... Nadejdzie chwila cudu.

Wskazuje w stronę fortepianu.

Lecz nieruchomy do tej chwili mężczyzna porywa się, odtrąca fortepian, chwytając się za głowę.

— Nie mogę... czar prysk... woła — wtargnięcie tych obcych zniweczyło cud... nie mogę.

Idzie do stołu, pije kieliszek absyntu i usuwa się pod piec, gdzie pozostaje kolosalny, chmurny, nieprzystępny.

Narbutt nie siada. Trzyma się blisko drzwi. Patrzy nieufny i rodzaj grymasu usta mu wykrzywia.

Pytające wejrzenia ku niemu zwrócono.

— Nie badajcie—uspokaja Leljan.

I zaraz pyta:

— O czym marzyliście?

— O dostaniu bodaj Yoga-Sutry.

— Al... lecz czemu w sobie samych nie znajdziecie dosyć elementów odpowiednich?

— Nie—nie—skoro już jest wypróbowane...

— Pozwólcie—co dla Indyi odpowiednie, czyż wam posłużył!

— Musi.

Energicznie zaczyna krążyć butelka—w kuchni kłopot miarowy przechodzi w szmer gwałtowny przelewanej do szaflików wody.

— To nasza kapliczka!—zwraca się hieratycznie Stefka do Narbutta.

Lecz on nie może znieść zapachu ługu i tej podłogi źle wyczyszczonej, tej wymęczonej sofy i wytartego pieca. Przytem panuje tu atmosfera fałszu, komedyi i obłudy. Nikt tu nie jest szczerzy, nikt nie wierzy. Widocznem jest, że pewna ilość biedaków z małego miasteczka czytała coś w przekładach o kapliczkach tajemniczych z ulic Vaugirard i innych. Zachciało się im wyczuwać „wrażenia.“ Nie czują nic, lecz milczącą ugodą nie przyznają się do tego. Dochodzą do szczytów, potracając nawet o Huysmanowskie bajdy dla użytku łatwowiernych snobów. Lecz—wszystko kończy się na zimnem niedołęstwie, kłopotaniu tygodniowego prania i fałszowanym absyncie, któregooby porządny dorożkarz pić nie chciał. Niedołężne to, śmieszne i głupie...

Narbutta porywa wstręt i nuda. Z tej izdebki—„Modes-robefconfections“—wychodzi jedno. Wychodzi myśl samobójstwa w przekrwionych mózgach zrodzona. Tu, dojrzewa, jak kwiat białej cykuty, na bagienkach i rozplywa się z chwilą unicestwienia ludzkiego życia. Neurastenia, starannie pielęgnowana, czai się po kątach pu-  
stych i smutnych. Pochylone karki — oczy w dół wbite, ciche po-



wolne kroki chorych kotów, stąpających po mchu. I ta cisza, cisza straszna przerywana pluskotem wody!...

Lecz po co w to wtrącono legendowe Tajemnice, wydarte bóstwom? Po co oplwano parą mydlin przedwiekowe myty hinduskie, do których głównie przywarły się małomiasteczkowe biedaki — czciciele absyntu.

— O Kriszna, synu Dewanali—synu lotusowego kwiatu, sam jak kwiat lotosu... co robisz w izdebce Robes-modes-confections?

Jesteś tutaj, boś jest Jednością—i ci wszyscy skupieni dokoła butelki i ta kobieta oplacana za to, aby grała rolę Destrukcyjnej Siły, i ten nieruchomy olbrzym pod piec wciśnięty—to wszystko jest tobą i częścią twoją — o słodki synu Mahadewy. Lecz oni są dalecy jeszcze od złączenia się z tobą, bo nie dążą do twego serca, lecz dążą do powierzchownych blasków twej Istoty. I przez to są zimni—i przez to, gdy idą na śmierć, nie witają jej znakiem szczęścia, lecz czynią to raczej z zuchwałej pychy,

Nie mają w sobie radosnej ekstazy Kriszny, gdy zwrócił swą twarz w chwili zgonu do jaśni słonecznej, wołając: — Idę ku tobie, Ojcie mój w niebiesiech.

Bo na to nie trzeba trenować się i brać tytuł, lecz mieć wiarę w duszy, iż było się Jednością, było się Słoneczną Jaśnią — i ze śmiercią powraca się do niej.

. . . . .

— Dokąd idziesz? jeśli chcesz pić — masz absynt!

Lecz Narbutt wrywa się z rąk Leljana.

— Puść mnie. Ta wasza kapliczka, to chlew. Absynt nawet jest zbezczeszczony. Czego chciałeś mnie nauczyć? Co chciałeś we mnie wzbudzić? Chęć śmierci?... co?...

— Może!

— Głupiś. Ja ją mam, inną, prawdziwą, uroczyście wielką. Ja rozumiem rozkosz śmierci od dzieciństwa inaczej, niż wy — marne, śmieszne gady!

— Nie piłeś, a rzucasz się, jak pijany.

Już są na schodach. Woń kapusty rozprasza się powoli. Ktoś gra ohydneho walca w parterowym mieszkaniu.

— Puść mnie!...

- O, nie... ja pójdę z tobą.
- Ostrzegam cię, że idę pić.
- Chciałem ci to zaproponować.

. . . . .

Stalewska spokojnie starała się czynić swe przygotowania do „fixu“ i hamowała swe nerwy przed możliwą scyssą z mężem.

Pragnęła bowiem zająć jak zwykle jego pracownię i przyozdobwszy ją kwiatami (jaki kontrast!) rozrzuciwszy polne wiązanki na tle gobelin i zbroi—urządzić główny teren zebrania właśnie w atelier „mistrza“.

Lecz—gdy w południe zapukała do drzwi pracowni, zastała je zamknięte. Ponowiła pukanie raz i drugi—i wreszcie drzwi szarpnięte silnie otworzyły się do wewnątrz.

W progu stał Stalewski z węglem w ręku—blady, i inny niż do tej pory widywała go przy pracy.

— Czego?

Zbita z tropu urwanym tonem, w którym brzmiało silne zdenerwowanie, usiłowała *quand même* wtargnąć do wnętrza pracowni.

— Chcę poczynić przygotowania...

— Do czego?

— Na dzisiejszy fix.

Spojrzał na nią i rzecz dziwna, Stalewska uczuła to samo wysunięcie jej za nawias, w koło mgły, które myślą i wizyjnym światem zdawały się oddzielać Stalewskiego od niej.

— Proszę mi nie przeszkadzać w pracy.

— Co robisz?..

Nieodpowiedział jej.

Zamykał drzwi, lecz ona nagle przejęta jakąś złością, wsunęła nogę pomiędzy drzwi i silnie się oparła.

-- Pragnęłabym widzieć...

— Nie... proszę cię...

Zadrgała w jego głosie jakby trwoga, jakby prośba. Bał się widocznie, że ta istota wtargnie mimo wszystko i materyalną swą obecnością spłoszy skupienie się sił, które dokoła siebie ściągnął, wyśiłkiem rdzenia swej istoty twórczej.

Spróbowała się uśmiechnąć.

— Dlaczego ta tajemnica?



Z pod „tęczowej kopuły myśli“—Stalewski wy dostał się nagle w sam środek domowej scenki znajdującej się na drugim końcu wahadłowej linii każdego jasnego momentu „familijnego człowieka“. Ponieważ Stalewski tak mało do tej chwili w życiu odkładał na Wzniosłość, bez której niepodobiestwem jest być artystą, a Wzniosłość tę wyczuł promieniującą dokoła siebie w tej właśnie chwili—doznał dziwnego bólu na myśl, iż tę wykradzioną a należną mu godzinę cudowną—niszczy ten głos skrzekliwy i ta noga kobieca wsunięta zuchwale tam, gdzie przed chwilą on sam był z duszą swoją. Krew mu nabiegła do głowy i zabłysła rubinowymi blaski w oczach.

Postarzał się i zmęźniał w jednej chwili.

Łagodna jego uroda przeobraziła się dziwnie. Stalewska mimowoli usunęła nogę i cofnęła się kilka kroków—lecz on teraz drzwi nie zamykał.

— Urządzasz fix?

— Tak — odparła śpiesznie — rozumiesz, iż musimy pokazać światu, że jesteśmy wyżsi nad głupie artykuły Narbutta i że...

Przerwał jej niecierpliwie.

— I ty sądzisz, iż w ten sposób pokażesz naszą wyższość?

— Naturalnie. Spodziewam się dziś dużo osób ze świata literackiego, urzędę tak, iż napiszą.

Lecz on patrzył na nią, przesywając ją ciągle krwawem, dziwnem spojrzeniem.

— Nie tędy droga—wyrzekł wreszcie—nie tak się dowodzi wyższości. Dowiodę j a—nie ty...

Odczuła, że w nim całym była dla niej obecnie wielka, wzgardliwa ironia.

— O! przepraszam...—wyrzekła żywo — pozwól! ja dalej działać będę. Wszystkie poprzednie głupstwa twoje puszczam w niepamięć. Muszę puścić w niepamięć. Tu idzie o przyszłość naszych dzieci i tej bronić będę do upadłego.

— Tu idzie o przyszłość moją... — odparł on niskim głosem — a tej, ja bronić będę do upadłego.

— Oszalałeś!.. przyszłość twoja? jaka? przecież ty już do s z e d ł e ś. Ty już nie masz przyszłości. Ty staraj się utrzymać terażniejszość.

Ty już nie masz przyszłości.

W jednej chwili ujrzał przed sobą siebie samego, pochyłego, siwego—z całym dorobkiem swoim na barkach, z uczepioną dokoła jego rąk bandą dzieci w strojnych sukienkach.

To był ten on—który nie miał przyszłości.

Lecz nagle wizya inna, powiewna, dobra i słodka — wizya kobiety tak uduchowionej, że abstrakcją się stawała — wionęła nań z rękami wyciągniętymi litośnie. Ciepło przeniknęło jego ciało, ciepło i światło przeniknęło jego duszę. Poczul się znów silny i spotęgowany w swej działalności psychicznej.

— Proszę — wyrzekł z naciskiem i niemal brutalnie — proszę i każe, ażeby tu dziś była cisza zupełna. Niech nikt się nie waży wejść do tego domu, który powstał z mej pracy i musi być dla mnie kątem do pracy...

Cofnął się i zamknął drzwi na klucz. Za nim zapadła gobelina portyera.

Artysta został sam — ze swoją duszą.

(D. c. n.).

GABRYELA ZAPOLSKA.



# KARTKI ZE LWOWA.

(W SPRAWIE UPRZEMYSŁOWIENIA GALICYI).

Uprzemysłowanie Galicyi!.. Frazes pusty? mrzonka? czy hasło? a może już sztandar pracy realnej?

Uprzemysłowanie Galicyi—wszakżeż budzą słowa te uczucie niedowierzania. Ieżto już na tym ołtarzu złożono zabiegów, i pracy, i starań; ileż dążeń szlachetnych i marzeń pochłonęło to hasło!

A jednak to hasło ozwało się znowu, bo taką jest już żywiołowa siła zjawisk społecznych i ekonomicznych, że gdy są życiu istotnie niezbędne, wówczas choćby ze zgliszcz, powstają — ale są wówczas silniejsze jeszcze, jędrniejsze, bo doświadczone.

Pomimo wszystko co dotąd było, Galicya—to jeszcze dla przemysłu ziemia do zdobycia. Tu, rzeczywiście, jeszcze zdobycia potrzeba. Więc znowu z rąk jednych przejęto sztandar do drugich, a pod nim idzie tęgi i rosnący niemal z dniem każdym w liczbę, zastęp, co wspólne, jedno ma zawołanie, a zawołaniem tem: praca realna. Hasło, przekazane jakby testamentem Szczepanowskiego Galicyi, niesie dalej ta drużyna sprawnie i rażno pod jedną chorągwią, jak niegdyś husaryja pancerna, — a hetmani jej Lubomirski.

Lubomirski dzierży buławę. Dziwny to człowiek. Dziedzic znacznych włości, ordynat na Przeworsku, ksiązę Andrzej Lubomirski, oddał się całej jednej, prawdziwie obywatelskiej myśli, którą ukochał a której urzeczywistnienie za cel swego życia poczytuje. Tym celem jest rozbudzenie życia przemysłowego w Galicyi. I nie tylko rozbudzenie, ale danie mu trwałych podstaw. Dwa są na to sposoby działania: przykład żywy i zachęta. Jest u niego i jedno i drugie w najwyższem napięciu. Naprzód, jeżeli o dawanie z siebie przykładu

chodzi, to dał ks. Andrzej Lubomirski przykład istotnie dobrej a niezmordowanej pracy przemysłowej. Przełamał zwycięsko trudności, co się piętrzyły w sprawie cukrowni Przeworska. A gdy to uczynił, rozszerza Lubomirski zakres działania, zbiera hufiec i do szerokiej, bo na kraj cały, prowadzi roboty. Stworzył (we wrześniu roku zeszłego) Centralny związek fabryczny, którego zadaniem jest uprzemysłowienie Galicyi. Dzielnym, niezmordowanym pomocnikiem jego został bar. Roger Battaglia, pod hetmańską buławą Lubomirskiego stanął, zaczęli zaczęli zaciągać się inni. A jedno spojrzenie na ten hufiec dzielny a sprawny — budzi wiarę w zwycięstwo.

\*

\*

\*

Kłoby uważnie wczytał się w protokoły sejmowe Galicyi z lat 1879 i 1880, zdziwiłby się ich treści. Agraryusze ówczesni tak byli zacierzwieni w faworyzowaniu swoich, częstokroć wadliwie zrozumianych, interesów, iż nie baczyli na to, jaką krzywdę wyrządzali takim postępowaniem sprawom przemysłu. Rolnictwo i przemysł były to wówczas, jakby dwie antytezy, wiecznie wrogo wzajem usposobione. Dziś, pod tym przedewszystkiem względem, opinia zmieniła się w Galicyi nie do poznania. Agraryusze galicyjscy nietylko nie upatrują już antagonizmu w rozwoju współrzednym tych dwóch warsztatów wytwórczych, ale na odwrót, przyznają to głośno sami, że nawet rolnictwo przyjąć już musiało warunki produkcji przemysłowej, a w rozwoju przemysłu widzą zwiększenie pojemności rynku zbytu dla wytwórczości rolnej. Taka zmiana jest już powszechna, a znalazła nawet wyraz w ostatnich obradach sejmowych. Zapanował dziś pośród ówczesnie wrogich agraryuszów nastrój dla spraw przemysłowych przychylny.

Ale to dopiero częściowa zmiana opinii. Narzuca się z kolei rzeczy pytanie, czy opinia ta stanie się powszechną, czy może mieć rzeczowe podstawy. Czy Galicya ma dane niezbędne dla rozwoju swej przemysłowości? Jest pod tym względem pewna dosyć ogólna ignorancja, zresztą, niestety, dosyć rozpowszechniona i u nas, odnośnie do rzeczy swojskich. Opinia rozważna i poważna coraz bardziej,



a w każdym razie nieustannie, nawołuje do poznawania swego społeczeństwa, swoich spraw. Przemysł w Galicyi, choć zapoznany, częstokroć niedoceniany, ale istnieje. Są nawet dosyć liczne gałęzie przemysłu, które za nierozzerwalne z gruntem uznać trzeba, mianowicie te gałęzie przemysłu, które przerabiają surowy produkt krajowy. Wobec tego wszelką zmianę na korzyść uprzemysłowienia uważać można za zmianę korzystną, bo nie opartą na zawodnych złudzeniach, ale na realnych podstawach.

Zanim jednak wejdziemy w szczegóły, dotyczące warunków życia poszczególnych gałęzi przemysłowych w Galicyi, postawmy pytanie ogólne: czy przemysł ten cofa się, czy też naodwrot wzrasta i w jakiej mierze? Rzecz ciekawa: nie ma cyfr. Rzecz to nietylko ciekawa, ale prawie niedouwierzenia: dotychczas nikt się jeszcze nie pokusił o zestawienie statystyczne obrazu wytwórczości przemysłowej w Galicyi. I stąd pochodzi, że na zapytanie to najsprzeczniejsze, bo zawsze tylko subiektywne, odpowiedzi otrzymać można. Jedni, zapaleńsi a optymiści przytem, twierdzą, że przemysł rozwija się niemal z dnia na dzień olbrzymio, drudzy nie widzą żadnego postępu. Zdaje się być słuszną, iż najbliższymi prawdy są ci, dla których pewien postęp na tem polu jest rzeczą dokonaną, ale którzy nie tają, iż postęp ten, od dziesięciu lat w łonie społeczeństwa dopiero istniejący, idzie nie-skończenie wolnym krokiem.

W tem jest sedno sprawy. Wzrost jest, ale niepomiernie wolny. Jaka więc przyczyna tego? Tu właśnie jądro całego zagadnienia.

Różne są ku temu powody. A naprzód, zazwyczaj, wysuwane bywają przyczyny niedostatków przyrodzonych kraju. Stało się to niemal oczywistą prawdą — bo fałsz zbyt często powtarzany nabiera czasem, jakby cech pewnej prawdy — że przemysł w Galicyi stnieć nie może prosto dla tego, iż Galicya nie posiada żadnych ku temu materiałów surowych. Utrzymuje się więc przekonanie, że bez cel ściśle protekcyjnych, odnoszących się wyłącznie do Galicyi, nie może się rozwinąć ten przemysł, który sztucznym i tylko sztucznym być może. A cóż dopiero jeśli uprzytomnimy sobie całą grozę faktu, — a ten istnieje — że Galicya przez Austryę nie za co innego, jeno za Hinterland, za rynek zbytu towarów austrackich jest uważaną!

Jednak idźmy nieco głębiej. Czy istotnie Galicya nie posiada surowców? Są surowce, pożyteczne bardzo w przemyśle, których Galicyi istotnie w znacznej mierze brak, tak np. brak żelaza. Ale za to po-

siada Galicya, jedyna ona na całym zachodzie Europy, nieobliczalne bogactwo nafty, posiada wielkie bogactwa drzewa, a oprócz tego obfitą produkcją rolniczą, która doskonale nadaje się do celów przeróbki przemysłowej, posiada wreszcie niewyżyskane a niezmiernie poważne siły motoryczne w spadkach rzek u podnóża gór wytryskujących. Wszystkie te jednak źródła bogactwa narodowego albo zgoła nie są wyżyskane albo niedostatecznie. Choćby np. owe siły motoryczne wodne, które przedstawiają dla przemysłu bogactwo znaczne, nie wyżyskane są zgoła. Dopiero w ostatnich czasach wyznaczono w Wydziale krajowym bajecznie małą sumę 10,000 kor. na przeprowadzenie badań w tym arcyważnym przedmiocie. A w skarbcu bogactw przyrodzonych Galicyi nawet ów tak nieoszacowany dla przemysłu, czarny dyament, węgiel kamienny, jak się zdaje, mógłby zająć miejsce wydatne.

Ale te przeszkody, któreby przyrodzonymi nazwać można, nie są zresztą jedyne. Wysuwany jest jeszcze cały szereg innych przeszkód mniej lub więcej prawdziwych. Naprzód, zależność ekonomiczna i polityczno-celna od innych terytoriów tej różnobarwnej mozaiki, jaką są Austro-Węgry. Nie ma, w rzeczy samej, obrony taryfowej produkcji przemysłowej; wszakżeż nawet na polu dostaw dla kraju współzawodniczą przemysłowcy z całego państwa, nieraz dzielnie wspomagani przez korzystnie dla siebie wyjednaną taryfę kolejową.

Galicya była i jest dla przemysłu austriackiego Hinterlandem. To było i jest—o tem dwóch zdań być nie może. Nawet środków skutecznych samoobrony tu niema. Wydział krajowy uwolnił wprawdzie nowopowstające zakłady przemysłowe od t. zw. dodatków autonomicznych, t. j. podatków na potrzeby kraju idących, ale więcej zrobić nie może,—co ma wpłynąć do kasy państwowej, wpłynąć musi, co ma uleść ogólnym ustawom austriackim, to ustawom tym ulegać musi. Jest to w pewnej mierze błędne koło, biegnące od wymagań centralistyczno-państwowych do lokalno-krajowych: i właśnie w poszukiwaniu wyjścia z tego koła, tak energicznie ostatnimi czasy chwycono się idei „wyodrębnienia Galicyi“. Stąd ta kołacząca się w bezpośrednim, organicznym związku ze sprawą uprzemysłowienia Galicyi, idea samodzielności Galicyi, i stąd do dziś jeszcze tak silnie w tym właśnie związku podnoszone hasło Smolki.

Nie posiada Galicya odpowiednio wyrobionych ludzi. Wszakżeż do życia przemysłowego potrzeba ludzi tęgiech duchowo, wykształconych technicznie, patrzących jasno, dobrych administratorów. Nie



posiada ich Galicya w dostatecznej mierze. Tak jest niewątpliwie. Ci, co się zagranicą technicznie kształcili, zwykle już do kraju nie wracają, bo nie mają pola; ci, co w szkołach krajowych uczą się wytwórczości przemysłowej, nie będąc jeszcze odpowiednią atmosferą przesiąknięci, mają zwykle jedno marzenie: zajęcie urzędu.

Nietylko jest brak ludzi—słyszymy—ale brak i kapitałów. Zbyt ogólnikowem jest takie twierdzenie. Kraj, gdzie przeciętną ceną pieniędzy jest norma 4%, nie może odczuwać braku kapitału. Kapitał jest, ale—i tu znowu błędne koło—nie jest jeszcze zaprawiony w ogniu życia przemysłowego, jest ociężały, nieruchawy, albo też zgoła leniwy. Banki, istniejące w Galicyi, tylko w nieznaczonej mierze odżywiają przemysł, po większej części kontentują się pożyczkami wyłącznie hipotecznymi, gdzie wszelka rzutkość z góry jest wyłączona.

Zresztą stosunki handlowe są na takim poziomie, że instytucje finansowe nie miały dotąd nawet pola do szerszego rozmachu. Handel galicyjski cierpi na zbyt wielką ilość pośredników o małej wartości moralnej. To z natury rzeczy utrudnia prawidłowe funkcjonowanie stosunków kredytowych. A pozatem na rynku, nietylko na rynku przemysłowym, ale i na rynku handlowym galicyjskim, cięży dotkliwie Austria. Stosunki handlowe austriackie zmieniły się w ostatnich czasach na niekorzyść Austrii. Toczyła się walka zacięta pomiędzy Niemcami i Austrią o zdobycie dla swego przemysłu i handlu państw Bałkańskich. Austria walkę tę przegrała. Gdy w r. 1879 udział w przywozie zagranicznym Rumunii wynosił 50% dla towarów austriackich, a 4% dla towarów niemieckich, dziś Rumunia z Austrii przywozi już tylko 20% ogólnego importu, a natomiast 34% z Niemiec. Wobec takiej przegranej--a cyfry podobne znaleźlibyśmy i w stosunku do innych państw na Bałkanach—przemysł i handel austriacki tem skwapliwiej zwrócił się do zawojowania rynków swego Hinterlandu: Galicyi.

I to jest faktem istotnie ważnym i uciążliwym, ale z zewnątrz pochodzącym. Gorszą jest przemiana, która trwa w łonie samego społeczeństwa galicyjskiego. Społeczeństwo zbiurokratyzowało się. Zjawisko to spozstrzegać się daje we wszystkich sferach. Wszakżeż marzeniem chłopca galicyjskiego, posyłającego syna do szkół, jest by syn jego został skromnym urzędnikiem państwowym, dyurnistą. Takie marzenia, względnie do sfer, wyższe lub niższe, są w całej niemal Galicyi na porządku dziennym. I żeby płynęły chociaż z ambicji, z duchowej potrzeby dojścia do władzy, w celu przeprowadzenia reform,

które się pożytecznymi być wydają. Bynajmniej! Dobijają się młodzi ludzie o urzędy jedynie dla tego tylko, że urząd spokojne bytowanie—powiedzmy szczerze: wegetowanie—zabezpiecza. Taki stan rzeczy, oczywista, nie może wpływać na wyrobienie się w młodej generacji hartu, przedsiębiorczości, energii; przeciwnie z konieczności wszelki rozmach w zarodku samym niweczy. Niema tego, cobyśmy nazwali, atmosferą przedsiębiorczości przemysłowej. W społeczeństwach, gdzie życie przemysłowe już jest, od najmłodszych lat dziecko słyszy w domu o tych walkach z niepowodzeniami, o tych radościach z powodzeń wynikłych, jednym słowem żyje w ogniu. To hartuje, zaprawia. W Galicyi tego niema—i znowu błędne koło—niema, bo nie może być, bo przemysł sam niedosyć jest rozwinięty.

Niema dostatecznego nastroju. Częstoć uważanym jest przemysł za hazard, za grę, za spekulację, częstoć brak jest zmysłu administracyjnego, częstoć odstrasza ją zdarzające się niepowodzenia, o których przyczynę nikt nie pyta.

Ot i obraz, szkicowo przedstawiający głębsze przyczyny wewnętrzne, dlaczego, pomimo wszystkiego, co dotąd działośo, chceć uprzemysłowić Galicyę, to znaczy targnąć się na zwycięstwo. Bo przezwyćzyć tu nietylko trzeba istniejący stan rzeczy, t. j. rozwinąć istniejący przemysł i stworzyć nowy, ale przemianę wywołać trzeba w nastroju samego społeczeństwa. Kroki, znowu znaczne, a zmierzające wprost do celu w obydwóch kierunkach, już zrobiono. Lecz, nim się temu przyjrzymy, zdajmy sobie sprawę ze stanu, w jakim ten przemysł galicyjski dziś się znajduje.

\*

\*

\*

„Zginiemy bez przemysłu—tak pisał niedawno jeden z wpływowych organów prasy galicyjskiej—marnieją siły ekonomiczne i społeczne tego kraju; jedyny, stary warsztat pracy—rolnictwo, w upadku, proletaryat rośnie, wzmaga się, ludność ucieka za granice kraju za zarobkiem, miasta w upadku, rękodzielnik w nędzy; w handlu zastój, kredyt hipoteczny zamknięty, banki dławią się własnymi papierami, straszne objawy upadku ekonomicznego grożą katastrofą w tym kraju. Zginiemy bez przemysłu...”



Czy Galicya jest zdolną do rozbudzenia życia wytwórczego? Czy ma ku temu dane przyrodzone? Bo jeśli pozbawiona jest źródeł życiowych, to na cóż tyle zabiegów i starań, które tylko wiecznem szamotaniem się pozostać muszą? A jeśli są ku temu dane istotne, przyrodzone, od życia samego nieodłączne, to wszakżeż w tych właśnie źródłach ożywczej krynicy szuka ten, komu dobro ogólne szczerze leży na celu. Tu, w tem przekonaniu możliwości dojścia do celu, czerpie się przecież zawsze i pobudkę, i hart, i moc do znoszenia przemijających zawodów. Przemijających, tak jest, bo zawsze co wieczne, to trwa.

Naprzód, w jakich warunkach jest przemysłowo przerabiana produkcya rolna? Nie jest Galicya wyłącznie par excellence krajem rolniczym. Produkcya zboża zdaje się nie wystarczać na miejscowe spożycie i tem tłómaczy się względnie znaczny napływ węgierskiego zboża. Spożycie to musi być znacznem, gdyż przeludnienie Galicyi jest faktem wiadomym, skoro zaludnienie 1 kilometra kwadratowego wynosi 81 głów. Gdy pod uwagę weźmiemy brak dla ludności zarobków przemysłowych, stanie się rzeczą naturalną owe ciągle uszczuplające ogólną ludność wychodźstwo robotnika zagranicę. Emigracya zamorska w ostatnich czasach zmieniła już kierunek: zamiast do Brazylii dąży do Ameryki Północnej. Ale istnieje i nie jest rzeczą małoważną: corocznie 50,000 do 60,000 ludności idzie za morze. Prócz tego istnieje jeszcze emigracya „sezonowa“ na czas robót polnych do Prus. Najbardziej emigracyi podlegają okolice Jasła, Kolbuszowy i Tarnobrzega.

Wszystko to: niedostateczność produkcji rolnej, względne przeludnienie i brak zarobków, zapewne jest przyczyną wychodźstwa. Ale zważywszy, że produkcya rolna Galicyi przez podniesienie kultury rolniczej, stojącej w Galicyi na wyjątkowo niskim poziomie, dużo niższym od poziomu kultury rolniczej w Królestwie, zwiększoną być znakomicie może. A nadto i zarobki przemysłowe znaleźć się mogą, z chwilą gdy produkcya cała, zwiększona, w kraju przerobioną na produkt spożycia zostanie.

Zacznijmy od chleba powszedniego, więc od młynarstwa. Jestto przemysł dawny bardzo i mający głęboko zapuszczone korzenie w ustroju społecznym Galicyi. Wielkich młynów, wprawdzie niezawsze doskonałych pod technicznym względem, posiada Galicya kilkadziesiąt o dosyć znacznej produkcji. Ale przemysł ten kurczy się od lat czterech; znajduje się mianowicie w uciążliwych warunkach od czasu zniesienia t. zw. „obrotu mlewa“. Obrót mlewa wprowadzonym

był w całym Państwie Austryackim w r. 1882. Polegał on na tem, że rząd zwracał młynarzowi cło pobrane za przywiezione zboże, o ile młynarz odpowiednią ilość mąki (70<sup>0</sup>/<sub>0</sub> przywiezionego zboża) wywoził zagranicę. Cel takiego rozporządzenia widoczny: danie zarobku młynom przez ułatwienie im możności konkurencji na rynkach zagranicznych. Prawodawstwo to w rzeczy samej dawało możność wywożenia mąki zagranicę, co wobec wyższej ceny na zboże wewnątrz kraju niż w Rosyi lub w krajach Naddunajskich, byłoby zupełnie niemożliwe. Obrót mlewa doszedł do rozmiarów olbrzymich w latach 1890 i 1891. Szczególniej korzystały zeń wielkie młyny peszteńskie i wogóle młyny węgierskie. Ponieważ dowód tożsamości nie był przy wywozie wymagany, Węgry wywoziły zagranicę mąkę poślednią lub zgoła nawet otręby roztarte, a całą ilość mąki ciężały na rynku, szczególnie austryackim. Prócz tego urzędy celne nie pobierały cła w gotowiznie, ale debitowały młyny, co następnie przez wywóz wyrównywać się miało. Wyrobił się z takiego stanu zwyczaj taki, że młyny węgierskie korzystały z tak dogodnego kredytu, nie zawsze kwapiły się z wywozem mąki, a w każdym razie spekulowały na rynku wewnętrznym. Wszystko to spowodowało głośny protest agraryuszy austryackich, do których, może zanadto pochopnie, przyłączyło się Koło Polskie. Rezultatem tych zabiegów było zniesienie (od 1 lipca 1900 r.) obrotu mlewa. Odtąd młyny galicyjskie są w stałym upadku, w położeniu bez wyjścia, niemają ani zatrudnienia, ani zarobków. Koło Polskie teraz dopiero, zbyt późno, spostrzegło się, jak niewłaściwem było przyłączenie się do żądań agraryuszy austryackich. Obrót mlewa w Galicyi bynajmniej nie mógł wpływać na niskie ceny zboża galicyjskiego, skoro produkcya zbożowa na potrzeby miejscowe niezupełnie wystarcza, natomiast mogły młyny istnieć, a to bezwarunkowo i dla rolnictwa i dla całokształtu stosunków gospodarczych niezmiernie jest pożądanem. Obecnie we Wschodniej tylko Galicyi, dokąd przywóz węgierskiej mąki jest kosztowniejszy, młyny jako tako utrzymać się potrafią, (dowodem tego istniejące młyny w Kołomyi) natomiast w Zachodniej Galicyi z upragnieniem oczekują młyny przywrócenia obrotu mlewa. Jestto obecnie ich *conditio sine qua non*.

Posiada Galicya 123 browary, które jęczmień i chmiel krajowy przerabiają. Niektóre z tych browarów są olbrzymich rozmiarów; do nich należą takie, jak browar p. Götza Okocimskiego w Okoście, który piwo eksportuje nawet za morze, dalej browar w Żywcu „polskiego“ arcyksięcia Karola Stefana, browar akcyjny „Krasieczyn“, pięć browarów akc. towarzystwa Lwowskiego i in.



Sytuacja browarnictwa galicyjskiego od chwili wprowadzenia nowego prawa propinacyjnego, jest względnie dobra, chociaż podczas minionego kryzysu finansowego również i Związek znaczniejszych browarów doświadczył dotkliwego przesilenia. Jak wiadomo, rząd skupił od poszczególnych właścicieli prawo propinacji i sam propinacje osobom postronnym wydzierżawia. Naturalnie browary nie zaniechały w okolicach sobie przyległych wziąć w dzierżawę propinacje, gdzie wyłącznie swoje piwo sprzedają. Są to jakby monopole regionalne. Ale ustrój propinacyjny dzisiejszy gaśnie w r. 1910. Jak się następnie ukształtują stosunki, przewidzieć niepodobna. Już dziś drobniejsze browary przewidując możliwość ciężkiego stanu rzeczy, krzątają się około stworzenia syndykatu producentów piwa. Zabiegi te jednak rozbijają się o trudności faktyczne, jak np. znaczny import do Galicji piwa pilzeńskiego, oraz przywóz niższych gatunków piwa, śląskiego i morawskiego, jak piwa Ołomunieckie i Karwińskie, które z syndykowania się browarów galicyjskich korzyści ciągnąć nie ośmięskają. Zresztą browarnictwo galicyjskie pod względem fiskalnym ma trudniejsze warunki bytu niż w całej Austrii z powodu znacznych dodatków autonomicznych (na potrzeby kraju) lub lokalnych (np. specjalne dodatki podatkowe w Krakowie i Lwowie), co się zaś tycze techniki, to, przyznanem to jest powszechnie, browarnictwo galicyjskie stoi na ogólnym wysokim poziomie. Przyczynia się do tego znakomicie jęczmień krajowy wyborowy, oraz doborowa produkcja chmielu. Nadmienić tu jeszcze należy, iż chmiel galicyjski tak jest piękny, iż wywożony zostaje w znacznej ilości do Czech, skąd pod marką znaną zateckiego chmielu rozchodzi się na kraj cały. Czesi jednak żądają bardzo natarczywie ograniczeń bezwzględnych dla chmielu galicyjskiego w tym przedmiocie.

Z kolei słów kilka o gorzelnictwie. Cała produkcja okowity jest skontyngentowaną przez rząd, to znaczy, że wyznaczono każdej gorzelnii odpowiedni kontyngens produkcji rocznej. Produkcja tak skontyngentowana w całej Austrii, łącznie z Galicyą, wynosi 1,027,000 hektolitrów okowity. W kontyngencie tym Galicya zajmuje przodujące miejsce, gdyż produkuje rocznie prawie połowę okowity całej Austrii, bo około 500,000 hektolitrów. Takie ustosunkowanie kontyngentu jest niewątpliwie zasługą posła Dawida Abrahamowicza.

Owa znaczna ilość półmiliona hektolitrów okowity jest produktem prawie wyłącznie względnie drobnych, rolniczych gorzelnii, których posiada Galicya około ośmiuset. Prawie wszystkie usadowiły

się w Galicyi Wschodniej. Wielką, kapitalistyczną gorzelnię ma Galicya jedną tylko. Stan taki spowodowany jest przez ustawodawstwo podatkowe, galicyjskie, faworyzujące gorzelnie rolnicze. Ale myliły się, ktoby szukał w tak znacznej produkcji okowity oznak bezwzględneho rozkwitu gorzelnictwa w Galicyi. Gorzelnictwo rozwinęło się w Galicyi więcej niż w innych krajach Austrii, dlatego przedewszystkiem, że cena kartofli jest tam niższą niż gdzieindziej. Przy cenie przeciętnej około 2 do 2½ koron za cetn. kartofli opłaca się pędzić okowitę, natomiast przy cenie płaconej za kartofle w Czechach i Morawie, 4 koron za centnar, produkowanie okowity nie przedstawia korzystnego rachunku. Ale nie dosyć tego. Gorzelnictwo galicyjskie, ogólnie biorąc, jest wprawdzie dobrom poważnym, ale nie daje zysku tyle, ile, normalnie, dawać powinno. Prócz pięciu<sup>1)</sup>, z których trzy są nader niewielkich rozmiarów, nie posiada Galicya rektyfikacji. Niemal cała produkcya okowity galicyjskiej rektyfikowaną jest na Zachodzie, głównie przez wielkie firmy, mające swą siedzibę w Wiedniu, Czechach i na Ślązku<sup>2)</sup>. Od zmów owych wielkich, dziesięciu firm zależą ceny okowity w Galicyi. Kontrakty, zawierane zwykle wczesną jesienią przez firmy wiedeńskie, oznaczają cenę stosownie do ceny wiedeńskiej w terminie dostawy. A taktyka rektyfikatorów tych polega właśnie na obniżaniu ceny w czasie dostaw, tak np. w listopadzie roku zeszłego w ciągu kilku tygodni obniżono ceny z 42 koron za hektolitr do 35 koron. Równa się to stracie 3½ mil. koron dla Galicyi. Myślą rolnicy galicyjscy o poprawie swego losu w tym względzie. Powstała myśl urzędzenia wspólnemi siłami trzech rektyfikacji: w Stanisławowie, Tarnopolu i Sokalu. Przerazili się tem potentaci wiedeńscy i zwołali naradę w celu zabrania w ramy syndykatu rektyfikacji i produkcji okowity. Dotąd jednak ani narady rolników, ani narady Wiedeńczyków do żadnego pozytywnego skutku nie doprowadziły. Zresztą kontyngent Galicyi upływa w połowie bieżącego roku. Zanim więc

---

1) Rektyfikacye większe: Baczewskiego i Sprechera we Lwowie, oraz mniejsze: Kapelasza w Brodach, Perlbergera w Wieliczce i hr. Potockiego w Łańcucie.

2) Firmy te są: Wilhelm Graver w Opawie, Adler i Syn w Neutitschein, Malburg w Smiric (w Czechach), Franciszek Brosche i Syn w Wiedniu, M. Fischla Synowie w Pradze, Tow. akc. raf. spir. w Kolinie, Mauthner w Wiedniu, Girardelli & Stern w Wiedniu, Fraenkiel w Bielsku.



o dalszych losach rozwoju tego przemysłu myśleć będzie można, trzeba się będzie zakrzętać by mu dać znowu możliwość życia.

W każdym razie sprawa gorzelnictwa jest niezmiernie w Galicyi ważna, również i z tego względu, że przed przemysłem tym, zdaje się, otwiera się obecnie nowa przyszłość od czasu, gdy zaczęto używać spirytusu w celach technicznych i motorycznych, jako światliwa i paliwa. Wszakże Niemcy na cele te zużywają cztery razy więcej niż cała Austria, a przecież w Niemczech jeszcze maksimum spożycia w tym kierunku nie zostało osiągniętem. A oprócz tego, z rozwojem gorzelnictwa związana jest w Galicyi sprawa rozwoju fabrykacji wódek. Przemysł ten obecnie jest niezmiernie rozwinięty, fabrykatami swemi zaopatruje nie tylko całą Austryę i Węgry, ale znanym jest i na rynku wszechświatowym.<sup>1)</sup>

Przejdźmy do sprawy cukrownictwa. W dłuższym referacie, wypowiedzianym na zebraniu Galic. Tow. Gospodarskiego <sup>2)</sup> wyraził się prezes Towarzystwa przemysłu cukrowniczego, ks. A. Lubomirski, że cukrownictwo to przemysł, który „stałby się zbawieniem wielkiej części a nawet całego kraju, przemysł którego stworzenie powinno stać się pierwszym punktem krajowego ekonomicznego programu”. Galicya jedna jedyna, choć otoczona krajami o względnie nawet nieco gorszej glebie, podwzględem kultury buraków, stoi wśród nich pustką prawie zupełną. Jeżeli wziąć za podstawę do porównań jedne Morawy tylko, to Galicya mając trzy razy tyle gruntów podatnych pod doskonałą uprawę buraków, powinna mieć 165 cukrowni. Gdybyśmy wzięli pod uwagę choćby tylko wewnętrzne spożycie cukru w Galicyi to i wówczas Galicya powinna mieć znakomicie więcej cukrowni, skoro rocznie dotąd za 8 mil. koron (bez podatku) cukru przywiezionego z ościennych krajów austriackich spożywała.

Lat temu z górą trzydzieści, w r. 1870, posiadała wprawdzie Galicya pięć cukrowni: Tłumacz, Łańcut, Pisarzowice, Uście i Sędziszów; niemniej jednak wskutek przyczyn różnych, wskutek braku

---

<sup>1)</sup> Do znaczniejszych firm fabrykujących wódki należą między innymi nast. firmy: Arcyksiążęca fabryka w Izdebniku, T. A. Baczewskiego we Lwowie (Zniesienie), Romana hr. Potockiego w Łańcutcie, hr. Drohojowskiego w Bolanowicach, trzy w Lipniku: Adolfa Fraenkla, Jakóba Grossa, Murycego Reicha i in.

<sup>2)</sup> Dn. 23 marca 1901.

plantacyi buraczanych, nieodpowiednio zorganizowanego zbytu cukru oraz wadliwej administracyi, fabryki te istnieć przestały. Najdłużej ostał się Sędziszów, który następnie przez fabrykę przeworską kupionym został.—Brak przemysłu cukrowniczego dotkliwie dawał się we znaki. Uwydatniła to szczególnie i wyraźnie ankieta przeprowadzona w r. 1894 pod przewodnictwem ks. Andrzeja Lubomirskiego w łonie Towarzystwa gospodarskiego odbyta. Zakrzężnięto się szczerze: założono cukrownię w Przeworsku, opartą na kapitałach wyłącznie krajowych, przeważnie okolicznych plantatorów buraków. Trwoga opanowała rafinerów austriackich: oni mieliby stracić, kto wie, może nazawsze dogodny a poważny rynek Galicyjski? wszakże Galicya konsumuje około 250,000 cent. metr. cukru rocznie, a więc 8<sup>o</sup>/<sub>100</sub> spożycia całej Austrii?<sup>1)</sup> Nigdy! Przenigdy! Padło słowo, a za niem miał iść—i poszedł—czyn. Należało przedewszystkiem mieć oręż w ręku. Nastręczył się sam. W r. 1895 wielka Cukrownia „Chropin“ na Morawach upadła z deficytem 15,200,000 koron. Nikt nie byłby się o nią troszczył. Ale wielkim rafinerom austriackim potrzebna była broń dla walki konkurencyjnej: kartel rafinerów kupuje Chropin.

Przed samym założeniem fabryki Przeworskiej cukrownictwo było przedsiębiorstwem zyskownem: cukier na wywóz osiągał cenę 16 fl. Ale oto zaraz po wybudowaniu Przeworska obniżono cenę do 11 fl. Było to pierwsze rozczarowanie. A prócz tego niezaniebdał Chropin użyć wszelkich, nie przebierając wcale, środków, by zniszczyć fabrykę, która rafinerom odbierała faktyczny monopol rynku. Bronić się musiał Przeworsk. Chodziło przedewszystkiem o otrzymanie jaknajwiększego kontyngentu cukru w związku cukrowni, jaknajpoważniejszego głosu. Wprawdzie przyznano fabryce Przeworskiej 25,000 cetn. metr. cukru w ogólnym kontyngencie; było to jednak zamało. Wówczas, po dwu latach istnienia, kupuje Przeworsk cukrownię Sędziszowską, przez co powiększa, z wysiłkiem wielkim, kontyngent swój do 48,782 cent. metr.. Ale i tego nie dosyć. Walczyć można tylko z równie udoskonaloną bronią. W czwartym roku istnienia powstaje w Przeworsku wielka i znakomicie zmontowana rafinerya, a gdy Przeworsk obecnie otrzymał techniczną administracyę tęgą i energiczną—idzie już prosto po zasłużone laury. A sprawa ta jest już zwycięstwem.

---

<sup>1)</sup> Cf. art. „Przeworsk i Chropin“ w zbiorze p. t. „Przedruki z dzienników krajowych o cukrownictwie.“



I to nietylko zwycięstwem w Galicyi, ale i na Bukowinie. Od lat kilkunastu na Bukowinie rząd i społeczeństwo samo, wszyscy, pragnęli postawienia cukrowni. W tym celu nieskończoną ilość razy zwracano się do rafinerów wiedeńskich porady, wskazówki. Rząd Bukowiński chętnie przeznaczał na ten cel subwencję, a nawet znaczny bardzo „fundusz religijny“. Ale nie było w interesie grupy Chropińskiej budować sobie konkurenta. Przez lat kilkanaście pod różnemi pozorami zwłóczono. Aż wreszcie ks. Andrzej Lubomirski, porozumiawszy się w imieniu Towarzystwa Przeworskiego z posłem Stefanowiczem i baronem Mustatzy'm buduje cukrownię w Żuczce, pod Czerniowcami. Wówczas Chropin znowu nie przebiera w środkach i intrygach. Grozi budową konkurencyjnej fabryki: wszakżeż, gdy na Morawach zachciało się jednemu z obywateli budować cukrownię i mury już nawet wyprowadził, nie zaniechało towarzystwo Chropińskie zacząć budować tuż naprzeciw swoją cukrownię, aż wreszcie przestraszony i pieniądze ulaskawiony przedsiębiorca zaniechał budowli, a dziś stoją w tem miejscu, na Morawach, mury zaczęte naprzeciw siebie, jakby dwa pomniki chropińskiego zwycięstwa. Nie zapomniano o tem. Ale nie uląkł się Przeworsk. Cukrownię w Żuczce postawiono, przeznaczając cukier z tej fabryki do rafinowania w Przeworsku—a tuż obok, o niespełna 13 kilometrów, choć w obrębie czterystu kilkudziesięciu kilometrów nie ma cukrowni, chropińczycy postawili cukrownię w Łużanach. Odtąd agitacja wre. Wre pomiędzy plantatorami, o których zdobycie chodzi, wre i pomiędzy konsumentami, bo o zdobycie rynku chodzi, co szczególnej wagi nabrało od chwili uchwalenia konweny brusselskiej. Walka trudna, bo Chropin posiada znaczne fundusze, oraz mając Łużany i Tłumacz, nie szczędzi nakładów: ale też ze strony atakowanej nie szczędzi energii ks. Lubomirski i jego kreacya centralny Związek fabryczny.

Tyle o przemysłowej przeróbce produktów rolnych w Galicyi. Teraz o innych materiałach surowych. Wprawdzie nie posiada Galicya żelaza, ale posiada drzewo, węgiel i naftę. Słów kilka o każdym.

Obszaru leśnego posiada Galicya 1,954,570 hektarów, ztąd wynika, że lasy pokrywają prawie 25% całego obszaru. Bezwzględnie biorąc znać to musimy za obszar znaczny w porównaniu do Zachodu szczególnie; zważywszy jednak gęstość zaludnienia oraz okoliczność, że na jednego mieszkańca przypada zaledwie 0,27 hektara lasu, nie można uważać za pewnik utartego przekonania, iż Galicya jest krajem *par excellen-*

ce lesistym<sup>1)</sup>). Nie mniej jednak jest to bogactwo bardzo znaczne, skoro wywozi rocznie Galicya 70,000 wagonów, czyli 1,050,000 metrów sześć. drzewa użytkowego, oraz około 10,000 wagonów, czyli 150,000 metr. sześć. drzewa opałowego. Odbiorcami przeważnie są Niemcy, Austria, Morze Czarne i Wschód<sup>2)</sup>). Z tak olbrzymiej cyfry wywozu nie należy jeszcze wniosku wyprowadzać o znacznym przyroście drzewa. Owszem, gospodarstwo leśne, pomimo nawet dosyć surowego przestrzegania przez b. namiestnika, hr. Pinińskiego, wymagań ustawy leśnej (datującej od r. 1852), było prawie do ostatnich czasów w zaniedbaniu. Wysyłano co lepsze drzewo, niszczone lasy. Przyrost roczny zdaje się nie przenosić ogółem 6,000,000 metr. sześć. w czem zapewne mieści się 2,400,000 metr. sześć. użytkowego i 3,600,000 opałowego. A ponieważ dla uzyskania 1,050,000 metr. sześć. towaru, przydatnego do wywozu, trzeba zużyć 2,500,000 surowca, przeto wniosek wypływa, iż Galicya wywozi w stosunku do przyrostu obecnego za wiele, tem bardziej, że i na potrzeby swoje zużywa zapewne około 1,500,000 metr. sześć. drzewa użytkowego. Nie idzie zatem, by wywóz ten tak znaczny, i dziś u szczytu stojący, zmuiejszyć należało; trzeba tylko zaprowadzić wszędzie rozsądną gospodarkę leśną, ku czemu zresztą poważne już porobiono kroki. W każdym razie drzewo jest. Nadaje się ono do wywozu, ale jednocześnie nadaje się ono, szczególnie w miejscowościach leśnych, do użytku opałowego pod kotły w zakładach przemysłowych.

Najwięcej może zaniedbaną, stosunkowo do istotnej wartości, jest podobno eksploatacja węgla kamiennego w Galicyi. Ułożenie węglowe Galicyi jest częścią wielkiego śląsko-morawsko-polskiego zagłębia węglowego. Warstwy węglonośne są w niektórych miejscach tuż pod samą powierzchnią: na przestrzeni 125 kilom. pod Jaworzmem, Niedzieliskami, Szczakową, Sierszą-Mysłachowicami, w okolicy Filipowia, Tenczynka, Rudna i w kilku mniejszych miejscowościach. W wielu miejscach formacja węglowa jest w dość znacznej głębokości. Nakrycie to, stanowiące głębokość, pod którą znajduje się węgiel, składa się, stosownie do miejscowości, z warstw permskich i tryaso-

<sup>1)</sup> Dane te czerpiemy z referatu p. Maryana Malaszyńskiego, wypowiedzianego na I-ym zjeździe przemysł. w Krakowie. Vide „Pamiętnik zjazdu“, str. 37 -- 42.

<sup>2)</sup> Rok ubiegły szczególnie był korzystnym dla galicyjskiego przemysłu drzewnego wobec tego, że pamiętny orkan zwałił i zniszczył na Śląsku około 5 milionów kubików drzewa.



wych, a następnie Jura tworzy nakrycie, oraz flysz karpacki (na południe od Wisły) i warstwy trzeciorzędne młodsze.

A produkcja? Jest po prostu minimalna, stosunkowo do takiego bogactwa. Produkuje Galicya rocznie około 13 milionów cetn. metrycznych węgla, pomimo, że węgiel galicyjski jest względnie dobry, a nawet w niektórych miejscowościach nadaje się do koksovania. Zapewne nie jest to węgiel najlepszy. Wiadomo, że węgiel karwiński posiada 6,885 kaloryi, gdy pokład „Adam” kopalni Tenczyńskich daje 5,739 kaloryi. Lecz nie zapominajmy, że i węgiel śląski z kopalni Mysłowickiej posiada tylko 5,977 kaloryi, a więc jest do tenczyńskiego zbliżony.

Naturalnie, głównie powiat Chrzanowski, jako wysunięty najbardziej na Zachód, jest poważnym węglą siedliskiem. Tu znajduje się gwarectwo Jaworzyńskie, będące własnością wiedeńskiej firmy Guttmanów, oraz kopalnie Sierszy i pod Krakowem kopalnie Tenczyńskie Andrzeja hr. Potockiego. Dwa te gwarectwa, Jaworzyńskie i Sierszyńskie, produkują łącznie przeszło 10 mil. cetn. metr. Wiele fabryk okolicznych, jak np. browar p. Goetza w Okocimiu, korzystają prawie wyłącznie z węgla miejscowego. Cały szmat ziemi od Sierszy, Jaworzna, aż do Zachodniej granicy, nie jest dotąd eksploatowany. Natomiast jeden z finansistów skupuje tereny, nosząc się z myślą założenia towarzystwa akcyjnego dla eksploatowania tych bogactw.

Znajduje się jednak nieco węgla i we wschodniej Galicyi, co jest rzeczą względnie bardzo mało znaną, a niezmiernie dla przemysłu ważną. Przedewszystkiem istnieje formacja węglonośna w okolicach Kołomyi i Śniatyna w Dzurowie i Myszynie. Jest to wprawdzie węgiel brunatny, znajdujący się na głębokości około 60 metr. i mający warstwy około 50 cent., oraz względnie małą ilość kaloryi (około 5,000). Są to te właśnie kopalnie, które w tragedyi Szczepanowskiego tak ważną a smutną rolę odegrały. W błąd wprowadzono Szczepanowskiego — przedsiębiorstwo runęło. Kopalnie nabyła Kasa Oszczędności, i wkrótce odprzedała p. Lityńskiemu, który produkuje obecnie około 3,000 wagonów węgla rocznie i zbyt chętny znajduje na miejscu. Prócz tej kopalni, posiada jeszcze Galicya na wschód, około Rawy i Złoczowa, kopalnie węgla niższego (około 4,000 kaloryi), należące do Romana hr. Potockiego: Glińsko, Potylicz, Skwarzawa. Wreszcie w ostatnich czasach pod samym Złoczowem znaleziono węgiel, w okolicy górzystej, a więc ułatwiającej eksploatację, gdyż zamiast szybami, można eksploatować sztolniami, co się daleko taniej przedstawia.

Nafta jest niewątpliwie największym bogactwem Galicyi, a jednak od niedawna, bo dopiero od czasów Szczepanowskiego racjonal-

nie i na wielką skalę jest eksploatowaną. Wprawdzie już w r. 1816 Józef Herder zaczął u siebie, w Truskawcu (pod Drohobyczem), dystylować naftę, wprawdzie później, w latach 1856 — 1857, Ignacy Łukaszewicz przyczynił się do rozwoju tego przemysłu, ale dopiero od chwili, gdy Szczepanowskiemu geniusz przedsiębiorczy zabrał się do dzieła, trysnęła nafta, i odtąd szerokiem płynie strumieniem. Szerokiem strumieniem—bo nie należy zapominać, że na świecie całym trzecie miejsce zajmuje Galicya pod względem produkcji nafty, że nigdzie na Zachodzie Europy żaden kraj nafty nie posiada, że, wreszcie, produkcya jej w Galicyi obecnie waha się około 60,000 wagonów rocznie, a ponieważ spożycie całych Austro-Węgier wynosi 45000 wagonów, przeto 15000 wagonów nafty galicyjskiej wywozi się poza Austro-Węgry. A przemysł ten bynajmniej nie ulegnie zmniejszeniu. Owszem, przypuszczać słusznie można, iż produkcya nafty zwiększoną być może. Na wzrost wielki tej produkcji niewątpliwie ma wpływ znaczny wysokie cło ochronne, które od r. 1893 uniemożliwia przyływ nafty amerykańskiej i rosyjskiej do Austro-Węgier. Czy zyskują na tem krajowcy? Zyskują, niema wątpliwości, ale nie tyle, ileby zyskiwać powinni. Zyskuje robotnik, bo znajduje pracę na miejscu, ale nie zawsze dorabia się kapitał polski, bo zaledwo połowa szybów jest w posiadaniu polskiem, a bardzo nieznaczna ilość dystylarni nafty w całym państwie należy do polskich kapitałów. Są wielkie firmy które dysponują rynkiem i zbierają krocie—ale firmy te są obce. Tak np. znanem jest towarzystwo akcyjne „Karpackie“, będące w rękach wielkiego amerykańskiego bogacza Mac Garvey'a. Zresztą, posiadanie szybów naftowych usuwa się z rąk polskich. Od czasu, gdy nafta galicyjska weszła na rynek wszechświatowy, dwaj wielcy przedsiębiorcy, Mac Garvey i Dawid Fanto, z pośpiechem skupują tereny, przez co posiadanie polskie zmniejszyło się w ostatnich latach o 30%. A prócz tych dwu posiadaczy obcych wymienić jeszcze trzeba t. zw. Bankverein, czyli związek Banków, do którego należą Deutsche Bank, Standard Oil i w. in., wiedeński Credit Anstalt i in. Z polskich właścicieli wymienimy Galicyjską Kasę Oszczędności, która nabyła po Szczepanowskim szyby naftowe i takowemi administruje, lecz o ile wiemy, po nieudanych próbach zainteresowania kapitałów polskich, zmuszoną była temi dniami odstąpić je nabywcom zagranicznym.

Dystylowanie nafty nie daje miejscowej ludności takich zysków, jakieby dawać mogło i powinno. Wprawdzie z 80 rafinerji istniejących w Austrii, 60 posiada Galicya, ale pomimo to zaledwo czwarta część nafty podlega destylowaniu w granicach Galicyi, co dowodzi, że są to rafinerje drobne, nie przysposobione do walki. A produkcya



nafty najlepiej się opłaca — i opłacać się jedynie może — o ile prowadzoną jest na wielką skalę. Wprawdzie istnieje związek producentów surowca i rafinerów, znany pod nazwą „Petrolea“, ale jest on przeważnie w obcych rękach. Producenci polscy muszą zrzęścić się i zdobyć się na wystawienie wielkich rezerwoarów, jeżeli chcą dysponować rynkiem. Przygotowania w tym kierunku czynią się już: pertraktuje już Bank Krajowy z Towarzystwem Magazynowem. Ale przyszłość i zatrzymanie nadal w rękach polskich tej niesłychanie ważnej gałęzi wytwórczości od zespolenia zabiegów polskich producentów zależy.

Nie posiada Galicya żelaza, a pomimo to posiada przemysł maszynowy. Nie jest to jednak przemysł na szerszą rozwinięty skalę. Wprawdzie zakładów mechanicznych było w Galicyi w 1898 r. 64; są to jednak zakłady nieznaczne. Jedynie tylko fabryka Towarzystwa akcyjnego w Sanoku oraz fabryka p. Zieleniewskiego w Krakowie są większych rozmiarów. Wyratowanie swe z trudnego położenia, w jakim lat temu kilkanaście się znajdowała, zawdzięcza fabryka Sanocka interwencji Banku Krajowego, który w chwili przełomu zaliczył fabryce 1½ miliona koron.<sup>1)</sup> Dziś administrowana wzorowo fabryka Sanocka nietylko umarza straty, ale daje nawet akcyonaryuszom dochody. Fabryka krakowska również rozwija się pomyślnie. Obydwie te fabryki opierają się głównie na istnieniu w kraju taniej robocizny oraz węgla; natomiast surowiec sprowadzać muszą z Witkowic na Ślązku. Skartelowanie w Austrii poszczególnych gałęzi wytwórczości mechanicznej w rzadkich wypadkach ułatwia istnienie i rozwój tego przemysłu w Galicyi: w największej ilości wypadków powoduje ciężkie nieraz walki konkurencyjne, tem cięższe, że kartele austriackie posiadają kapitały i często nie przebierają w środkach. Niemniej jednak produkcya maszyn i narzędzi rolniczych ma wszelkie warunki rozwoju przed sobą: znane są sieczkarnie fabryki Bredta, pługi Faranowskiego w Podhajcach, dobrocią swoją przewyższające nawet pługi Shuttlewortha.

Tkactwo koncentruje się w Białej. Jestto centrum fabryczne niemieckie. Niemniej jednak Niemcy ci w znacznej ilości, w przeważnej nawet liczbie, poczuwają się względem Galicyi do pewnych obowiązków społecznych, ogólnych. Istnienie więc tego przemysłu w Białej, społecznie biorąc, za objaw pożądany uważać należy, chociaż surowy produkt, wełna, przeważnie nie jest galicyjską, gdyż rolnictwo w Galicyi, wełny prawie nie produkuje. Produkcya tkacka galicyjska

---

<sup>1)</sup> Kapitał akcyjny wynosi 2 miliony koron.

ma zapewniony zbyt na Wschód. Jestto przemysł względnie dosyć znacznie rozwinięty, skoro jedna fabryka Zippsera zatrudnia około 2,000 robotników. Prócz tych większych zakładów niemieckich, są jeszcze rozsiane po kraju zakłady drobniejsze, jak w Żywcu, w Kątach, w Rakszawie (własność Tow. akc. dla wyr. tkackich) w Łańcucie, i inne. Przemysł bawełniany również jest na drodze do znacznie-szego rozwoju. Wydział krajowy uchwalił subwencyę 300,000 koron na tkalnię bawełnianą. Powstało kilka projektów założenia szkół zawodowych: zamierzonym jest założenie szkoły takiej w Krośnie, gdzie ludność od niepamiętnych czasów—czego dowodem nazwa sama—krośnami się po dziś dzień zajmuje. Prócz tego Władysław hr. Zamoyski pragnie rozwinąć ten przemysł w Słotwinie i, wreszcie, istnieje projekt skorzystania z subwencji krajowej w celu rozwinięcia tkactwa bawełnianego w Andrychowie. Projekt ten jest bardzo dobrze pomyslanym, gdyż Andrychów znajduje się w zachodniej części Galicyi sąsiadując niemal ze zniemczoną Białą; byłaby to więc przeciwwaga w Galicyi inwazyi elementu niemieckiego z Białej, inwazyi która coraz bardziej się rozszerza.

Przebiegliśmy w ogólnych zarysach warunki rozwoju niektórych ważniejszych gałęzi przemysłu galicyjskiego. Z tego już obrazu wniosioskować możemy jedno: przemysł jest. Ale, z konieczności rzeczy, nie mogliśmy przedstawić całokształtu wytwórczości. Bo ileż jeszcze drobniejszych z pozoru, a niezmiernie ważnych gałęzi przemysłowych w Galicyi naliczyłby można! Znanym przecież jest doskonały stan przemysłu papierniczego w Galicyi. W Białej i Czańcu istnieją znakomite fabryki masy drzewnej, papier nadto produkują hr. Zamoyski w Zakopanem i p. Jakubowicz w Rajczy, wreszcie znanym jest papier t. zw. „czerpany“ p. Lipińskiego w Karaiewicy, oraz papiery „urzędowe“ p. Koliszera w Czerlanach. Przytem rozwinęła się na dużą skalę produkcya tutek cygaretowych, która w znacznej ilości zaspakaja potrzeby austriackiego monopolu tytoniowego. Zaznaczyć jeszcze należy, że nieskończenie ważną, kto wie nawet, czy w przyszłości nie najważniejszą rolę posiada i mieć będzie dział konfekcyi wszelkiej, a więc tej produkcji gdzie ręka ludzka przeważającą gra rolę.

Tu słów kilka o drobnym przemyśle, bo zeń w tym względzie soki ożywcze czerpać należy. Nie będziemy tu mówić o przemyśle wyrobów z drzewa, który, jak dobrze wiadomo, rozwinięty jest tak znacznie na całym Podkarpaciu. Wspomnijmy tylko o takim ośrodku drobnego przemysłu jak Wiązownica, gdzie staraniem ks. Czartoryskiej cała ludność zabrała się do rozumnej produkcji drobnej, nie



przeszkadzającej bynajmniej robotom polnym. Godzi się podnieść wielką w tej sprawie zasługę czcigodnej księżnej Jerzowej Czartoryskiej, która nietylko osobiście wraz z córką nie szczędzi zabiegów dla udoskonalenia techniki i smaku tych wyrobów wśród swego włościanstwa, ale potrafiła nawet uczynić je popularnemi w Wiedniu i wyrobić dla nich szeroki zbyt w stolicy państwa. Kilimy, a nawet ornaty wiązownicze na wystawie zeszłorocznej we Lwowie powszechną uwagę zwracały. Wspomnijmy o związku powroźników w Radymnie, o produkcji kapeluszy w Myślenicach, zorganizowanej już na większą skalę przez ks. Kazimierza Lubomirskiego, o kapeluszach słomkowych w Morawicy, wreszcie o makatach i kilimach, które w tym roku na wystawie wiedeńskiej wszystkich poprostu w zachwyty wprawiały. Rzeczą jest charakterystyczną, że makaty i kilimy tem są piękniejsze i wzorzystsze, im bardziej się na wschód posuwają; widocznie ludność tamtejsza, większą domieszkę krwi wschodniej mająca, kocha się w barwach wyraźniejszych. Na zachód idąc barwy szarzeją. Najpiękniejsze są kilimy w Buczaczu, hr. Oskara Potockiego, gdzie ludność jest wyraźnie tatarskiego pochodzenia.

\*

\*

\*

Hinterlandem Austrii jest Galicya. Widzieliśmy to w rozpatrywaniu każdej niemal gałęzi przemysłu galicyjskiego. „Nawet naturalne bogactwo kraju, obfite źródła naftowe—pisze prof. Głębiński<sup>1)</sup>—stają się dla nas groźną klęską ekonomiczną wskutek naszej niemocy, dezorganizacji i zawisłości od obcego przemysłu, od obcej polityki przemysłowej. Kraj w sercu Europy, mający faktyczny monopol produkcji nafty i wosku ziemnego, upada pod ciężarem tego monopolu, rzesze robotników tracą chleb, zarobek, a rząd centralny rozważa chłodno polityczne korzyści ewentualnej „koncesyi“ w tej sprawie na rzecz Koła polskiego“.

Nie wchodzimy tu w roztrząsanie sprawy wyodrębnienia Galicyi, nie będziemy tu przypominali dziejów tej sprawy od chwili, gdy Paweł Popiel pisał słynną naówczas broszurę, gdy Helcel i Lubomirski rozwijali poglądy ustroju federacyjnego, gdy mniejszość konserwatywna krakowska na Sejmie z r. 1867 w uchwale z dn. 2 marca

---

1) Cf. „Idea samodzielności a finanse Galicyi“, str. 5.

sprawę tę zatwierdzała i znalazła się w mniejszości pomimo poparcia demokracji Smolki—samo zarysowanie tej sprawy, znanej zresztą, zaprowadziłoby zadaleko. Tu stwierdzimy tylko, że wyodrębnienie polityczne Galicyi poprzedzić powinna emancypacja ekonomiczna kraju. Ale oto znowu błędne koło: wyzwolenie gospodarcze bez wyodrębnienia politycznego natrafia na przeszkody tak wielkie, że przewyciężenie ich nieraz niemożliwem się zdaje.

Jednak duch idzie i czyni. Przed samym zebraniem Sejmu w październiku r. z. pisano w jednym z pism lwowskich. „Dział produkcji przemysłowej występuje w tym roku wobec sejmu z podwyższonemi znacznie żądaniami, opartemi na naturalnym rozwoju akcji popierania przemysłu, zainicyowanej już przez reprezentację krajową dawniejszemi uchwałami sejmowemi a nadto wynikającemi z ogólnego nastroju, jaki w kwestyi uprzemysłowienia kraju od niejakiego czasu wybitnie się objawia“.

Tak jest—jest nastrój, który w „kwestyi uprzemysłowienia kraju od niejakiego czasu wybitnie się objawia“. Otóż zawsze i wszędzie zasługą było i jest danie ogólnemu nastrojowi formy konkretnej, pożądanej a pożytecznej. Taką zasługą jest powołanie do życia w d. 1 wrześ. r. z. „Centralnego Związku Galicyjskiego przemysłu fabrycznego we Lwowie.“ Prezesem związku jest ks. Andrzej Lubomirski, dyrektorem bar. Battaglia.

Czego związek chce? Jakie ma widoki? Jak dotąd szedł? Do czego dojdzie?

„Celem towarzystwa (tj. związku) jest przestrzeganie wspólnych interesów przemysłu krajowego, a przede wszystkim systematyczne reprezentowanie wszelkiego rodzaju interesów przemysłu fabrycznego, spełnianie wobec swoich członków funkcji organu doradczego, zarówno w kierunku technicznym jak i komercyjnym, regulowanie kwestyi robotniczej z równorzędnem uwzględnieniem interesów pracodawców i robotników; dążność do stworzenia, względnie podniesienia zbytu naszych wyrobów, zarówno w kraju jak i poza krajem przez trwałe utrzymywanie stosunków w rozmaitych centrach handlowych; badanie warunków poszczególnych gałęzi przemysłu i ewentualnie inicjatywa do zakładania nowych lub rozszerzenia przedsiębiorstw przemysłowych; wreszcie zabieranie w ogóle głosu w wszelkich kwestyach, obchodzących nasz przemysł i handel krajowy.“<sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> art. 2 Statutu.



Szeroki zakres, nieprawdaż? A środki finansowe? każdy członek obowiązany jest do wnoszenia wkładek stosownie do płaconego podatku zarobkowego <sup>1)</sup>. Dziś do związku, choć zaledwie liczy kilka miesięcy istnienia, należy już 176 członków, opłacających przeszło 26,000 koron. Summa niewielka, a jednak, jak zobaczymy, dorobek kulturalny już znaczny, może właśnie dlatego, że Związek szerokie zakreślił sobie zadania.

Opinia publiczna, odczuwając w powstaniu „Związku“ rzecz wielkiej wagi społecznej, powitała sprawę tę godnie i szczerze. „Centralny związek galicyjski przemysłu fabrycznego wprowadza do naszego życia element zupełnie nowy, wyższego ustroju — pisał „Dziennik Polski“ w kilka dni po założeniu Związku <sup>2)</sup> — zbliżający nas o duży krok do krajów z wyższą kulturą ekonomiczną. Tam związki takie istnieją wszędzie oddawna, a dobroczynny ich wpływ na indywidualne, nawet drobne interesy przemysłowców jest tak wielki i powszechnie uznany, że niema prawie fabryki, któraby do nich nie należała. Że jednak nasz związek nie jest ślepem naśladownictwem zagranicznych wzorów, tylko wytworem własnych potrzeb i sił, tego dowodzi przede wszystkim fakt, że tak długo potrzebowaliśmy na niego czekać. Zastał on już grunt tak dalece przygotowany, że na pierwszą wieść o jego powstaniu, stanęły do apelu wszystkie najważniejsze firmy kraju, a lista członków wydziału pierwszemi błyszczała nazwiskami. Biuro Związku, ledwie otwarło swe podwoje, jest już zavalone ogromem spraw pierwszorzędnej doniosłości“.

A co dotychczas działośo? Zdziałośo już przez czas tak krótkiego, bo zaledwie kilkumiesięcznego istnienia, bardzo wiele. Naprzód dzielnie przoduje Związek cukrowniom polskim, Przeworskowi i Żuczce, w walce z Chropińczykami. I chociaź Chropińczycy zarzucali rynki, ze stratą swojā, cukrem, po cenie, po jakiej Przeworsk nawet nie był w stanie odstępować produktu swego engrosistom, doszedł Związek przez nawoływania ciągłe do tego, że ogół nie chce innego cukru kupować, jak tylko cukier przeworski! Dawno — może nigdy jeszcze — nie widziany u nas fakt solidarności. A skutek jest ten, że gdy w poprzednich latach Przeworsk sprzedawał na rynku galicyjskim co najwyżej 490 wagonów cukru rocznie, w tym roku umieścił 1,270 wagonów. Ogół zaś konsumentów ofiar nie poniósł, bo

1) Minimum dla płaćących podatku od 500 do 1000 koron wynosi 100 koron rocznie, maximum dla płaćących powyżej 10,000 koron wynosi 800 koron.

2) Vide „Dziennik Polski“ z d. 8 kwietnia 1903 r.

różnicę ceny pokryć musieli engrosiści, nie zaś spożywcy, a ci musieli być dobrze wyćwiczeni i wiedzieli, czego chcą, skoro engrosistom oprzeć się umieli. Wiedzieli, czego chcą — a w życiu publicznem to cnota, ponad którą niewiele cnót góruje.

Ale jeszcze ciekawszym jest fakt inny. Kartele austriackie producentów wyrobów żelaznych postawiły sobie za zadanie zabicie fabryki żelaznej Sanockiej. Obniżono dla konsumentów galicyjskich ceny za rury i inne przedmioty żelazne do niesłychanie niskiego poziomu. Oczywiście, Sanok nie mógł ponosić takich strat i po tak niskiej cenie produkować nie był w stanie. Wdał się w tę sprawę „Związek”. Przez umiejętną agitację dokonał tego, że wszystkie gminy galicyjskie poczyniły znaczne zamówienia swoje nie w fabrykach austriackich, ale w fabryce Sanockiej, choć oferty tej fabryki znacznie były droższe. Jest to już po prostu dowód wielkiej dojrzałości społecznej: nie oglądając się na chwilową oszczędność, zrozumiały zarządy gminy, że przez zabicie Sanoka wprowadziłyby do kraju konkurenta, który w przyszłości nie omieszkałby odbić w dziesięćkroć ofiary, poniesione chwilowo w celu pozbycia się niewygodnego konkurenta.

I tak działa Związek w każdej gałęzi przemysłu. W sprawie gorzelniczej wytwórczości dąży obecnie do założenia wielkiej instytucji, któraby uwolniła producentów okowity od supremacji austriackich rafinerów; w sprawie kopalnictwa przedsięwziął Związek energiczną działalność na korzyść węgla krajowego; w sprawie młynarstwa domaga się przywrócenia obrotu mlewa; dalej domaga się jak najszybszego upaństwowienia kolei północnej, a to z tego głównie względu, że towary ze wschodniej Galicyi wysyłane do Austrii, wchodząc za Krakowem w sieć kolei północnej, już nie korzystają z dalszych ulg strefowych, lecz nowej taryfikacji ulegają, i t. d.

Wyliczyćby nawet się nie dało całego tego ogromu prac i zabiegów Związku. Bo oprócz niezliczonych memoriałów do władz, reklamacji, porad technicznych — a wszystko są roboty rzeczowe, konkretne — jest jeszcze cała dziedzina działalności, którąby duchową nazwać można. Społeczeństwo uczyć trzeba, trzeba utrzymywać pewien nastrój. Ku temu służą ciągle wiece przemysłowe, ku temu służą założone kosztem prezesa Związku biuro reklamy wyrobów krajowych, ku temu służą wreszcie ciągle przezeń urządzane wystawy „przeglądowe”. Trzeba pokazać naocznie społeczeństwu, co ma — to jest zadaniem takich wystaw, odbywających się po całym kraju. Niedawno jeszcze odbyły się takie wystawy w Brzeżanach, Gorlicach, Tarnowie, w Krośnie, w Krakowie, obecnie w Samborze, a oprócz tego już w dziewięciu innych miasteczkach projektują się podobne wy-



stawy. A niezaleźnie od tego, urzřdza juź Zwiřzek wędrownie wystawy wzorów.

Zwiřzek nie śpi. Działa konkretnie i trzeźwo, gdzie działać trzeźwo potrzeba; działa gorączkowo tam, gdzie nastrój utrzymać potrzeba. Jestto pierwsza w tym rodzaju, z tym impetem, z tą celową świadomością prowadzona robota, mająca na celu zogniskować praktycznie wszelkie warstwy pracy przemysłowej w Galicyi.

Przyczyniać się do wzmacniania świadomości celowej pracy, to znaczy siać zdrowe ziarno, to znaczy przysparzać sił, a gdy jest moc, wówczas jest i wytrwanie i pożyteczny plon.

Tej zboźnej pracy szczęść Boże!

HENRYK RADZISZEWSKI.

# Z cyklu: Życie.

---

## I.

Proch ziemi — w ziemi mam kres.

Nie pójdę dalej

Poza Dolinę łez.

Choć mi się serce spali

Od żarów pożądania

Synajskich szczytów

I światła mórz,

Syn bólu, syn poznania,

Syn bladych ziemi świtów

I ziemi wzgórz,

Nie przejdę za nic

Własnych mych granic,

Nie przejdę Doliny łez!

Tu mi jest dan

Pracy mej łan,

Tu mego dnia użątek

Po siewaczach z prawieka...



Tu i mój siew,  
Dla niezrodzonych żeńców,  
Co z prochu mogił wezmą twarz człowieka,  
I z chłodu mogił wejdą w życia wrzątek.

Tu jest i bój,  
I tryumf mój,  
I moja pieśń zwycięska,  
I kwiaty moich wieńców.  
Tu moja klęska,  
I moja krew!

Zamknion jestem sam w sobie,  
Jak w dożywotnim grobie...  
Zamknion jestem w otoku,  
Z którego mi — ni kroku...  
Zamknion z moją rozkoszą,  
Zamknion z moją rozpaczą,  
A wichry mnie ponoszą,  
A burze mnie kołaczą...

Biegnę, padam, powstaje,  
Przez dróg splątanych wątek,  
Przez obłądne rozstaje,  
Przez piekła i przez raje  
Wracam — gdzie mój początek.  
A mój początek ten:

— Rozbity gwiazdny sen,  
Sen w odrzugi rozbity,  
Zaniecający świty,  
W prochach, co dawno były,  
I śmierci sen prześniły,  
I leżą — martwe pyły...

A mój początek ten:  
-- Wicher, co lata -- hen,  
I niesie w chaos dziki,  
Śmiech, klątwy i okrzyki,  
Omdlenia, spazm niemocy...  
— Wicher, co w dzień i w nocy,  
Jak furya zapieniona,  
Ciska życia nasiona,  
Nie dbając, kędy padną.  
Na szczyty, albo na dno.

W czasie poczęty,  
W przestrzeni zakłęty,  
Ja — proch -- rzucony  
W zrodzenia, w skony,

Ja — żywy pył  
Zmartwiały brył,  
Ja proch — w prochu mam kres.



Nie przejdę za nic  
Posępnych granic  
Doliny łez!

. . . . .

Ja — duch — wyjdę bez szwanku  
Z krwawego szranku,  
Wyższy o życie jedno,  
O jeden zacios w słońce,  
Wylecę nad bezedno,  
Rozwieję piór mych końce  
W jutrzennność wiecznych zórz...

Jak gołąb z Arki stropu,  
Wylecę z wód potopu  
Na jasne Araraty,  
Gdzie słońce słońce promieni,  
Tam spocznę — duch skrzydlaty.

Jako srebrne łabędzie  
Przepłynę skrós krawędzie  
I czasu, i przestrzeni,  
I własnych wichrów, burz...  
Ze krwi wyjdę i z wojny,  
Na ocean spokojny,  
Po którym cicho żeglują wszechświaty.

Dla mnie jest zbudowana  
Jakóbową drabiną,  
Co w prochu się poczyna,  
A idzie w wieczne światło.  
Przez ból, przez łzy,  
Przez wizye prorocze,  
Przez śmierci sny,  
Przez sny globowe,  
Przejdę, przekroczę  
Własną ośnowę,  
A nie zostanie po mnie na powietrznym szlaku,  
I tyle drzenia, ile po przelotnym ptaku.

Nad życia krzyki,  
Nad życia noc,  
Przez własną moc  
Wylecę wzwyż  
I wielkie skrzydła nad ziemię uniosę,  
I z piór otrząsnę krwawą istnień rosę,  
I światłolity  
Rozchwieję puch,  
I w boże świty  
Wstąpię — ja — duch!



# GDZIE ARNO PŁYNIE.<sup>1)</sup>

## IV.

W niedzielę Wielkanocną wszystkie muzea nawet we Florencyi zamknięte; wybraliśmy się tedy wszyscy po nabożeństwie i drugim śniadaniu do sławnego miasteczka, położonego na jednym ze wzgórz, otaczających tokańską stolicę. Tylko pani Helena została w hotelu, nie wiem z jakiego, ale z pewnością z jakiegoś bardzo cnotliwego powodu, a z tego wyniknął ten skutek, że kiedyśmy siedzieli na tarasie, przed Badią, czyli starem dominikańskim opactwem we Fiesole i z tamtąd patrzyli na górzystą i sielską dolinę Arnu, panna Mania była ożywiona i wesoła, z czego znów wszyscy byliśmy bardzo radzi.

Widok z tego tarasu jest istotnie śliczny, a miasto Florencyja ze swojemi kopułami i wieżami wygląda, jak jakiś klejnot, najprędzej jak jakiś ogromny, a misternie rzeźbiony agat, wśród oprawy zielonych gór i gajów. A rzecz to ciekawa; trudno o miasto, w któremby z bliska było więcej okazałych, potężnych gmachów, wielkich kościołów i pałaców, w któremby więcej rzeczy wydawało się być raczej dziełem tytanów, niż ludzi; a z daleka stąd, z Fiesole, albo z przeciwnego San Miniato znika wszystko, prócz jedynej katedry, i całe miasto wydaje się niewielką przybudową do ogromnej świątyni, poświęconej św. Maryi Kwietnej. Nawet *Palazzo Vecchio* ze swoją zuchwałą, szczerbatą wieżą i wielkie *Palazzo Pitti*, zbudowane z ogromnych, nieociosanych, spiętrzonych na siebie głazów, maleją nikczemnie wobec owej marmurowej góry, olbrzymiej kopuły, jaką Brunelleschi dźwignął nad florencką katedrą. Ta kopuła tworzy środek krajobrazu i tak dalece oczy ku sobie ściąga, że widok na dolinę Arnu, mimo niezmiernej różnorodności szczegółów, tworzy tak klasycznie

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt styczniowy, str. 1;—lutowy, str. 278.

jednolitą całość, jak mało co innego na świecie. To też i nasza rozmowa wracała ciągle do tej katedry, w której panie nasze sumy wysłuchały. Wszystkie były tym kościołem zachwycone.

Pani Jadwiga najwymowniej spowiadała się ze swego zachwytu:

— Żaden gmach na świecie tak mnie swoją potęgą nie uderza, jak ta katedra, ilekroć spojrzę na nią, wychodząc z *Via del Proconsolo* na *Piazza del Duomo*. Wtedy okrągły ogrom kopuły wyrasta przedemną z otoczenia mniejszych półkopulek, jakby jakiś osobny planeta, który stanął nagle wśród miasta i całe otoczenie swoje obrócił w niwecz samym swoim majestatem. Gdy potem obchodzę dokoła olbrzymią nawę, bywam olśniona bogactwem zewnętrznej powłoki kościoła, hojnością wielobarwnych marmurów, któremi ogromne wyłożono ściany, misternością rzeźb, gzemów i mozaik po oknach i portalach. Podziw ten wzrasta jeszcze, gdy stanę pośrodku, pomiędzy starą, ośmiokątną chrzcielnicą a frontem katedralnym. Takiej wspałałości, takiego bogactwa, jak na fasadzie katedralnej, nie widziałam chyba nigdzie, a dzwonnica Giotta, która się obok fasady dźwiga, to doprawdy klejnot niezmiernie kosztowny, a nad wyraz wzięcznie wytoczony, i słusznie mawiał cesarz Karol V, że tę dzwonicę należałoby schować do pudełeczka od brylantów. Kiedym to wszystko po raz pierwszy ujrzała, wyobrażałam sobie, że dopiero we wnętrzu kościoła roztoczy się przed moimi oczyma wprost jubilerskie bogactwo, że tu dopiero ujrzę profuzyę kamieni drogich i rzeźb rozmaitych, wobec której zbledną nawet wnętrza katedry Sienneńskiej i bazyliki świętego Pawła w Rzymie; i bałam się, że tego bogactwa będzie nadto wiele, że nie da myśli zebrać, że nie pozwoli na modlitwę. Gdy przeto przestąpiłam progi kościelne, aż wstrząsnęła mną nagość naw olbrzymich, białych sklepień i filarów, wszelkiej prawie pozbawionych ozdoby. Zrazu nie mogłam się opamiętać. Weszłam w jakiś zmrok przezroczysty, pełen potęgi nadludzkiej; w miarę, jak postępowalam dalej, wzmagala się jeszcze ta potęga i rosła wciąż, aż nareszcie stanęłam pod kopułą i owiało mnie tchnienie, już nie potęgi, tylko wszechmocy Bożej. Uczułam się sama w obliczu swojego Stworzyciela i zrozumiałam, że to właśnie taki kościół, jaki być powinien. Na zewnątrz bogactwo i okazałość świadczą, że to świątynia Pańska i wołają wiernych wołaniem donioślejszem od odgłosów dzwonów; na wewnątrz niema już nic, prócz Boga i nic, co by od myśli o Bogu oderwać mogło.

— A przecież—zawołała Mania—ja tam od tych murów nagich, oczu swoich oderwać nie mogłam; każdy ostrołek, każdy filar, każde murów zagięcie, ma dla mnie jakiś wdzięk niewysłowiony. Nie rozu-



miem się na tem, ale zdaje mi się, że doskonałe, matematyczne kościółka proporcye, bardziej jeszcze działają na duszę od ogromu budowy, że wszelkie ozdoby byłyby tu dlatego nie na swoim miejscu, byłyby wprost grzechem, ponieważby piękność architektonicznych linii przerywały. Tego zdania od nikogo nie słyszałam, nigdzie nie przeczytałam, ale zdaje mi się, że ten kościół, to najdoskonalsze arcydzieło budownictwa chrześcijańskiego.

Zygmunt, który był po imieniu z Manią, jako ze swoją krewną, nie śmiał się wprost ciotce sprzeciwić, ale teraz odezwał się ze zdaniem, odbiegającym daleko od podziwu, wyrażonego przez panię, i taką oto krytykę katedry florenckiej wyrecytował bez zająknięcia się, powtarzając uczone wywody i zdania przeczytane, które go własnego pozbawiały sądu:

— Tej katedry podziwiać nie wolno. Wywarła na tobie ogromne wrażenie; mnie także imponuje ogromem i siłą, a na wewnątrz przenika grozą, skłania do modlitwy; są jednak tacy, którzy powiadają, że na zewnątrz wygląda, jak ogromna posadzka, sztorcem postawiona, albo jak olbrzymi piec kaflowy, że na wewnątrz jest odrażająco zimna i naga. To są wrażenia osobiste, podmiotowe — przepraszam za wyrażenie, ale lepszego nie znajdę — to rzeczy gustu, o które, jak wiadomo, nie uchodzi się spierać. Ale podziwiać wolno tylko dzieło sztuki, nie to, które nam się przypadkiem podoba, tylko to, które jest istotnie piękne, a zatem prawidłowo postawione. Tej katedrze tego przyznać bezwarunkowo nie można; i owszem, jest stękiem grubych błędów architektonicznych. Postawiona bez przypornc, nie przedstawia rozczłonkowania ani na fasadzie, ani na powierzchni naw, a ubóstwo architektoniczne, jednostajność nużącą pokrywa malowniczym raczej, a nie budowniczym efektem wzorzystych marmurów i płaskorzeźb. O efekcie i rozczłonkowaniu architektonicznym jest tylko mowa u wschodniego końca kościoła, dokoła kopuły, właśnie od strony *Via del Proconsolo*. Ale tu, jakkolwiek wykonano budowę imponującą i majestatyczną, podeptano wszystkie zasady struktury gotyckiej; sam pomysł tej ogromnej kopuły jest rażąco herezyą, a cóż powiedzieć dopiero o okrągłych oknach i muszlach renesansowych, które pomieszczono w górnych częściach kościoła? Cała ta budowa na zewnątrz przedstawia takie pomieszanie pojęć, że trudno powiedzieć, czy mamy przed sobą gmach gotycki, czy też renesansowy? Na wewnątrz mrok modlitewny i powszechnie ostrołukowe sklepienia głoszą, że tu chodzi o gotyk. Skoro o tem wiemy, dopiero niczego chwalić nie możemy. Słupy za daleko od siebie rozstawione; łuki, sklepienia zanadto szerokie; okna nazbyt rzadkie i nazbyt małe — wcale nas nie zmuszają do tego, abyśmy wzrok

i myśl ciągle ku górze kierowali, wzlatywali nieustannie duszą do Boga, do którego nam dolecieć nigdy niepodobna. A tego się od gotyckiego kościoła domagam.

— Tak jest — rzekła na to pani Jadwiga — przyznaję, że się w tym kościele nie zrywam do nieskończenia tęskiego lotu, jak w niektórych niemieckich i francuskich katedrach. Ale zato, kiedy stanę przed tutejszą kopułą, mam wrażenie, że sam Bóg zstąpił do mnie na ziemię i że ja, marne ludzkie stworzenie, spoczywam już na łonie jego nieskończonej wszechmocy. Może być, że ty, będąc młodym i pragnąc walki, wolisz się nieustannie zrywać do tego, czego wiesz, że nigdy nie dopniesz. Mnie miłsze miłosierdzie Boga, który się ku mnie skłonił, nie tracąc nic na swoim majestacie, który mnie objął ogromem swoim i który mnie darzy pokojem. W tamtych północnych tumach czuję niepokój, czy też kiedy Boga znaleźć potrafię? W katedrze florenckiej przenika mnie pewność, że Bóg jest, że go już posiadam.

Odezwałem się teraz: — Widzisz, panie Zygmuncie, tym samym prawem i posługując się zupełnie podobnymi argumentami, jak te, które pan użyłeś, gdyś odmawiał artystycznej wartości katedrze florenckiej, można skrytykować z kretesem te katedry północne, które pan w myśli tutejszemu tumowi przeciwstawiałeś, a mianowicie katedrę kolońską, taką, jaką profesorowie dziewiętnastego wieku wykończyli, według recepty powszechnie w Niemczech przyjętej. Słyszałeś już w tej chwili z ust swojej ciotki, że w tumach północnych dusza szuka niespokojnie Boga, a znaleźć go nie może, i to byłby zarzut najdonioślejszy i najistotniejszy, dający się w pełni tylko do kościołów niemieckich zastosować, a rzucający bardzo ciekawe światło na ustrój ducha rasy germańskiej. Na tem jednak nie kończy się bynajmniej, i dla ilustracyi obejdę się równie bez miłosierdzia i z katedrą kolońską, jak się pan obszedłeś z tutejszym tumem. Po wiem, że fasada kolońska, to dwie zupełnie jednakowe wieże, niby osłe uszy, albo rogi olbrzymiego ślimaka, połączone z sobą nieorganicznie, wcale nie murem, tylko dwiema dziurami, bramą i ogromnem oknem nad bramą osadzonem. Te dwie wieże przeszkadzają sobie w dodatku nawzajem; dlatego, że jest ich dwie równych, żadna z nich nie wydaje się na prawdę wielką, a ponieważ są zupełnie jednakowe, przestają być wytworem bujnej wyobraźni artysty, a są prozaicznym dziełem jakiejś fabryki, wyrabiającej akuratnie wieże katedralne na obstalunek. Zresztą, w całym tumie nie znajdziesz nigdzie prawdziwego muru, czegoś, coby było architekturą i całością; oko widzi same tylko szczegóły filigranowe, mogące bawić dziecko lub prostaka i widz nie rozumie, po co te szczegóły tak, a nie inaczej,



ustawiono? Same tylko dziury i ramy naokoło tych dziur. Przypomina się powiedzenie, że kto chce zrobić obwarzanek, ma wziąć dziurę i tę dziurę oblepić ciastem, a Vasari pisał w szesnastym wieku, że takie barbarzyńskie kościoły wyglądają, jak budowy nie kamienne wcale, lecz papierowe. Na zewnątrz katedra kolońska, zewsząd przepornicami otoczona, wygląda, jak ogromny pająk, któryby zamiast ośmiu nóg, miał nogi niezliczone; na wewnątrz, to olbrzymia szklarnia, i trudno pojąć, jak to się trzymać może? Na to, aby architekturę tę kuglarską zrozumieć i podziwiać, trzeba dopiero posłuchać wykładów technicznych, które wytłómaczą, jak mądrze te kamienie ułożono, chcąc olbrzymią postawić łamigłówkę; wtedy się dowiemy, że to wszystko obmyślone, że każdy gzems, każdy kamień tu koniecznie potrzebny, że jak jeden szczegół zabierzesz, zarysuje się całe sklepienie. Ale o tem dowiesz się dopiero, tego przenigdy nie zobaczysz; — tak samo, jak się możemy o tem dowiedzieć, że wszystkie szczegóły w arcystuczny nowożytny społeczny mają swoje przeznaczenie i na całość oddziałują, choć widzimy i czujemy, że to same luźne jednostki i kupki jednostek, choć się zdaje ustawicznie, że to społeczeństwo, to wóz, do którego w ten sposób mnóstwo koni zaprzęgnięto, iż każdy koń w inną ciągnie stronę. Tak mógłbym skrytykować katedrę kolońską i tak gmachy gotyckie odsądzać istotnie od wszelkiej estetycznej wartości przez parę wieków, kiedy sądzono każdy budynek podług norm obowiązujących w budownictwie włoskiem. Pan tak samo skrytykował katedrę florencką, domagając się koniecznie, aby wyglądała tak, jak północny tum gotycki. To zupełnie tak samo, jakbyś pan chciał piękność panny sądzić podług tego, czy jest podobną do konia pełnej krwi. Nie prawdziż, iż pan byś się wtedy, wydał sobie nieskończenie śmiesznym? Prawie równie śmiesznym jest estetyk Niemiec, choćby się nawet Burkhardem nazywał, kiedy chce do tutejszego tumu przystosować miarę północnego gotyku, kiedy to coś całkiem odmiennego, to kościół w stylu tokańskim postawiony i najpiękniejszy ideał tokańskiego kościoła. Równie śmieszną, przyznaję to bez ogródek, była krytyka tumu gotyckiego na północy, którą przed chwilą wygłosiłem. Piękność klasyczna i romantyczna mają każda w swoim zakresie równe prawa, a ludzie na mglistej wychowani północy, przyzwyczajeni od wielu pokoleń do marzeń nieokreślonych wśród długich zimowych nocy, są niezawodnie zdolni klasyczną piękność podziwiać, tworzyć jej może nigdy nie potrafią, a wyrazem ich duszy najwymowniejszym, wruszającym także południowca, byle nie miał uprzedzeń, będzie fantastyczność nieuchwytna sztuki romantycznej, której doskonałym wzorem północny kościół gotycki — taki przynaj-

mniej, jaki powstał istotnie w średnich wiekach. Bo złą uczyniono przysługę niejednemu staremu tumowi, a przede wszystkim może katedrze kolońskiej, gdy gmach za dawnych czasów niedokończony, wybudowano według planu i systemu, usnutego przez metodyczną naukę nowożytną. Krytycznie i systematycznie wywnioskowano z różnych, jednakowo niedokończonych budowli, jakie średnie wieki nam pozostawiły, ideał wspólny, do którego wszyscy budowniczo wie starzy dążyli, którego jednak nigdzie nie ziszczone w zupełności. Niemiecki tedy naród i królowie pruscy w napadzie retrospektywnej a ciężko uczonej romantyki, znamiennej dla większej części minionego stulecia, wybudowali katedrę kolońską do końca, ziścili średnio-wieczny ideał za pomocą kapitałów nowożytnych i nowożytnej techniki — i nie mało się radowali swoim dziełem. Z całą powagą nauki kazano narodom podziwiać i posłuszne narody, zrazu przynajmniej, podziwiała potulnie; aż nagle uczuły, że zamiast cudownego, starego budynku, postawiono kolosalną maszynę nowożytną, że sporządzono coś nakształt fałszywych brylantów i fałszywej koronki, że nie wykończono, ale zabito, zniszczono starą, romantyczną katedrę, której zabytki przychodzi teraz z trudnością odszukać wśród niesmacznie metodycznej, uczonej, niezdolnie wykończonej i niejasnej łamigłówki murów nowożytnych. Urokiem wszelkiej romantyki jest niewykończoność, dążenie do jakiegoś wspaniałego celu, tak wielkiego, że go osiągnąć nie może, tęsknienie za dobrem, którego dopiąć nie zdołamy. To uczucie wyrażają pędzące w górę i w ciemność filary kolońskiego tumu, a dzięki mrokom świątyni, wrażenie wnętrza tego kościoła nie zostało ze wszystkim zatarte i po nowożytnej przebudowie. Na zewnątrz cały urók znikł. Nie jest to przypadek, że nigdy wszystkich wież wielkiej średnio-wiecznej świątyni nie wybudowano do końca. Podług ideału miało ich być trzy; dwie z przodu, po obydwu stronach portalu, a trzecia, tak zwana sygnatura, nad samym środkiem kościoła. Zazwyczaj żadnej nie doprowadzano do końca, wszystkie drażnią tylko wyobraźnię, każą jej bujać gdzieś pod obłoki, a co najwięcej, jedna tylko sterczy wyniosłe i wydaje się przeto ogromną i nieprzebrane fantastyczną; tamte, niegotowe, wzywają widza, aby je wybudował w myśli. Gdzieniedzie tylko stoją przy murach kościelnych strojne przypornice, których konstrukcyjne znaczenie nauka nowożytna przesadziła śmiesznie; tych kilka przypornic, tu i owdzie z dachu wychodzących, mniejsze wieżyce, ogromne, w posągi strojne portale, przerwane i porzucone przed wiekami nawy, malownicza gmachu nieregularność, każą się domyślać planu mądrego, zamiarów nadludzkich i w najrozkoszniejszą wprawiają zadumę. Ręka świętokradzka, przeszłowieczna tę zadumę odegnała



spróbowała nedorzeczenie ideał misterny zamienić w rzeczywistość, przedobrzyła, stworzyła coś przeładowanego, nieprzejrzanego, którego ogrom jednak nigdy snom wyobraźni nie dorówna. W Kolonii nie darowano nawet sygnaturze, a że w miejscu, gdzie stać powinna, żadne się nie mogły ostać mury, nie wahano się postawić — o zgrozo! — sygnatury żelaznej, wieży blaszanej, która całe średniowieczne marzenie w najprozaiczniejszą zamienia prozę. Oby się tak nie stało z całym nowożytnym postępem, z cywilizacją niesłychanie sztuczną, którą się narody dzisiejszej Europy tak dumnie ponad wszystkie inne narody i ponad całą przeszłość wynoszą! Niewykończona, choć tak zawiła i sztuczna, do najbujniejszych uprawnia nadziei. Ale niechaj dzieło industrializmu, krytycznej nauki i podziału pracy będzie dookończzone i pod bezpiecznym dachem — jak tego chcą przedewszystkiem socjaliści, a bodaj czy się wszystkie marzenia w najokropniejszej nie zaprzeczają prozie, bluźniącej dziejom, tak jak tumowi staremu bluźni owa blaszana wieża, przypominająca niemiłosiernie dach na dworcu kolejowym, nawoływanie konduktora i tłumoki śpieszących się podróżnych.

Tu odezwał się zawsze zgryźliwy profesor:

— Sąd, wypowiedziany przez pana Zygmunta, jest echem nauki niemieckiej. Nie winię wcale pana Zygmunta za to, że to echo wydał z siebie; inaczej stać się nie mogło, skoro jest poważnym młodzieńcem, który się dopiero uczy, samoistnego sądu więc naprawdę wydawać nie może. Ale boleję nad tem, że tak być musi, że w całym naszym społeczeństwie, najdojrzałsi nawet i najpoważniejsi ludzie, tak mało posiadają narodowej samodzielności, że powtarzają na oślep niemieckie sądy. Gdy o to chodzi, czy jaka katedra jest piękną, rzecz to wreszcie błaża, która mało na losy społeczeństwa i na rozwój cywilizacji wpłynąć może — choć i tu należałoby zauważyć, iż Niemcy uwłaczają florenckiej katedrze w tym tylko zamiarze, aby własne wzmódz poczucie narodowe, wmawiając w siebie, że najpiękniejsze świątynie chrześcijańskie znajdują się w Niemczech i są dziełem niemieckiego wyłącznie ducha, ubóstwianego obecnie w sposób systematyczny a zgubny, pod egidą i z rozkazu rządu pruskiego. Ale jeśli się nam w tem nawet nie godzi chodzić na oślep, na niemieckim pasku, o ileż gorzej, że we wszystkich sprawach naukowych, a i tam także, gdzie chodzi o nauki filozoficzne i społeczne, wywierające wpływ potężny na całą duszę narodu — nie umiemy odróżnić tego, co jest w Niemczech wynikiem sumiennych, samoistnych badań od tego, co się twierdzi *ad usum delphini*, z rozkazu dworu Poczdamskiego, a na zgubę naszą; nie umiemy tego zrozumieć, że nie tylko cały naród niemiecki poddano mustrze pruskiego kaprała, że ten sam los spotkał

także niemiecką myśl protestancką, a więc tę, która na nas jedynie wpływ wywiera, skoro dotąd tak mało wiemy o ruchu umysłów katolickich w południowych Niemczech. Pierwszem naszym zadaniem powinno być umysłowe oswobodzenie z pod ciasnego a obłudnego jarzma dyscypliny pruskiej, której się udało tak dalece poniżający wpływ na własnym wywrzeć narodzie, że nawet w sprawach nauki rozstrzyga polityczna komenda, że w Niemczech, i w Niemczech jedynie na całym świecie, tytuł i ranga doktora, profesora, radcy dworu, albo tajnego radcy, mają istotne znaczenie, rozstrzygają o powadze uczonego, a nawet literata i artysty.

— Nie pojmuję tego — rzekła na to pani Jadwiga — dlaczego panowie tak bardzo wygadujecie na tę karność niemiecką? Przepraszam, ale miewam wrażenie, jakoby się u panów odzywały resztki naszych anarchicznych nałogów, odziedziczonych po przodkach. Wszak nas brak karności gubił i gubi; wszakżeż widzę ciągle, jak niepodobna prawie nas skłonić do wspólnej, zorganizowanej, a jedynie skutecznej pracy, jak owszem każdy się Polak wysila żeby drugiemu Polakowi przeszkadzać, wynajdywać w nim śmieszność, usterki w jego dziełach i jak marnujemy tym sposobem czas i ludzi. Dziękowałabym Panu Bogu, gdybyśmy istotnie wpływowi niemieckiemu ulegli i nabyli niemieckich zalet, których u nas brak taki oplakany, poważania dla uznanej powagi, wdzięczności dla zasługi, a u starszych i zasłużonych, chęci popierania usiłowań młodego pokolenia. Potrzeba nam przywłaszczenia sobie zalet niemieckich nie tylko tam, gdzie chodzi o świat cywilizacyi, o naukę, w której Niemcy zdobyli dziś podobno bezsprzecznie przewodnie dla siebie miejsce, właśnie wskutek owej karności i metodyczności, na którą panowie wyrzekacie, ale także w rzeczach poziomych i powszednich. Czyżby nam się nie przydała owa akuratność kupiecka, dzięki której Niemcy bogacą się teraz tak szybko, a której u nas i śladu niemasz, niestety? Czyż niepowinnibyśmy nauczyć się drobnostkowego niemieckiego ochędóstwa, rzeczy drobnej na pozór, a jednak uszlachetniającej życie i przyuczającej wszystkich domowników do akuratnego wypełniania obowiązków? Czyż wreszcie karność i pokora pewna wszystkim Niemcom właściwa, nie nadały niemieckiej rodzinie tej powagi, której nigdy się dość nadziwić nie mogę, ilekroć zajadę do jakiego zakątka północnych Niemiec. Drezno naprzykład wywiera na mnie niezmierny urok, a źródłem tego uroku nie jest wcale wyłącznie galerya jakkolwiek wspaniała — ani taras Brühlowski, wznoszący się tak pięknie nad szeroką Elbą, ani ów niezrównany *Grosser Garten*; nie! przedewszystkiem ludność drezdeńska przywiązuje mnie do tego miasta, tak dziwnie przyswoista, tak widocznie cnotliwa i z losu swe-



go zadowolona, że mnie aż zazdrość bierze na myśl o tem, jakich cudów karność społeczna — a może także przyrodzone narodu zalety — w Niemczech dokonały!

Tu wtrąciła pani Róża:

— Spędziłam w Dreźnie dwa lata całe i miałam sposobność to protestanckie, niemieckie społeczeństwo poznać dokładnie. Gdybym się nawet mogła lękać, że myliłam się w swoim osobistym sądzie pod wpływem narodowych antagonizmów, potrzebowałabym tylko zajrzeć do statystycznych wykazów, aby stwierdzić, że to wrażenie zadowolenia i cnoty, którego przelotny podróżny w północnych—a po części w całych Niemczech—doznaje, jest przeważnie złudzeniem, arcydziełem narodowej, może mimowolnej, hypokryzyi, która już niegdyś Tacyta, a na początku minionego stulecia panią de Stael uwiodła, oboje zachęciwszy do napisania panegiryków, na które Niemcy nie zasługują wcale i podobno nigdy nie zasługiwały. Nigdzie nie bywa życie rodzinne tak mało poważnem, jak w Niemczech; nigdzie tyle się nie rodzi dzieci nieślubnych, nigdzie nie bywa miłośćka nieuświęconą prawnie, a przelotna—uważana za rzecz tak naturalną. Kto się ciekawie wypytuje o stosunki sąsiadów, zamieszkujących tę samą kamienicę w mieście, albo sąsiednie na wilegiaturze dworki, ten się dowie niechybnie, że te stadła niby tak przykładowe, żyją z sobą po większej części na wiarę i że mają innych prawowitych małżonków, z którymi nie żyją wcale. U ludu małżeństwo na próbę jest prawie wszędzie obyczajem powszechnym, którego się nikt nie wstydzi, a proletaryat tak miejski, jak i wiejski, małżeństwa wcale nie zna, rozwieżłości obyczajów wcale nie ukrywa. Klasom najzamożniejszym i najoświecenijszym nie wpada nawet na myśl zająć się umoralnieniem ludu, a pogańska swawola pospółstwa, tych klas wcale nie razi; bo też wśród arystokracji i wyższego mieszczaństwa, przestrzegają tylko pozorów jakiejś przyzwoitości. Przypatrzwszy się tym stosunkom bliżej, przyszedłam do przekonania, że najlepiej jeszcze tam się dzieje, gdzie przychodzi do tak zwyczajnego u protestanckich Niemców prawnego rozwodu, bo zazwyczaj spokój domowy bywa okupiony najsprośniejszą wzajemną pobłażliwością. Wszelkie zbrodnie wydarzają się w Niemczech nierównie częściej, niż u nas, a uciążliwych pijaków i kosterów jest nawet w cnotliwym Dreźnie liczba przerażająca. Temu wszystkiemu towarzyszy powszechna obojętność dla religii. Znaleźć można ledwo garstkę tak zwanych pietystów, to jest protestantów, wierzących dotąd w bóstwo Chrystusa i w inne najistotniejsze dogmaty chrześcijańskie. Większość tych nawet, którzy po miastach jeszcze chodzą do Zboru na kazanie, to tak zwani racjonalisci, których religia da się w tem streścić, iż przyznają, że chrześcijaństwo jest rzeczą wzru-

szającą i ważnem zjawiskiem dziejowem; takie same są nawet przekonania u większej części pastorów i takie nauki podają na fakultetach teologicznych niemieckich uniwersytetów, najbardziej wzięci profesorowie. Jeśli pani temu nie wierzysz, proszę zajrzeć do niemieckiej literatury powieściowej i dramatycznej. Jestto literatura na wskroś tendencyjna, podkopująca zasady chrześcijaństwa i chrześcijańskiej rodziny, walcząca niby w obronie postępu a przezywająca postępem wyłącznie brak pozytywnej moralności i niedowiarstwo; kobiety w niemieckich powieściach upadają, nie przeszedłszy nawet wewnętrznej walki, a potem nie bywają wcale świadome swojej hańby, a wrogiem, z którym walczyć trzeba, jest w każdej takiej książce przede wszystkim katolicyzm, a obok tego wszelka żywa wiara chrześcijańska; w tem upatrują autorowie jedyne zło, zabobon, zacyfanie. Już podlotki taką się karmią literaturą, a dorastającej młodzieży podają jako arcywzór Goethego. Każdego prawie Goethe znudzi, każdy musi przyznać że ani dramatu, ani nawet powieści zbudować nie umiał, że jego postacie sztucznym językiem wyrażają sztuczne uczucie, które wmówiono w siebie na zimno, wtedy nawet kiedy do samobójstwa powiodły. Mimo to, a z jawną krzywdą prawdziwie czujących i zdolnych większy utwór jednolicie zbudować, poetów, jakimi byli Schüller i Grillparzer, Niemcy stawiają Goethego samotnie u szczytu narodowego Parnasu, i jak dotąd skutecznie wmawiają w siebie i w drugich, że Goethe to jeden z największych poetów rodzaju ludzkiego, że się równa z Homerem, Dantem i Szekspirem, a czynią to jedynie dla tego, że Goethe był wrogiem stanowczym chrześcijaństwa, ponieważ był zupełnie pozbawiony uczuć religijnych, ponieważ był nawskroś niemoralnym i przez całe życie, zmysłowe tylko opiewał namiętności, przedstawiając człowieka tak, jakgdyby był tylko zwierzęciem o najdoskonalszym ustroju. Wszystkie dzienniki wszystkie czasopisma, nawet przeznaczone dla ludu albo dla młodzieży, zajęte wyłącznie propagandą bezwyznaniowości, a przyszło do tego, że większa część dzieci w protestanckiej części Niemiec nie bywa wcale chrzczona, że większa część ludności nigdy w życiu kościelnych nie przestąpi progów; religia stała się instytucją urzędową, której się może tylko dwory i szlachta dotąd pozornie przynajmniej trzymają, ze względów polityki społecznej. Więc cóż dopiero mówić o powszechnem zadowoleniu w Niemczech protestanckich, a szczególnie w owej Saksonii, którą pani tak wychwalasz. I owszem, nigdzie niema tylu zrozpaczonych, przeklinających świat, na którym niema dla nich Boga. Tego dowodzą oczywiste fakta, przeraźliwe mnożenie się samobójstw, których powodu nieraz domyśleć się nie podobna i szybkie postępy socjalizmu a nawet anarchizmu. Na spisie



samobójców nie figurują już zrujnowani gracze, stetryczali starzy kawalerowie, dziewczęta shańblone, porzucone żony i zawiedzeni kochankowie. Dzieci kilkunastoletnie odbierają sobie życie, nabywszy już przekonania, że żyć nie warto; pary młodych małżonków popełniają pospołu samobójstwo nazajutrz po ślubie, aby skończyć dni swoje po chwili rozkoszy, a codziennie, w każdym niemal wielkiem mieście, słychać o tem, że ktoś i to bez ważniejszego powodu, tylko z obrzydzenia do świata, zamordował żonę, dzieci, a potem sam siebie. Przytem popure zastępy socyalistów organizują się systematycznie, wywiesiwszy hasło nienawiści klasowej i walki na zabój, twierdząc, że postęp ludzkości tylko pod sztandarem nienawiści bywa możliwym, że tylko bojem nie znającym litości, można się dobić żywota na prawdę godnego ludzi, że wyrzec się trzeba mrzonki przyszłego, pośmiertnego życia, zaprzeczyć istnieniu Boga i jakiegokolwiek sprawiedliwości, złorzeczyć chrześcijaństwu, za to, że przyniosło kłamliwe przykazania miłości, przebaczenia i pokory, że trzeba zajrzeć prawdzie w oczy i zdać sobie z tego sprawę, iż jedynem szczęściem, szczęście zmysłowe ludzi, którzy wygodnie mieszkają, dobrze się najedzą i napiją, i że do tego szczęścia można tylko dojść przebojem, że do niego przebojem a mądrze dążyć należy, choć i to wreszcie prawda, że i takie szczęście, to tylko nędza nieco znośniejsza.

— Ależ—zawołała panna Mania—jakiż to pani okropny nakreśliłaś obraz tak potężnego, kwitnącego i wykształconego społeczeństwa niemieckiego! Wierzyć mi się nie chce, aby tak czarne być mogło. Bo jeśli tak jest naprawdę, musi zajść w Niemczech katastrofa straszliwa, gorsza od rewolucyi francuskiej, która wstrząśnie posadami świata całego.

Pani Róża odpowiedziała:

— Mówiłam najzupełniejszą, najtrzeźwiejszą prawdę; a gdy podniósłszy uludną a świetną zasłonę zewnętrznej ogłady i materialnych dostatków, zajrzałam w te głębie nowożytniej niemieckiej duszy, wydało mi się zrazu, że stoję nad brzegiem przepaści, która pochłonąć musi Niemcy, a wraz z nimi kto wie, czy nie całą cywilizację naszą. Ale niebawem przekonałam się, że tak wcale nie jest; że owszem są istotne, poważne zalety niemieckie, takie właśnie, których nam najwięcej brak i które się nam częstokroć niesympatycznymi wydają, i że te zalety, przez samych Niemców cnotami przezywane, trzymają gmach społeczeństwa niemieckiego, nie łatwo mu dadzą runąć a narodowi nadają owe dziwnie poważne pozory, które tyłu złudziły. A widząc cudowną prawie tych niemieckich cnot skuteczność, muszę wraz z panią Jadwigą pragnąć tego gorąco, abyśmy się tych właśnie cnot nauczyli. Temi zbawiennymi zaletami są: karność społeczna

i obowiązkowość zawodowa, które weszły w krew i kość narodu niemieckiego. Niemiec może być zupełnie niemoralnym i nawet nieuczciwym człowiekiem, ale jako kupiec dotrzyma najakuratniej w świecie swoich zobowiązań, jako urzędnik, wojskowy, nauczyciel, nawet jako uczoney, ściśle spełni swoje obowiązki, a Niemka, która potajemnie, albo nawet jawnie męża oszukuje, nie przestanie spełniać porządnie obowiązków swojego stanu, jako gospodyni, pani domu i matka, a nawet będzie w czasie choroby męża pilnowała go przykładnie. Niemiec o wyobrażeniach jaknajradykałniejszych, republikanin, socjalista, nawet anarchista, nietylko spełni najakuratniej obowiązki obywatelskie, nietylko podatek w czas zapłaci, szkołę wojskową odbędzie przykładnie a na ulicy prawem przepisanego porządku dopilnuje, ale wszelką powagę w zawodzie swoim uszanuje, wobec przełożonego nie zapomni się nigdy, a choć go będzie zacięcie zwalczał politycznie przy wyborach i na zgromadzeniach ludowych, okaże mu zawsze winne w biurze lub pracowni uszanowanie. Nawet powszechne narodowe albo europejskie powagi bywają w Niemczech równie powszechnem otoczone poważaniem, a rzeczą budującą bywa widok Niemców nudzących się tłumnie a przykładnie na tragedji Sofoklesa, albo na operze Wagnera, dla tego, że tak każe przywoitość, że się tego cywilizacya domaga. Stąd też każdy zły uczynek, każda zbrodnia, bywa w Niemczech nierównie mniej szkodliwa, niż gdzieindziej; wyrządzi oczywiście szkodę, ale ta szkoda bywa ściśle określona, całem społeczeństwem nie wstrząśnie; dla tego to mogą Niemcy prawie bezkarnie wyzuwać przekonania, któreby inny naród o rychłą zgubę przypawiły. Te cnoty niemieckie nie wystarczają, tam gdzie chodzi o wydanie natchnionego dzieła; geniusze są w Niemczech równie rzadkie, jak gdzieindziej, a zbiorowa praca społeczeństwa wydaje w dziedzinie sztuki i literatury, zgodnie z właściwościami narodu, utwory ponajwiększej części ciężkie, niestrawne, źle zbudowane, przeładowane szczegółami, pedantyczne. Jeśli się jednak geniusz albo wielki talent wśród Niemców zjawi, nie potrzebuje toczyć walki z anarchicznym najazdem tysiąca drobnych zawiści, nie zjedzą króla mysze, nie zmarnieje jak to u nas zbyt często bywa, rozkwitnie owszem wspaniale, wśród podziwu i uznania rodaków. Dla wszelkiego rodzaju zwyczajnych pracowników kadry są gotowe, robota ich nie będzie daremną, a otoczenie nałamię ich niezawodnie do sumiennej pracy, liczmanów za złoto nie przyjmie, marne przechwałki przejrzy, nie da się uwieść względem obcym narodowi i dzielnego pracownika nie odepchnie dla tego, że należy do innego stronnictwa, albo może do klasy społecznej, na którą ogół literatów i niedouków z niechętną



spogląda zawiścią. Nie tylko przeciwnik polityczny, nie tylko człowiek innego wyznania, ale także cudzoziemiec, nawet Polak, spotka się niechybnie z uznaniem, jeśli tylko sumiennie pracować potrafi. Na tak uprawionej roli wyrastają z każdego nasienia na pożytek i chwałę narodu bujne plony; tyle jest w Niemczech rzetelnej, choć skromnej naukowej pracy, że się dziś żaden uczony na świecie bez niemieckiej książki obejść nie może; techniczne wynalazki zaraz znajdują przystosowanie, administracyjna i polityczna maszyna funkcjonuje akuratnie, dostatek, potęga i chwała narodu wzrastają ustawicznie. Gdym się temu przypatrzyła, pierwotne oburzenie ustąpiło podziwowi, zazdrości, pragnieniu, abyśmy sobie te cnoty niemieckie jaknajgruntowniej przyswoili. Pod niejednym względem jesteśmy nierównie lepsi od Niemców i nierównie więcej posiadamy przyrodzonych zdolności, ale przez brak niemieckiej organizacyi, przez to, że tak jak Niemcy nad sobą panować nie umiemy, staliśmy się narodem marnotrawców, który się w niczem lepszej nie umie dorobić doli. Nie wygadujmyż tedy na Niemców! Brońmy się przed nimi, ale uczmy się od nich cnót staroniemieckich, którym swoją wielkość zawdzięczają, a wystrzegajmy się tylko pyszałkowatej bezwzględności, która wielu z nich, wskutek zeszlowiecznych zwycięstw, głowę zawróciła, i tych szalbierstw, które zbyt wielki wpływ żydowski ostatniemi czasami w Niemczech rozmnożył.

Pani Róża skończyła mówić, a profesor odrzuciwszy cygaro, podjął temi słowy rozmowę:

— Gdym wczoraj nazwał całą nowożytną cywilizację, germańską i protestancką sprawą, powiedziałaś pani, że musimy jeszcze tę rzecz przedyskutować. Teraz wygłosiłaś pani, jak to z naciskiem poświadczyć muszę, całą prawdę o niemieckim narodzie, a równocześnie poparłaś jak najsilniej moje wczorajsze zdanie. Opisując Niemcy, i to przedewszystkiem protestanckie Niemcy, określiłaś pani to, co jest dzisiejszą cywilizacją na najkompletniejszym jej egzemplarzu, jaki po za Stanami Zjednoczonymi egzystuje. A nie trudno będzie dowieść, że to wszystko, cośmy słyszeli, jest naturalnym wynikiem niemieckiego protestantyzmu, że takie społeczeństwo, z takimi straszliwymi przywarami i z zaletami tak wielkimi, iż dla całej mocy występkę skuteczną przeciwwagę stanowić mogą—mogło powstać jedynie po reformacyi. Co w katolickim naprawdę kraju byłoby niepodobieństwem, jest naturalnym wynikiem protestantyzmu. Gdy w szesnastym wieku dwory świeckie północnych i zachodnich Niemiec, Anglii i Skandynawii, patrycyat miast niemieckich i holenderskich, wreszcie szkocka i angielska arystokracja ziemska, posłuszeństwo Rzymowi

wypowiedziały, miały na celu wzbogacenie się dobrami klasztorami, wyzwolenie się z pod papieskiej, a gdzieniegdzie także z pod cesarskiej przewagi, a może przedewszystkiem wzmoczenie, poniekąd stworzenie i utwierdzenie absolutnej władzy nad poddanymi, mającymi odtąd wierzyć, jak im rząd każe i uznawać za moralnie dozwolone, albo zabronione, to jedynie, co im rząd każe. Najwymowniejszym rzecznikiem i teoretykiem tego nowożytnego, protestanckiego absolutyzmu, mającego zawładnąć zarówno ciałami jak sumieniami, był anglik Hobbes, ale rzecz przeprowadzono najgruntowniej w protestanckich państewkach Niemiec. Pozbywszy się hierarchii katolickiej, którą przeżywano odtąd z przekazem państwem w państwie, złamał książę panujący jedyną potęgę mogącą stawić czoło wszechwładzy jego urzędników i jego wojska, wyznawców wszechmocnej monarszej woli; a na niewielkim obszarze państewek niemieckich dała się przeprowadzić organizacya tak ścisła i dokładna, o jakiej w większym królestwie niepodobna było myśleć przy ówczesnym stanie komunikacyi. Wszystko stało się służbą panującego, ludzie podzieleni zostali na różne zarówno posłuszne stany; każdy został powołany do awansu, wedle zasługi położonej około służby, wszyscy stali się kółkami w coraz dokładniejszej maszynie administracyjnej, której ostatniem słowem dzisiejszy system pruski. Dobrobyt społeczeństwa miał służyć monarszemu wyłącznie skarbowi, którego urzędnicy opiekowali się nawzajem pilnie a skrzętnie ekonomicznym rozwojem kraju, wedle zasad tak charakterystycznie nazwanego niemieckiego kameralizmu. Pastorowie mieli napominać wiernych do biernego posłuszeństwa; szkoła wreszcie, nad którą kościół dzierżył niegdyś władzę zwierzchnią, miała się odtąd stać *r e g a l e m*, rzeczą monarszą i każdy był obowiązany wychowywać swoje dzieci tak jak kazał książę. Przyznasz pani, że to wszystko były zasady wynikłe z protestantyzmu, katolicyzmowi wprost przeciwne, i że wszystkie katolickie państwa tak dobrze nauczyły się naśladować owe protestanckie pomysły, iż organizacya do pruskiej podobna istnieje w całej prawie zachodniej Europie, i jest rzeczą dla naszych czasów i stosunków tak znamienneą, że trudno nam sobie bez tej organizacyi wyobrazić to, czemu się miano cywilizacyi nowożytnej nadaje. Tylko, że rzecz nią dała się nigdzie w katolickich krajach w całej pełni przeprowadzić, a że zła kopia bywa zawsze mniej skuteczną od oryginału, przeto państwa protestanckie musiały się z czasem stać potężniejszymi od katolickich. Sam władca, kimkolwiekby był, królem, radą możnych, czy parlamentem, ponad wszelkie boskie czy ludzkie wynosi się prawo, skoro jest dawcą tego prawa, skoro sam ustanawia bóstwo, któremu się poddani kłaniać mają,



sam im wszystkie przypisuje obowiązki, jego zaś jedynym obowiązkiem dbać o to, żeby mu się wiodło, żeby państwo będące jego nieograniczoną własnością, jaknajrychlej zakwitło. Rząd, czy też lud wszechwładny, o ile się stanie rządem, bywa bezwzględny samolubem, a to samolubstwo może być tylko wtedy uwieńczone powodzeniem, wtedy tylko może się wśród ościennych samolubstw ostać zwycięzko, kiedy bywa po ziemsku rozumne, to jest roztropne i obrachowane, kiedy się we wszystkim kieruje doświadczeniem i wnioskami słusznie z doświadczenia dobytymi. Jeszcze sam książę czasem instyktowi zawierzyć może, nawet powinien, bo instykt bywa przy śmiałym, politycznym zamachu, nieraz najlepszym doradcą; ale sługom, to jest narodowi, od natchnień i uniesień wara! mają być wcielonym rozsądkiem i posłuszeństwem dla metodycznie obmyślonego prawa; ogół ma robić to, co przepisano każdemu prawem i obejmującą wszystkich urzędniczą hierarchią. Tego się trzymaj ślepo! z własnej głowy nic w tem nie zmieniaj! A że urządzenia, istniejące wśród ludzi, nigdzie i nigdy doskonałymi być nie mogą, że w najistotniejszym interesie księcia, czy państwa, *des Staates*, leży ustawiczne tych urządzeń doskonalenie, przeto osobne utworzono urzędy, osobne zawodyuczonych, podzielonych na różne jakby bronie, z których każda, w ciasnym a ściśle oznaczonym zakresie, ma badać i doświadczać i pisać referaty, celem wydoskonalenia organizacji administracyjnej, prawodawstwa siły zbrojowej, albo narzędzi ekonomicznej wytwórczości, a rozumie się, że człowiek takim właśnie jest narzędziem i to najcenniejszem, że przeto wydoskonalenie sztuki lekarskiej i metod szkolnych mają także zapewnić posiadanie wzorowych, silnych, zręcznych, a jaknajbardziej niesamodzielnych ludzkich narzędzi. Więc wszyscy ludzie w protestanckich Niemczech są wiecznie na mustrze, zawsze przyzwoici, spokojni, skoro tylko na nich cudze oko spocząć może; wykonywają z największą akuratnością i częstokroć z największem zaparciem się własnej osoby wszystkie zewnętrzne obowiązki, jakie państwo na nich nałożyło, a w czasie służby, zajmującej większą część dnia, tłumią w sobie namiętność, albo rozpacz, które ich pozerają. W chwilach wolnych od służby folgują sobie, bywają występny lub zbrodniarzami, ale to ich niepokojem nie napawa, gdy tylko powrócą do służby państwa, najwyższego dla nich Boga. To się w protestanckich Niemczech udało zupełnie; w krajach katolickich, gdzie to w imię nowożytnej cywilizacji naśladować usiłowano, w tej samej nie mogło się udać mierze, bo katolik, a choćby niedowiarek przez katolickich wychowany rodziców, ma przekonanie wpojone w siebie od dzieciństwa, że istnieje wyższa władza duchowna, której moralnym przykazaniom nawet rząd każdy powinien ulegać, a jak zgrze-

szy, nie przytłumi w sobie wyrzutów sumienia dalszem pilnem i karnem pełnieniem zewnętrznych obowiązków społecznych. Straci wiarę w siebie, sam siebie potępi, sam sobą wzgardzi i gotów się stać nikiemnikiem. Jeśli się jawnie nie zaprzępaści, jeśli w czynnem życiu i w służbie społecznej wytrwa, a wyrzuty sumienia przytłumi, tem łatwiej będzie nieuczciwym sługą społeczeństwa, że się pocieszył po zaniedbaniu świętszych obowiązków; gotów być tedy przemieszczeniem, warchołem, złodziejem, jawnym bluźniercą i rozpustnikiem, wszystkim, co społeczeństwu szkodzić może. Dla tego to cywilizacya nowożytna społeczeństwa katolickie o ciężką przyprowadzi chorobę, zaś protestanckie wydają się być zupełnie zdrowemi.

Profesor zamilkł, a Zygmunt, chcąc wywody dopełnić, wtrącił: — To znów, co pani nazywa bezbożnością niemiecką, jest to wolność ducha, która się rozwinęła potężnie, obok zewnętrznej karności społeczeństwa, a może dzięki dobrobytowi przez tę karność wytworzonemu. Protestantowi nie wystarczają przez rodziców za młodu wpojone formuły; on bywa przekonany, że każdemu własnej religii potrzeba, wiary, którą sam w sobie wyrobił i do potrzeb własnej osobistości przystosował, z potrzebami rozumu pogodził. U katolików mnóstwo ludzi w całą naukę kościoła wierzyć nie umie, a wtedy dzieje się jedno z dwojga, albo, jak to u nas bywa, udają, że są dalej katolikami, a w gruncie rzeczy odganiają od siebie utrapioną myśl o religii i żyją, jakby o żadnym nigdy Bogu nie słyszeli; albo, jak to bywa we Francyi, a często tu także, we Włoszech, zrywają z kościołem i z chrześcijaństwem, stają się namiętnymi a zaślepionymi obrońcami zasadniczej bezwyznaniowości, uderzają wstępny bojem na wszelką religię, wprawiają w niepokój wszystkie sumienia, a pośród swoich rozniecają wojnę domową, nie mniej straszną od innych, choć w niej zwyczajnie obchodzi się bez krwi rozlewu. U protestantów tej tragedyi, tego rozdarcia nie ma, granice ortodoksji są tak niewyraźne i tak chaotyczne, że można być pastorem i kaznodzieją ewangelickim, nie wierząc w bóstwo Chrystusa, ani nawet w Boga osobistego; religia przechodzi niespostrzeżenie w racjonalizm; racjonalizm w bezwzględne wątplenie, a najzupełniejszy sceptyk nie przestaje siebie uważać za człowieka religijnego.

— I w tem właśnie sęk! — zawołał nagle Profesor. — Daremna robota! Trzeba było czemś Niemców zabałamuć; namawiano ludy do zerwania z Rzymem w imię wolności; pod hasłem wolności toczono zaciętą walkę z Austryją; a potem — w Niemczech przynajmniej — protestanckie rządy nie dały ludom tej wolności ani powąchać. Poszły mnogie rzesze z deszczu pod rynnę, przemieniły za siekierkę kijek, za nieznośną częstokroć kontrolę biskupów i zakonów, władzę



rządową nie dopuszczający żadnej prywatnej inicjatywy. A zatem trzeba było tych szermierzy wolności koniecznie czemś okłamać; i wymyślono frazes wolności ducha, która natem zależyć miała, że wolno było gadać i pisać co się komu podobało o religii, moralności i historii—czyli jak się dziś w Niemczech wyrażają, uprawiać naukowo naukę. Potworzono nawet dla tych, którzy zawodowo tę wolność uprawiać mieli, osobne urzędowe posady, nadano im wcale poważne naukowe tytuły i poważną rangę w społeczeństwie, nie mówiąc już o tem, że ich wynagradzano pośmiertną chwałą, to jest urzędową reklamą. Rozumie się, że rządy nie zaniechały i tu swoich warunków postawić, że ta wolność miała swoje granice i to wcale ciasne. Przedewszystkiem nie wolno było nic takiego twierdzić co by choć z daleka trąciło powrotem do katolicyzmu; nie dobrze widzianą była także wszelka mistyka, wszelka uczuciowość religijna, wszystko, coby mogło ludzi na to naprowadzić, że religia jest przeciw rzeczą seryo, że Bóg jest starszy od Prus na przykład. Należało się ograniczyć do gadania o Bogu i moralności na podstawie głupiego rozumu ludzkiego, tego rodzaju rozumu, opartego na samem zmysłowym doświadczeniu i wnioskach z takiego doświadczenia dobytých, który wystarczy zupełnie do ustawienia doskonałego elektrycznego tramwaju, ale o Bogu i tajemnicach duszy tak samo nic powiedzieć nie potrafi, jak słuch chyba nie rozróżni kolorów. Dalej trzeba było statecznie wychwalać protestanckie dynastye niemieckie—przedewszystkiem pruską, a swoje filozofowanie tak nakręcić, aby z niego wynikało, że Pan Bóg to wysoki urzęduik pruski, w randze ekscelencyi, a moralnem—i *notabene* także naprawdę niemieckiem—jest to, co król pruski zrobił, na przykład Fryderyk Wielki, który się z Francją przeciw cesarstwu niemieckiemu sprzymierzył, dworzanom nie pozwalali naczej jak po francusku mówić, ustawicznie słowo łamał a monety ościennych państw fałszował; albo jego obiecujący bratanek Fryderyk Wilhelm II, który się niemieckimi księstwami duchownemi z Francją podzielił, i który jako bogobojny król pruski w jawnem żył dwuzęństwie;—na Austrii zaś nie wolno było jednej zdrowej nitki zostawić, choćby miano tym sposobem prawdę historyczną do góry nogami przewrócić! Przedewszystkiem, skoro się w tak zwane naukowe rozstrząsania filozoficzne wdawano, nie wolno było gadać do rzeczy, w sposób zrozumiały i ze zdrowym rozumem chłopskim zgodny. Tamte, niby podrzędne a specyalne nauki, nie mające nic do czynienia z „wolnością ducha“, nauki, tyczące się środków opanowania przyrody, wzbogacenia społeczeństwa, siły wojskowej, sądownictwa i administracyi państwa, należało uprawiać w sposób jasny i zrozumiały, doprowadzający do wyników praktycznych, uwieńczonych

skutkiem, a zatem takich, na które wszyscyby się zgodzić nie tylko mogli, ale musieli. Przy wolności ducha chodziło przeciwnie o to, aby ta wolność skutków nie miała, na życie praktyczne nie oddziaływała, mądrości rządu nie przeszkodziła. Jeśli zaś kto granice przez rządy zakreślone przekroczył, jeśli wypadkiem pisał z sensem i prawdą, nie tylko narażał się na utratę płatnej profesorskiej posady, ale mógł być w dodatku pewnym tego, że jego dzieła przemilczane, albo wysmiane, przepadną bez śladu. Gdy tedy z jednej strony postawiono nieprzebyte baryery, „wolność ducha“, mogła tem swobodniej bujać po bezdennych przestworach niejasnych pojęć, bałamutnych myśli i religijnej negacyi. To też cudów dokazała niebawem. Mniejsza o to, iż znaczenie słów najprostszych zaciemniła pompatycznie, tak dobrze, że żaden Niemiec tego dziś nie wie, co znaczą naprzykład słowa: rozsądek albo wolność; że w ogóle odzwyczaiła się ze wszystkim od nazywania rzeczy po imieniu, że zagłębiając się w swoim rozumie doszła do zdań budujących, bo jak ktoś twierdzi zgodnie z niemiecką nauką, nie znamy wcale prawdziwego świata, tylko, każdy z nas bierze za świat rzeczywisty własne urojenia. Nikt temu nie uwierzy, nikt się do tego nie zastosuje; podobnież rzeczą obojętną teza, że nie ma ciał, a są tylko kupy atomów, nie będących właściwie ciałami których nikt nigdy dostrzedz nie może; bo i takie twierdzenie może posłużyć do bawienia się w rozmaite matematyczne łamigłówki. a na życie wpływu nie wywrze; ale to już źle, gdy kto twierdzi, że ducha nie ma; gorzej gdy się historyczna nauka dobierze do zaprzeczania objawieniu, gdy podnosi z lubością podobieństwa, jakie między chrześcijańską tradycją, a jakimikolwiek pogańskimi wierzeniami zachodzą, twierdząc bez dowodu, ale z tem większą pewnością siebie, że chrześcijańskie nauki od pogańskich przejęto, nie przypuszczając nigdy, żeby być mogło na odwrót, albo, żeby o wspólną pierwotną tradycję rodzaju ludzkiego chodziło—mimo to, że te dwa ostatnie przypuszczenia wydają się w każdym wypadku, jedynie prawdopodobnymi zdrowemu rozsądkowi, nie bawiącemu się w „wolność ducha“. Z biblii nie pozostało niebawem nic, bo każdy jej ustęp został podany w wątplenie przez krytykę, goniącą za popisem oryginalną nowostką. Chrześcijaństwo z religii zredukowano do zbioru nauk moralnych; a że obowiązującej mocy moralności wkrótce zaprzeczono, wartość chrześcijaństwa stała się dla Niemców czemś zupełnie problematycznym; wszelka religia uleciała w świat mrzonek, po którym się tłuką istotnej treści pozbawione systemata filozoficzne. Publiczność cała dowiedziała się o tych wynikach nauki; i stało się mimo wszystkich ostrożności rządowych, że szperanie to, skutek praktyczny miało. Naród cieszy się cały „wolnością ducha“, religię i moral-



ność starą ma za przedawnione przesady; w świat materyalny, rzeczywisty wierzy dalej, z największą usilnością, bo z niego żyje; na wszystkie tak zwane idealne filozofie słusznie ramionami rusza; obowiązkiem nazywa rozumne zachowanie się jednostki, zapewniające byt i dostatki, nurza się, słowem, w materyalizmie. Każdy z tych ateuszów, „wolnych na duchu“, pełni dalej obowiązki zawodu, aby z nich żyć, a gdzie to z potrzebą samolubną da się pogodzić, albo jej posłużyć może, służy namiętnościom; gdzie ukraść można zręcznie—kradnie i coraz śmieiej osobistą korzyść publicznej przeciwstawia. Zarysowały się zatem już mury i sklepienia gmachu protestanckiego i nowożytnego ładu, a rysować się będą coraz wyraźniej; nadużycia z wyjątku zamienią się niebawem w regułę. Masy proletaryuszów, nie wierzące już w żadne naprzyrodzone pociechy, dostrzegły, że celem maszyny rządowej, że zasadą społecznego obowiązku, zapewnienie sobie zmysłowego używania. Zamiast niego, znają nędzę; więc nauczone przez „wolność ducha“, i przecząc istnieniu ducha, organizują się, aby nową stworzyć maszynę społeczną, w której same zdobędą dla siebie znośniejszą egzystencję. Mają słuszność, jeśli tylko prawdą jest to, co rzekoma „wolność ducha“ głosi. Wyciągnąwszy ostateczne konsekwencje z zasad niemieckiego protestanckiego państwa, twierdzą stanowczo, że to państwo nowej socjalistycznej organizacyi ustąpić powinno. Więc cywilizację nowożytną burzą zuchwale, a świat drży przed zbliżającym się za ich sprawą barbarzyństwem.

## V.

W nocy z wielkanocnego poniedziałku na wtorek grzmiało we Florencyi przeraźliwie; mogło się zdawać, że kampanile Giotta przy katedrze i wieża ratuszowa wałą się, idąc za przykładem swojej starszej siostry, dzwonnicy św. Marka w Wenecyi. Tej katastrofy nie było, ale wszystkie okoliczne góry były nazajutrz pokryte śniegiem, a zimno przeraźliwe zapanowało w mieście. Ani o spacerach, ani o wycieczkach nie było mowy. Panie zatem wyraziły życzenie, które było rozkazem, abym je oprowadzał po galerii *dei Uffizi*. Wszystkie знаły już oczywiście skarby w tem wspomniałem muzeum nagromadzone, ale chciały, aby je ktoś, w obecności obrazów i posągów zabawiał opowiadaniem o tem, kiedy powstały, jak wyglądał

właściwie ich twórca, co mógł sobie myśleć malując, albo rzeźbiąc? Ludzie powiadają, że jestem przedewszystkiem z zawodu estetykiem, że coś wiem o historii sztuki; kazano mi zatem rozmaite rzeczy tłómaczyć, żądano przedewszystkiem abym uczynił przystępniejszą właściwą rodowitą sztukę tokańską, ową sztukę czternastego i piętnastego stulecia, do której trzeba się dopiero przyzwyczaić, a która potem tak przywiązuje do siebie, iż dla wielu błędą przy niej arcydzieła słonecznej epoki papieży, Juliusza II-go i Leona X-go.

Niemają nabajałem się paniom; opowiadałem im niektóre rzeczy, o których wiedziałem na pewno, inne, których się domyślałem raczej, które przeczuwałem i zdaje mi się, że się tym sposobem dobrze spisałem, że je nie tylko zabawiłem, ale że im otworzyłem oczy na niejedną piękność wpraw przed niemi zakrytą. Sam się uczyłem przytem; niejedną rzecz dostrzegłem dopiero tłómacząc. Między innymi zajął nas niemało niewielki obraz Botticellego, za szkłem na sztaludze wystawiony; w katalogu nazywa się pokłonem trzech króli; ale w istocie wcale co innego wyobraża. Wśród skał siedzi Bogarodzica z boskiem Niemowlęciem, za nią stoi święty Józef, w postaci zadumanego starca, a wszystkie narody ziemi garną się do świecącego dla siebie zbawienia ciżbą nieprzejrzaną, jedni już przyklękli przed Przenajświętszą Rodziną, inni ciągną z tak daleka, że widać tylko wijący się tłum, a nie widać już pojedynczych ludzi, że rzesze sięgają aż do widnokręgu, gubią się w mglistej oddali. Oczywiście, że pełno tu rozkosznych zalet malarskich, postaci rozmaicie scharakteryzowanych, a uchwyconych na gorącym uczynku, postaw niespodzianych a wyrazistych i zupełnie naturalnych: że twarze i ręce wykonano z bajeczną subtelnością, a w sposób zasługujący na najwyższe podziwienie, że delikatność przezroczystych cieni wystarczyłaby sama, aby widza w zachwyt wprawić. A jednak podziwiałem ten obraz głównie dla myśli, którą wyraża, i na nią głównie zwracałem uwagę pań.

Ognisko wiary chrześcijańskiej, grupę, w której zasiada dziewicza Matka z niemowlęcym Zbawicielem świata, pojął stary malarz zarazem, jako ognisko cywilizacji ludzkiej; przy niej stoją przedstawiciele najoświecześniejszych podówczas, a zarazem najdawniej chrześcijańskich narodów południowej Europy. Niektórzy w zachwyt wprawieni, wiarą uszczęśliwieni; inni, stojąc pośród Włochów owych cywilizowanych, przypatrują się jednak Chrystusikowi wzrokiem, w którym waży się z wiarą wątplenie; zdają się pytać samych siebie: czy warto było tak daleką przebyć drogę, aby stanąć u stóp niemowlęcia? Pomiędzy tymi ludźmi cywilizowanymi już bardzo, u których oświata zaczyna wypierać wiarę i tem samem podkopywać uświęconą podsta-



wę, na której wyrosła, poznasz piękną postać Leonarda da Vinci, w którym się cały włoski renesans niejako wcielił. Ci zaczynają już wątpić, tak jak św. Piotr zwątpił, gdy chodził po wodach jeziora i jak on wnet zaczął się w toń dziejową zapadać. Już nadciągają, już u celu stanęli ich spadkobierce, zawsze romańskie, południowe jeszcze narody, jezdni Francuzi i Hiszpanie, pełni zapału i wiary, którym przewodzi jakiś natchniony, w piękność wieczną zapatrzony poeta! Ale dalej, choć nie zbyt już daleko celu, jedzie ciżba rycerzy rudyh, o twardych niemieckich rysach, a niecierpliwie usiłuje dotrzeć do celu, orężem pragnie się dobić zbawienia i oświaty; rąbie dokoła mieczem, trątuje końmi, przemocą toruje sobie drogi dziejowe; oni tamtych wszystkich pobijają, powalają, oni niebawem tu u ogniska dziejów ludzkości zapanują wyłącznie. Ale natem nie koniec; oni także będą mieli następców. Tam w głębi, za nimi, ale zupełnie już widoczne, inne ciągną narody, dalekie jeszcze od celu, lecz celu swego w pełni świadome, ufne w przyszłość niechybną, nie tak natchnione i zapalczywe, jak dzieci południa, nie tak niecierpliwie i do gwałtów skłonne, jak owi Niemcy, którzy oto właśnie mają dotrzeć do celu. Płowi jeźdźcy jadą tam w głębi spokojnie na koniach swoich, a poważne delie i żupany przyoblokły ich kibić, kołpaki spoczęły na głowach; nie podobna wątpić, że to Słowianie, którym to właściwie, myśląc o sobie, Teutoni-gwałtownicy przemocą drogę torują. Przyjdzie chwila niezawodnie, że ci spokojni pielgrzymi uklękną wśród ogniska wiary, na pierwszym planie dziejów, przy Chrystusiku i Bogarodzicy. Przeczuwano to już temu czterysta lat, kiedy ten obraz powstał, a i dziś przeczuwają jeszcze tylko, bo dziś u celu Teutonowie pobrzękują zuchwale zwycięskim orężem; ale takie przeczucia dziejowe odzywają się zdaleka, długo czekają daremnie na spełnienie swoje, aż w końcu ziszczą się niezawodnie. Jednak i na Słowianach się nie skończy; przyjdą po nich inni i ciągną już, choć sami zapewne dotąd swojego celu nieświadomi i choć ich postaci nikt jeszcze dostrzedz wyraźnie nie zdoła; to owe nieosobiste rzesze, któremi Botticelli zaludnił mglistą głąb cudownego obrazu.

Tak to rzecz tłómaczyłem Paniom, a dopóki stały przed obrazem, opowiadanie moje wydawało im się bardzo zajmującym, tłómaczenie zaś treści obrazu oczywiście trafnem. Gdyśmy się jednak wszyscy wieczorem, znowu w bawialni hotelowej, przy naszym stoliku zgromadzili, powstały zupełnie naturalne wątpliwości, którym pani Jadwiga grzeczny wyraz dała, mówiąc:

— Mnie się jednak zdaje, żeśmy się dziś dali wyobraźnią unieść, kiedyśmy w obraz starego Botticellego wmawiali myśli zupełnie no-

wożytnie. Przecież niepodobna, aby kto już wówczas myślał o Słowianach.

— A dlaczegoż to nie?—spytałem w odpowiedzi; wiadano i m,ślano nie tylko o Słowianach, ale nawet o Mongołach, o państwie Wielkiego Chana, do którego papieże już o wiele pierwej uroczyste wysyłali poselstwa. Na innym obrazie w galerii *dei Uffici*, na rzeczywistem wyobrażeniu, nie czego innego, tylko pokłonu trzech królów, wykonanem misternie przez innego malarza piętnastego wieku, Mantegnę, oglądaliśmy z pewnością podobizną Turków i Tatarów, a nikomu z nas nie wpadło na myśl dziwić się tej rzeczy. Dlaczegoż nie miał tedy Botticelli, na swoim znów obrazie Polaków albo Czechów odmalować? Na fresku Pinturicchia, wyobrażającym w Bibliotece Sienneńskiej śmierć papieża Piusa II-go, wyprawiającego się na krucyatę, widać niezawodnie wąsatego Polaka, a Giotto malował już o wiele dawniej książąt Polskich, jako wyobrazicieli cnoty chrześcijańskiej czystości, w podziemnym kościele w Assyżu, gdzie Bolesława Wstydlwego, Bolesława i Henryka Pobożnych, wystawił narodowi Italii, jako wzory godne naśladowania. W bulach papieskich piętnastego wieku bywa wspomniane *inclitum Poloniae regnum*, sławne królestwo Polskie, a Papieska dyplomacya spodziewała się przedewszystkiem po polskich Jagiellonach wielkiej krzyżowej wyprawy i wygnania Turków z Europy. Jeszcze w czternastym wieku gorszył się Petrarka tem, że Słowianin, tytularny Cesarz Zachodu a rzeczywisty król Czeski, Karol IV, śmiał włoskim poetom wawrzynowe przyznawać korony. Na początku wieku piętnastego wstrząsło czeskie kacerstwo Husa posadami kościoła, a wspomnienie bohaterkiej śmierci Warneńczyka było za dni Botticellego jeszcze świeże w pamięci narodów; na tej śmierci wspomnienie dzwoniło już wówczas i dzwonią dziś jeszcze w całym katolickim świecie na Anioł Pański, nie tylko rano i wieczór, ale także w południe. W chwili, w której pokłon narodów został odmalowany, stali polscy Jagiellonowie u szczytu potęgi, berło synów Kazimierza Jagiellończyka władło całą przestrzenią ogromną od Dźwiny aż do pogranicza Włoch, a morze owo, wśród którego się wznosi Wenecya, morze Adryatyckie, które wszystkie wschodnie Włoch wybrzeża oplukuje, nazywało się pó Włosku nie inaczej tylko morzem Słowiańskiem. Jednym z najgorszych skutków naszego intelektualnego zawojowania przez Niemców to, żeśmy dali wmówić w siebie, iż nie jesteśmy nic warci, i żeśmy nigdy nie nie znaczyli i nigdy w przyszłości nie znaczyć nie możemy, i żeśmy nieuleczalni półbarbarzyńcy, na których się nigdy nikt nie oglądał, o których nikt nigdy nawet na prawdę nie wiedział, iż mamy oznaczone sobie miejsce na progu pomiędzy barbarzyństwem a cy-



wilizacją, w jakimś takim półmroku, że Hindus i Chińczyk oczywiście więcej znaczą od nas.

— Przekonałeś nas pan—rzekła na to pani Róża—że Botticelli o Słowianach myśleć mógł—ani słowa, że tak było. Mimo to, nie chcę mnie odstąpić wątpliwości, czy nasza interpretacja oglądanego dziś obrazu nie była zbyt śmiałą? Przecież za dni Medyceuszów nie bawił się nikt jeszcze w historyzoficzne spekulacje; nikomu nie wpadało na myśl, aby miał istnieć jakiś fatalny płodozmian szczepów i cywilizacji. To zgoła nowożytny pomysł niemieckich filozofów, Hegla i Schellinga, wymyślone dla chwały Prus, a łakomie podchwyczone przez Cieszkowskiego i Krasińskiego, którym się zdawało, że tym sposobem będą mogli, niby naukowo dla nas wielką przyszłość wywróżyć. Podobne spekulacje dziś modnymi być przestały, a ich wartość filozoficzna wydaje mi się rzeczą bardzo wątpliwą. Wiem z pism pańskich, że pan jesteś odmiennego zdania, że w historyzofię i kolejne narodów następstwo, albo wierzysz w istocie, albo chcesz przynajmniej wierzyć. Ale czyż dlatego wolno popełniać anachronizm jaskrawy i wmawiać w starego Botticellego myśli, które mogły się dopiero zrodzić w polskich głowach, w dziewiętnastym wieku?

Odpowiedziałem: Najpierw stwierdzić muszę, że istotnie wierzę w kolejne następstwo narodów i cywilizacji. Wolno w to wierzyć na podstawie analogii zaczerpniętych z dziejów przyrody, a w to wierzyć trzeba chyba koniecznie na podstawie świadectwa wyraźnego dziejów ludzkości. Ale w tej chwili, prawdy moich przekonań dowodzić nie chcę, bo toby nas może za daleko zawiodło. Poprzestanę na odparciu zarzutów podniesionych przez panią, przeciw mojej interpretacji obrazu Botticellego. Mógłbym się przedewszystkiem spytać panią o to, czy wypadkiem ludzie dawni byli głępszymi od nas, albo mniej mieli twórczej wyobraźni, albo nie odczuwali potrzeby zrozumienia całokształtu dziejów i przewidywania prawdopodobnej rodzaju ludzkiego przyszłości? Albo czy może posiadali zanadto mało wiadomości, aby się mogli bawić w wielkie historyzoficzne konstrukcje? Takie zdanie można czasem znaleźć w nieprzetrawionym podręczniku; mogłoby pochlebiać nowożytnemu niuactwu i nowożytnej próżności, ale pani tego podzielać nie możesz; jesteś na to zbyt wykształconą, zbyt często zagłębiałaś się pani we freskach watykańskich Rafaela i w dramatach Szekspira, i podziwiałaś świat wiedzy i myśli, jaki w nich się mieści. Więc nie wiem, dlaczegooby tak bardzo, jak wiemy, wykształcony Botticelli nie miał zastanawiać się nad tokiem dziejów rodzaju ludzkiego? Zresztą mógłbym spór odrazu rozstrzyg-

nać przytaczając pogląd historyzoficzny, jaki kardynał Mikołaj z Kuzy spisał w Rzymie na pięćdziesiąt lat mniej więcej przed powstaniem obrazu, o którym mowa. Rzecz to zadziwiająca, zastanawiająca tem, że ów filozof za czasów renesansu, potrafił istotnie przewidzieć, jak nasze czasy wyglądać będą; mogłoby to panie także zająć; ale chcąc rzecz powtórzyć musiałbym formalny wykład wygłosić; musiałbym w dodatku pogląd na dzieje poprzedzić niektórymi szczegółami bardziej oderwanej natury, wzmianką o metafizyce, wcale nieprzystępnej, mądrego kardynała. Tu niema sali wykładowej, lecz bawialnia hotelowa; nikogo nudzić nie myślę, więc poprzestanę na tem, co powiedziałem.

Panie jednak zaciekawione były wzmianką; kazały mi koniecznie poglądy starego historyzofa powtórzyć. Musiałem uleść i rzecz wyłożyłem tak, jak ją tu powtórzę.

Mikołaj Chripps był synem ubogich rodziców, a urodził się w pierwszych latach piętnastego wieku, w miasteczku Kenes, na pograniczu Niemców i Niderlandów. Odebrawszy klasztorne wychowanie, a poczuwszy w sobie wielkie zdolności i silny pociąg do nauki poświęcił się stanowi duchownemu, w którym jedynie mógł podówczas ktoś urodzony na północy o świetnej marzyć karierze, jeśli do rycerskiego nie należał stanu. Chripps był w gruncie rzeczy karyerowiczem i trafiało mu się, że zmieniał przekonania, nie śmiem wątpić o tem, że szczerze, ale jednak w sposób, który pomagał skutecznie jego ambicyi. Były to czasy wielkiego zamieszania i rozdwojenia w kościele; w łonie katolicyzmu tlały już zarodki blizkiej reformacyi, a spierano się namiętnie o to u kogo spoczywa zwierzchnia nad kościołem władza? Czy u papieża, czy też u soboru powszechnego? Zrazu zdawało się młodzieńowi, że zwolennicy soboru zwyciężą; więc kiedy szyzmatycki sobór w Bazylei wytoczył walkę papieżowi Eugeniuszowi IV, młody Chripps poświęcił swoje pióro i swoje zdolności na usługi soboru. Ale niebawem przekonał się, że brak jedności u przeciwników papieżstwa, musi ich zwycięstwo udaremnić; więc wczas przeszedł na stronę papieską, a wstąpiwszy do orszaku, słynącego z nauki i ogłady humanisty, kardynała Eneasza Sylwiusza Piccolomini, umiał jego względy pozyskać. Gdy tedy uczony jego opiekun zasiadł na stolicy piotrowej, pod imieniem Piusa II-go, przyoblekł swojego sługę w kardynalską purpurę, a Chripps, który przejął się zupełnie włoską cywilizacją, nazywał się odtąd kardynałem Mikołajem z Kuzy, bo tak wymawiano w Italii nazwę jego miejsca rodzinnego. Powiadają, że byłby może został papieżem, gdyby nie był umarł zaraz po śmierci swojego opiekuna, wpierw jeszcze, zanim się zebrało konklawe. Ale różne rzeczy na świecie powiadają i nikt



tego nie wie, co by się było stało, gdyby nie to, że się nie stało, bo się stać nie mogło?

Kardynał z Kuzy należał do najwszechstronniejszych umysłów, jakie kiedykolwiek żyły. Pisał nie same tylko kanoniczne rozprawy. Zasłynął jako matematyk i astronom, wydał świętobliwe, zupełnie prawowierne rozpamiętywania i kazania chrześcijańskie; najtrwalszy jednak ślad pozostawił po sobie w dziedzinie filozofii. Liczne jego dzieła filozoficzne, elegancką, klasyczną łaciną humanistów spisane, mieszczą w sobie czasem dość niesmaczne łamigłówki. Mikołaj z Kuzy używa w nich czasem wyrazów własnego pomysłu, wielce dziwacznych; ale ilekroć używa formy filozoficznego dyalogu, zachwyca tokiem zwrotów i myśli, umie bez pedanterii bawić, godnie wstępuje w ślady swoich wielkich wzorów: Platona, Cycerona i św. Augustyna. Historyzofię swoją wyłożył w jednym z takich dyalogów, któremu nadał dość niespodziany tytuł: „chochły“, *cochlear*.

Ze podstawą, z której swoją historyzofię wywnioskował była, poniekąd od współczesnych kabalistów i od starych neoplatoników zapożyczona, ale jednak oryginalnie przetrawiona i przerobiona metafizyka, więc przepraszam za to, ale muszę rzecz właściwą poprzedzić jaknajkrótszem tej metafizyki streszczeniem; krótkiem być musi, aby nie było nudnem, a jeśli się okaże niezrozumiałem, będzie temu zapewne winna krótkość, będzie także winien sam kardynał z Kuzy, którego myśli po nieco zawrotnych chodziły manowcach, ale główną winę chętnie przyjmę na siebie: na karb swojej nieudolności.

Panie wiedzą o tem, że nudziarze logicy odróżniają dowód od wyvodu, czyli jak się z łacińska wyrażają—indukcyę od dedukcyi. Dowodzi się za pomocą indukcyi istnienia ogólnych prawd, gdy się porównywa mnóstwo poszczególnych rzeczy i zdarzeń, nato, aby orzec nareszcie to, co się ich wszystkich tyczy, zbadać istotę jakiegoś rodzaju, albo przynajmniej jakiejś postaci zjawisk; z dowiedzionej prawdy wywodzi się potem za pomocą dedukcyi jej zastosowanie, jakie się wśród rozmaitych okoliczności nadarzy, skoro tylko mamy do czynienia z rzeczami albo zdarzeniami należącemi do rodzaju, albo do postaci, której istota nam już jest znaną. Dzisiejsza nauka zwykła zalecać przejście od dowodu do wyvodu, każe poznawać najpierw szczegóły, a z nich dopiero prawdy ogólne wywnioskować i różnych cudów w ten sposób dokazała. Starożytni jednak postępowali przeciwnie i z równie znakomitym skutkiem, skoro dwie najpewniejsze nauki, logikę i przedewszystkiem owe nowożytne bóstwo, matematykę, wywiedli w całości z prawd ogólnych, a bezpośrednio oczywistych, z tak zwanych aksyomatów, a dzisiejsi matematycy nie inaczej od starożytnych postępują, trzymając się twardo metody dedukcyj-

nej. Skoro wiemy, że także prawnicy, i to zupełnie świadomie, w podobny sposób postępują, że przyrodnicy nawet dzisiejsi mają się mimowiednie metody dedukcyjnej, ściśle logicznych jedynie wywodów, skoro tylko dadzą się matematycznym zasadom wkraść do swojej nauki—nie będziemy ramionami ruszać, jak to czyni wielu, gdy sobie przypomnimy, iż starożytni i średniowieczni ludzie mniejszą wagę do doświadczenia i drobnostkowych obserwacji przykładali, wyżej cenili sobie naukę, rozpoczynającą od prawd ogólnych, od pojęć najszerszych, a wywodzących dopiero szczegółowe przepisy. Obie metody mają swoją dobrą i złą stronę, a nie myślę się w tej chwili zastanawiać nad tem, kto ma słuszość, czy starożytni mędrcy, czy dzisiejsi uczeni, o ile mają słuszość jedni albo drudzy? Teraz stwierdzę tylko, że kardynał z Kuzy, zgodnie z większością współczesnych, nie lekceważąc wcale dowodów opartych na doświadczeniu, przyznawał prym wywodom zaczerpniętym z prawd ogólnych.

Mamy bardzo przesadne wyobrażenie o nietolerancyi średniowiecznej. Kościół stał się bojaźliwym dopiero po reformacyi i dopiero przykład srogi dogmatycznej nietolerancyi pierwszych państw protestanckich wpłynął na katolicyzm i wytworzył w pierwszej zwłaszcza siedemnastego wieku połowie tak nieznośną pod tym względem atmosferę, że nam przykro, kiedy czytając dzieła najznakomitszych ówczesnych umysłów, dostrzeżemy, jak lękliwie każdego strzegły wyrazu, jak się formalnie wily, aby nie popaść w niezgodę z wyznaniem, panującym w ich kraju. Ta nietolerancya wynikała bezwarunkowo z ówczesnej zasady, przyznającej rządowi prawo stanowienia o religii poddanych, z tego, że dogmatykę chrześcijańską w polityczny oręż zamieniono. Za średnich wieków obchodzono się wcale niedelikatnie z każdym, który podburzał przeciw hierarchii kościelnej i opartemu na niej łaadowi społecznemu; brano go na tortury i palono na stosie, bez ceremonii. Patrzano zato wcale obojętnie na wszelkie metafizyczne herezye, domagając się tylko, aby ich w języku żyjącym nie propagowano. Po łacinie wolno było pisać najbardziej nieortodoksalne rzeczy, byle tylko w sposób naukowy. Kiedy słynny Abelard wszelkie podstawy jakiegokolwiek religii zaatakował, w dziele zatytułowanym „Sic et non“, i wszystko podał w wątplenie, co się tylko w wątplenie podać dało, ograniczono się na tem, że mu zakazano wykładów w Paryżu, a oddano mu w zarząd opactwo. Wciągu czternastego i piętnastego wieku wykładano na wszystkich uniwersytetach, mimo to że wszystkie od kościoła zależały, obok prawowiernej scholastycznej filozofii, zresztą wbrew nowożytnemu przesądowi bardzo głębokiej i poważnej—materyalizm i ateizm arabski, zwany aweroizmem, albo też panteistyczną nauką kabalistów. Wca-



le nieprawowierni filozofowie bywali nawet, i to przykładnymi biskupami i kardynałami. Niewypada się przeto dziwić, jeśli się także filozofia kardynała z Kuzy nie koniecznie da pogodzić ze ścisłą chrześcijańską ortodoksyą, jeśli mocno panteizmem trąci—choć tegoż kardynała pisma ściśle religijne są bardzo pobożne i budujące.

Dla Mikołaja z Kuzy, Bóg to poprostu był wszechbyt;—a byt, to myśl i jedynie myśl, bo wszystko jest albo myślą myślącą, albo tej myśli wyobrażeniem, zatem myślą pomyślaną. Próbując rzecz wyjaśnić, musiałbym się wdać w metafizyczne wywody, lecz nie dam się porwać tej pokusie i poprzestanę na tem, że powiem tylko tyle, ile koniecznie potrzeba, aby pogląd Kuzy na dzieje powszechne wyjaśnić. Otóż Bóg sam w sobie jako byt oderwany, to najogólniejsze pojęcie, jakie sobie umysł ludzki wytworzyć zdoła, jakie wogóle istnieć może, obejmując wszystko rzeczywiste i możliwe. Ono jest u początku; z niego myśl spuszcza się powoli ku zjawiskom poszczególnym, ku istotom ziemskim a doczesnym. Z analizy pojęcia bytu, wynikają najpierw pojęcia ogólne praw i rodzajów—*universalia* scholastyków, czyli idee Platona. Rozbierając te dopiero pojęcia ogólne, dojdziemy u końca logicznego wywodu, do jestestw poszczególnych, doczesnych, na których bywają prawa rodzajów ujawnione, do których bywają praktycznie zastosowane, do tego co nie bytuje już tylko jako coś możliwego, lecz istnieje jako tuteczna rzeczywistość. Takie rzeczy poznajemy za pomocą zmysłowego doświadczenia, a za ich znów pomocą możemy się nazad drapać po drabinie Jakóbowej logicznych dowodów, za pośrednictwem najpierw z doświadczenia wywnioskowanych prawd ogólnych o rodzajach i prawach natury, aż do owego najwyższego, oderwanego pojęcia bytu, w którym pełń bóstwa przebywa.

Takie to są koleje myśli, a zatem także wszelkiego bytu koleje. Myśl Boża tem jest i to tworzy, co tylko pomyśli. Zgodnie tedy z prawami myśli istnieją trzy światy: Najwyższy, to świat, w którym pełń trwa bóstwa, świat oderwanego bytu i bezwzględnej jedności; z niego schodzi twórcza myśl Boża do świata tamecznego, do świata wiecznych idei, praw nieprzemiennych, pojęć ogólnych, w których tkwi istota rodzajów i postaci, stąd dopiero zstępuje myśl wiekuista w świat trzeci, w świat tutecznego istnienia, gdzie sama rozpada się na niezliczone, ograniczone duchy ludzkie, poznające, za pomocą zmysłów, istotę rodzajów nie taką, jaką jest w sobie, wśród tamecznego bytu, tylko taką, jaką się jawi wśród czasu i przestrzeni, w poszczególnych przedmiotach stworzenia tutecznego. Wywód istnienia z pełni bóstwa doszedł tym sposobem do kresu swego, a myśl wieczna, w roju indywiduów ludzkich uświadomiona, poznaje świat za pomocą zmysłów i zmysłowej pamięci i zmysłowej wyobraźni, wystarczających do zadośćuczynienia potrzebom

doczesnego, ziemskiego tylko a poziomego żywota. Ale myśl dotąd oderwana i nieosobista, podobnie jak niegdyś Anteusz, dotknąwszy się ziemi, nie tylko w każdym człowieku do osobistej dochodzi samowiedzy, ale nabywszy sił nowych, porywa się do wzlotu powrotnego ku wyższym światom. Obok poznawania zmysłowego budzi się w człowieku rozum, który na podstawie doświadczenia, praw i prawd ogólnych, uczenie dowodzi, wdzierając się na powrót w świat tamczyńskich idei, zamieniając je we własność osobistą, żywotną każdego człowieka. Dla rozumu dostęp do pełni bóstwa wzbroniony; dowieść może tylko, że jest ponad rojem poszczególnych pojęć ogólnych byt oderwany, najwyższy; zrozumieć, pojąć tego bytu nie jest w stanie, chociaż dociera do progów najwyższego świata. Tych progów nie przekroczy rozum. A jednak duch ludzki i tam się wędruje, za pomocą wyższego nad zmysłowe i rozumne poznawanie, boskiego widzenia prawdy bezwzględnej—umysłu doskonałego; i dopiero kiedy człowiek jedność swoją z pełnią bóstwa poczuje i tę pełnię bóstwa osobistą uczyni—cel stworzenia bywa w zupełności dopięty.

Skończyłem już bardzo krótkie streszczenie, wcale nie prawowiernej, a ze stanowiska chrześcijańskiego wielce podejrzanej metafizyki kardynała z Kuzy. Raz jeszcze przepraszam, jeśli nudziłem i jeśli byłem trochę a nawet bardzo niezrozumiały; ale dla rozgrzeszenia siebie samego, dla uspokojenia naukowego sumienia, musiałem tych kilka zdań powiedzieć, skoro filozofia historii kardynała Mikołaja stoi w najściślejszym związku, z jego metafizyką, skoro tę historiozofię uzasadnił tylko odwołaniem się na swoją metafizykę. A teraz przejdę do właściwego przedmiotu.

Wracam tedy do owej „Chochły“, czyli do dyalogu tak dziwnie zatytułowanego. Otóż kardynał z Kuzy przenosi czytelnika do Rzymu i każe nam się przypatrywać temu, co się tam w roku 1450 działo, kiedy odprawiano wielki jubileusz, jeszcze za pontyfikatu Mikołaja V Porentucelli, wielkiego opiekuna sztuki i nauki, znakomitego humanisty i poprzednika Piusa II-go na stolicy apostolskiej. Trzej bardzo poważni a strojni filozofowie z Włoch, Niemiec i Francji, dokładni znawcy filozofii Platona i Arystotelesa, chcieli się dostać przez Tybr do bazyliki świętego Piotra—a nie mogli, z powodu niezmiernej ciżby tłoczącej się nieustannie przez *Ponte Angelo*, ów wspaniały, mурowany most u stóp ponurego pomnika Cesarza Hadryana. Ze wszystkich stron Europy ciągnęły nieuczzone rzesze, mówiące wszystkimi językami, a nie oglądając się na nic, tłocząc się i dusząc po drodze, docierały do papieskiego kościoła, aby mogły ukłęknąć przy grobie Rybaka, otrzymać błogosławieństwo apostolskie,—bo cieszyły się bogobojnem nieuctwem, któremu rozumowe abstrakcje



nie stawały na zawadzie, bo ciężka kotara nauki nie zasłaniała im owego oka duszy, nieodbierała zdolności mistycznego rozpoznania najwyższej prawdy, zjednoczenia się z Bogiem, w prostocie ducha i dotarcia do upragnionego celu. Tamci filozofowie zbyt mądrzy byli na to, aby mieli czegoś chcieć naprawdę; niewygody unikali, na most się nie puszczali, zastanawiali się nad dziejowem znaczeniem oglądanego przez siebie widowiska, dyskutowali o tem w sposób bardzo zajmujący; czekali aż tłumy przeminą i... doczekać się tego nie mogli. Nareszcie postanowili schronić się do sklepiku rzemieślnika, wyrabiającego znakomicie chochle. Otóż ten znakomity chochlarz—czy chochlorób--nie wiem jak go nazwać, a niema tu Trentowskiego, aby dla tej sprawy jakieś niemiłosierne, nowe, nibyto polskie słowo ukuł—miał w sobie coś ze Sokratesa; słynął w całym Rzymie ze swojego mądrego nienuctwa, z daru intuicji, rozpoznającej prawdy najwyższe, bez której żadna nauka i żadne, choćby najumiejtniejsze rozumowanie umysłu ludzkiego, do celu ostatecznego doprowadzić nie zdoła. Dzięki temu darowi umiał ten arcyfilozoficzny rzemieślnik uczeńszych od siebie naprowadzać na wnioski z ich wiedzy wynikłe, ale takie, na któreby sami nigdy nie wpadli. Więc w tym dopiero sklepiku nawiązała się arcymisterna i arcyciekawa rozmowa, przy której owi uczeni filozofowie doszli do poglądu na dzieje powszechne, który teraz, już bez dalszych preambułów wyłożę.

Myśl dopiero w człowieku się uświadamia, zstępuje do istnienia ze świata tamecznego bytowania idei nieprzemiennych i z dalszego jeszcze świata pozabytnego, w którym pełń bóstwa spoczywa. Myśl, to Bóg, a zatem dzieje rodzaju ludzkiego, to dzieje Boże, to historia Boga samego; w dziejach powszechnych, ujawnia się docześnie wieczny proces logicznej i twórczej myśli.

Na początku tedy była ludzkość pogrążona w pełni bóstwa, ale nieświadomie jeszcze i nie rozumiejąc swojej z Bogiem współistności. Działo się to pod skwarnem słońcem tropikalnym, w Indjach, w Egipcie i w Syrii—gdyż kardynał z Kuzy te trzy kraje wyraźnie, jako kolebkę cywilizacji wymienia, rozumiejąc pod Syryą także Mezopotamię. Skwary słoneczne rozpały wyobraźnię, myśli samodzielnej budzić się nie dały, a potęga podzwrotnikowej przyrody, bujność bajeczna dziewiczego lasu, albo straszliwa nieskończoność pustyni, budziły w człowieku wyraźne swojej niemocy poczucie. Więc te narody pierwotne całe były pogrążone w myśli o Bogu—ale nie jako dzieci Ojca, tylko jako niewolnicy Pana; nie śmiały nawet Boga pomyśleć na podobieństwo ludzkie—ani duchowo, ani zmysłowo; Bóstwa nieosobiste i wszelkiego pozbawione miłosierdzia, wyobrażały sobie w postaci poczwar nieludzkich, dziwacznych a groźnych i słu-

chały ich objawienia, drżąc na ciele i duszy. U tych narodów wszystko było religią, ale wszystko było także niewolą i uciskiem; te rzesze nie znały niczego, coby było ludzkim zupełnie, świeckiem. Obyczaj rodzinny i powszedni, nauka, państwo i ustrój społeczny, były u nich rzeczą religijną, ustanowioną przez Bogów, nietykalną, w której ani zmiany, ani postępu być nie mogło; nawet najbardziej zwierzęce instynkta, najsprośniejsze namiętności, były dla nich rzeczą boską, bogiem była i zmysłowa przyroda, która trzymała narody w niewoli, domagając się katuszy okrutnych i hańbiącej rozpusty — ofiary ze wszystkiego, nawet ze czci, z rozumu i cnoty. A na wzór bóstwa dźwigał się despotą ziemski, król, którego naród nie poddanym był, lecz niewolnikiem, ojciec i pan, u którego żony, dzieci i sługi były zarówno dobytkiem, nie wiele od bydła różnym. Wielkie wykonywano dzieła materyjalnej cywilizacji, dziwne odprawiano czary, ale na mocy instynktu i świętego a instynktownego obyczaju. Nie obudzona jeszcze i nieuświadomiona ludzkość liczyła w swoim łonie samych równych pomiędzy sobą niewolników. Bo nikt z ludzi nie był wolnym, król nawet był biernym niewolnikiem swojego bóstwa, i w poddaństwie swoim nawet myśleć nie śmiał.

Dziejów nie było jeszcze na prawdę w owym pierwotnym Wschodzie, były wojny i zmiany dynastji, ale rodzaj ludzki, pogrążony w łonie powszechnego, nieosobistego bytu, stał na miejscu, sam o sobie nie wiedział, nie rozwijał się, nie postępował. Dopiero w umiarkowanym klimacie krain położonych na północnem wybrzeżu Śródziemnego morza, mogły się pod pogodnem niebem dzieje rozpocząć, mogła ludzkość rozpocząć dzieło myśli, rozróżniającej wyraźnie najogólniejsze prawdy, naczelnę prawa i rodzaje przyrody. Grecy i Italicy tudzież późniejsi ich spadkobiercy, narody Romańskie, ludy, które działają w drugiej rodzaju ludzkiego dobie, a pierwszym dziejów właściwych okresie, doznają zimna, niepogody i upału o tyle o ile tego potrzeba do rozbudzenia i ożywienia, cały rok pracować mogą bez trudu, mają do czynienia z przyrodą, która sama wprawdzie nie jest zdolną liczne narody utrzymać i nakarmić, ale która niewielkim da się trudem do potrzeb ludzkich nagiąć. Tu najdzielniejsi pośród ludzi uczuli się nie już niewolnikami, jedno panami sił nieosobistych, zaczęli ich prawa rozpoznawać, a mało dbali o poziomą, drobnostkową powszedniość, rozróżniali to, co ogólne i piękne, to co jest wyrazem prawdy nieprzemiennej, na to jedynie baczną zwracali uwagę. W dyalektycznym procesie myśli i bytu wyłoniła się część rodzaju ludzkiego z toni bytu nieosobistego, wejrzała na świat ideału nieśmiertelnej piękności i dyalektycznych dociekań, i nastał okres dziejowy, o którym kardynał z Kuzy twierdził, że za dni jego trwa jeszcze, ale już



przeznaczonego sobie kresu dochodzi. Nawet wśród narodów wybranych, u których cywilizacja ludzkim teraz zakwitła blaskiem, nie wszyscy ludzie mogli w dziejowej uczestniczyć pracy. Mnogie rzesze pozostały w niewoli, ale służyły nie już mocom poczwarnym a nieosobistym, tylko ludziom pięknym a dobrym—za pogaństwa mędrcom i bohaterom, za chrześcijaństwa rycerzom i świętym, którzy postacią, rozumem, cnotą i natchnieniem, sami najdoskonalszą piękność ludzkiego ujawniali ideału, a rzeszom dawali bogów, prawa i obyczaj nowy. Religia zamieniła się z religii trwogi w religię piękności, a ludzkość wyobrażała sobie mieszkańców nieba a nawet najwyższego Boga, na podobieństwo doskonałych, nieśmiertelnych, wiecznie szczęśliwych ludzi. Najważniejszymi zajęciami ludzkimi stały się: sztuka, polityka, nauka. Sztuka szukała ideału, piękność najdoskonalszą po przed oczy ludziom wyprowadzała, bogom pięknym piękne stawiała świątynie, czyny bohaterów i władców opiewała górną; uprawiana przez najlepszych, wykonywała misterne dzieła skończonej piękności, od powszedniego otoczenia oderwane, dla najlepszych tylko w zupełności przystępne. Politykę i wojnę uprawiano, jako pole popisu dla dzielności, której dziejopis nieśmiertelną potem nadawał chwałę, a państwo i społeczeństwo pojmowano jako urządzenie, mające doskonałych choć wyjątkowych wyrobić ludzi. Nauki poszczególne uprawiano pobocznie, prócz historii zajmowała tylko filozofia myśli przewodców, na poły boskich, ludzkiej rzeszy, i myśl krążyła ustawicznie w świecie oderwanych idei, gardząc umysłem doświadczeniem. Z filozofii czerpały swoje natchnienia obadwa zajęcia mężów stanu: prawodawstwo zakreślające ogólne normy dla zajęć ludzkich, i górna wymowa, posługująca się spekulatywnymi zwrotami, albo zamieniająca się w sztukę piękną, zachwycającą słuchaczy i rozbudzającą ich uczucia.

Rzekłem już, że dla kardynała z Kuzy obraz ten bohaterski, arystokratyczny, spekulatywny, i w piękność doskonałą zapatrzony, trwał jeszcze w piętnastym wieku, ale zbliżał się ku końcowi. W dalszym ciągu dyalektycznego procesu miała już ludzkość zestąpić w świat trzeci, tutecznej, zmysłowej ale powszechnej świadomości. Miała się wprowadzić na dolnej obudzić ziemi, ale miała się obudzić gromadnie i wszyscy bez wyjątku ludzie mieli być odtąd świadomi swojej godności i swojego społeczeństwa, wszyscy mieli być wolni i równi. Scena dziejów miała się przenieść na północny zachód, a plemię germańskie miało być powołane do przewodniczenia wśród trzeciej rodzaju ludzkiego doby a drugiego dziejów postępowych okresu. Plemię to twarde a praktyczne, w twardej wychowane szkole. Pod mglistem niebem, w zimnym klimacie o srogiej i długiej zi-

mie, musi każdy człowiek bez wyjątku dbać skwapliwie a usilnie o pokarm obfity, ciepłe pomieszkanie i ciepłą odzież; zginąłby niechybnie, gdyby nie pracował, niema czasu na górne spekulacye, ale tembardziej ćwiczyć musi swój zmysł spostrzegawczy, badać przyrodę, którą mu opanować przyszło, uczyć się od doświadczenia. Wśród tej powszechnej a poziomej pracy zetrą się różnice między ludźmi. Nikt już nie zechce być niewolnikiem i sługą, skoro każdy będzie równie zdolnym do zmysłowego poznania i przeróżnych a praktycznie pożytecznych zajęć, nastanie zatem równość powszechna, demokracja prawdziwa, zupełna, jakiej nie znały ani Ateny, ani Florencya, rzeczywospolite z nazwiska tylko demokratyczne, skoro żyła w nich, około garstki wolnych obywateli, rzesza niezliczona poddanych, pozbawionych pełni praw, skazanych na bierne posłuszeństwo. Umysł ludzki zajmie się każdym szczegółem; demokratycznym także i praktycznym a zmysłowym celom poświęcona nauka oprze się wyłącznie na zmysłowym doświadczeniu, każdy szczegół badać będzie skrętnie, nie dbając o to, czy się który komuś wyda szlachetnym, czy też nikczemnym. Ludzkość i w pamięci swojej i po gmachach publicznych zakładać będzie ogromne biblioteki i muzea, gdzie wszelkie wiadomości o tem, co jest i było, będą nagromadzone w osobnych oddziałach, powierzonych w ręce osobnych ludzi, i suma szczegółów nagromadzonych, pojedynczych wiadomości nabytych, przejdzie wszystko, o czem uczeni aleksandryjscy kiedykolwiek zamarzyli. Praktycznym skutkiem takiej pracy naukowej, będzie tak doskonale opanowanie przyrody, że cuda, któreby były dawnych magów i czarnoksiężników w podziw najwyższy wprawily, spowszednieją zupełnie rzeszom przyszłości, a prości mieszczenie nagromadzą skarby, w porównaniu z którymi bogactwa Salomona albo Krezusa były majątkiem żebraka. W tym czasie przyszłej demokracji, bibliotekarskiej, skrętnie zebranej a w całość nie zlanej wiedzy, praktycznej pracy około chleba powszedniego i bajecznego nagromadzenia bogactw, będą: religia, sztuka, poezya i filozofia zapewne dalej istniały—ale tylko jako coś przekazanego przez odległe wieki, jako zajęcie niewielu, niewywierające żadnego wpływu na życie narodów. Bohater lub święty będzie rarogiem niechętnie widzianym przez zazdrosną demokrację, sztuka będzie zabawką, albo rzemiosłem nie dbającym o odtworzenie najwyższej piękności, filozofia mrzonką niepraktyczną, a zatem lekceważoną, będą to czasy, w których Anteusz ludzkością przezwany, ze wszystkim spocznie na ziemi, aby za pomocą zmysłowego poznawania pełną o samym sobie nabyć świadomość, a później kiedyś, w dalekiej może jeszcze przyszłości, wzbić się do powrotnego lotu, za czwartej



«łoby żywota rodzaju ludzkiego i ostatniego okresu dziejów postępowych.

Powiada kardynał z Kuzy, że na wschód od owych skrzętnych a zmysłowych Germanów, inny żyje naród północny, z usposobienia pośredni pomiędzy Germanami a zakochanymi w ideałach ludami południowej Europy. Sadyby tego plemienia zakresła na ogromnej przestrzeni, która sięga od Oceanu Lodowatego, aż po kresy dawnej klasycznej Hellady; Słowian po imieniu nie nazywa, ale doprawdy zdawać się może, że wskazał ich palcem. Otóż to nowe plemię podejmie kiedyś dzieło przez Germanów spełnione, aby za pomocą nagromadzonej skrzętnie wiedzy, umiejętnego, przez poprzedników zdobytego panowania nad przyrodą i za pomocą nagromadzonych bogactw, wywieść demokrację powszechną ze zbyt poziomej a zmysłowej wyłącznie tuteczności i wprowadzić już całą teraz ludzkość w świat ideałów. Tego plemienia zadaniem będzie kiedyś naukę szczegółową, a w szczególności nieskończenie bogatą, zlać napowrót w spekulatywną całość, obwieścić światu prawa ogólne i dać mu metafizykę, nie opartą już na domyśle, lecz pewną i niezachwianą; to plemię nauczy demokratyczne społeczeństwo tego życia nie zmysłowego już, nie myślącego wyłącznie o chlebie i wygodzie, ale dążącego do uszlachetnienia i udoskonalenia wszystkich ludzi, jako do swojego ostatecznego celu; ono całą ziemię przyozdobi, cały świat przemieni w jedno doskonałe, dla wszystkich przystępne i zrozumiałe dzieło sztuki, cały żywot rodzaju ludzkiego w jeden poemat, w jedną pieśń zestroi.

W tej to dobie procesu dziejowego będą rody ludzkie powracać do Boga. Cały planeta wreszcie i wszyscy na nim ludzie, bez różnicy plemi, narodu i stanu będą uczestniczyć w doskonałej cywilizacji, władającej siłami przyrody bez wysiłku a zapatrzonej w ideał, w piękno, dobro i prawdę wiekuiącą. Dopóki cel w zupełności nie będzie osiągnięty, dopóki proces dziejowy trwać jeszcze będzie, dopóty będą przewodzić północne a zatem praktyczne i zawsze jeszcze do tuteczności doczesnej przywiązane narody trzeciego, najmłodszego plemienia. Ale ostateczne dokonanie dzieła nie im przypadnie w udziale. Pod zwrotnikami, w Indyach dalekich, pozostał naród mnogi, w bóstwie pogrążony. Indowie w dziejach udziału nie brali, pozostali dotąd w stanie, w którym rodzaj ludzki był przed początkiem dziejów, w posiadaniu sił magicznych i wiedzy intuicyjnej; a jak na początku tak i teraz, pozostając w jedności z bóstwem, w bóstwo to spoglądają, jako w coś nieosobistego, poczwar nego, siejącego trwogę, pozostają zatem w sprośnym, albo okrutnym łańcuchwalstwie, w zupełnej niewoli wszystkich ludzi, tak mnogiej rzeszy, jakoteż ksiąząt i kapłanów. Ale gdy dyalektyczny proces

dziejowy już do końca dochodzić będzie, gdy cały świat obejmie, porwie ze sobą także ludy Indyi, na chwilę, i gdy im otworzy oczy na to, że Bóg ludziom ojcem, że z duchem ludzkim współlistotny, w myśli człowieczej przybywa, że w niej do świadomości pełnej dochodzi, wtedy posiadanie intuicyjnego wzroku, przenikającego najwyższe tajemnice, i mistycznej mocy cudu, odrazu Indów na czoło narodów wyniesie. Skończą proces dziejowy, przywrócą ludzkość do jedności zupełnej z bóstwem. Nastanie znowu czas, który naprawdę czasem nie będzie, w którym nie będzie już żadnej przemiany, w którym wszystko będzie w Bogu i Bóg wszystkiem będzie. Wynosząc ziemię i rodzaj ludzki po nad doczesną tuteczność, przywrócą Indowie czasy pierwotne całemu plemieniu naszemu, ale będzie to bezwzględne panowanie religii przemienionej, utwierdzonej miłością i wiedzą intuicyjną a nie już trwogą zabobonną, władnącej nad ludźmi wolnym a zapatrzonymi w piękność nieprzemienną, nie już nad niewolnikami pogrążonymi w ślepy zabobonie.

Skończyłem mój wykład. Koniec jego tak dalece zajął panie, że same tego już nie wiedziały o ile początek był może nadto długi, a przecież niezrozumiały. Po chwili odezwała się pierwsza pani Róża, dziękując za wykład—tak jak tego uprzejmość się domagała, ale dając do zrozumienia, że zapewne zmodernizowałem mimowolnie wyobrażenia przedwiecznego humanisty.

Odpowiedziałem:

— Rzecz wykładam z pamięci, więc ponajwiększej części własnych słów i zwrotów używam, co zresztą przy streszczeniu każdego systematu jest nieuniknionem. Ale te zdania, które panią zapewne jako najbardziej nowożytnie uderzyć musiały, są prawie dosłownem tłumaczeniem zwrotów, użytych w dyalogu kardynała. Uderzyły one i mnie niezmiernie, kiedy ten dyalog czytałem i zadziwiły mnie; powtórzyłem je przeto wiernie z pamięci. Zresztą, gdy chodzi o proctwa, które się sprawdziły już, gdy chodzi o charakterystykę bytu czasów dzisiejszych, w których germańskie przewodzą narody, wolno przypuszczać, że okoliczności współczesne wpływały na piszącego i że kardynał wyobrażał sobie zdarzenia przyszłe, jako coś nierównie bliższego, że się spodziewał, iż dzieje dobiegną do kresu w najbliższym już czasie. Nie śmiem tego twierdzić, ale nie śmiałybym także zbijać dowodów człowieka, twierzącego, iż Niderlandy, ojczyzna kardynała, były już podówczas bardzo podobne do nowożytnych narodów o demokratycznej a materyalistycznej cywilizacji. Podobnie być może, iż kardynał spodziewał się, że ludy północnego wschodu dadzą się porwać, pod przewodem Jagiellonów, albo Habsburgów, do owej krucjaty, o której współcześni papieże marzyli, że wygnawszy



Turków z Europy, oswobodzą Grecyę, w której klasyczna cywilizacja podówczas dogorywała jeszcze i że to zaraz ożywi renesans, sprowadzi powrót do dawnych ideałów, chrześcijańskim i demokratycznym duchem ożywionych. Wreszcie wspomnienie o Indyach, mogło być tem sprowadzone, że myśl ówczesnej Europy zaprzętała się około odnalezienia nowych dróg do Indyi, co, jak wiadomo, doprowadziło nakoniec do odkrycia Ameryki.

Teraz odezwał się profesor:

— Część metafizyczną systematu kardynała z Kuzy znam z podręczników historii filozofii, gdzie bywa streszczaną w sposób podobny do tego coś pan nam tu powiedział. Wiem, że Hegel i Schelling nie przyznając się *nota bene* do tego, ulegli stanowczemu wpływowi kardynała, jego metafizykę sobie przywłaszczyli i jako rzecz nową w świat puścili. Otóż historyozofia tych dwóch niemieckich mędrców, zwłaszcza Hegla, jest mniej fortunną przeróbką tego zadziwiającego pomysłu, który po raz pierwszy teraz ze starego dyalogu powtórzony słyszałem. Więc wierzę zupełnie, że to historyozofia Mikołaja z Kuzy, znana niemieckim filozofom z pierwszej połowy ostatniego stulecia i przez nich przekręcona. Nie mniej przeto dziwi mnie to nie mało, że tego wszystkiego w żadnej historii filozofii nie spotkałem, że to teraz po raz pierwszy slysze.

— I mnie to dziwi—odrzekłem—że tej tak zadziwiającej a głębokiej filozofii dziejów, w podręczniku żadnym nie znalazłem. Świat po prostu o niej nie wie, a szkoda że nie wie. Kończąc już studia źródłowe nad filozofią średniowieczną, pożyczyłem sobie w bibliotece uniwersytetu wiedeńskiego, gruby, wspaniale oprawny w pergamin foliant, wydania bazylejskiego, wszystkich dzieł kardynała z Kuzy, wykonanego w pierwszych latach szesnastego wieku. Księga była od trzech wieków w posiadaniu księgozbioru wiedeńskiego, ale kartek po największej części nie porozcinano, nierozcięte były także kartki wspomnianego dyalogu. Przyszedłem zatem do przekonania, że żaden z wydawców historii filozofii nie czytał dzieł Mikołaja Chrippsa, choć wszyscy prawie podnoszą znaczenie kardynała z Kuzy pod obłoki i wychwalają głębokość jego myśli w tonie panegirycznym. Ktoś kiedyś przeczytał to co kardynał z Kuzy napisał o Bogu, jako wszechbycie i ognisku wszelkiej możliwości, o trojakim świecie i trojakim rozumie i zdał z tego dla nowożytnych sprawę, a wszyscy inni uczeni, tylko to, raz już do wiadomości podane, przepisują.

— Oczywiście!—westchnął profesor—źródłowe studia bywają zbyt często u wielkich uczonych w wielkiej pogardzie. Ale to mnie zastanowiło najbardziej, jak mógł filozof, z przesłanek metafizycznych

wątpliwych, wywnioskować pogląd na dzieje, w którym tyle jest prawdy? Posiadał głęboką naukę, znał dzieje starożytnego Wschodu, dzieje klasyczne i dzieje średniowieczne, genialnym wzrokiem odgadł charakter narodów germańskich, dostrzegł dla ogółu może ukryte związki nowożytnej cywilizacji. Ale to wszystko nie tłumaczy jeszcze genialnych horyzontów, jakie przed starym filozofem stały otworem, przewidywań dalekich, które się sprawdziły dosłownie, o ile chodziło o fizyognomię czasów, w których dziś żyjemy.

— A ja znów — rzekła pani Róża — dziwię się temu, że w tak dawnych czasach, mógł już ktoś wpaść na pomysł kolejnego a koniecznego następstwa plemion, fatalizmu jakiegoś, nie dającego się niczem rozumnie uzasadnić.

Odrzekłem:

— Czy się rozumnie uzasadnić nie da, o tem nie jestem zupełnie przekonany, że jednak takie następstwo plemion istniało dotąd w dziejach, jest rzeczą oczywistą, i wiedza głęboka kardynała z Kuzy już go pouczyła o tem, że pierwotnie ludy semickie przodowały — że potem, i to na długo, przyszła kolej na ludy helleńsko-romańskie pelazgijskiego plemienia, a znaki wróżące bliskie panowanie Germanów były za dni jego dość już wyraźne, aby je człowiek o genialnym umyśle dostrzegł. Z analogii już tylko mógł przysze Słowian wywnioskować panowanie. Gdy zaś pogląd na dzieje myśli ludzkiej kreslił, uzasadniał rzecz za pomocą zwrotów i wyrazów, trafiających współczesnym do przekonania, modnych znowu przed osiemdziesięciu i siedemdziesięciu laty, dziś chwilowo ze wszystkim, ale może nie na zawsze, zarzuconych. Spróbuję jednak rzecz na język dzisiejszej nauki w kilku zdaniach przełożyć, wywód istotnie zmodernizować, a wtedy wyda się może wcale rozsądnym i trafiającym do przekonania. Na podstawie indukcji z psychologicznego dowiedzionej doświadczenia, można twierdzić, że cywilizacja starożytnego wschodu, była wyrazem instynktów wrodzonych człowiekowi, jako zwierzęciu gromadnemu, a w instynktach ludzkich tkwi może w zarodku wszystko, co ludzkość kiedyś ze siebie wydać zdoła. Ale na to, aby się mógł zarodek rozwinąć, potrzeba rozbudzenia samodzielnej myśli w człowieku. Z razu mogła się obudzić tylko u wybranych, a musiała się odrazu z młodzieńczym zapałem zabrać do rozwiązania najwyższych zagadnień, nie nagromadziwszy wpierw tych wiadomości, bez których zamiar był zbyt śmiały. Początek postępowych dziejów musiał zatem wydać cywilizację arystokratyczną zarazem i spekulatywną, w której geniusz ludzki mógł najwyższe prawdy odgadnąć, najdoskonalszej piękności dopatrzeć się wzrokiem wieszczym, w której



jednak prawd tych ani uzasadnić, ani zużytkować nie mógł. Gdy cywilizacja dostała się do wszystkich ludzi, lotów tych zaniechać musiała. Nowożytna demokracja może być zrazu utylitarną i materyalistyczną, chodząc po ziemi, musi ufać doświadczeniu, musi się zawrotnych wystrzegać lotów, a zbierając skarbiec luźnych wiadomości niezwyčajne spełnia posłannictwo, umożliwiając człowiekowi opanowanie ziemi, zwalczanie wrogich sił przyrody, dając wszystkim równą i na dobrobycie opartą godność człowieka samodzielnego, gromadząc wreszcie dane, na których oprze się kiedyś myśl śmielsza znowu, syntetyczna, znów piękności i prawdy bezwzględnej spragniona, która przyszłe kiedyś pokolenia doprowadzi do celów, dziś może przez ogół zapoznanych, do duchowej doskonałości, możliwej tam tylko, gdzie mizernej walki o chleb powszedni ludzkość już nie będzie potrzebowała prowadzić. Wszak takie ugruntowanie filozofii dziejów kardynała z Kuzy, nowożytnego ucha nie razi? A rozsądnem wyda się także twierdzenie, że naród, który w jednym okresie dziejów przodował, nie potrafi już zawrócić z kolei obranej przez siebie, przodownictwa w następnym okresie innym narodom ustąpić musi, tak jak kowal, który się postarzał z młotem ciężkim w rękę, sam złotnikiem nie będzie, chyba syna na złotnika wychowa. Egipt, Syrya, Mezopotamia doprowadziły życie instynktowe do takiej doskonałości, że go już zaniechać nie mogły, że założenie istotnie ludzkich społeczeństw Grekom i Italikom przypaść musiało w udziale. Narody romańskie tak się zżyły z cywilizacją jednostronnie idealistyczną i arystokratyczną, że musiały ustąpić Germanom, kiedy przyszedł czas na cywilizację dzisiejszą, a inne plemię będzie musiało Germanów złuzować, kiedy potrzeba będzie wzbic się napowrót ponad drobnostkowy empiryzm. Nieprawdaż, że to brzmi wcale rozsądnie, że to ani mistycyzmem, ani apryoryzmem nie trąci? a ilekroć kardynał z Kuzy wskazuje na wpływy klimatu i z nich wywodzi charakter cywilizacji jakiejś, albo jakiegoś plemienia, zdaje się, że słyszynym rozumowanie nowożytnego myśliciela. Przyznam się jednak, że ani do metafizycznych argumentów kardynała z Kuzy, Hegla i Schellinga, ani do trzeźwego niby rozumowania ludzi nowożytnych nie przywiązuję wagi, gdy chodzi o tłumaczenie faktów dziejowych. Możemy wiedzieć, jak się coś działo dotychczas i możemy się spodziewać, że się podobnie dziać będzie w przyszłości, możemy się dopatrywać różnych analogii, mniej więcej słusznych, porównywać naprzykład rozwój rośliny do rozwoju społeczeństwa i na odwrót. Ale ilekroć chcemy uzasadnić dlaczego coś się dzieje, dowieść, że tak ma się dziać koniecznie, bywamy po prostu śmieszni. Gdy mi ktoś wzrost polnego kwiatka wywiedzie

z praw ogólnych bytu, albo gdy z faktów fizykalnych i chemicznych dowiedzie, że tak a nie inaczej musi się ten kwiatusek rozwijać, przywiążę wagę do jego gadania o racyi dziejowego rozwoju, pozwolę na to, gdy mi zechce tłumaczyć mądrze, dlaczego tu naprzykład, we Włoszech, rodziło się tylu wielkich artystów, w drugiej połowie piętnastego wieku, dlaczego jedne narody mnożą się i kwitną, drugie upadają i wymierają. Tymczasem sądzę, że zdanie prostaka, mówiącego, iż wszystko jest dziełem Bożej wszechmocy, w takich razach tyle, a może i więcej, warte od najuczcieńszej gadaniny filozofa.

WOJCIECH DZIEDUSZYCKI.



# DRAMAT I OPERA.

## I

W teatrze Rozmaitości wznowiono w ciągu ubiegłego kwartału myśl abonamentowych przedstawień, z repertuarem wyłącznie oryginalnym. Próba powiodła się finansowo; przedstawienia były pełne, z czego sangwiniczni optymiści skłonni byli wyprowadzać daleko sięgające wnioski, zapomniawszy w swym ferworze wziąć w rachubę jednej drobnej okoliczności: że przedstawień było wszystkiego ośm. Na tyle starczyło już nieraz rozpędu sferom, trzymającym się zwykle zdaleka od teatru; pamiętamy podobną udaną próbę przed kilku laty za reżysyeri p. Bolesława Ładnowskiego. Czy jednak takie fakty czegokolwiekby dowodzą? czy można na nich opierać nadzieję, że tą drogą wciągną się do teatru te odłamy publiczności, które, w stosunku do sceny polskiej, zachowywały się zawsze odpornie? Zdaje mi się, że pod tym względem nikt się nie łudził ani w teatrze, ani poza teatrem; było w tych objawach zawsze coś sztucznego, coś wywołanego nie wewnątrz, lecz z zewnątrz, nie wewnętrznymi pobudkami zbiorowego widza, lecz zewnętrznymi bodźcami, wywierającymi na obojętną w gruncie publiczność nacisk społeczny raczej, niż artystyczny; ktoś nawet scharakteryzował psychologię ostatniego abonamentu w ironicznej uwadze, że „zastosowano w teatrze Rozmaitości wielkoświatową filantropię do literatury polskiej“.

Ironia zbyt może zgryźliwa; bo naprawdę wobec pewnych sztuk, które, niewiadomo którędy wcisnęły się do abonamentu; wobec pewnych niespodzianek w obsadzie, które, niewiadomo skąd, zaskoczyły widzów abonamentowych, publiczność wykazała istotnie dużo wyrozumiałości, mnóstwo dobrej woli. Wyzyskać tę dobrą wolę na daleką metę nie próbowano ani poprzednio, ani tym razem; może nietylko z powodu sceptycznych na publiczność zapatrywań, ile z poczucia własnej bezsilności; gdyby bowiem przyszło ułożyć bodaj tylko ośm następnych przedstawień, tak, żeby sama treść repertuaru, bez nawoływania prasy, zgromadziła, bądź tych samych, bądź nowych abonentów; i gdyby nawet twórczość oryginalną wesprzeć zagraniczną, — kierownictwo dramatu i komedyi musia-

łoby stanąć bezradne, wobec chronicznej choroby teatru Rozmaitości — wobec braku repertuaru. Jakim sposobem się to dzieje, że są niby sztuki, a rzeczywiście niema repertuaru; co właściwie, poza tytułami różnych nowości, występujących peryodycznie na afisz, nazywa się repertuarem w teatrze, rozumnie prowadzonym, — to było już nieraz na tem miejscu przedmiotem obszerniejszych uwag; powracać więc do tej materii nie widzę potrzeby. Jedną tylko jeszcze do dawniejszych wypadnie dziś dodać uwagę: że na ten brak repertuaru, niezależnie od niekrytycznego kierownictwa, wpływać zaczyna i niedowierzająca publiczność. Wytwarza się stąd anarchia, wobec której kłopoty repertuarowe rozciągają się już na stosunki nietylko z abonamentowymi, lecz i z codziennymi widzami.

Czego naprawdę ta publiczność chce od teatru, co jej się podoba, a od czego stroni? Na te pytania nikt się w ostatnich czasach nie dobałał odpowiedzi, albo raczej codziennie inna odpowiedź dowodziła, że właściwie widz dzisiejszy sam dobrze nie wie, co by mu do smaku przypaść mogło. Przyczyn takiego objawu znalazłoby się wiele; jedna specjalna, czysto miejscowa, — to systematyczne od szeregu lat psucie smaku cyrkową strawą farsy i operetki, przenoszącą gusta teatru Nowości do widowni Rozmaitości. Ale są inne, ogólniejsze, ogarniające i kulturalną w całym świecie publiczność; są w atmosferze umysłowości europejskiej kipiące dotąd fermenty, z których, jak się spodziewają wszyscy, ma powstać nowa literatura i nowa sztuka. Jaką będzie ta literatura i ta sztuka, — nikt jeszcze nie odgadł; objawi się zapewne i jedna i druga w arcydziełach, codziennie oczekiwanych, a do dziś dnia nieurodzonych. To tylko widocznem jest w tej przedstawionej fermentacji, że w niej chaotycznie budzą się indywidualne siły, których powinowactwa, kombinacje, prawa przyciągania i odpychania są tajemnicą przyszłości. O jakimś wspólnem dla nich podłożu, o jakiejś ideowej, czy też formalnej spójni, która niegdyś kojarzyła z sobą klasyków, romantyków, realistów, naturalistów — niema mowy. Wszelkie zmieniające się z dziś na jutro *izmy*, są tylko luźną, wiotką etykietą, rozlatującą się na strzępy pod parciem coraz innej indywidualności. Co artysta — to nowa sztuka; co pisarz — to nowa literatura; możnaby prawie powiedzieć, że niema dzieł — są tylko ludzie, którzy w akcie twórczym usiłują obnażyć swoją duszę i „stan“ jej przedstawiać piórem, pędzlem, dłutem, dźwiękiem.

Otóż, przy ocenianiu stosunku dzisiejszej literatury i sztuki do społeczeństwa nie pamięta się dosyć o tem, że indywidualizm przestał być monopolem artystów, czy pisarzy; im silniejsze bowiem wywierają wpływy w sztuce i literaturze, tem głębiej przenika tam, gdzie go się pisarze i artyści najmniej spodziewają — do tłumu. Dotychczas



sytuacja przedstawiała się bardzo prosto: po jednej stronie byli *oni*, a raczej na stanowisku indywidualnem stało *ja* w liczbie mnogiej, po drugiej tłum. Oni mieli posłannictwo tworzenia, tłum nie miał prawa sądenia; pośredniczką była krytyka, tolerowana wtedy tylko, kiedy jak najmniej mówiła o dziele, jak najwięcej o stanie duszy twórczej. I oto indywidualizm, prawdziwe *enfant terrible*, wypłatał wszystkim figla, natworzywszy bez ceremonii indywidualistów w krytyce i w publiczności. Krytyk impresjonista zaczyna spoglądać na dzieło pod wpływem własnego, indywidualnego „stanu duszy“; a publiczność? — publiczność odzywa się jak Rolewski w „Ostatniem spotkaniu“ Kisieliewskiego: „Ja mam także duszę. Jaką mam, taką mam—ale mam“. I trzeba dodać, że, dzięki właśnie indywidualizmowi, ma widocznie coraz śmielszą, skoro twórcy, który do niej przychodzi i mówi:

— Oto mnie masz w tem, co stworzyłem:

Ona, nie zająknawszy się, odpowiada:

— Ty mnie nic nie obchodzisz, pokaż mi swoje dzieło.

— Moje dzieło, to moje *ja*, a moje *ja*, to moje dzieło.

— Być może; ale ja nie chcę *subiektu*; daj mi *obiekt*.

— To żadne kryterium.

— To kryterium bardzo indywidualne. Wszak minęły czasy estetyki, skodyfikowanej w filozoficzne kanony; minęły nawet czasy tak zwanego „smaku“, który był raczej przedsmakiem ubóstwianego dziś przez was indywidualizmu; wy macie swoje *ja* twórcze, my mamy nasze *ja* krytyczne. *A individualiste, individualiste et demi.*

I taka rozmowa powtarza się coraz częściej; *ci* przeciwstawiają się *tamtym*, a przeciwstawiają się nie jako dawna, zwarta masa, lecz jako osobniki, wyemancypowane przez indywidualizm z pod owczej psychologii tłumów. Publiczność starego autoramentu zaczyna się rozpadać na uświadomione indywidualnie atomy. Dla tego coraz trudniej z nią sobie poradzić.

Coraz trudniej — zwłaszcza u nas.

Gdzieindziej, ciągłość kultury artystycznej i literackiej wyrobiła szósty zmysł, wyczuwający poezję, artyzm, piękno, niezależnie od motywów, w jakich się te pierwiastki sztuki objawiają, niezależnie od haseł, w imię których do ogółu przemówić pragną: Ibsen, Tołstoj, d'Annunzio, Hauptmann, Wedekind, Wilde, Shaw, Butti, Gorkij—ktoby tam z pomiędzy nich wybierał? każdy z nich poswojemu coś znamiennie wypowiada, a słuchać ich—to właśnie prawdziwa rozkosz artystyczna. U nas inaczej. My stoimy jeszcze na stanowisku, gdzie publiczność zapytuje przedewszystkiem: *co* ktoś stworzył, a potem dopiero interesuje się tem, *jak* stworzył.

Czy to „jeszcze“, oznaczające pewną mitręgę w pochodzie kulturalnym, ma być naszym upośledzeniem w stosunku do sztuki europejskiej? Nie sędzę; wydaje mi się raczej, że to nie jest niższość, tylko „inność“, w którą godziłoby się głębiej wniknąć, zanim się lekceważąco wzruszy ramionami na kulturę całego społeczeństwa.

Banalny, zużyty, wytarty do ostatniej nitki frazes o filisterstwie mas wobec literatury i sztuki, był może prawdziwym, a zwłaszcza wygodnym w dobie, kiedy poezya, sztuka, królując w dalekiej, oderwanej od życia krainie, zapatrzona na ideały, sobie tylko dostępne, w kontemplacyi rodziła arcydzieła. Przyszedł naturalizm i zbratał sztukę z życiem w kulcie materyi; przyszła po nim adoracya duszy i ona z kolei wyświęciła sztukę na „mistrzynie życia“; więc to życie przez usta swoich dzieci przemawia do niej:

— Masz być naszą inicjatorką; masz uskrzydlić myśli nasze do lotu ku bezmiarom, gdzie kryje się Niepoznawalne; z nieświadomych drgnień naszych najtajniejszych uczuć, masz nam w podziemiach duszy wygrać symfonię Absolutu; masz ogarnąć całą istotę naszą cielesną i duchową, i rozwiązać zagadkę bytu, której nie rozwiązała ani Religia, ani Filozofia. Dobrze. Ale co nam dajesz na tę wędrówkę do Nieskończoności?

— Daję wam Śmierć, — odpowiada „mistrzynie życia“.

„Kulturalna“ Europa przyjmuje tę odpowiedź ze sceptycznym uśmiechem. *Nil admirari*. Z tyloma rzeczami się oswoiła, z tyloma przywykła igrać, dla czego nie miałaby poigrać ze śmiercią, zwłaszcza gdy widzi, że wielcy mistrze obrzędów pogrzebowych dobrze wyglądają, a Śmierć w literaturze i sztuce wywołuje niezwykle przyjemne dreszcze. Nam ten uśmiech trudniej przychodzi; u nas ta cmentarna kokieterya, ten umizg, udrapowany w kir, takim potwornym grymasem wykrzywia oblicze sztuki i literatury, że się od takich amorów ze wstrętem tylko odwrócić można; bo przecież ci oblubieńcy Śmierci, ci kochankowie Nirwany, ci buddyści, aspirujący nad Rudawą i Wisłą do rozplynięcia się w „niebycie“, mienią się „młodą Polską“ — i ideałem dla tej „młodej Polski“ jest — umrzeć!

Jeżeli zatem „filistrami“ mieliby się nazywać ci, co taki ideał męzką ręką odtrącają, — to naprawdę nikt się tego miana wstydzić nie potrzebuje. „Chcę żyć!“ — oto jedyna odpowiedź wodzirejom w tańcu szkieletów, odpowiedź nie „burżoja“, rozpasanego na literaturze Zoli, lecz człowieka świadomego treści i zadań życia; odpowiedź, w której jest więcej idealnej treści, niż w całej tak zwanej „nowożytnej duszy“. I dziwna rzecz! Ten człowiek, indywidualny, gdy różniczkuje literackie lub artystyczne upodobania, staje się zbiorowym, staje się po dawnemu publicznością, kiedy chodzi o wymówie-



nie dwóch wyrazów: „chcę żyć“, o zajęcie niezależnej postawy wobec „mistrzyni życia“, wyzuwającej dusze ze wszelkich twórczych energii, wobec sztucznych zalotów tej duszy, przymierzającej przed zwierciadłem wszelkie „czarności“, byleby jej było z tem do twarzy. Taka postawa publiczności wyziera nieraz z pustych miejsc w teatrze, nawet wtedy, gdy na scenie dzieło drga artyzmem; ale bywają wypadki, że ona oznacza obojętność nie dla dzieła, tylko dla pewnego na świat poglądu. Pustki są wtedy poglądem publiczności, któremu życie daje silniejszą od sztuki wymowę. Każdy zostaje przy swoim, poeta w teatrze, publiczność w domu — i indywidualizm musi uświęcić tę postawę.

## II.

Zdaje się że taka postawa publiczności zdecydowała o losach „Śniegu“ Stanisława Przybyszewskiego. Zdając przed pół rokiem sprawę z wrażeń, doznanych przy czytaniu tego dramatu; wnikając w jego ideową treść i wybiegając myślą ku zagłębionym w dal widnokręgom, dokąd ciągnie przez scenę jakiś „szeroki wiew, wytwarzający naokoło bohaterów niezwykłą atmosferę czystości“, zwróciłem uwagę na piękno, które poeta, tworząc postacie Bronki i Kazimierza, umiał wydobyć, poraz pierwszy może z taką plastyką, ze szlachetnych uczuć. Już wtedy jednak, pamiętając o obojętności, z jaką widzowie przyjęli śliczną parę, Hanki i Konrada w „Matce“, wyraziłem niepewność, czy to piękno oddziała na publiczność w „Śniegu“. Nie oddziałało, trafiło bowiem na „zbiorowego widza“, zaprzątniętego w teatrze więcej filozofem, niż artystą, najwięcej filozofią, streszczoną znowu w Śmierci, głoszącej w dramacie ostatnie słowo. Już w domu, który nawiedziła, rozpoczęło się jej zniwo; już nie wrócą ci, którzy przed chwilą stąd wyszli, a ona rozgląda się po wszystkich kątach, obchodzi zwolna cały pokój, wreszcie siada nieruchoma i mówi:

— A teraz ja tu już pozostanę.

Tchną te słowa — zauważyłem wtedy — nie mniejszą grozą niż dokonane jednocześnie samobójstwo dwóch ofiar Miłości. Zdają się one przenosić tragizm rzeczy spełnionych, na te, które się dopiero spełnić mają i znamieniem rozkładu piętnować wszystko, co z destrukcyjnej tęsknoty Elwy i złudnej twórczości Tadeusza pocznie się niby czyn Miłości, a co będzie w istocie swojej dziełem zniszczenia.

Czy tu tkwi idea dramatu? Tego scena nie rozstrzygnęła; wydzwignęła natomiast na pierwsze plany postać Makryny, cień jej rozpostarła naokoło, na rzeczy, wypadki, ludzi; na myśli i uczucia; berło

nad całym tym zamroczonym światem jej niepodzielnie w ręce oddała i w dziele, gdzie wszystko ma być symbolem, nie tylko życiowym ale i artystycznym, słowami Makryny: „a teraz ja tu pozostanę“, zdawała się zapowiadać panowanie „literatury śmierci“.

Pod to panowanie publiczność poddać się nie chciała. Zbiorowo— to może odruch samoobrony społecznej; w osobnikach— to świadomy, indywidualny protest, w którym odzywa się na prawdę coś innego niż insynuowana z wysokości karawanu przez żałobników literatury *la joie de vivre* filistra, niż mieszczański wstręt do widoku cierpienia.

Cierpienie, jest zapewne potężnym czynnikiem twórczym i do- stojnym artystycznym motywem. Wśród dusz obcujących ze sztuką niema takiej, któraby nie odczuła wielkiego piękna Laokoona wijącego się z bólu w węzowych splotach; wojownika rannego, którego smutna głowa zwiesza się na Kapitolu w cieniu śmierci; Nioby, skamieniałej pod ciosami, ciskanemi przez moce niewidzialne, Prometeusza w pętach, rzucającego ku niebiosom *clamores horrendos*; Frygijki Kassandry, wyjącej wśród Atrydów złowieszcze swoje klątwy; dantejskich wizyj, wcielających niedościgły tragizm cierpienia i tych wszystkich istot rozbolałych, które pod technieniem Shakespera powstawszy z nicości, do dziś dnia nawiedzają nas z oddali wieków. Tak—nie ma duszy obojętnej na cierpienia Werthera, piszącego ostatni list do Karoliny; na płacz Małgosi, rozkrzyżowanej przed wizerunkiem Matki Bolesnej; na westchnienia Bonnivarda, hartującego bólem serce w ciemnościach Chillonu; niema duszy, do którejby nie trafiły męczarnie Konrada, tortury Irydyona, katusze Anhellego.

Ale jest cierpienie i cierpienie. Jest cierpienie czyn i cierpienie frazes. Kiedy Kazimierz i Bronka chronią się w mrok niebytu, przed „straszny pościgiem“ demonicznej, siejącej spustoszenie, Tęsknoty, piękni są w tym czynie idealnej abnegacyi. Kiedy Ewa, pasując Tadeusza na „conquistadora“, każe mu w zwyczajnym pochodzie ku fantastycznym światom, deptać wszystko po drodze „by żyć pięknie i być pięknym“, frazesem jest cierpienie tych bezmyślnych niszczycieli, „gnanych na oslep po trupach“, za czems „czego nikt nie rozumiał ani nie rozumie“.

Cierpienie bezprzedmiotowe? Zapewne, istnieje i takie i może ma swoje źródło w bezprzedmiotowej tęsknocie za jakimś porządkiem świata, odmiennym od tego, który jest przemijającą spójnią wszechrzeczy na tym padole płaczu. Podobna do rozdzwięku, wynurzającego się z najtajniejszych głębin muzyki ku upragnionemu rozwiązaniu, bezprzedmiotowa tęsknota daje może artyście życiowemu w samym dysonansie rozkoszne cierpienie, lub jeżeli kto woli, bolesną rozkosz. Czy to jednak będzie echo jakichś „prabytowych akordów“,



czy westchnienie do kosmicznej muzyki przyszłości, zawsze ten rozdźwięk jest w teraźniejszości tylko przelotnem drgnieniem tych fal istnienia, które pierwotną, przedwieczną siłą rzutu, układają się w przebiegu czasów do harmonii. Twórczą tedy musi być bezprzedmiotowa Tęsknota, nawet z dysonansu zrodzona; zaczem destrukcyjny jej tragizm, wcielony w satanicznej postaci kobiety, uosabiającej niby dwa bieguny życia: Miłość i Śmierć—*c'est de la littérature*.

Literatura złudna, powiedzmy to odrazu, tak złudna, że często sprawia iluzję poezyi, zwłaszcza na stronicach książki. Dopiero scena, wydobywając plastycznie na jaw to, co odrazu w wyobraźni doskonałego znawcy teatru poczęte było jako efekt, oddziela z nieubłaganą szczerością dwie niby pokrewne a tak w gruncie rzeczy różne dziedziny. Bronka i Kazimierz—to poezya, Ewa i Tadeusz—to literatura. Tragiczna ich walka w dramacie jest może symbolem walki toczącej się na arenie dzisiejszej twórczości. Na którą stronę przechyli się zwycięstwo--to pokaże przyszłość, jak się zdaje, niedaleka. W tej chwili widzimy tylko jedno. Po tamtych, którzy zginęli, pozostało wrażenie Piękna; na zwycięstwo tych, którzy tryumfują w sojuszu ze śmiercią, poeta przezornie zapuszcza zasłonę. Publiczność wychodzi z teatru zgola nieciekawa tego co się za tą zasłoną kryje, ale Piękno w duszy unieść musi—i to będzie, prędzej czy później, zwycięstwo poety.

Chwiejność powodzenia „Śniegu“, poza filozoficzno-społecznym stosunkiem publiczności do dzieła, przypisać też wypadnie w znacznej mierze grze naszych artystów, świadczącej, że wszyscy, z wyjątkiem może pani Trapszo-Krywultowej, błędzili po omacku. Stało się to częścią z powodu niewłaściwej obsady, w której powinni byli figurować pani Siemaszkowa i p. Śliwicki, częścią z przyczyny pokutowania jeszcze na naszej scenie zużytego aktorskiego szablonu. Nie przeczę, że zadanie do łatwych nie należało; trzeba było bowiem wobec figur chodzących po ziemi z głową zanurzoną w mgły symbolu, stanąć ze środkami, kojarzącymi w sobie realistyczną plastykę z jakąś ideową syntezą. Ale z tem się trzeba pogodzić. Nowoczesny dramat musi wytworzyć przystosowaną do swych wymagań sztukę aktorską, w której, obok tego co się mówi, w równym, może w większym stopniu, chodzi o to jak się mówi. Minęła doba bohaterów, w pięknym porządku układających swoje 'myśli i uczucia, minął więc dla aktora czas deklamacyi i patetycznej dykcji. Im częściej poeta lekko tylko zaznacza co się w duszy człowieka dzieje, tem więcej żąda od gry niemej aktora. Prawdzie pojedynczego słowa musi towarzyszyć prawda mimicznego wyrazu; formom codziennej mowy muszą odpowiadać linie codziennych gestów. Uboga mowa tradycyjnej mimiki przedstawia-

jąca każdą daną namiętność w stereotypowym wyrazie twarzy i w stereotypowych ruchach, musi ustąpić niewyczerpanemu skarbowi ekspresyi i gestów, jakimi rozporządza natura. Piękna poza niknie wraz z pięknem słowem. Z drugiej strony nie można zapominać że na gruncie tego realizmu, wybujała sztucznie cieplarniana wegetacja symbolu, ciągnąca często najsilniejsze swoje soki z głęboko ukrytego naturalistycznego podłoża. Tam gdzie takie soki, przepoiwszy symbole, roztaczają na scenie woń zmysłową, tam artyści oddychają swobodniej i porywają nawet widza grając „Złote runo“ lub „Dla szczęścia“; od chwili gdy symbol subtelnieje, nie wiedzą jak się z nim obejść. Były w „Śniegu“ takie sceny, zwłaszcza między Ewą i Tadeuszem, w których albo snuł się w grze pospolity, mieszczański dramat wiarołomstwa, lub też artyści znajdowali się bezradnie wobec napotykaných trudności. Te trudności gdzieindziej zostały już oddawna pokonane i symbolistyczno-malowniczy styl ma wszędzie pierwszorzędnych przedstawicieli. Eleonora Duse, która, w scenie z „Adryanny Lecouvreur“, stanąwszy przy kominku, przestaje być Adryanną i wygląda jak rzeźbiarski ornament kominka, a w „Heddzie Gabler“ podając szklanekę ponczu Löwborgowi, nie jest już Heddą ale jest „pokusą“; Gertruda Eysoldt, igrająca w komedjach Wildego głosem i ruchami, które odtwarzają genialnie falujące linie i mieniące się barwy kreacyj angielskiego poety; Basserman, stylizujący „Kolegę Cramptona“ sztrychami fantastycznego rysownika — i wielu innych na szerokim świecie, zdobyło już wielkimi talentami prawo obywatelstwa dla impresyonizmu w sztuce aktorskiej.

Czy jednak szamotanie się u nas artystów w ciasnym szablonie jest ich wyłącznie winą?

Bądźmy sprawiedliwi i przypomnijmy znowu, że dramatem i komedią nikt u nas właściwie nie kieruje, że niema tam nikogo, ktoby zdawał sobie z tego sprawę, iż meiningeński ideał, skarykaturowany na naszej scenie do rzemieślniczego kombinowania dekoracyj, kulis i tapicerskich urządzeń, zstąpił dziś wszędzie do dusz ludzkich i wytworzył styl barwności psychologicznej, malowniczego tragizmu. Tego, że do gry aktorskiej zastosować można formułę linii i plam i że taka formuła byłaby najodpowiedniejszą do uplastycznienia widmowych postaci „Śniegu“, nie domyślają się nawet w „reżyseryi głównej“. Ale za to dużo papierowego śniegu pada na scenę—i to jest jedyna poezya, którą autor zawdzięcza kierownikowi dramatu i komedyi.



## III.

Ze sztuką Gabryeli Zapolskiej stało się odwrotnie; dobra gra artystów uwydatniła pewną nieproporcjonalność między osiągniętym nastrojem, a wewnętrzną istotą motywów, z których się ten nastrój wytworzył. Tytuł „Nieporozumienie“ zdaje się zakreślać dość skromne i spokojne granice streszczonej w nim sytuacji; tymczasem z tego małżeńskiego „nieporozumienia“ wysnuwa się cały domowy dramat, gnębiąco nastrojony, nieledwie tragedia umęczonej duszy. Tak bywa, o ile „nieporozumienie“ jest następstwem „niezrozumienia“ i wyższości bądź intelektualnej, bądź moralnej mężczyzny lub kobiety, skazanych na przymusowe współżycie. Tylko trzeba, żeby ta wyższość, po jednej czy po drugiej stronie, występowała wyraźnie jako widoczne źródło rozdzwisku, żeby pod tym względem nie nastęczał się dla publiczności żaden powód do „nieporozumienia.“ Zadanie w danym wypadku było łatwe; mąż bowiem, towarzysko i kodeksowo „porządny człowiek“ jest moralnie tak zdecydowaną nicością, że wyższa od niego oczywiście kobieta, uczciwa w najlepszym tego słowa znaczeniu, mogła mieć w stosunku do nieciekawego towarzysza piękną rolę. Nie dała jej bohaterce Gabryela Zapolska. Może wbrew wywodom krytyki, podsuwającym autorce „Ahaswera“ feministyczne tendencje, Zapolska nie chciała właśnie tej pięknej roli podkreślić w deklamacjach o prawach kobiety, o ucisku indywidualności niewieściej, o pragnieniach samodzielnej duszy. Ale jeden rys przynajmniej zdawał się niezbędnym w charakterystyce tej milczącej, skupionej w sobie postaci—wstręt etyczny dla marnej figury męża, jako najpierwsza podnieta do buntu. Otóż ten rys występuje w „Nieporozumieniu“ tak słabo, że go prawie nie widać; widać natomiast co innego, odrzę, niemal chorobliwą, do tego, co bohaterka nazywa „drobiazgami życia“. Sztuka zaczyna się od mizernych zrzędzeń „pana i władcy“, wołającego ustawicznie z sąsiadującej z jadalnią łazienki, o gąbkę, o szlafrok, o pantofle, a kończy się na dolatujących z kuchni odgłosach siekania jakiejś obiadowej potrawy. Między temi echami „drobiazgów życiowych“ wybucha protest duszy, rwącej się do szerszego życia; odzywa się pragnienie zrzucenia pęt, przykuwających ją do nieznośnej pospolitości,—co przedstawia nam scena u adwokata, gdzie jesteśmy świadkami konferencji o rozwodzie. Gdy jednak okazuje się, że adwokat od rozwodów jest tylko jednym z ga-

tunków „przyjaciela domu“, a sympatya jego dla przyszłej rozwódki jest tylko pewną odmianą męskiego, samczego egoizmu; kiedy bezbronna kobieta zawiedziona w nadziejach wyzwolenia, natrafia i u własnej rodziny na opór przeciw ratunkowym aspiracyom,—pozostaje zaprzęgniętej napowrót do jarzma tylko filozoficzna rada ojca, który podobnie przebył w małżeństwie szamotania: aby od „drobiazgów życia“ odgrodzić się umiłowaniem rzeczy pięknych i niby ironiczny do tych namaszczonych słów komentarz—drobniutkie stukanie noża o kuchenną stolnicę.

Wszystko to—gdyby w sztuce chodziło tylko o efektowne przeciwstawienia,—wyglądałoby bardzo zgrabnie; ale przecież czujemy to dobrze, że tam o co innego iść musi; czujemy,—i mamy pretensję do bohaterki, że nam się niedość jasno wypowiada; że w krytycznych momentach (w naradzie z adwokatem, w rozmowie z ojcem) przeraża ją nie myśl pożycia z człowiekiem, którego drapieżna bezwzględność, osłonięta prawem, popchnęła jakiegoś biedaka do samobójstwa, lecz perspektywa codziennych gderliwych z nim starć o gospodarskie bagatele; że heroina ma fizyognomię kobiety znudzonej raczej niż oburzonej i więcej podrażnionej drobiazgami, niż poruszonej nędzami życia.

Jakim sposobem dużej miary talent Gabryeli Zapolskiej mógł zostawić w swej kreacji coś niedotworzonego?—to jedynie wytknąć może, do pewnego przynajmniej stopnia, psychologia jej talentu. Niejednokrotnie miałem już sposobność zwracać uwagę na znamieny rys tej psychologii—na nadzwyczajną siłę, z jaką artystyczna natura Zapolskiej reaguje na wszelkie ewolucyjne prądy europejskiej twórczości. Zaznaczając tę właściwość wybitnego w najrozmaitszych kierunkach talentu, akcentowałem przytem samorzutną jego dzielność. Gabryela Zapolska wchłania chciwie wszystko, co naokoło niej wre twórczą energią, ale asymilując to ze zdumiewającą szybkością, przetwarza jednocześnie na treść własną, niezależnem drgającą życiem, a ten akt przetwarzania tak ją absorbuje, że w pewnej dancj fazy twórczości, trudno jej wyrzec poza świat wrażeń, uczuć i myśli, w którym się zagłębiła. W dobie naturalizmu, tonęła cała w naturalistycznych sensacyach; dzisiejszy mistyczny symbolizm, bujnie kwitnący w krainie sztuki, opanował jej duszę niepodzielnie, o czem świadczy, choćby drukowana obecnie w „Bibliotece“ powieść „A gdy w głąb duszy wnikiemy“, bogata w artystyczne piękności. Otóż sztuka „Nieporozumienie“ sprawia takie wrażenie, jak gdyby autorka przeniosła do niej, mimo woli i wiedzy, tę sferę zadań i aspiracji życiowych, w jakiej dotąd jeszcze, tworząc powieść, przebywa. Chronologiczne dane nic tu nie znaczą. Mniejsza o to, czy sztuka była



napisana przed rozpoczęciem powieści, czy powstała w ciągu jej tworzenia—dość, że oddziaływanie książki na teatr wydaje się niewątpliwem, że odzywają się w sztuce podobne jak w powieści *leitmotywy*.

Dużo się w powieści mówi—co sami czytelnicy „Biblioteki“ sprawdzić mieli sposobność—o „drobiazgach życia“; ale jakież obszar stosunków życiowych ogarniają te dwa skromne wyrazy! Drobiazgiem jest wszystko, co myślą ani uczuciem nie sięga do tajemniczych głębin wewnętrznego życia człowieka. Drobiazgiem jest codzienna szarpanina trosk, zabiegów, udręczeń i zadyszanego wyścigu do jakiejś mety, którą każdy widzi gdzieindziej, a wszyscy celem życia nazywają; drobiazgami są krwawe wysiłki, z jakimi jedni zawiązują, drudzy rozrywają węzły pragnień, żądz, namiętności w tkaninie złudzeń, zwanej szczęściem; i niema prawie rzeczy, która nie byłaby drobiazgiem dla artystki, jak Anka, przetwarzającej życie na dzieło Piękna, wydobyte z dusz ludzkich. Oczywiście, przepaść dzieli tę artystkę, dźwigającą na wyżyny sztuki malarza złamanego „drobiazgami życia“ od mieszczeni, nękanego marnościami filisterskiej atmosfery; gdyby jednak ta mieszczenka nie miała w sobie nic z Anki, gdyby jej „drobiazgi życiowe“ redukowały się istotnie do znużonego pilnowania mężowskiej bielizny i do nudnych z kucharką rachunków, to jedenby tylko był sposób usprawiedliwienia buntu jej duszy i umotywowania dramatycznych tego buntu momentów: silny akcent na poczucie moralnej nad mężem przewagi i na pozytywny jej do życia stosunek. Kiedy Anka odciąga Stalewskiego od „drobiazgów życia“, wiemy nie tylko czego nie chce, ale i czego pragnie, co uważa za „drobiazg“, a co za wielką treść życia; kiedy skarży się towarzysza gruboskórnego mieszczenucha, nie mówiąc o tem, co ją najboleśniej zranić było powinno, nie chce nam się wierzyć, żeby w tych utyskiwaniach mógł istotnie tkwić tak gwałtowny materiał wybuchowy. Bo też jest coś więcej i w duszy bohaterki „Nieporozumienia“ i w przygniatających ją drobiazgach“;—jest, tylko nieprzedostało się na scenę. Zdarzyło się to mniej więcej tak, jak się często dzieje w dyskusji, w której jedna strona, pełna swego przedmiotu, przypuszczając równą jego znajomość u strony przeciwnej, nie dopowiada tego, co by odrazu postawiło spór na najwłaściwszym gruncie. Z wyjątkiem figury filistra, narysowanej w „Nieporozumieniu“ z przedziwną plastyką, czuć w charakterystyce wszystkich prawie postaci rzeczy niedopowiedziane, jedynie dlatego, że przenikniona niemi Zapolska widzi je tam, gdzie dla publiczności, nieświadomej stanu duszy autorki, muszą pozostać niedostrzegalnymi. Ucierpiała na tem naturalnie wyrazistość rysunku nie tylko głównej bohaterki ale i drugoplanowych figur. Wolno przypuszczać, że ów adwokat, stawiający tak niespodzianie

swoją kandydaturę na kochanka po konferencji rozwodowej z żoną przyjaciela, ma w sobie doskonały materiał na typ egoisty-estety, szukającego dla swoich grubych sensacji,—pięknego gestu, wytwornej linii i suggestyjnego nastroju. Postać kobietki, swobodnie odwiedzającej kawalerów, jest zapewne szkicem do jakiegoś niewykonanego studium, które przedstawiać miało „istotę rozkochaną w słońcu, w kwiatach, w świetle, w barwach“; nawet stary ojciec niedoszłej rozwódki dłużny nam pozostał wytłumaczenie, jakim sposobem prawiąc córce tak wymownie o „umiłowaniu rzeczy pięknych“ nie poznał się na brzydocie własnego zięcia.

A jednak, takie jest działanie talentu Zapolskiej, że to, co powiedziała wśród różnych niedopowiedzeń wystarczyło do wytworzenia tła, pełnego życia i nastroju, który sprawia, iż chwilami to „Nieporozumienie“ dochodzi na prawdę do dramatycznego napięcia.

Dopomagają w tem zresztą autorce artyści, grający jej sztukę, jak to już na początku wspomniałem, z doskonałym wykończeniem. Pan Żelazowski stworzył świetny typ zakamieniałego burżoja; pani Marczello-Palińska, dyskretnie, delikatnymi rysami traktuje postać jego żony; pan Nowicki stara się wydobyć plastykę z niejasnej charakterystyki adwokata; wyborną „wesolą osobą“ jest pani Przybyłko-Potocka, która w przedstawianiu podobnych figur dochodzi do wirtuozostwa; pan Rapacki, panie Niewiarowska i Palińska, jako rodzina bohaterki, zadawałniająco wywiązują się z nietrudnego zresztą zadania; małe rolki służącej i przedsiębiorcy budowlanego dobrych mają przedstawicieli w pannie Pichorównie i w p. Bednarczyku.

#### IV.

O „Maszynie“ p. Tadeusza Rittnera mówiliśmy już w „Bibliotece Warszawskiej“ streszczając wyniki konkursu dramatycznego imienia Henryka Sienkiewicza. Z pomiędzy utworów współczesnych dramat młodego pisarza zwrócił na tym konkursie baczniejszą uwagę sędziów. Stało się to z dwóch powodów: najprzód dla tego że bohater sztuki, Aleksander Zawrocki, jest jednym z tych nieudanych poetów, którzy od pewnego czasu narzucają nam bez ustanku „tragedye“ swoich nieudolności, a powtóre, że „Maszyna“ ma być jednocześnie dramatem pewnego „środowiska“ działającego rozkładowo na wszelkie wyższe dusze. Zawrocki byłby może wielkim poetą, gdyby nie biurowa atmo-



sfera, w której zanikło jego natchnienie, zmartwiało jego talent. Taka jest, jak wiadomo, teza sztuki. To „może“ postawiło jednak odrazu dramat na niepewnym, spornym gruncie.

Ze sprawozdania komisji konkursowej, której referentem był piszący te słowa, widać że powstało przedewszystkiem w ciągu rozpraw pytanie zasadnicze: czy wogóle talenty, tam, gdzie są istotnie i gdzie mają istotną siłę twórczą, mogą zmarnieć, w najgorszych nawet warunkach? Dyskutowano dalej nad tem, czy tylko upadek wielkiego talentu może być zajmującym, tragicznym? czy przedstawione artystycznie zamieranie bodaj średniej tylko zdolności nie jest na scenie równie interesującym? czy wreszcie sama pretensya do talentu, jako pewien stan psychiczny, nie miałaby prawa do ukazania się na deskach teatralnych w plastyce scenicznej? Wątpliwości zaś przy dyskusyi sięgały tak daleko, że nie zabrakło nawet zdania, przypisującego autorowi intencję stworzenia poprostu kabotyna literackiego. Dowodziło to oczywiście niejasności w rysunku głównej figury, niejasności tem dziwniejszej, że samo środowisko, owa „maszyna“ administracyjna, miażdżąca wybitne indywidualności, scharakteryzowana została z niezwykłą bystrością obserwacyi, z gruntowną znajomością życia urzędniczego. Uderzyła więc wszystkich dysproporcya między owym potworem biurokratycznym, a niedość wyraźną, nikłą prawie jego ofiarą i pokładano dużą nadzieję w scenie, gdzie uwidoczniony dotykalnie rozpęd „maszyny“, sprawi może iż urosnie wobec niej ten, na czyją zgubę taki skomplikowany nastawiono aparat.

Nadzieje pod tym względem niezupełnie się ziściły. Scena nie rozstrzygnęła najważniejszego pytania—kim rzeczywiście jest bohater sztuki i jaki jest do niego stosunek autora?

Że Zawrocki napisał był niegdyś „Prometeusza“—dowiadujemy się od niego samego; że ten „Prometeusz“ był piękny—zapewnia nas tylko kobieta, która kocha poetę, a to dostatecznej nie daje widzowi rękojmi. Pozatem Zawrocki ma w biurze wygląd nie tylko lichego urzędnika,—co jest zupełnie naturalne i co właśnie autor chciał pokazać—ale i niedołęznego życiowo człowieka, co miało może wzmocnić charakterystykę poety, a właściwie zamąciło tylko jego fizyognomię wątpliwym rysem.

Więc może w innym, odpowiedniejszym otoczeniu, ta fizyognomia wydatniej się zarysuje? Bynajmniej. Zawrocki w domu nie jaśniej się widzom tłómaczy, niż w biurze; postawiony między matką, wierzącą święcie w jego talent, a siostrą, która sceptycznie zapatruje się na twórczość brata, zachowuje i poza biurem swoje niepewne oblicze, któremu ekspresywi nie dodaje nawet ta okoliczność, że Zawrocki często przesiaduje w knajpie; knajpa bowiem zostaje za kuli-

sami i autor oszczędził widzom, na szczęście, szablonu cyganeryi literacko-artystycznej, jako tła dla zmarnowanego talentu. Jeden rys w mętnej charakterystyce poety żadnych nie nastrocza wątpliwości: rozstrój nerwowy Zawrockiego. Wytwarza go prawdopodobnie z jednej strony przeświadczenie poety, słuszne, czy niesłuszne, o zaniku twórczości, rzeczywistej czy też urojonej, w trybach „maszyny“; z drugiej, — fałszywa pozycja w biurze, którego naczelnik, poczuwając się do jakiejś wdzięczności dla zmarłego ojca Zawrockiego, niby faworyzuje syna, ale w gruncie rzeczy widzi w autorze „Prometeusza“ tylko materyał na synekurzystę lub biurowe narzędzie. Rozdrażnienie, ustawicznie z tych dwóch źródeł podniecane, wybucha w scenie, kiedy prezydent, dowiedziawszy się o nagłej śmierci matki Zawrockiego, przybywa do domu zmarłej z kondolencją i musi wytrzymać nawałnicę pretensyj, wyrzutów i oskarżeń o chęć upokorzenia podwładnego, o protekcyjonalny do niego stosunek o lekceważenie jego rzeczywistych zdolności, — i tak dalej i tak dalej. Scena ta, odgrywająca się dość dziwnie w sąsiedztwie nieboszczki, której zwłok nie wyniesiono dotąd z przyległego pokoju, nie jest jedyną w tak osobliwych warunkach; w chwilę potem będziemy świadkami miłosnego oświadczenia, wybiegającego ku pani prezydentowej z ust, skrzywionych jeszcze spazmem synowskiej rozpaczki.

W psychologii tej miłości neurastenii również nie małą odgrywa rolę. Zawrocki trafił szczęśliwie na Egeryę, która nie wie nawet, że mogłaby nią być, ani też pragnie nią zostać. Prezydentowa kocha, jest kochaną — i to jej tak dalece wystarcza, że się odrazu, bez zastrzeżeń oddała poecie, w którego poezję ślepo wierzy. Ale poeta chciał w niej mieć Egeryę, a gdy po pierwszych uniesieniach podzielnego uczucia, przekonał się, że mu ono twórczości nie zasila, uważa miłość swoją za „omyłkę“ i dość mu takiej błahostki, jak chybiony w atmosferze balowej wierszyk, żeby zwątpić do reszty o sobie, zwłaszcza, iż jednocześnie spostrzegł, iż dzięki „maszynie“, staje się naprawdę coraz lepszym urzędnikiem.

I tu znów nastrocza się pytanie: czy wiele straciła poezya, literatura, że się ten wierszyk nie udał; czy istotnie winna temu „maszyna“ i czy czasem w Zawrockim nie było lepszego materyału na urzędnika niż na poetę? Autor zdaje się nie zaprzętać tą wątpliwością, lecz proces psychiczny w duszy Zawrockiego doprowadza konsekwentnie w zapoczątkowanym raz kierunku, aż do katastrofy obłądki, objawiającego się w sferze myśli, które nie przestawały ścigać poety. Oryginalny jest pomysł wywołania w nim waryacji przez *idée fixe* o sobowtórze w postaci młodzieńca, równie jak Zawrocki przerzuconego z marzeń o sztuce do biura kancelaryjnego i powta-



wtarzającego poecie, niby w zwierciadle, własną jego dolę z taką obłądną plastyką, że w końcu paroksyzm szału popycha desperata do samobójstwa. Wyskoczywszy oknem, Zawrocki roztrzaskał sobie głowę, w której niewiadomo co było, czy wzniosłe myśli wielkiego poety, czy też poprostu majaczenia neurastenika, chorego na manię prześladowczą.

Takim jest bohater, zdruzgotany w żelaznych szczękach „maszyny“. Czy byłby innym, gdyby go życie w paszczę jej nie rzuciło? Wolno wątpić widzowi, skoro sam autor przekonywająco nie zaznaczył nigdzie, co o nim naprawdę myśli? Dola więc poety jest w najlepszym razie „tragedyą złudzenia“, dręczącego dziś zapatrzone w siebie wątłe dusze, które samą żądzę tworzenia biorą za moc twórczą i odpowiedzialnością za mniemany zanik problematycznego talentu obciążają otoczenie, zewnętrzne warunki, wszystko, prócz rzeczywistej winowajczyni — przyrodzonej niezdolności. Jest dużo i bez „maszyny“ takich bohaterów impotencji. O cóż tu więc winić „maszynę“, kiedy ma się po prostu przed sobą jeden z typów wyczerpanego z wszelkiej woli, „skobieconego“ mężczyzny, który ten jeszcze ma w swej charakterystyce rys modernizmu, że stoi obok niego, silna, rwąca się do życia, do działania, męskim hartem obdarzona dziewczyna. Nie w roli Egeryi, — bo to siostra Zawrockiego, z tajoną trzeźwością na brata patrząca, — ale raczej w charakterze ofiary, pochwyconej w zazębieńnię maszyny, nierównie potężniejszej niż jego biuro, — między drobne kółka życia. Wszystko w tej kobiecie kipi, wre, burzy się, gotowe zda się do wybuchu jakąś inicjatywą; ale życie wtłacza niemiłosiernie na dno duszy te szlachetne fermenty i wyrabia tam z nich gorycz, wsiąkającą w całą atmosferę, którą tu wszyscy oddychają. I doprawdy, to „środowisko“, gdzie ludzie żyją ze świadomością, że myśli ich i czucia, porwane niewidzialnym mechanizmem, odbywać muszą jakiś automatyczny przebieg, żywiej może zajmuje, niż ów administracyjny smok Zawrockiego; dziewczyna, tuląca w objęciach cudze dzieci z namiętym instynktem macierzyństwa, który sobie szuka ujścia w robotach społecznych, budzi doprawdy więcej współczucia, niż prometejskie illuzye jej rozkwilonego brata. Kto jednak tak potrafi malować środowiska, kto umie z prostej rozmowy dwóch kobiet wytworzyć nastrój, kto, wprowadziwszy na scenę kilkanaście lekko scharakteryzowanych sylwetek, nietylko usymbolizował w nich biurokrację, ale w pobieżnym spotkaniu urzędnika, „który odchodzi“, i urzędnika, „który przychodzi“, dał niejako perspektywiczny skrót życia tej biurokracji — w tym tkwi materiał na pisarza dramatycznego. Jest też „Maszyna“ obietnicą, której p. Tadeusz Rittner, przy niewątpliwym talencie, dotrzymać powinien; ten talent

myli się w chwiejnych konturach bohatera, w pewnej teatralności i psychologicznej wątpliwości dwóch scen aktu trzeciego przy zwłokach Zawrockiej; ale widać go w plastycznym modelowaniu figur, czuć go w sentymencie, przenikającym sceny miłosne; objawia się niezwykłością inwencji w motywie psychologicznym, popychającym bohatera do samobójstwa. — Jest — a to rzecz najważniejsza.

„Maszyna“ grana jest wzorowo i doskonały zespół, od którego odwykliśmy już potrosze, jest dla wszystkich nader przyjemną niespodzianką. Zbyt dużo nazwisk musielibyśmy powtórzyć, gdyby przyszło charakteryzować wartość każdej nuty, dodającej pełni do tego pięknie brzmiącego akordu; poprzestańmy więc na zaznaczeniu, że p. Śliwicki doczekał się nareszcie roli, w której wybitny jego talent mógł się wszechstronnie przedstawić publiczności, wysoko ceniącej tego artystę. Głębia liryzmu w stosunku z prezydentową, siła dramatyczna przy trupie matki, artyzm w stopniowaniu objawów obłądu, — oto momenty wytyczne w psychologii złudzeń, na której p. Śliwicki silnie oparł charakter Zawrockiego. Świetnie towarzyszą mu panie Trapszo-Chodowiecka, przedstawiająca śliczną postać prezydentowej z subtelną w uczuciu dyskrecją, i Barszczewska, która rolę siostry Zawrockiego wysunęła na pierwszy plan mocą temperamentu, pulsującego wszystkimi serdecznymi tętnami.

## V.

Śmierć, oznajmiająca ze sceny swoje wszechwładztwo; poroniony geniusz, kończący waryackiem samobójstwem; udręczenia kobiety, zapędzonej do filisterskiego kojca, skąd wydostać się chciała do życia — oto wrażenia, któremi karmiła się publiczność w ciągu trzech ubiegłych miesięcy, że nie wspomnę już o dawniejszych, tej samej natury. Mimo przytłaczającą, gnębiącą atmosferę teatru, mimo ponury nastrój, narzucający jej tyranję literackiego pesymizmu, szła tam, dokąd ją większe lub mniejsze talenty prowadziły, zainteresowana zarówno swemi przewodnikami, jak drogami, któremi ją prowadzono. W końcu jednak odważa się nieśmiało zapytać: „wszystko to dobrze, ale gdzie jest komedia?“.

Zapewne — może mieć pewną rację p. Edgar Steiger, kiedy, śledząc proces „stawiania się“ nowożytnego teatru, widzi w dziejach artystycznej kultury Europy potężny dramat, którego trzy akty,



plastyczny, malarski i muzyczny odegrały się już w marmurze, barwie i dźwięku, a na czwarty, dramatyczny, podniosła się właśnie w naszych oczach zasłona. Być może, iż wiek nasz będzie istotnie stuleciem dramatu, że wszystko w nim kształtuje się w imponujących, tragicznych kolizjach, stworzonych dla poety. Na świecie dzieją się wielkie rzeczy: stają przeciwko sobie egoizm i altruizm; jednostka walczy ze swoim otoczeniem w rodzinie, w społeczeństwie; ideały socyalne i indywidualne mierzą się nienawistnym okiem; antagonizmy społeczne potęgują tragizm tych walk; przeciwieństwa rasowe przenoszą dramat na dziejową arenę; pękają we wszystkich kierunkach stare formy życia, które w krwawych zapasach usiłuje nowe sobie zdobywać. Wszystko to prawda; ale gdzież to widać na scenie? czy w literackich gabinetach, albo malarskich pracowniach, gdzie bohaterowie, pokazując przez mikroskop drobnoustroje megalomanii, mrowiące się w ich duszach, wmawiają w nas, że ruch ich pod powiększającym szkiełkiem, to życie, to świat, to tajemnice bytu? czy w ogniskach cyganeryi, która ten świat, to życie i te jego zagadnienia zamyka w czterech ścianach dekadencej kawiarenki? Być może, iż żyjemy w stuleciu dramatu; ale czyż ten sam Edgar Steiger, — jeżeli dalej zechcemy się powoływać na jego świetną syntezę twórczości w nowożytnym teatrze — czy ten sam Steiger, charakteryzując w ten sposób stulecie, nie miał na myśli teatru wogóle, jako formy najintensywniejszej twórczości, i czy nie ogarniał tem określeniem komedyi? Wszakże powiedział: „że pesymistyczny nastrój w literaturze dawno już ustąpił pogodniejszemu na życie zapatrywaniu; radosna afirmacja życia jest ewangelią najnowożytniejszych „modernistów“? Gdy zatem śmiać się teraz wolno i niefilistrowi, — gdzież jest komedia?

Oczywiście, że nie „Wojna domowa“ Zygmunta Przybylskiego odpowiedzieć mogła na to pytanie. Zjawiła się w repertuarze ze swoją szlachecką zagrodą, ze swoimi ekonomami, szafarkami, kucharkami, z mamą pretensjonalną, z córką rozsądną, z wujaszkiem prawdomównym, ze śmiesznym ale poczciwym młodzieńcem; zjawiła się i zniknęła z systematycznością pór roku, powracających na teatralnej wsi autora „Dworu we Włodkowicach“; a publiczność powtarza wciąż: gdzież jest komedia? komedia w nowym stylu, coś nakształt „Futra bobrowego“ Hauptmana, gdzie obrazy życia w ruchu migają świetlaną grą komizmu, humoru i satyry? Znalazł się nawet w krytyce naszej głos, który wymownie stwierdził to „bankructwo komedyi“ i wskazał na jakąś „przepaść między tymi co tworzą, a tymi dla których tworzą“. Więc tłum pożąda komedyi, wołał ten głos — a z poetów ulotniła się dusza i geniusz komedyi. Więc mamy chęć śmiechu, a poeta śmiać się nie umie?

Objaw nie od dziś datuje. Przy rozpatrywaniu literackiego plonu konkursu Sienkiewicza, nie wdając się w badania, jak głębokie jest w życiu łożysko smutku literackiego i ile jest kabotyńskiej pozy w literackim tragizmie, stwierdzono, że motywy współczesne wydobywane były z najbliższych i najgłośniejszych prądów gestem najczęściej dramatycznym, tak, że cztery piąte materiału konkursowego, składało się z dramatów, tragedyj, fantazyj, baśni lub wreszcie z tak zwanych „sztuk“, których nazwa maskuje tylko rzeczywistość, zasepioną ich fizyognomię. Rzecz prosta że na wytlómaczenie tego symptomatu jest w obiegu gotowy frazes o filisterstwie tłumów, sliżgających się bezmyślnym śmiechem po wierzchu życia i o dostojęństwie wybranych, wnikających duchem w tragikomedję tego życia. Dla czegoż więc nawet taka tragikomedya trudno znajduje sobie na scenie plastyczny wyraz, jeżeli tenże sam Hauptmann mógł napisać „Kolegę Cramptona“ i nie wahał się bardzo modny, bardzo nowożytny temat: artystę alkoholika, oprzeć na podstawie przepojonego melancholią uśmiechu?

Tak — ale to było dawniej, a przez ten czas śmiech zwyrodniał; melancholię, która w nim była formą sympatyj, wyparła antypatya, która jest także właściwą istotą dzisiejszego tragizmu; radość, śmiech, jeden z czynników twórczości, zamilkł, lub jeżeli się odzywa, to jako *Schadenfreude*, jako zaprawne jadem szyderstwo, wykrzywające wyrazem nienawiści oblicze satyry. I dla tego ten śmiech innego sobie szuka ujścia, dla tego mamy w Galicyi gatunek humorystyki, jakiego napróżno szukalibyśmy w całym świecie. Dwa składniki, odgrywające dziś w twórczości taką znamioną rolę — erotyzm i nienawiść, rozlewają się na kartach humorystycznych brudnymi plamami pornografii i paszkwilu. Dla tego komedya staje się osobliwością: nie można jej pisać w drgawkach zmysłowych, ze śmiechem, w którym szczerzą się zęby, zgrzytające wściekłością.

Cóż tedy począć z publicznością, nieufnie spoglądającą na teatr, gdzie niema tego, coby mieć chciała, a ma to, czem się już czuje przesycona? Była chwila kiedy się zdawało, że wynaleziono na nią sposób — nowy budynek. Katastrofa w Chicago dostarczyła temu projektowi nowych argumentów, a sam projekt zaczął podobno w ostatnich czasach przyoblekać konkretniejsze kształty. Będzie więc budynek — ale czy będzie teatr? Bo to przecież nie wszystko jedno i tylko filister może sobie wyobrazić, że wygodny fotel, bezpieczeństwo od pożaru i doskonale maszynerye wytworzą w nowym gmachu dobry repertuar i atmosferę artystyczną, pod tą samą reżyserją, pod którą w starym budynku mieliśmy nikły repertuar i zatęchłą atmosferę. Budowa gmachu jest niewątpliwie sprawą niemałej wagi, ale



ważniejszą nierównie rzeczą byłaby przebudowa stosunków artystycznych w teatrze, a co do niej, co do owej „reformy“ o której tyle się mówiło, pisało i jeszcze zapewne drugie tyle nadarmo mówić i pisać się będzie, nie można już obronić się od coraz głębiej wnikającego sceptycyzmu. I jeden tylko może byłby środek uzdrowienia chorego organizmu:—współzawodnictwo, powstanie drugiego teatru.

Więc secessya? Czemużby nie, jeżeli przez secessyę rozumieć będziemy to, co mieści się w jej źródłosłowie: „odstąpienie“ zerwanie, wyswobodzenie się z więzów rutyny, szablonu, wyfrunięcie z zimnej atmosfery „sztuki urzędowej“ szlakiem słonecznym swobodnej twórczości? Od secessyi powiało bądź co bądź świeże tchnienie w sztukach plastycznych; wagnerowska secessya pogłębiła twórczość muzyczną, — a kto przypatrywał się secessyjnym scenom w Paryżu, Berlinie, Monachium, Dreźnie, Wiedniu, ten zdumiał się nieraz jak w małych, ciasnych teatrzykach mieścić się może wielka, szeroka sztuka.

I od małego też zacząłby u nas wypaść, bodaj od czegoś w rodzaju cieszących się uznaniem „Miłośników“. Nie żyjemy w warunkach, w których moglibyśmy marzyć jak Edward Schuré o trojakim teatrze przyszłości: o scenie wiejskiej i prowincjonalnej, gdzieby w drzemiącej duszy ludu budziły się najlepsze jego instykty i najpoetyczniejsze tradycye; o teatrze „wojującym“ poświęconym studjom z życia współczesnego, prowadzonym z bystrą obserwacją i głęboką sympatją; wreszcie o „teatrze duszy“, wywołującym w zwierciadle historii, legendy i symbolu wizye doskonalszej ludzkości. Ale może stałoby nas było na wyposażenie jakiegoś polskiego Antoine'a w pomoc, podobną do tej, jaka umożliwiła w Moskwie założenie teatru Stanisławskiego. Tylko trzeba by znaleźć Antoine'a (szukając go naturalnie nie w „reżyseryi głównej“), a znalazłszy, myśleć więcej o sztuce, niż o ścianach w których się mieścić będzie, niż o komforcie tych co na jej wzrost patrzeć zechcą. Odyseja Antoine'a, tego skromnego urzędniczka kompanii gazowej, który wędrował po paryskich zaułkach, gnieździł się w ciemnych, niewygodnych salkach i mieszkował prawie kątem za czynsz nie zawsze zapłacony, dopóki czegoś nowego nie wniósł do sztuki i literatury dramatycznej; przykład niemieckich secesyj, wspinających się po stromych schodach na piętra zwykłych kamienic wszystko to powinno być bodźcem do inicjatywy w tym kierunku. Gdyby się zjawił taki polski Antoine, gdyby zgrupował koło siebie drużynę aktorów choćby niezawodowych, lecz tak swobodnie sobą rozporządzających, żeby się sztuce duszą całą oddać mogli; gdyby teatr swój uorganizował nie jako sztuczną wylęgarnię chorych piskląt literackich, ale

jako ognisko, skupiające w sobie same świetlane promienie twórczości swojskiej i europejskiej; nie jako kapliczkę kasty społecznej, czy też literackiej lub artystycznej, lecz jako przybytek, w którym kult sztuki gromadzi wszystkich jej wyznawców, — znalazłby niewątpliwie i równie zamięłowaną publiczność. Tylko ta sztuka musiałaby pamiętać o swoim pochodzeniu; nie zapominać że źródłem jej było drgnięcie myśli i uczucia wobec życia, wobec całego życia, wzruszenie więc musi od niej płynąć w falach tak silnie rozkołysanych, ażeby dościsnęło i pociągnęło za sobą wszystkie serca. Teatr jest areną ludzkości, gdzie cała ludzkość znaleźć się powinna, a wszelka sztuka odbywająca się do „elity“, czy kasty, jest sztuką znikomą; bo kasty mijają, „elita“ przekształca się — życie tylko zostaje.

A może taki Antoine dostałby się i do nowego gmachu? Może; ale gmach jeszcze nie wybudowany, Antoine'a jeszcze niema; zajrzyjmy więc tymczasem do starego teatru i zobaczymy co się dzieje w operze.

## VI.

Dzieje się nie dobrze. Nie na scenie, gdzie od czasu ostatnich naszych na tem miejscu uwag wystawiono nową operę polską, i przygotowano włoską, której bohaterem ma być najgenialniejszy z naszych muzyków — lecz wśród publiczności, po dawnemu obojętnej na losy opery polskiej, dziś wyłącznie zależne od gorętszego lub chłodniejszego dla niej usposobienia słuchaczy.

Sala teatru Wielkiego wygląda często tak, jak gdyby z tej zależności nie zdawano sobie sprawy. Wirtuozowstwo śpiewaka, czy śpiewaczki, przyciąga jeszcze publiczność kiedy niekiedy, przekształcając scenę teatralną na estradę koncertową; dzieło samo zdaje się pobudzać całe audytoryum do zajęcia jakiejś niezrozumiałej, odpornej postawy, którą publiczność rzadko kiedy porzuca. Taki był jej stosunek do „Livii Quintilli“ Noskowskiego, do „Manru“ Paderevskiego, a nie zmienił się niczem wobec „Maryi“ Henryka Melcera.

„Marya“ nie miała powodzenia. Dla czego? Nie pytam o to tych, którzy nie przyszli. Ci albo nie wiedzą dla czego nie przyszli i nie potrafią odpowiedzieć, albo wiedzą, a choćby umieli podać przyczyny, my znów temi powodami zajmować się nie będziemy. Ale wolno zapytać tych, co przyszli, i argumenty ich byłyby istotnie interesujące, bo przecież mamy do czynienia z publicznością, podkształconą już do



pewnego stopnia w artystycznej atmosferze Filharmonii, i to podkształconą w kierunku, który właśnie powinien był zająć ją w dziele Henryka Melcera.

Symfonia gra w „Maryi“ przeważną, rzecby można główną rolę, więc o cóż chodzi wychowañcom Filharmonii? Orkiestry mają pod dostatkiem, orkiestry dobrej, która w stylu bardzo nowożytnym komentuje „stany duszy“ bohaterów; komentarz zaś tyle zajmuje miejsca, tak wszystko wypowiada, że dusza sama lekliwie w śpiewie głos zabiera i zdaje się być przerażona nawałnicą myśli i uczuć w głębiach jej rozpełtaną. Szaleje tam tragizm od początku do końca, sroży się prawie rozpaczliwie, chłonąc w sobie wszystkie inne nastroje, i dosięga najwyższego napięcia w beznadziejnej wieszczbie,

Bo na tym świecie śmierć wszystko zmiecie,

Robak się łęgni i w bujnym kwiecie.

Kiedy więc idzie o tryumf śmierci, pieśń odrazu wynurza się z fal orkiestrowych, jak gdyby tego tylko momentu czekała, żeby się z samoistną odezwać potęgą. Trudno dać pojęcie o grozie, przenikającej te kilka strof kwartetu masek, rzuconych na tło chóru, trwożliwie wtórującego tragicznym larwom. Orkiestra przycichła, jak cichną w przedzgonnej chwili wszystkie namietności ludzkie i jedynie melancholia niewysłowiona, smutek, niedający się opisać, gra w tej melodii, jak w duszy owego tajemniczego w poemacie pacholęcia, któremu „śmierć zostawiła czarne w piersiach blizny“. Tylko to pacholę, odbywające po świecie desperacką wędrowkę, świadome piękności „mirtów i cyprysów kraju“, a utyskujące, że jest wszystkim obce wśród swojej ojczyzny“, wraca jednak na stopy Ukrainy, gdzie „wzrok daleko, próżno błądzi po równinie“, gdzie „chmurne na polu niebo i cierpkie jagody“; wróciwszy zaś, rade słuca „dumek o kozaku“. Szkoda, że nie słucał z niem pan Melcer; szkoda, że na ten jego tragizm, rozedrgany nowożytnym, bezimiennym patosem, nie powiał „duch od stepu“; szkoda, że przez tę orkiestrę, wstrząsaną dreszczami rozpacz, nie przepłynął strumień czystej, ludowej pieśni, w którym, gdyby się przejrżeli bohaterowie ponurego dramatu, możeby nam bliżsi byli fizyognomią i uczuciem.

Bo przecież to zagadkowe w poemacie chłopię, rzucające bajroniczne skargi „wszechbólu“, wychyla z „szarej chwastów zarosli“ głowę, nakrytą kozacką czapką; przecież w tem właśnie tkwi mistrzowski artyzm Malczewskiego, że przez mgły i półcienia bajronowskie rysują się plastycznie kontury ludzi, rzeczy, wypadków, nie-

rozerwalnie związanych z krainą stepów i kurhanów. U p. Melcera krzyk współczesnego neo-bajronizmu zagłusza wszystko inne, i zaciera w charakterystyce bohaterów jednej z najposępniejszych wśród dziejów Polski tragedij, indywidualne rysy psychologii narodowej.

Oto podniosła się zasłona na burzę, rozgrzmiewającą w naturze i w sercu człowieka. I jedna i druga piorunuje w orkiestrze i wstrząsa słuchacza żywiołową potęgą. Błyskawice, migające przez okna zamkowej komnaty, zdają się być tylko ilustracją tych instrumentalnych gromów, a recitativa, jakby wichrami targane, wydzierające się ze wzburzonej piersi magnata, jednym głosem więcej w symfonicznej nawałnicy. Czujemy, co się dzieje w łonie natury i w duszy ludzkiej: to pan tak wielki i groźny, że do gniewu swego potrzebuje wtóru przyrody; to ojciec, w którego głowie dojrzewa szatański zamysł zgładzenia nienawistnej synowej. Cóż, kiedy to nie wojewoda Zjawia się na wezwanie rodzica Wacław, i uszczęśliwiony kłamaną aprobatą ojca, pogodzonego niby z myślą o małżeństwie syna, z tem większą radością, przed zdobyciem laurów w rozprawie z pohańcem, śpiewa *arioso*, bardzo wdzięczne, pełne rzetelnego sentymentu, które jednak nic więcej nam o nim nie mówi, jak recitativa powiedziały o Wojewodzie.

A oto po raz drugi odsłania się kurtyna. Krajobraz Andriollego i na tem tle upozowani według jego poetycznych linii starzec i niewiasta. Sztuki plastyczne zrobiły swoje. Cóż muzyka? Muzyka maluje nam znów uczucia ojca, zgnębnego niepewnym losem dziecka i tęsknotą córki, której serce, rwąc się do ukochanego, cierpi jednocześnie udręczeniami rodzica. Jest-że to Miecznik, jest-że to Marya? Czy w jego frazesach słyszymy takie akcenty, jak:

Ha, toć i u mnie szabla nie czczym tylko blaskiem,  
I mignie mu przed oczy święconym obrazkiem?

Czy w jej marzeniach odzywa się śliczna melodia:

I tę straszną ofiarę, i to rozdzielenie,  
Zniosę, cierpliwie zniosę, póki nasze cienie  
W słodkich, czystych krainach złączone na zawsze,  
Ludzi już nie zobaczą, lecz niebo łaskawsze.



W niepewności — słuchacz wyczekuje na duet Maryi i Wacława. Jeżeli gdzie, to tu była sposobność czerpania z krynicy pieśni ludu, który tak o miłości śpiewać umiał i przepoić lirykę dwojga kochanków tem, co Niemcy *Geist der Quelle* nazywają; jeżeli kiedy, to w tym momencie, serca wchłaniają w siebie i przerabiają na uczucie to wszystko, co wkoło nich jest poezją środowiska. Słuchamy więc. Tak—tych dwoje kocha się prawdziwie, silnie, i wypowiada to sobie w sposób, w jakiby mówić do siebie mogli naprzykład... Romeo i Julia; ale gdzież jest męska prostota tego zapytania:

Maryo, czy ty mię kochasz?

i cudna tkliwość odpowiedzi:

Czy Marya ciebie kocha? mój drogi, mój miły,  
Więcej niż kochać wolno i niż mogą siły...

gdzież szczerłość, płynąca prosto z serca i nie szukająca kunsztownych frazesów, ani efektownych akcentów? gdzie dusza polskiej kobiety w tych teatralnych wizjach i hallucynacyach Maryi po rozłączeniu się z Wacławem? Modlitwa dopiero odsłania całą jej piękność i zdaje się przygotowywać nastrój prawdziwej poezji, w którym utrzymany jest cały akt trzeci.

O najtragiczniejszym tego aktu momencie mówiłem na początku; poprzedza on bezpośrednio katastrofę i wybuch rozpaczny Wacława kończący dramat obłądym krzykiem. Zaslona spada; słuchacz jest pod silnem, wstrząsającym wrażeniem; ale mu na myśl nie przyjdzie ostatni wiersz poematu:

I pusto — smutno — tęskno — w bujnej Ukrainie.

Nie chciałbym źle być zrozumianym; nie chciałbym dać powodu do osądzeń, że dopominam się o tak zwany „koloryt miejscowy“, który w operach z przed kilkadziesiątu lat przyczepiał mechanicznie do konwencyonalnej muzyki jakieś motywy egzotyczne i zabarwiał partycyę efektami oleodruku. Ale tam, gdzie poemat dał gotowy, dźwięczny obraz; tam gdzie muzyka wiersza jest tylko echem muzy-

ki, wypełniającej, zda się, życie natury i ludzi, wytwarzającej cały jakiś odrębny świat pieśni,—tam pragnąłem usłyszeć te echa, płynące z samej duszy lirycznego dramatu. Oczywiście, że nie w powtórzonej niewolniczo „dumce“, czy „szumce“ objawiły się ten świat ukraiński, ale-by go trzeba odtworzyć z ducha liryki ukraińskiej, tak jak Paderewski wchłonał, tworząc „Manru“, pierwiastki góralskiej i cygańskiej liryki, lub,—jeżeli tu wyżej sięgnąć wolno—jak Chopin przepoił narodową poezją nawet arcydzieła, wyswabadzające się z form charakterystyki narodowej. Henryk Melcer oderwał swoje dzieło od gruntu, na którym Malczeski cudny kwiat poezji wyhodował; może więc mieć to dzieło i ma niewątpliwie niepospolite piękności, ale nie bije od nich woń tego kwiatu.

Jest-że to powód, aby się niem nie interesować? Są kwiaty, pociągające samą swoją krasą, a tej nie brak w „Maryi“ Melcera. Ukraińska czy nie, zająć może i powinna, jako twór rzetelnego, niepospolitego talentu, który objawił się odrazu oryginalnie w dwóch kierunkach: symfonistą pełnym siły, temperamentu jest p. Melcer w dwóch pierwszych aktach „Maryi“, snując z motywów dramatycznych poematu; muzykę programową, do której wciągnięte zostały głosy ludzkie, jako instrumenty; tragikiem tonów jest młody kompozytor w trzecim akcie swej opery, zapowiadającym poetę, który zdobędzie się niewątpliwie na dojrzały, skończony dramat muzyczny.

Operę wystawiono starannie. Pani Bohuss-Hellerowa, jako bohaterka tytułowa z wdziękiem traktowała swoją partycję; Wacławem pełnym zapału był p. Leliwa; Wojewoda znalazł w panu Górskim bardzo sumiennego przedstawiciela. Orkiestrę i chóry energicznie prowadzi p. Podesti.

Gdy tak opera polska jest ciągle kopciuszkim publiczności polskiej, młodsza jej siostra, Filharmonia, nie przestaje być rozpieszczonym dzieckiem Warszawy muzycznej i udającej muzykalną. Prawda że na pieszczoty zasługuje. Rośnie—możnaby prawie powiedzieć że już wyrosła—pięknie, i „zbudziło się w niej serce“, bijące według rytmów sztuki w wielkim stylu. Trzeci sezon niedługiego jeszcze jej życia zakończył się właśnie niedawno, nieznaną w Warszawie kantatą Schumanna do poematu Moora „Raj i Peri“ a przed tem zakończeniem jakież to szereg dzieł różnych epok i mistrzów rozwinął przed słuchaczami dzieje muzyki europejskiej! Wbrew tradycyjnemu u młodych lekceważeniu przeszłości, Filharmonia lubi historię i zamiłowanie do niej krzewi w publiczności; dość było spojrzeć na fizyognomię audytorium, wsłuchanego na koncercie historycznym w ewolucję pewnych



form muzyki polskiej, w rozwój pieni religijnych, w przekształcenia poloneza, mazura, w dźwięczną ilustrację przysłówia „do różańca i do tańca“, aby stwierdzić zasługę instytucji artystycznej w tym kierunku. W podobnej historycznej syntezie zapoznaje się publiczność stopniowo z rozwojem muzyki obcej, od klasycznych jej praocjów aż do takich „najmłodszych“ jak Ryszard Strauss w Niemczech, d'Indy, Debussy we Francji. Filozoficzny podkład twórczości Straussa starałem się dawniej scharakteryzować w ocenie jego „Sowizdrzała“ i „Zarathustry“. Wincenty d'Indy, natura na wskroś romańska, jasna, niezatapiająca się w spekulacjach metafizyki muzycznej, obcuje najchętniej z wielkimi dziełami przyrody i z wielkimi tworamii sztuki, na szczytach Cevennenów, na wybrzeżach morza czerpie wprost z przyrody motywy grające mu tajemniczą muzyką żywiołów. Pisze „Las zaczarowany“, legendę-symfonię, pełną tajemniczego uroku; tworzy „Poemat gór“, krajobrazy symfoniczne przeplatane z subtelnym artyzmem wspomnieniami miłosnymi; komponuje symfonię na orkiestrę i fortepian pod natchnieniem prostej piosenki góralskiej; zdobywa się wreszcie na operę „Obcy“ (*L'Etranger*) której ocean jest właściwym bohaterem i gdzie inwokacja do morza, cała w wokalnych jękach, jakby wtórujących rozelkanym w orkiestrze falom, przejmujące wywiera wrażenie. Zahartowana w tem mężkiem sam na sam z naturą, wpatrzona we wspaniałe kreacje Odrodzenia, wypielegnowana przez epigona Berlioza, Cezara Francka, twórczość d'Inde'go bywa niekiedy twardą, szorstką, bez wdzięku — ale czuć w niej siłę przyrodzoną, która często opanowyywa słuchacza.

Jakże po tych modernistycznych rozpędach w ekspresyi śpiewu i orkiestry wygląda takie dzieło, jak „Raj i Peri“? Jestem pewny, że u naszych modernistów muzycznych — gdybyśmy ich mieli — Schumann należałby do „mydlarzy“. Nie mamy ich — nie wiem: na szczęście, czy na nieszczęście — można więc mówić swobodnie o tym romantyku, który ze swoją bujną fantazyą, ze swoim zmysłem dramatycznym, ze swoją głębią niezuciową, ze swoim poetycznym polem, wydaje się... klasykiem. Słucha się tego dźwięczącego w naziemskich przestworach poematu spokojnie — ale jakież to rozkoszny spokój, jakie ukojenie w tem niebiańskim zakończeniu części drugiej! Słucha się — i słuchając snuje się po swojemu wątek poematu. Peri, tęskniąca za rajem, pod tym tylko warunkiem może się tam dostać, jeżeli przyniesie ze swoich po świecie wędrówek dar najmilszy niebu. Powracającą z nich kilkakrotnie anioł wstrzymuje u progu, bo to, co składa w ofierze, nie wystarcza bóstwu. Nareszcie, lza skruchy wielkiego grzesznika, uznana za dar, godny nieba, toruje

spragnionej Peri drogę do krainy wiecznej szczęśliwości. I zdaje się rozmarzonemu słuchaczowi, że Peri — to dusza dźwięku, która wtedy dopiero znajdzie się w niebie, kiedy przyniesie tam, na wyżyny, łzy pokutnicze za wszystkie grzechy, jakich muzyka dopuszcza się dziś względem Sztuki; a wrota raju otworzą jej: Palestrina, Bach, Mozart. Beethoven, Schumann, Wagner — Chopin.

W. BOGUSŁAWSKI.



# Władysław Syrokomla.<sup>1)</sup>

(1823—1862).

---

## VII.

### PRZYRODA W POEZYZI SYROKOMLI.

Jeden z najznakomitszych badaczy dziejów umysłowości naszej, prof. A. Brückner, nazwał Kondratowicza pieśniarzem ludowym, polskim Burns, ograniczając jednak określenie swoje w ten sposób, że lud Syrokomli, to drobna szlachta zagonowa. Wiemy już, jak zastrzeżenie to było potrzebne. Burns zaś był, jak wiadomo, synem szkockiego wieśniaka, i w poezyi swej pozostał dziećciem wiejskiej zagrody. Obecnie wszelako mamy na myśli inną stronę sielskości, ujawniającą się w poezyi lirnika naszego — przyrodę. W dziejach natchnień śpiewaczych znamy inne analogiczne zjawisko, bliższe Syrokomli czasem i przestrzenią, niż Burns<sup>1)</sup> — to pieśń Kolcowa...

Przytoczymy tu parę zwrotek w parafrazie Niesłuchowskiego, którego organizacya duchowa zawierała w sobie niektóre pierwiastki, wspólne z naturą rosyjskiego samouka. Uczynimy to przedewszystkiem dla tego, by uprzytomić sobie, jakie pojęcie się ukrywa pod tym symbolem: B u r n s.

Hej! woliki siwe!  
Żwawo naprzód razem!  
Niechaj matkę niwę  
Kraje pług żelazem.

---

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt lutowy, str. 252; — marcowy, str. 481.

Niechaj w równe rzędy  
 Składa ziemia skiby,  
 Jak w ogrodzie grzędy  
 Wymierzone niby.

Jaskóleczka w kółko  
 Szybuję jak kula,  
 W gaju nad rzeczułką  
 Kukuje zuzula.

Pliszka popielata  
 Zręcznie muszki goni,  
 Skowronek ulata  
 I piosenkę dzwoni.

Gdzie przejdę poparem,  
 Wszędy za mną śladem  
 Czarne wrony z gwarem  
 Podążają stadem.

Wszystko naokoło  
 Z wiosny tak szczęśliwe,  
 Nuci pieśń wesolą,  
 Hej, woliki siwel!

Matka ziemia czarna,  
 Kiedy ja poorzę,  
 Chętnie przyjmie ziarna  
 I wyrośnie zboże.

Ciepły wietrzyk wionie,  
 Chmura łzę wyleje,  
 Zboże na zagonie  
 Wnet pozielenieje.

*Piękne będą runie,*  
 Wzrosną wyżej jeszcze,  
 Kłos się z nich wysunie,  
 Z wiatrem zaszeleszcze.

W kłosie będzie ziarno,  
 To bogactwo nasze,  
 Hejże, siwa parko,  
 Puszczę wnet na paszę.

Orzmy, co sił stanie,  
 Łono dobrotliwe  
 Na ojczystym łanie!  
 Hej! woliki siwel!



Nie jest to t. zw. nastrój obcego człowieka, który zbliża się do zjawiska przyrody, jakby w gościnę szedł do niej. Niema tu wspaniałych, umyślnie poszukiwanych widoków, jakichś wyjątkowych, świątecznych chwil. Roztacza się przed nami wzdłuż i wszerz równina czarna, pole, w równe pokrajane skiby. Wszystkie szczegóły zwykłe, proste, jednostajne. Lecz zapach tej ziemi, lecz śpiew pliszki, czy skowronka, natychmiast budzi do życia cały szereg odruchów, szereg wspomnień, rozmyślań, wzruszeń, szereg radości i bólów, nadziei i obaw, po wielokroć już minionych, a wciąż odradzających się! W każdą zda się gródkę ziemi, wraz ze spadającą kroplą potu, wsiąkała jakaś odrobina duszy naszej, i oto teraz te odrobiny wznoszą się oparami i śpieszą się połączyć ze źródłem, które je wydało. A dusza zbiera swą własność zewsząd, z każdego zapachu, szelestu, z każdego połysku, z każdego drgnienia zeschłego badyla. Jest to najbardziej żywy i poufały stosunek z przyrodą, jest to poezya pracy rolniczej...

Już na wstępie zaznaczyliśmy, jak najwcześniejsze wrażenia w tym właśnie kierunku oddziaływały na naszego poetę:

A gdybym słyszał brzekot kosarzy,  
A gdybym widział, jako żną zboże.

Jest nieco przesady w tem, co gdzieś powiedział o sobie <sup>1)</sup>:

Nie ja śpiewam, lecz świat boży,  
Który piosnkę we mnie tworzy,  
*Puls przyrody bije we mnie...*

Nie, potężnego jejtchu nie czuć w jego pieśni. I nie doznaje się nigdy wstrząsających wzruszeń, nie szukać tu uniesień namiętnych lub modlitewnego uwielbienia. Co krok spotykamy rzeczy powszednie, o jakie każdy i wszędzie zawadzi, byle się wydostał za mury miejskie. Codzienne te widoki oblane są łagodnem i pogodnem światłem, i wywołują odruchy proste, zwykłe sercu każdego przechodnia, jeżeli mu nie zabraknie... małej rzeczy: jeżeli się „zbratał z przyrodą, jak

<sup>1)</sup> W r. 1845.

z matką“, jeżeli aromat skoszonej trawy, a choćby ostry zapach kopolny, świeży wilgotny chłód wystruganej przy stercie ziemi, porbrzek kłosów dostajej niwy, jeżeli to wszystko zdoła w duszy jego obudzić synowskie dla ziemi uczucia. I nie jeden znajdzie się u Syrokomli obrazek, od którego oderwać się trudno, gdyż wyczuwamy sympatyczną nić, która łączy przyrodę i człowieka:

Kto lubi znój, gdy swojskie słońce parzy,  
Kto lubi pieśń żniwiarek i żniwiarzy,  
Kto w pieśni rad powietrze swojskie chwyta,  
Kto lubi chleb ze słowiańskiego żyta,  
I ptactwa gwar wśród pola i dąbrowy,  
I prosty lud wioskowy, zaściankowy...

. . . . .

Przypomnim wam i święte kłosów żniwo,  
I letni skwar, i jesień szczodrobliwą,  
I sosen szum, gdy chłodny gwar kołysa...

Zapewne, czytając to, musimy wspomnieć i o Kolcowie, i o Burnisie. A jednak „i letni skwar, i jesień szczodrobliwa“, same przez się — to epizod jedynie dla naszego poety. Najsilniejszymi bowiem i najwyższymi są te ustępy, w których znać działanie najpotężniejszej w uczuciu i w poezji Syrokomli dźwigni — tęsknoty, wspomnienia. Cały „Kęs chleba“, przez wielu na najwyższym niemal stawiany miejscu, temi przedewszystkiem ustępami stoi.

W dni moje młode, w dni moje szczęśliwe,  
I jam uprawiał Nadniemeńską niwę...

. . . . .

..... to sielskie zacisze  
Tak mię zbrały z przyrodą, jak z matką...

. . . . .

Zda się, bywało, wzrost trawy posłyszę,  
I dzisiaj, kiedy wzrok ziemski przestonię,  
A okiem duszy w te strony powiodę,  
Widzę .....

. . . . .



*I słuchem duszy, jak gdyby na jawie  
Słyszę na błoni nadrzecznej obszarze,  
Jak brzęczą w kosy ochoczy kosarze  
I polny konik jak strzekoce w trawie;  
Jak szumi zboże, gdzie wyrosło gęściej,  
I jak pod sierpem żniwiarek zachrzęści...*

. . . . .  
. . . . .

Znamienną atoli jest rzeczą, iż bezpośrednio odruchy poety na zjawiska przyrody, o ile nie napiszą się z zaznaczonemi właśnie pierwiastkami wspomnienia i tęsknoty, są u Syrokomli objawem dość rzadkim. Z „Chodyki“ np. nie upamiętnia się ani jeden ustęp, jakkolwiek tam cała pokuta strzelca jest nieustannem z przyrodą obcowaniem na tle życia lasu. Wszakże gdy życie to porównamy z obrazami Dygasińskiego, a choćby nawet Niesłuchowskiego, przedstawi się ono nam dość niewyraźnie. Wogóle, jak się rzekło, przyroda dla Syrokomli jest epizodem, samoistnego znaczenia nie posiada. Znać, że wrażenia, od niej otrzymane, były częstką wielu przeżytych chwil, i dla tego stały się mu drogie, może niezbędnne, ale same przez się rzadko upajały. Bywa często, iż lata całe spoglądamy na znajome twarze, aż widok ten zrasta się z naszą duszą. Uprzytomni to nam dopiero żal, gdy tych twarzy nam zabraknie, ale gdy były przed nami, nie wpatrywaliśmy się w nie z miłością... Wiemy, że poeta, choć opiewał brzekot kosarzy, i tęsknił do widoku, „jak żną zboże“, gospodarstwa przecież nie lubił, uciekając do ksiąg, a gdy się od tych odrywał, wpadał między ludzi. W naturze jego nie było pierwiastków samotniczego, kontemplacyjnego usposobienia, i choć przymusowemu samotnictwu zawdzięczał może najrzewniejsze i najcenniejsze swe pieśni, nie często przebywał sam na sam z niebem i ziemią. Znajdujemy u Kondratowicza wiersz, na pozór wielce zbliżający się do przytoczonego powyżej wiersza Kolcowa:

Już ty śpiewasz, skowroneczku, już też i ja orzę,  
I my, ludzie, i wy, ptaszki — wszystko dzieci Boże.  
Człowiek w polu gospodarno pracować się sili,  
Ptaszek bierze swoje ziarno z zimowych badyli.

Tyś, skowronku mój, towarzysz, choć w nierównej doli,  
O kochaniu jeno marzysz, twemu sercu gwoli...

.....

Człowiek świtem ze snu wskrześnie, ale rąk nie dźwiga,  
Chciałby śpiewać świętą pieśnię, ale rąk nie dźwiga.

.....

Od chwili, gdy rozpoczyna się paralela między skowronkiem a oraczem, widać, jak poeta zbaczać zaczyna od wrażeń bezpośrednich do „nierównej doli“ człowieka i ptaszka. Rozumuje, uzala się, ale nie oddaje się bez zastrzeżeń radości pracy wiosennej i radości rozmowy z powstającą do życia po śnie zimowym ziemią. Tak, czy inaczej, w chwili wesołej, czy smutnej, zawsze między poetą a przyrodą stawał — człowiek.

## VIII.

### TWÓRCZOŚĆ SYROKOMLI W SZCZEGÓŁACH DO R. 1852.

Rozglądając się nieco w szczegółach, zwróćmy przez chwilę uwagę na wiersze liryczne. Wybitnych rzeczy próżno tu poszukiwać. Rzewna jednak, nieuczona nuta lirnika wioskowego da często świadectwo prawdzie naszych o nim rozmyślań. Parokrotnie kładliśmy nacisk na okoliczność, iż osobista poezya Syrokomli, to głównie poezya wspomnień i żalu za ubiegłą chwilą. Rzeczywistość nigdy go nie zadawała, a niekiedy w podziw nas po prostu wprawić może skwapliwość, z jaką poeta w przeszłość usuwa swoje szczęśliwe godziny natchnienia, jak zawsze poza sobą już widzi swobodę umysłu i uczucia. W wierszu do Pietkiewiczów <sup>1)</sup>, wspominając o wspólnych z niemi błąkaniach się „z książką Adama w rękę“, wzdychając do „niekształtnych, lecz ognistych pieśni“, uskarża się na usychanie serca. „Gdyby ogień dawniejszy wróciły mi Nieba, możebym tony wydobył z mej liry“. Właśnie wtedy z tonów liry splatały się

<sup>1)</sup> 15 maja 1846 r.



sliczne i natchnione ustępy „Dęboroga“. Zimą tegoż roku <sup>1)</sup>, zwracając myśl swą ku zabawom młodych lat <sup>2)</sup>, woła w gawędzie z samym sobą: „ej, oddałbym, oddał i duszę i ciało, gdyby się tak rażno, jak dawniej hulało“. Z przejściem się opisuje zabawę kuligową. Ale cóż... „Lubiłem to niegdyś... o Boże mój, Boże! Dłaczegóż gdy rękę na sercu położę, tak bije mi tętno, tak łzy z oczu biją?“ („Bywało“). Choć „dzisiaj“, w przeciwieństwie do „bywało“, jest bardzo smutne, nie mniej serdecznie go niebawem pożałuje. W d. 15 lutego 1847 r. napisze elegię „O moim starym domku“, najpiękniejszy wiersz tej doby obok takich, jak: „Do Boga“, „Lirnik wioskowy“ i „Dedykacya gawęd gminnych Litwinom“. Właśnie wtedy stawiono poecie nową chatkę zamiast zmurszałego, rozklekotanego i rozsypującego się domku. Do ucha lirnika dochodził stuk siekier z pobliskiego lasku. Więc już obecna chwila zapadała w przeszłość, już się owijała mgłą oddalenia. Tego było dość, by z serca poety trysnął szczerzy żal:

Stuka, stuka topór w lesie,  
Echo wstrząsa cisz gajową,  
I mnie wieść *żałosną* niesie,  
Że mieć będę chatę nową...

Chatkol ściany twoje stoją,  
Lecz cię wkrótce proch zagrzebie.  
*Już przyrośłem tak do ciebie,*  
*Ty tak wrosłaś w duszę moją!*

Prawda, wrosła. Tu każda szpara, każda pajęczyna budzi wspomnienie.

Ot mój stolik, tron potęgi,  
Tam szpargałów leżą roje;  
A to szafa — a w niej księgi —  
*Zguba moja, szczęście moje!*

Wiemy, iż nie koniecznie i nie zawsze Kondratowicz był od-  
ludkiem:

1) 22 listopada 1846 r

2) Właśnie skończył był 23-ci rok.

O, lubiłem w tej izdebce,  
 W gwarze gości tchnąć weselem;  
 A najbardziej, gdy się szepce  
 Z ukochanym przyjacielem.

Lubił Ale to wszystko już minęło. Już się dusza nie odnowi  
 w nowym kątku:

Szukać wrażeń już nie sposób  
 Zardzewiałemi oczyma;  
 A w tym świecie, wśród tych osób,  
 Już pamiątek dla mnie niema,  
 Już widoki z okien nowe...

Nie dowierzajmy „zardzewiałym“ oczom, bo i z tą nową siedzibą  
 bolesne będzie rozstanie.

Od kiedy Syrokomla uwierzył w swój zawód piewcy, zwracał  
 się chętnie i często do rozmyślań o powołaniu poety, o jego losach na  
 świecie, o stosunku między pieśnią a rzeczywistością: „Wędrowny  
 flecista“, „Do niemowlęcia“<sup>1)</sup>, „Do Boga“, „Zawcześnie“, „Modła“,  
 „Ułamek“... Niekiedy, idąc zwykłym torem romantycznym (i nie ro-  
 mantycznym), wytacza proces tłumowi, który utonął w samolubstwie,  
 cześć złotemu cielcowi oddaje i t. d. „Two czoło — w wieniec cierni  
 ustroją, i zelżą ciebie hańbą sromotną, i w twoje piersi kamieniem  
 grzmotną“. Było to jasnowidzenie! I jasnowidzeniem była przepowie-  
 dnia „Lirnika wioskowego“: „skonam, grając na lirze“. Wyznania te  
 zamykają się śliczną „Dedykacją“ gawęd, w której poeta tak określa  
 stanowisko swej poezji:

O bracia moi z nad Wilii, z nad Niemna!

. . . . .

Bracia w kapocie i bracia w siermiędzel

. . . . .

Nie żal mi serca i nie żal mi głowy,

Dla ciebie śpiewam, gminie szaraczkowy!

<sup>1)</sup> Pierwotny tytuł: „Poeta“.



O tobie śpiewam i z tobą zespołę  
Nadzieje, radość, i smutki, i bole.

Spójrzmy tedy na owe, gminowi szaraczkowemu ofiarowane, nieuczzone pogadanki. Jest to szereg gawęd, o których już wspominaliśmy przygodnie, a z obszerniejszych utworów „Chodyka“, „Urodzony Jan Dębóróg“, „Zaścianek Podkowa“ i niedokończony „Kanonik Przemyski“. Powiadają, iż w pierwszej dobie twórczość Syrokomli miała kierunek moralizujący. Bo oto przecie „Pocztylion“ ponosi karę za brak miłości chrześcijańskiej, w innej gawędzie autor przekonuje, iż „Kradzione“ nie tuczy i t. d. Możemy śmiało przypuścić, iż dydaktyczny zamiar, jeżeli nawet istniał, nie grał roli pobudki twórczej. Dostatecznym wytłómaczeniem pierwszych utworów jest usiłowanie dać żywą charakterystykę pewnej warstwy ludności, w duchu romantycznym poczęte pragnienie wyzyskania takich pierwiastków, jak cudowność, jak gminne podania, lub wyobrażenia. „Pocztylion“ był osnuty na prawdziwym wypadku, „Chodyka“ jest opracowaniem tradycji ludowej, „Żebrak-fundator“ — klasztornej. O „Trzech gwiazdkach“ mówiliśmy już dawniej. Do „Zaścianka Podkowy“ dodał autor uwagę, że za tło wypadku posłużyło zdarzenie miejscowe. „Staraliśmy się oddać szlachtę zaściankową litewską z jej obrazem myśli, z jej dykcyą i jej przestarzałemi wyobrażeniami, a zarazem zwrócić uwagę...“... Tu już mowa o pouczeniu, które w utworze zabiera dziesięć wierszy i jest najzupełniej mechanicznym dodatkiem. Spójrzmy na scenę zatargów sąsiedzkich, żywo odmalowanych w „Dyferencyi“. Już lby pokiereszowane, aż p. Ambroży wnosi medycyę; i oto sporne morgi już poszły na kościół i zgoda między braćmi zapanowała... Ba, czyż to od Rzewuskiego, a w pierw jeszcze od Mickiewicza, nie dowiedzieliśmy się już dawniej, jaka to szlachta była zapalna, a na rankor trwały przecież zdobyć się nie mogła, jak ją łatwo było imieniem Boskiem, nakazaniem się Przenajświętszego Sakramentu do upamiętania przyprowadzić? W tem świetle wszyscy wtedy, a niebawem Kaczkowski, ukazywali pewne rysy charakteru narodowego, i tylko sfera, którą obrazował Syrokomla, była cokolwiek odmienną. A na zakończenie „Dyferencyi“ nie obeszło się bez słabych bodaj śladów nadprzyrodzonego pierwiastka, bo oto

Jakieś krzyki i rozruchy,  
Spór Marcina i Stefana.

Za zmarłych bowiem już mszy nie odprawiają i morgi kościołowi odebrano.

Szczegółowy rozbiór pojedynczych utworów nie wchodzi w zakres naszych zamiarów. Musimy jednak bodaj kilku słowami dotknąć najważniejszych. Więć najprzód o „Chodyce“. Poemat ten, względnie do swych rozmiarów, posiada treść zbyt szczupłą. Przyroda leśna niema u autora dość oryginalności i powabu, a dzieje pokuty Chodyki opowiedziane są cokolwiek za rozwlekle—częsta wada utworów Syrokomli. „Zaścianek Podkowa“ jest niby pierwowzorem późniejszego „Kęsa chleba“, a potrąca zarazem o ową dobę, do której, za przewodem „Pana Tadeusza“, poeta zawsze zwracał się z lubością i zawsze z pomyślnym skutkiem: „Napoleonista“<sup>1)</sup>, nieoceniony „Terefera“, „Janko Cmentarnik“, „Ułas“. Poeta, zda się, jak i inni współcześni, żywił kult dla korsykańskiego zdobywcy, a na ścianie swego „starego domku“ miał przed sobą zawsze jego wizerunek. Śliczny jest opis wioski szlacheckiej, opustoszałej, gdyż ludność męska gdzieś za hrabią pobiegła na dalekie pola.

Nazajutrz, ledwie poranek zabłyska,  
Znikła z zaścianka młodzież od wyboru,  
Zniknęły konie z naszego pastwiska,  
Zniknął pan hrabia ze swojego dworu...

. . . . .

Robocze lato wyzwało (l) nas z domu,  
Po ukraińsku rozrosło się żyto,  
Kłós z niebem gada i chleba obfito,  
Tylko pracować i jeść niema komu...

. . . . .

A pora schodzi, przeminął czas suszy,  
Mgłami jesieni powlokło się słońce,  
Zboże niezżęte sypie się i kruszy,  
Trawy stwardniały i zeschły na łące,

1) Z roku 1846.



Ledwie gdzieniegdzie wytykają głowę  
 Kopice siana, lub mendle zbożowe,  
 Nastąpiła jesień, cały plon się kwasi,  
 I tak zmarniała całoroczna praca...

A oto przeciwstawienie kolei ludzkich i niezmiennego pochodu  
 praw przyrody:

Ale wiosna nie chybia, jak człowiecza dola.  
 Przyszło cieplejsze słońce, śnieg otopniał z pola,  
 Strumień otrząsł się z lodu i swobodnie płynie,  
 I bocian zaklekotał . . . . .  
 I przeleciała czarnych jaskółek gromada...  
 . . . . .  
 . . . . . och, ku naszej strzesie  
 Czarny kruk chyba z wojny wiadomość przyniesie,  
 I rozpowie krakaniem żarłocznego gardła..

Nie wszyscy poszli krukowi na żer, ale

. . . . . Mała z nich usłoga,  
 Okaleczała ręce niezdolne do pługa...

Stary ojciec i matko! To cóż, że wy starzy?  
 Idźcie na chleb pracować dla biednych nędzarzy.

I wtedy z pałacu spadł grom na dworki szlacheckie. Brac zagoną wypędzono z ziemi, którą pokolenia jedne po drugich uprawiały, na której pokolenia rodziły się, modliły i umierały...

Utwór nie jest dość skondensowany, i dla tego wrażenie ogólne nie stoi na wysokości paru tragicznych ustępów. Czynniki baladowy — na uroczysko spada klątwa za krzywdę ludzką, — mający służyć, jakby za zadośćuczynienie etyczne, rzuca na ostatnie karty pewien konwencyonalno-romantyczny, ponury koloryt, obniżając wrażenie widoku zgłiszcz i sierocego taboru, koczującego pod otwartym niebem. Już oto „lunał deszczyk wiosenny, jego święta władza zboleła serca

ochładza“; już oto „nadzieja na każdej zjawiła się twarzy, że Pan Bóg wesprze żniwiarzy“.

„Kanonika Przemyskiego“, który rozmiarami sięga największych niemal poematów Syrokomli, mimo, iż pozostał tylko ułamkiem, należy uznać za utwór, całkiem chybiony. Koloryt czasu zbyt ogólnikowy, a charakter głównej osoby, Orzechowskiego, dziwnie słamazarny, nie przypominający w niczem namiętnego i zuchwałego wichrzyciela. Parę tylko żywszych stroniec spotykamy ku końcowi, gdzie występują biskupi, Dziaduski i Zebrzydowski. „Kanonik przemyski“ nazwany był przez autora „gawędą historyczną“, i urodził się z częstego przebywania wyobraźni poety wśród minionych wieków, kojarzy się tedy z takimi pracami, jak przekłady poetów polsko-łacińskich, jak pisanie „Dziejów literatury“. Podobno zapalił się był Syrokomla do innego pomysłu — dokończenia fragmentu „Bitwy z Amuratem“ Kochanowskiego.

Jeszcze nieco o Urodzonym Janie Dęborogu. Utwór ten nie był owocem jednolitego natchnienia. Rozpoczęty w r. 1846, doczekał się wykończenia zaledwie w r. 1851. Wcielił autor do poematu swego ustępy, które pierwotnie posiadały samoistne znaczenie. Można by nawet poczynić pewne wnioski co do chronologii różnych części utworu. Tak np. w pewnym miejscu mocno podkreśla braterstwo między ludźmi, jako ziemskie urzeczywistnienie zbratania się Boga i człowieka, jakie dokonało się w osobie i życiu Chrystusa. Przypomina to wiersz „Do Boga“, w r. 1848 stworzony. Gdzieindziej skarga na chwiejność kroków ludzkości, która nie wie, co proste, a co krzywe, uprzytomni nam rozterkę w sercu poety, kiedy wpadł pomiędzy wrogie stronnictwa w Wilnie, lub kiedy narzekał, iż młódź uniwersytecka, zamiast orzeźwić go energiczniejszym tchem, zakłóciła tylko jego spokój wewnętrzny. Było to r. 1851. Wiemy, iż zdarzały się takie chwile niezadowolenia autora ze swego dzieła, że o mało nie stało się ono pastwą ognia. Pewnie też praca była parokrotnie odkładana, by znowu później wejść na warsztat. Okoliczności powyższe spowodowały rozluźnienie spistości utworu w niektórych szczegółach. I podania o protoplaście rodu Dęborogów brzmią jakoś niepewnie, i wyobrażenia nasze co do majątkowego i społecznego stanowiska dziedziców na Dęborożu chwieją się czasami. Słyszymy o ich bogactwie, ba, słyszymy o świetnych biesiadach, tych litewskich Montekich, gdy tymczasem Kapuletowie-Brochwicze wystawieni są jako biedota. To znów okaże się, że dziesięć morgów, to już wielka szczyrba w szlacheckiej fortunie, i że oddać jedynaka do konwiktu — „możność nie służy“ i „nie masz za co, nie masz widocznie“. Są to przecież drobne tylko nierówności, zeszlifowane nadto przez poetę,



gdy przystosowywał wzajemnie części, z różnych pochodzące części; więc zaledwie pozostałe skazy dostrzedz można, a całości zgola nie nadwerężają.

Od chwili wydania „Dęboroga“ <sup>1)</sup>, stanowisko poetyckie Syrokomli było zapewnione... a miał przed sobą już zaledwie ośm lat życia! Przedtem wydał (z utworów oryginalnych) dwa tomiki „Gawęd“. Wyjątkowe znaczenie „Urodzonemu Dęborogowi“ nadaje okoliczność, iż w poemacie tym skupiły się i spotęgowały pierwiastki, których obecność w poezji Syrokomli staraliśmy się wykazać, a konieczność istnienia uzasadnić, biorąc pod uwagę organizację poetycką autora. Rozpoczyna się utwór tym samym akordem, co „Pan Tadeusz“: „Ziemio moja rodzona, Litwo moja święta“. Dalsze wiersze przypominają porównanie drzew włoskich „w wileńskim botanicznym ogrodzie“ z drzewami ojczyściej ziemicy. Paralela daje się przeprowadzić dalej, bo dotyczyć może całości utworu. Przecież materyalną osnowę „Pana Tadeusza“ stanowią takie same sąsiedzkie spory graniczne, jak w utworze Kondratowicza, ba, nawet zatargi rodzinne Horeszków i Sopliców, możniejszych i uboższych, kończą się skojarzeniem młodej pary, jak w „Dęborogu“. Tylko tło jest u Syrokomli zeszczuplone i wogóle pomniejszone są wszystkie rzeczy i stosunki. Niema tu ani tej, co w „Panu Tadeuszu“, perspektywy historycznej, ani tej, co tam, epickiej głębi poza charakterami, poza malowidłem życia, ani tej wreszcie pełni i żywości barw. „Urodzony Jan Dęboróg“, to jakby rozszerzona nieco „Dyferencya“. Treść utworu pamięta chyba każdy z czytelników. Rotmistrz Dęboróg posunął kopce graniczne na ziemię sąsiada Brochwicza i spalił dwór jego, niszcząc w ten sposób dowody piśmienne własności. Pamięć tego czynu przetrwała aż do ostatniego pokolenia, i nigdy nie umierała nieprzyjaźń pomiędzy sąsiedzkiemi dworami. Podobnie jest we wcześniejszej drobnej gawędzie, pragnie poeta wystawić tu w rodzajowym obrazie szmat życia powszedniego, a bohaterów swych poszukuje tam, gdzie to

Szlachta drobna, lecz zasobno,  
*Krzywo pisze, prosto orze,*  
 Procesuje, strzeże kopców,  
 Lasy pali, Boga chwali,  
 I hoduje walnych chłopców.

---

<sup>1)</sup> 1854 r.

Tylko sfera, w której się teraz obracamy, jest wyższą, aniżeli w „Dyferencyi“. I taki sam, jak dawniej, uśmiech pobłażliwy i pogodny spostrzegamy na ustach autora. Podobnie, jak wtedy, pamięć na przykazania Boskie prowadzi zwaśnionych do upamiętania. Zapewne, trzy wieki grzechu, zaciętości, krzywdy, trzy wieki łez i przekleństw, trudno, biorąc na rozum, położyć na wspólnej szali, wraz z jedną chwilą zgody. Gdy fala, wzburzona kamieniem krzywdy, ułoży się do równowagi w jednym miejscu, któż zaręczy, iż to samo nie rozpocznie się w innym? Zbyt długo i na zbyt wyjątkowe okoliczności, jak się pokazało, trzeba czekać z upamiętaniem. Ale nikt przecież ze słuchaczy po tego rodzaju argumenty rozumowe sięgać nie będzie, jest to bowiem rzeczą widoczną, iż poeta nie wyciąga z arsenału przeszłości broni, by nią walczyć z dążnościami nowszych czasów, i nie upatruje jakiegoś panaceum na wszelkie bóle terażniejsze w krewkości temperamentu szlacheckiego, jak to rzadziej, lub częściej bywało i u Rzewuskiego, i u Kaczkowskiego, i u Pola. On nie apoteozuje, on tylko wybacza, bo „pokochał przeszłość i praocjów twarze, i często je wspomina, i często o nich marzy“. A prawnuków obowiązkiem jest odkupić ojców winy. W poezyi zaś, gdzie trzysta lat — tyleż, co kilka stroniec poematu,—łatwiej zrównoważyć długi mrok pogodą jednej godziny, łatwiej rozgrzeszyć i — osiągnąć wrażenie harmonijne. Czujemy, jak poeta wypoczywał od swych trosk codziennych, oglądając w wyobraźni to życie, te postaci, krajobrazy, tę sielanekę dwojga serc młodych, nakreśloną szkicowo wprawdzie, ale naturalnie, i niepozabawioną wielkiego uroku. Tu ukazał nam śpiewak naszą ową przyrodę swojską w jej domowej szacie, poufną przyjaciółkę i towarzyszkę człowieka w najdrobniejszych jego codziennych zajęciach i pracach, teraz właśnie (nie w „Chodyce“, nie w lirykach swoich) oglądał ją przez nieoceniony swój pryzmat wspomnień dzieciennych, tęsknoty, żalu. W to dzieło wreszcie wcielił poeta najsilniejsze bodaj odruchy na wszystko, co odczuwał, jako podeptanie praw człowieka, jako niesprawiedliwość społeczną, oburzenie zaś swoje i żal uosobił w prześlicznej, prostej a wzniosłej, słodkiej a moralnego hartu pełnej, iście ewangelicznej, a w wysokim stopniu oryginalnej postaci ks. defnitora. Gdy próbujemy uprzytomnić sobie wszystkie osoby i charaktery, stworzone przez Kondratowicza, gdy liczymy w myśli ich bohaterstwa, ofiary, całopalenia, ze siebie składane, a rojno od tego u Syrokomli, przychodzimy do wniosku, do pewności nawet, że w osobie ks. defnitora artyzm i jasnowidzenie duchowe poety dosięgło swego szczytu, że tak skończonej, jak ta postaci, próżno-byśmy u niego już szukali. Zdaje mi się, że tu właśnie natrafiłiśmy na



ową nieśmiertelną stronicę, która u każdego istotnego twórcy znaleźć się musi! I gorzka czasem budzi się myśl, że często pogardzamy najcenniejszymi skarbami, by gonić obce błędne ogniki. Nie chcemy wynosić poezyi Syrokomli na wysokość, jej nieprzynależną, ale to pewna, iż bywają rzeczy dawne, a proste, z którymi, gdybyśmy się od dzieciństwa poufalili — dobrzeby było. Że tak nie jest, że do pierwiastków naszej świadomości zbiorowej ciągłość nie należy — czy zawsze nasza wina? Nie gadajmy o tem wolej...

Więc już skrwawiona postać zbrodniarza-rotmistrza nie będzie się ukazywała potomkom i straszny nie zawoła głosem: *redde, quod debes!* Oddaj, coś winien! Domowe zatargi między rodami Dęborogów a Brochwiczów zamknięte, cnoty prywatne otrzymały przewagę nad ujemnymi stronami charakteru, o ile się one ujawniały znów w osobistej dziedzinie. Dotychczas według założenia jest to „podanie jednej litewskiej mogiły“, jest to pieśń, co „duszy litewskiej choć cząstkę odsłoni“. „Dęboróg“ był drukowany, jak wspomnieliśmy, w r. 1855. A gdy już 7 maja 1855 r. wypadło pisać „Epilog“ do drugiego wydania, autor podnosi nastrój swego poematu o kilka tonów. Stary rotmistrz, powstający z grobu, jak krwawy wyrzut sumienia, to nie protoplasta rodu obecnie i nie pokutnik za krzywdę, jednostce wyrządzoną, — to ukazuje się cień przeszłości narodowej, wzywający potomność, by spłaciła zaciągnięte przez ojców długi.

*Redde, quod debes, płaciecie dług wasz stary!*  
 Spuściliśmy prostacy naszą piękną stronę  
 Na wasze ręce silne, na głowy uczone,  
 Od zgonu waszych przodków do dzisiejszej chwili,  
 Obliczcie, coście wzięli, coście przymnożyli?  
 Musi być w wasze czasy, które postęp budzi,  
 I więcej kwiatów w polu i cnót w sercach ludzi,  
 Lubiliśmy procesy i pieniacze matnie,  
 U was pewnie zakwitło miłowanie bratnie;  
*Równych synów ludzkości, odkupionych z krzyża.*  
*U was pęcha herbowna pewno nie poniża...*

Podobnież, prosząc o przebaczenie dla starej głowy Dęboroga, wierzącej w odwieczny katechizm, iż „szlachcic stworzon z inszej chłop z inszej gliny“, autor dodaje, iż tem szczerzej przebaczenie to ofiarować należy,

Że dziś po jego śmierci nikt temu nie wierzy.  
 Szlachta na całej Litwie jest bracią swej włości,  
 Ochrania ją od głodu, od zimna srogości.  
 W wioskach, słyszę, dostatek, wyplenione chwasty,  
 Zakwitnął bujnym kwieciami nasz wiek dziewiętnasty.

Jak zwykle, sarkazm ten rozplynie się w żalu:

Och, bolesno posłyszec' głos taki z mogiły:  
 Jeszcze nasze zasiewy kłosów nie puściły,  
 A choć zda się dokoła zielone przestworza,  
 Po trawce nie rozeznac' kąkolu od zboża.  
 A pieśniarz, co gotuje piosenkę do żniwa,  
 Przebaczcie, że niepewnym głosem pobrząkiwa:  
*Bo nie zgadnie, do jakiej nastroić się nuty,  
 Czy stworzyć pieśń wesela, czy żalu wyrzuty?*

Jednocześnie z ostatnią kartą „Dęboroga“ Syrokomla napisał śliczną baladę-gawędę: „Hetman polny“, jak zwykle nadając „przeinaczeniu“ boskiemu charakter następstw naturalnych. Hetman na czele wojska kwarcianego urządza zasadzkę na Tatarów; chce „brońić niskie strzechy wioskowe krymskich bandytów pobić na głowę“.

Lecz zabezpieczon w żelaznej zbroi,  
 Nie zawždy rycerz Boga się boi,  
 Szlachta pancerna i ciurów tłuszcza  
 Oto po wiosce zagon rozpuszcza...

. . . . .

Jeno się śmieje z jęków i wrzawy  
 Wielmożny hetman polnej buławy.

Gdy tedy naszli nocą Tatarzy, snadno się domyślili, słysząc jęki, że w wiosce uprzedzili ich już bracia z przedniej straży. Nie



chcąc więc przeszkadzać ich robocie i ochocie, poszli na zamek swego wroga-hetmana.

Na wiosce hula szlachta pancerna,  
 Na niebie gore luna obszerna,  
 Hetman na niebo spojrział z oddali:  
 „Na koń, rycerswo, mój dwór się palił“.  
 Lecz nim dobiegło rycerstwo hoże,  
 Wróg gospodarzył w hetmańskim dworze,  
 Zamek spalony, służba wyrżnięta,  
 Żona gdzieś dźwiga tatarskie pęta;  
 Na zgliszczach domu modli się łzawy  
 Wielmożny hetman polnej buławy.

Pod względem koncentracji budowy i oszczędności w użytych rysach i barwach, pod względem siły wyrazu, gawędę tę obok „Lalki“ należy policzyć do najudatniejszych i najpiękniejszych. Syrokomla za *molto* położył słowa Skargi: „Bo gdy doma lwami okrutnymi będziecie, w potrzebie staniecie się jako na rzeź owcami“. Widzimy tedy, iż ukochanie przeszłości nie było ze strony poety bezkrytyczne, chciałby tylko „wybaczyć starej głowie“. „Hetmana polnego“ możemy uważać za naturalne uzupełnienie „Dęboroga“. Spostrzegamy, że lirnik nasz pogłębia w sobie znaczenie opiewanych podań, spostrzegamy, jak wypadek drobny staje się dlań symbolem rzeczy powszechnej. I gdyby takie podniesienie tonu zaszło było wcześniej, w trakcie twórczości, wówczas jeszcze, gdy „Dęboróg“ był dopiero nieurzezywistnionym pomysłem, lecz nie w odrębnym utworze i nie w mechanicznym dodatku, wsteczne jeno rzucającym światło na utwór, gdyby tak się stało — „Dęboróg“ urósłby może do wyżyny epickiej niemal. Ale tak już snadź przeznaczenie chciało, by Syrokomla pozostał na zawsze w obrębie gawędy.

## IX.

## WILNO. — PRZENIESIENIE SIĘ DO BOREJKOWSZCZYZNY (1853).

W Załuczu Syrokomla gospodarzył do końca r. 1852. Wiemy mniej więcej, jak mu tam czas upływał. Zaglądał na pole, kopał w ogrodzie, w samotnej izdebce obcował z księgami, o których mówił: „zguba moja, szczęście moje“, rad wrywał się do najbliższych sąsiadów, lub z radością chwycił gwar wesela, patrząc, jak rozszerzały się ściany jego chaty, gdy się zaludniła ubogimi braćmi. Zaczysze wiejskie sprzyjało pracy, sprzyjało natchnieniu, gdy kajdany robot obowiązkowych wolniały, nie mniej zacysze to miało dla śpiewaka naszego posmak nudy. O swych zatrudnieniach rolniczych sam powiada: „Wiem, że się nigdy nie nauczę, jak posesorskie pełnić rzemiosło“. Odbywał też dalsze lub bliższe wycieczki po Litwie. W r. 1850 zawadza o Hubin Kraszewskiego na Wołyniu, zbiera dla niego gdzie się da, stare sztychy, zagląda gęsto do Wilna, gdzie u przyjaznego sobie Mikołaja Malinowskiego źródłami i erudycją się zasila.

Pisząc elegię o „starym domku“, poeta wspomina o słodkim wczynie „w uściśnieniu lubej żony, lub w pieszczotach mej d i e c i n y“. We cztery, czy w pięć lat potem, w liście do Marcinkowskiego, nazywa już siebie ojcem trojga dzieci. Obowiązki przybywały, tymczasem rola piaszczysta rodzic nie chciała: „poetyczne Załucze chleba nie daje“. Zarobki literackie były tak obfite, że za pierwszy tom literatury otrzymał 150 rb. Poeta uważał to za świetny interes. Troska o jutro, pośpieszna, a wciąż rosnąca praca obowiązkowa <sup>1)</sup>, wyczerpywały poetę. Sam on też dobrowolnie rozpraszał swe siły. Zaprzyżniwszy się np. z Moniuszką, wnet pisze libretto do jego oper, kantaty itp. <sup>2)</sup>. Pod naciskiem konieczności powstaje wówczas fantastyczny projekt nabycia na własność kawałka ziemi. Wreszcie poeta traktuje z zarządem dóbr o zamianę dzierżawy. Zawartą już prawie umowę zniszczył kaprys właściciela, który bez porozumienia się z zarządem, komu innemu wypuścił folwark. W dodatku spadło na Kondratowicza nieszczęście: w r. 1852 na cmentarzu w Mirze spoczęło troje

1) W roku 1852 rozpoczął już tłómaczenie kronikarzy łacińskich.

2) „Cygani“, „Rok w pieśni“.



dzieci. Lirnik rozstaje się wreszcie z Załuczem i z nadniemeńską okolicą. „Wioskowe nudy — pisze do Kraszewskiego — a w ostatnich czasach bolesne wspomnienia wbijały mnie na krzyż, czułem tęsknotę do ludzi, bez ich towarzystwa — książki ani natura nie smakowała mi“. Kończąc zaś swą „Wędrówkę“ po swoich „niegdys okolicach“ rzucił rozrzewnione poza siebie spojrzenie.

Wzdłuż i wszecz zwędrowawszy nadniemeńskie strony,  
 Pod gruszą pól domowych odetchnę zmęczony;  
 A nim w dalszej wędrówce na siły się wzmogę  
 Rzucę wzrok pożegnalny na przebytą drogę.  
 Tam nad sinem jeziorem stary zamek stoi,  
 Tam na pagórkach dworek, gdzie rodzice moi,  
 Tam chatka, gdzie mię szczęścia zawiodła rachuba,  
 Tutaj cmentarz na piasku, gdzie śpi dziatwa luba,  
 Tutaj Boże świątynie, tutaj bratnie domy,  
 Śpiewa znajome ptactwo, luezy wiatr znajomy,  
 I wspominam splakany, rozmarzony cały,  
 Uczucia, co mi niegdys piersi zalegały,  
 I myśli, które niegdys paliły mi głowę.

: : : : : : : : : : : :

A na wiosnę, na błoni, przy Niemna zatoce,  
 Gdy bocian zmartwychwstanie, piosnkę zaklekoce,  
 Duch pielgrzyma pośpieszy, by cieszyć się z wami,  
 Polatać nad wioskami, ponad ementarzami,  
 Gdzie pił wodę niemnową, gdzie miał chleba kawał,  
 Gdzie lzy bolesne sączył, gdzie szczęścia doznawał,  
 Skąd odszedł, rozpaczliwie załamawszy ręce,  
 I zostawił pamiątkę w znikomej piosence.

Wierszem tym, już w Wilnie napisanym, zamknął poeta swoje historyczne „Wędrówki po moich niegdys okolicach“<sup>1)</sup>, zamknął też Załuczanski okres swego życia.

W Wilnie widzimy Kondratowicza już w styczniu 1853 r. Zda się, iż pociągnęły go tutaj niezbyt może określone widoki na inny kawałek chleba, nie gospodarczy. „O archeograficznej komisji... nie jeszcze stanowczego niema. Jestem tu bez stałej posady:

<sup>1)</sup> Wydane w r. 1853.

tę jeśli otrzymam, przybędzie mi trochę swobody, trochę cierni..." — czytamy w liście do Kraszewskiego. Założycielem wileńskiej komisji archeologicznej był, jak wiadomo, Eustachy hr. Tyszkiewicz. Syrokomla od lat kilku wszedł był w świat literacki i spotykał w nim uczonego starożytnika. Ślad tych stosunków osobistych pozostał w imienniku Tyszkiewicza, gdzie poeta pod datą 17 maja 1852 r. zapisał wiersz, wyrażający gorące uznanie autora dla obywatelskich iuczonych zasług hrabiego. Ze słów zaś poety, do Kraszewskiego zwróconych, wynikałoby, iż Syrokomla miał nadzieje otrzymania płatnej posady w instytucyi, Tyszkiewiczowi zawdzięczającej swe istnienie. Ale dopiero 26 kwietnia 1855 r. założyciel doczekał się zatwierdzenia ustawy. Kondratowicz tymczasem musiał obejrzeć się za innym środkiem do życia, gdyż przekłady, któremi go obarczono, i inne prace erudycyjne, nie mogły dostarczyć chleba dla niego i dla rodziny. Słęczał właśnie nad dalszym ciągiem „Literatury“<sup>1)</sup>, nad przekładem kronik łacińskich, nad Coyera „Historją Jana Sobieskiego“, nad „Dwoma koronacyami“ Sasów, nad 2-gim tomem „Wędrówek“. A gdy mu będą wyrzucali, że się wdaje w drukowanie materiałow historycznych, odpowie: *panem carco* (chleba mi brak). Więc już w kwietniu 1853 r. znowu się podejmuje posesorskiego rzemiosła i przenosi się do Tyszkiewiczowskiej Borejkowszczyzny, która aż do śmierci już miała służyć poecie za schronisko. Nie w ponętnej świetle wystawili świadkowie przytulisko to. „Borejkowszczyzna... była osadą zrujnowaną, odartą ze wszystkich powabów, nadawanych ręką ludzką przyrodzeniu, z gruntami wyczerpanymi i zachwaszczonemi, z ogrodem nieogrodzonym, ze ścianami, paczącemi się w różne strony, z dachami, wyglądającemi, jak łachmany żebracze. Dom mieszkalny, zbudowany na znacznej wyniosłości, miał na nieszczęście pod sobą grunt kryniczny... Zresztą, przy sporym kawałku gruntu było z mórg może dobrej łąki, a kilka morgów łąk błotnistych, dalej ogród owocowy, nie dający ani owoców, ani cienia; poza ogrodem na łączce strumyk, mierzący wodę kwaterkami, a poza łączką dwie, czy trzy osady właściańskie. Za tę chatkę w lesie... płaciło się 270, czy też 300 rb. Borejkowszczyzna zaledwie wystarczała na przeżycie. Nie sarkał jednak poeta, nie ubolewał i sumę dzierżawną rok rocznie, „zamiast sochą, wyorywał piórem“. Eustachy Tyszkiewicz nie był właścicielem Borejkowszczyzny, i osobiste stosunki archeologa i poety nic nie miały wspólnego ze sprawami dzierżawnymi. Wolno jednak mniemać, iż pana posesora niezbyt naciskano terminami. Cha-

<sup>1)</sup> Nad 2-gim tomem.



rakterystyczne świadectwo składa Tyszyński, który, przejeżdżając przez Borejkwoszczyznę <sup>1)</sup>, ciekaw był dowiedzieć się, jak też to poeta gospodarzkę prowadzi. Wdał się tedy w rozmowę z oberżystką. „Wszakże Borejkwoszczyznę w posesyi trzyma, zdaje się, p. Kondratowicz? — A, Kondratowicz! — rzekła wtedy oberżystka — a tak... o! i jabym tak trzymała, jak Kondratowicz; przez całe lato siedzi w Wilnie, przez całą zimę w Wilnie, a na św. Jerzy przyjedzie... pójdzie do pana hrabiemu... napożycza panu hrabiemu książek francuskich, niemieckich.. i na tem koniec“ <sup>2)</sup>. Przy takim systemie gospodarki trudno było spodziewać się obfitych plonów. I tym razem, jak niegdyś w Załuczu, wyznaje poeta: „wziąłem dzierżawę, pomimo, iż gospodarzyć nie umiem i nie lubię“. A w rok potem rzuca inne, w kształcie żartu, wyznanie: „Na pniu sprzedaję me plony“. Poetyczne, rozumie się, bo co do plonów ziemnych, jak się dowiadujemy z wierszowanego listu do Ig. Chodźki <sup>3)</sup>, został zawarty tego rodzaju układ z Apollinem:

Śpiewaj, a ja ci nadam wieszczów przywileje,  
 Na twojej drodze kwiatki obficie posieję,  
 I rozkażę strumykom brzęczeć z całej sły,  
 I rozkażę słowikom, by pięknie nuciły:  
 Aby ci przedmiot w oczy nie wpadał znikomy,  
 Nie dam ci na dzierżawie ni ziarna, ni słomy,  
 Na twych łąkach, byś serce rozrzewniał radośnie,  
 Niechaj brzęczą koniki, a siano nie rośnie  
 i t d.

Więc nie było rady, trzeba było odsyłać do łaskawych na chów zimowy „odstawną pegazicę i pegaziat dwoje“. Zaiste, nie jeden, o, nie jeden z braci kapotowców posiadał remanent znacznie liczniejszy!

Syrokomłę wyparła z Wilna nie tylko konieczność zadośćuczynienia materyalnym potrzebom własnym i rodziny. Gwar miejski ogłuszał, ożywione stosunki towarzyskie nie pozwalały na skupianie się w sobie, mechanicznie zresztą czas zabierały. Było nadto i coś in-

<sup>1)</sup> Stała na trakcie o dwie mile od Wilna.

<sup>2)</sup> Tyszyński: „Wizerunki“, str. 259 — 260.

<sup>3)</sup> W r. 1854.

nego. Już dawniej, stronnice waśni postępowców i ortodoksów odziaływały na Kondratowicza w sposób nadzwyczaj przykry. Teraz przedsięwziął zaszcześcić gałązkę pokoju wśród walczących. Należy przyznać, iż pomysł to ze wszechmiar naiwny. Jeżeli ludzie mają odmienne wyobrażenia o siłach i środkach działania społecznego, to jakąż między niemi może zapanować zgoda, jeżeli nie wyprą się wiary swojej? Zresztą, słowo Syrokomli nie miało i mieć nie mogło należytej powagi. Chodziło zapewne nietylko o różnicę przekonań, dzielących ludzi na wrogie obozy. Bo co do przekonań... Marcinkowski, filar opozycji przeciw Tygodnikowi Petersburskiemu w kilka lat później przyjmie współpracownictwo w Dzienniku Warszawskim i będzie jedną Rzewuskiemu zwolenników. O wiele trwalsze i dla usposobienia takiego jak Syrokomli, dotkliwsze były osobiste komeraże i niesnaski. Dla tego zapewne dawniej, nasłuchawszy się świadczeń o sobie literatów i artystów wileńskich, w samotności „łzami się zalewał“. I obecnie nie powiodła się mu jego misya pojednawcza, i wzięła taki obrót, iż sam się naraził na ostre nagany i zarzuty. O szczegółach, niestety, nic a nic nie wiemy. Ze skwapliwości tylko, z jaką usunął się z Wilna, z głębokiego rozżalenia, trwającego długie miesiące i wytrącającego pióro z rąk, sądzić możemy, jak bardzo było zranione to czułe, przyjaznych dotknięć spragnione serce. „Nie mogę, nie chcę zrywać z ludźmi, ale znajduję, że chcąc kochać ludzkość, potrzeba na nią patrzeć z pewnej oddali“. Niestety, w postanowieniu tym wytrwać nie umiał. „Do lasu, do przyrody, do modlitwy wołasz mnie“, czytamy w sierpniowym (1853 r), liście do Kraszewskiego, „wśród boleści mojej duszy. Wiem z doświadczenia, że tam można znaleźć spokój, znajdowałem go za dni mojego życia. Dziś nie śmiem, dziś nie umiem dostroić się do harmonii przyrody... Pracuję niby, ale nie czuję tego słodkiego rozmiłowania w pracy, jakie mnie dawniej zbawiało... Przyjaciele tu mi krzyczą, iż próżnuję, zem przeżył siebie... Wiary dajcie mi, wiary w ludzkość, wiary w najświętsze uczucia...“ Napisał właśnie wtedy Korsaka, ale wyznaje, że upada na siłach, że utworowi jego brak siły, ognia, energii. Dopiero w listopadzie powie nasz lirnik: „Długie jesienne wieczory i piękne doświtki, powróciwszy mię pracy, wzmocniły nieco ducha: czuję się zdrowym. A cierpiałem niemało.. że dobrzy ludzie pojąć mnie nie chcieli, że moim dobrym chęciom i pocziwym dążeniom Bóg wie, jakie naznaczali powody, cierpiałem za to, że się kochanemu Wilnu podobało było czcić mnie owacyami, o które nie prosiłem... Za rozgwar chwały okrzyknęli mnie obmową, za dym kadzideł napoili żółcią, a ja co do pierwszych nie przywiązywałem wagi, nie umiałem znieść drugich. A to skwarne lato, co mi



zdrowie zwykle rozstraja, a te niepowodzenia domowe (zgon ciotki, wszystko przeważnie wpłynęło na pozbawienie mnie soków żywotnych) ciała i wiary w ludzkość...“ Przybycie w tym czasie na świat synka również przyczyniło się do wolniejszego oddechu, do odzicia znękanego poety, bolesne przejścia odbiły się w przedmowie do drugiego tomiku „Gawęd“, który się właśnie miał ukazać pod koniec tego roku. Usprawiedliwiając się ze szczupłego plonu swej niwy, prosi:

..... chociaż jeden z uważnych słuchaczy  
 Przed ludźmi niech biednego piewę wytłómaczy:  
 Może mu dziatwa zmarła, może dom się wali,  
 Może go Bóg zasmucił, ludzie ogadali,  
 Może nauce gwoli lub za grzechy stare  
 Bóg mu wrzucił do serca z wątpienia niewiarę.

Drugi tomik rzeczywiście podążył zbyt szybko za pierwszym, więc na nowy wianek starczyło zaledwie „kilka drobnych kwieci“ i „kilka drobnych wierszyków z cudzoziemskiej mowy“ <sup>1)</sup>). Nie należy wszakże mniemać, iżby, pomimo wszystkiego, pióro Syrokomli rzadko biegalo po papierze. Oprócz prac prozaicznych, o których wspominaliśmy, i kilku drobnych gawęd, mamy przecież obszerną „Spowiedź Korsaka“, wiele okolicznościowych wierszy, ułamek opery „Margier“ <sup>2)</sup>), wreszcie wcale obfite dodatki do „Uwag o śmierci niechybnej“ Baki. Wszelako nic z tego nie może iść w porównanie z „Dębogrogiem“, „Lalką“, „Lirnikiem wioskowym“, z wierszem „Do Boga“ i t. d. Naśladowanie Baki, to dziecinna igraszka, z której jeno to wyczytać można, jak poeta siłą-mocą, wyrwał się swym smutkom, by zwiastować czytelnikom radosną nowinę, jak to

Książd Baka  
 W te czasy  
 Z pod prasy  
 Wylata  
 Do świata.

1) Mjędzy innymi „Laik“ Lermontowa.

2) Dla Moniuszki.

Wśród wierszy lirycznych zasługuje na uwagę tylko: „Pielgrzym“, jako epilog do I-go tomu „Wędrówek“, i „Przedmowa do nowych gawęd“. O jednym i drugim już wspominaliśmy.

Gawęda „O Zabłockim i mydle“ dała początek całemu szeregowi innych, którym za temat służyły przysłowia: „wyskoczył, jak Filip z Konopi“, „przyszła kryska na Matyska“, „tłucze się, jak Marek po piekle“... Autor był bardzo zajęty swą myślą, i zapytywał Kraszewskiego, co sądzi o tem przedsięwzięciu. Wykonanie zamiaru nie dostarczyło wszakże zbyt cennych plonów. Gawęda o Zabłockim <sup>1)</sup>, chybiona w założeniu (morał: unikajcie wymysłów niemieckich...), razi w wykonaniu dziwnem u Syrokomli niewyrozumieniem na ludzkie przewiny. Gdy Zabłocki źle wyszedł na mydle i na starość żebrać musi:

... na mszę i nieszpory  
Szlachta idąc gromadnie  
*Aż od śmiechu się kładnie...*

Każdy w śmiechy i kwita  
O mydełko się pyta,  
Wybadywa go ściśle  
O niemieckim przemyśle,  
*Naszyci, naurąga,  
Lecz nie rzuci szeląga.*

Wnet po „Zabłockim“ szedł „Filip z Konopi“, ale pozostał ułamkiem. W grudniu 1853 r. w czasie pobytu autora u rodziców w Tulonce, powstaje „Marek w piekle“, której morał: do panów się nie pni, ze swojemi przystawaj, gdyż nikt do ciebie się nie przyzna, jak do Marka na Polach Elizejskich. Jak widzimy, jest to gawęda „ku zbudowaniu szlacheckiemu“. Gawęda ludowa „Niepiśmienny“, w tonie „Lirnika wioskowego“, odznacza się zbytkiem rozmarzenia i czułości.

Ja nie zazdrozczę, chowaj mię Boże,  
*Nic i nikomu na Bożym świecie,*

---

1) Napisana jeszcze w Załęczu, w grudniu 1852 r.



Jednego tylko zazdrościć może,  
 Że wy, panowie, pisać umiecie...

Jakie rozkosze, jakie rozkosze!  
 Umieć wypisać słowo po słowie.  
 Co marzę w myślach, co w sercu noszę,  
 Karta zrozumie, piórko wypowie...

Jest coś w zakroju, w kolorycie „Niépiśmiennego“, co nasuwa przypuszczenie, że niektóre rzewne i przeczulone nuty piosenki Lenartowicza doleciały na Litwę i zostały pochwycone przez wrażliwego Syrokomli:

Spisałbym najprzód piękne sny moje,  
 Bo czasem cudnie przyśnić się zdarzy:  
 Kiedy zobaczę śliczną dziewczę,  
 Albo aniołów o jasnej twarzy.  
 Spisałbym potem ptasząt słóweczka,  
 Ranne skowronka *Zdrowaś Marya*  
 i t. d.

Do udatniejszych rzeczy tego roku policzylibyśmy: „Kojec z kurczęty“ i „Żywot poczciwego człowieka“. W pierwszej widzimy, jak biedny, śmieszny wikary przeobraża się naraz w bohatera. „Żywot“ znowu, to męską już ręką opracowany temat „Luli“, rzadki u Syrokomli okaz satyry. Widzimy, jak to „poczciwy człowiek“

Jadał śniadanie, obiad, wieczerzę,  
 Popijał wino i pijał smaczno.  
 Bóg go obdarzył potomstwem licznem.  
 Raz wydał obiad sławny w powiecie,  
 Toć go obrano sędzią granicznym...

A później:

Ubrano trumnę w opony sine,  
 Bito we dzwony po całym mieście,

Potem ksiądz proboszcz za złotych dwieście  
Chwalił zmarłego całą godzinę...

. . . . .  
Żona i dzieci sprawiły sobie  
Z białemi pręgi czarne czamary,  
Rok i sześć niedziel były w żałobie,  
Bo tak przepisał obyczaj stary.  
Gdy się po roku żałoba zdarła,  
Znowu się w jasne ubrano kwiatki,  
Żona z kim innym śluby zawarła,  
Synowie toczą proces o spadki...

. . . . .  
Ot, jak zwyczajnie na świecie!

Obok satyry na „pocziwość“, rozpoznajemy tu gorycz rozżalowanego uczucia: przypominamy sobie „pogrzeb młodego rolnika“.

Najobszerniejszy poemat: „Spowiedź Korsaka“, przypomina „Chodykę“. Za uniesienie jednej chwili — pokuta całego życia. Wogóle Syrokomla jakby już wpadał w powtarzanie. Ks. Dominik, spowiednik surowy, ale umiejący skruszyć serce; ciśnie się doń ubogi i bogaty — to niby powtórne, lecz pomniejszone wydanie ks. defnitora. On to nakazał „urodzonemu“ Korsakowi ciężką pokutę — zaparcie się szlacheckiego herbu i nazwiska, przywdzianie siermięgi, znizenie się do pracowitej rzeszy i zastąpienie osieroconym wieśniakom zabitego przezeń syna. Jak w ks. defnitorze, tak w ks. Dominiku Podolcu, uosobiony został ten dogmat Syrokomli, że po to Bóg przywdział na się sukienkę z ludzkiego ciała, iżby człowiek człowiekowi bratem był. W przedmowie wiara ta przeobraża się w dość suchą i ogólnikową formułkę, że grzech przeciw społeczności powinien być odpokutowany w sposób, korzystny dla tejże społeczności“. Wygląda to na usprawiedliwienie się, że specjalnie o chłopie autorowi nie chodzi. Skądinąd ks. Podolec nie jest wyjątkiem, jakim był ks. defnitor, lecz uosobieniem historycznego faktu, że przy całym upośledzeniu ludu wiejskiego w dawnej Polsce, religia, stając między nim a szlachtą, przeważnie wpływała na złagodzenie doli kmiotka, niezabezpieczonej żadną ustawą“. Autor nieznacznie jakby stawał w rzędzie obrońców tradycji, niemal w jednym szeregu z Rzewuskim, nie postrzegając, iż obrazy jego zadają kłam twierdze-



niu o powszechności faktu. Wszak ks. Podolec nie zażywa miru u starszyny za swą ekscentryczność. Nic tedy dziwnego, że skromny pozór nie zasłonił poety przed zarzutem „przenaturzenia wypadku“, dodaniem do opowieści zabójstwa wieśniaka (tradycja herbowa nie zna tego szczegółu).

A. DROGOSZEWSKI.

WISMIENICZWO

WISMIENICZWO

WISMIENICZWO

WISMIENICZWO

# PIŚMIENNICTWO.

ZYGMUNT GLOGER. Encyklopedia Staropolska Ilustrowana. Tom I—IV  
Warszawa, 1900—1903.

Na cenne ze wszech miar wydawnictwo zwróciliśmy uwagę czytelnika, gdy się pierwszy jego tom ukazał. Dziś, gdy nadspodziewanie rychło dzieła dokończono, wracamy do niego. Nie zamierzamy jednak na nowo wystawiać jego zasług i zalet, jego wagi i znaczenia, jego sposobu traktowania rzeczy; o tem wszystkiem mówiliśmy już dawniej. Przypatrzmy się samej treści, artykułom różnym, czego im niedostaje lub co w nich chwalimy.

Niektóre zarzuty możliwe uprzątziemy zaraz z góry. Ktoby się chciał uskarżać, że niema tego lub owego, że zbyt krótko jedną lub drugą rzecz omówiono, że nie podawano licznych odsylaczy, źródeł, literatury—na to wszystko ma autor odpowiedź gotową: dzieło i tak już o wiele przekroczyło założone pierwotnie rozmiary, z trzech w cztery rozszerzyło się tomy. Folgując więc krótkości, aby prenumeratorowie zbyt nie rościli pretensyj, uszczuplił autor swe materiały, zamieścił połowę i tekstu i rycin przygotowanych. I tak wyłączył on był z góry wiadomości geograficzne, historyczne, biograficzne i heraldyczne—gdyby to wszystko chciał być uwzględnic, należałoby chyba liczbę tomów podwoić. Nie czyniąc mu więc żadnych zarzutów, możemy tylko z żalem zaznaczyć, że niema np. herbów i rycin a zasługiwały: Leliwa, Pilawa, Szreniawa i t. d. na uwzględnienie w słowniku starożytności, tem bardziej, że od zasady autor nieraz odstąpił i o kilku herbach obszerniej wspomniał, np. o B u Ń c z y (nazwa miejscowości), z czego B o Ń c z ę zrobiono, t. j. o Jednorożcu (p. w tomie II „Jednorozec“; obszerny artykuł wymienia i familie nawet, pieczętujące się Bończą—jest i pieczęć miasta Wisztyńca, ale



ta pieczęć nie pochodzi z r. 1570, jak podpis uczy, lecz z drugiej połowy XVIII w.); podobnie znajdujemy opisy i wzmianki: Aksaka, Aleksandrowicza; Abdanka, Alabandy, Pomiana i kilku innych, np. pod artykułem Szachy—niema za to nic o Nałęczy, Jastrzębcu, Junoszy, Wieniawie i tylu a tylu innych, równie lub o wiele ważniejszych i ciekawszych, szczególnie, gdyby był autor i pochodzenie nazw herbowych objaśnił, co dziś nie tak trudno.

Drugi możliwy zarzut zwracałby się odwrotnie tym razem przeciw umieszczaniu wielu rzeczy i uwag, popularnych raczej, polemicznych nawet, nie naukowych. Można by np. zapytać, dlaczego autor poświęca nieraz całe łamy apologii dawnych stosunków, nawoływaniom do zbierania i cenięcia wszelkich starożytności, apostrofom do naszego obywatelstwa? Cóż np. znajdujemy pod godłem: Rocznice (IV, str. 162—173)? Najpierw odsyłacz do rocznicy chocimskiej; dalej medale gdańskie na pamiątkę zrzucenia jarzma krzyżackiego; dalej przytoczono w całości znaną pieśń Łukasza Górnickiego na pruską porażkę 1410 r. (mylnie twierdzi o niej p. Gloger, że autor jej, niewiadomy z nazwiska, pieśń r. 1510 napisał; rzecz dawno dowiedziona, że napisał ją Górnicki, a pochwalił—najniepotrzebniej zresztą—Jan Kochanowski); nakoniec idą obszernie opisy rocznicy wiedeńskiej, sławionej r. 1783 po szkołach narodowych, z wyjątkami z listu okólnego Michała Poniatowskiego, biskupa płockiego i mowy warszawskiej Jacka Przybyłskiego, z opisem obchodu wileńskiego i wyjątkami odezwy napoleońskiej r. 1805, dotyczącej odsieczy. Albo pod „Sejmami“ przedrukował autor artykuł p. Świętochowskiego „Zestawienia historyczne“ o dzisiejszem i dawnem sejmowaniu. Pod „Szopką“ przytoczono (w skróceniu) artykuł całkiem publicystyczny, całkiem nie naukowy, Wacł. Szymanowskiego, redaktora „Kuryera Warsz.“, z „Tygodnika ilustrowanego“ 1860 r. Pod „Szlachtą“ znajdujemy między typami rysunek „wryty na pancerzu z czasów Zygmunta I“, ale napis, t. j. kształt liter, dowodzi, że pancerz pochodzi z czasów Zygmunta III, a choćby i późniejszych; w tekście samym obok licznych cytów literackich (o znaczeniu szlachectwa i t. p.), są wyjątki z odczytu prof. Kariejewa w Petersburgu o szlachcie polskiej. Pod artykułem: „Mowa polska“ przedrukowano tylko wymowne słowa o niej, hołd jej złożony przez Sienkiewicza, wobec pomnika miłoślawskiego. Pod „Kowalstwem“ znajdujemy odezwę i zachęcenie do miłośników sztuki polskiej itd. itd.

Otóż, gdyby Encyklopedia Staropolska była tylko zbiorem i kompilacją informacyjną, jak najkrótszą i najściślejszą — a ta-

kiemi bywają Encyklopedye zazwyczaj — to powiedzielibyśmy, że te liryczne niemal dygresye i ustępy z jej treścią małoby licowały. Lecz jak niemal we wszystkich swych pracach, tak i w tej, ostatniej i największej, nie zwracał się zasłużony autor-obywatel wyłącznie do specjalistów, do ludzi nauki. Nasz archeolog i etnograf, lingwista i historyk, geograf i turysta, zawsze o najszerszej publiczności i jej potrzebach myśli; więc i zestawiając niniejsze artykuły Encyklopedyi, obywatelską, nie tylko uczoną, wypełniał służbę. Zadaniem jego było budzić poszanowanie, zajęcie się i zrozumienie dawnych stosunków i ludzi, bronić ich przed niewczesnymi lub niesłusznymi zarzutami, słać rzeczywiście ich zasługi i zalety, zachęcać do wzorowania się ich duchem, opierać się prądom niwelującego, zacierającego wszelkie cechy osobliwsze kosmopolityzmu, walczyć z obojętnością narodową i apatyą. Jego Encyklopedya, to nie zbiór suchych a zwiezłych notatek, lecz katedra profesorska i zarazem kazalnica obywatelska: przy każdej nadarzającej się sposobności nie tylko poucza autor, lecz upomina i gromi, pociesza i budzi, chociaż daleki od zasłepienia, od niepoprawnego optymizmu. Wobec popularnej dążności dzieła nie zrobimy mu nawet zarzutu, że należałoby w niektórych partyach, zgęścić nieco cieniów, że należałoby np. przy Jeździe polskiej zanotować, jak się odbiło zależenie narodu szlacheckiego na jego gotowości do walki, jak niepraktycznem, przestarzałem, ciężkiem, było jego uzbrojenie w w. XVI, jak Batory musiał z gruntu wszystko przerabiać.

Ale ton dzieła popularnego trafił p. Gloger jak najlepiej; urozmaicił przedstawienie, nietylko rycinami dla oka, lecz barwnymi opisami z Szajnochy nawet i innych źródeł—nie powtarzamy wyżej właśnie wymienionych. I nie znudzi ani znuży się czytelnik, wertując te karty. To znajdzie facecye lub anegdoty, to przysłowia bardzo licznie zebrane, to epigramy choćby na łysych, to pieśni historyczne i żołnierskie, to opowiadania, to pieśni obrzędowe, to opisy malownicze ludzi i rzeczy, kraju i płodów, to tradycye rodzinne i historyczne, to polemiki nieco, to panegiryku troszkę. Na wszystko razem mógł się zdobyć tylko taki znawca, taki miłośnik rzeczy ojczystych, taki ich zbieracz i szperacz nieznużony. Tym samym przedmiotem zajmował się p. Gloger już na ławach Szkoły Głównej warszawskiej, potem krakowskiej; już Majer i Szujski zachęcali go do tych studyów, których dojrzałe owoce w Encyklopedyi widzimy i witamy. Trzydzieści siedem lat minęło od pierwszej pracy p. Glogera, umieszczonej właśnie w „Bibliotece Warszawskiej“ (1867 r., o obrzędach rolni-



czyh)—i dalsze jego prace pojawiały się często w naszym czasopiśmie—a co tam młodziutki autor zaczął, to prowadził dalej przez całe życie: zbieranie tradycyi ludowej i szlacheckiej, pomników w pieśni i piśmie, wykopalisk i sprzętów, typów i melodyj, ubiorów i zwyczajów, a zbierał to wszystko nie dla zbierania, dla tworzenia jakiegoś muzeum jeżewskiego, lecz dla służby publicznej, żeby pouczać i oświecać i pokrzepiać. W tym duchu powstała i wypadła Encyklopedia i dla tego czyta się każdy jej artykuł z największą przyjemnością; bije z jej kart woń łąnów i łągów, szum topoli nadwiślańskich i jodeł świętokrzyskich, przewija się w nich barwne i szumne życie staropolskie z tysiącnymi szczegółami i mienia się one coraz nowymi barwami.

I fachowiec z największą dla siebie korzyścią przerzuci te karty; znajdzie w nich coraz nowe, nieznane szczegóły, rzadkości bibliograficzne, wypisy z nieznanych mu rękopisów, teksty pieśni, nuty, melodie i t. d.; każdy artykuł opracowany sumiennie, faktycznych omyłek nie wiele. Najwięcej ich jeszcze na polu etymologii; niepotrzebnie ją autor poruszał, skoro rzeczy językowe z góry pomijał. Wymienię kilkanaście błędnych szczegółów, nietylko językowych, lecz i historycznych, nietrzymając się żadnego porządku.

W ł ó c z e b n e (IV, 453), zwyczaj chłopców chodzenia w poniedziałek wielkanocny z śpiewem i oracyami, zbierających jajka i pierożki. Nie zupełne to; w ł ó c z e b n e (od włóczenia się po chatach nazwane) oznaczało w ogóle kolędę, i dostawano lub chodzono po włóczebnem np. na Nowy Rok; nawet mamy pisma (pamflety) pod tym tytułem. Włóczebne ofiarowane tym a tym—mybyśmy powiedzieli Kolęda panom Saskim i t. d., boć nazwa to ruska. O włóczebnem wspomina autor i pod wyrazem Kozubalec II, str. 93.

S ł u ż b a (IV, 256): autor mówi tylko o służbie—osadzie rolnej nadawanej za „służbę“ wojskową i t. d. Ależ należało koniecznie dodać, że s ł u ż b a znaczyła i serwis, kredens—jest wprawdzie w tomie III, 98 obszerny artykuł o kredensach, ale i tam nie powiedziano, że zwały się one zawsze w dawnej polszczyźnie służbami; kto zaś tego niewie, nie zrozumie poprostu wielu ustępów dawnych pisarzy i wielu dawnych anegdot, np. owych służb pozłocistych albo jak Rey w Wizerunku (1588 r.) pisze: „przy s ł u ż b i e została pić temulencia“ t. zw. przy kredensie; Żabczyc poeta szuka służby (dworskiej) a żartobliwy towarzysz rai mu ich wiele, u marszałków i t. d. (ale tylko serwisów, z tego to tłumaczono, kredensów).

**K o t a c i ą g n ą ć**—karę tę śmieszłą, frycówkę, źle opisano III, 90 nie od kotwicy i jej ciągnięcia po suszy, lecz od kota uwiązanego do postronka i niby ciągnącego fryca przez wodę lub błoto ją nazwano; a w koszu się nie siedziało, lecz rzeżało (i wpadało w błoto) i była to kara równie dotkliwa.

**S ą ż y c a**, żyto pomieszane z pszenicą (IV, 207), należało pisać są—rżycą, ponieważ znaczy z (= są, jak w złożeniach *są-siad są-tok*) r ż ą (rżany chleb i t. d.) pomieszane. Podobnie, należało pisać: **Ż e r z e c**, nie „Zerzec, starszy nad stołem“. Nie było „Treptuchów“, lecz są **K r e p t u c h y** i t. d.

**S z u b i e n i c a** (IV, 339), nie jest słowem niemieckim, lecz odwieczny to termin słowiański, brzmi i **s z y b i e n i c a**, i od szybania (szybała, szynąc i t. d.) ją przezwano; **s z t u r n i c h a b ó w** (na tejże stronicy), niebyło, były szturmha(u)by; **r e j** nie pochodzi od **r e g i o**, lecz **r e j** wodzić tyle co korowód, Reigen führen znaczy i t. d.

Starożytności nasze zagęszczone różnemi fałszerstwami, baśniami i plotkami i bardzo chwalimy autorowi, że niejedno energicznie wypewił, np. wszystkie zakusy osławionego Majeranowskiego, lecz i sami „kozernicy“ należą do mitologii. Pieśń ich sfalszował Majeranowski, jako starodawną piosnkę braci kurkowych, ale i samych kozerników, niby lekkich strzelców, nigdy nie było, byli tylko kozernicy t. j. karciarze (III, 93). Skoroż mowa o kozernikach, to zaznaczmy, że karciarstwo kwitło nie dopiero w Warszawie Stanisława Augusta, lecz i w Krakowie Jagiellonów i niesłusznie powtarza autor (III, 19) za Estreicherem, jakoby „nie musiały być karty w narodzie upowszechnione, skoro W. A. Maciejowski i K. Wł. Wójcicki nic o nich nie wspominają.“ Zbija się autor sam przytoczeniem skargi Ł. Górnickiego w Dworzaninie (1566 r.) „ta ustawiczna (gra) karty“ a u Reja w *Żywocie i Wizerunku* jednej wzmianek o tuzie żołędny, o grze nocnej, o wygranej w karty, jak się ona marnie rozchodzi, jak ją rozpozyczą lub rozkradną, jak się odgrywiają, jak z gry półgrosza żebrakowi rzucają i t. d. Wypisami z tych dwu dzieł Rejowych mógłbym całą stronicę zapełnić, a drugą z najwcześniejszego jego utworu, z krótkiej rozprawy r. 1543 (wiersz 1484—1534).

**K a s z t e l a n** (III, 25) był nietylko grą staropolską w karty; dawniej grano i w warcaby o kasztelanję, jak my o honor t. z. za darmo, np. w 31 anegdocie z *Co Nowego* (r. 1650) czytamy: Dwaj towarzysze wyzywali się w warcaby o kasztelanję, jako grają pospolicie



{t. z. przerywający zostawał kasztelanem);—jeden chełpi się z swej sztuki i tak długo powtarza: nie uczynisz mnie kasztelanem, aż mu towarzyszyć się odgryzł: trudno z głupiego uczynić kasztelana. Toż powtarza Opaliński w Satyrze (r. 1650), chwając dawne posiedzenia, kiedy się cieszą:

Po szelągu kart grając abo więc warcabów  
O kasztelański stołek, którego tysiąckroć  
Godniejsi byli, niż ci teraz, kasztelani warcabowi.

Różaniec (III, 185) dobrze określa autor, nie podaje tylko, skąd się nazwa wzięła (od wianka różanego, wkładanego niby na głowę N. P. M., rosarium); zato pominął Koronkę N. P. M. zupełnie, chociaż Koronka starsza niż Różaniec.

Konik zwierzyński (III, 77 i 78): autor powtarza niepotrzebnie ów niefortunny wymysł o ustanowieniu jego na pamiątkę zwycięstwa nad Tatarami odniesionego, chociaż to sobie najzwyczajniejsza zabawa cechowa, z Tatarami tyle tylko mająca związku, co Czomber krakowski z wójtem niby Czombrem, Combrem (co autor słusznie odrzucił, I, 252). Również mylnie objaśniono inny obchód krakowski, Rękawkę (IV, 161), nie jest ona bowiem bynajmniej „pamiątką starożytniej polskosłowiańskiej stypy pogrzebowej czyli ugoszczenia ludu zebranego na obrzęd pogrzebowy Krakusa (!) dla usypania mu potężnej mogiły.“ Pachnie to strasznie Majeranowskim i jego Pszczółką Krakowską. Rękawka oznaczała tylko mogiłę nasypaną, sztuczną, a ponieważ u jednej z bardzo licznych rękawek polskich odbywały się zabawy doroczne, więc z mogiły nazwę tę na zabawy przeniesiono: o „grobie miłego wodza“ i t.d. mowy być nie może.

O Marzanie wspomina autor III, 195 wedle Strykowskiego i Bielskiego; należało czytelnika poinformować, że ta Cerera słowiańska to wymysł kronikarski; przecież Lelum Polelum pominął autor zupełnie, a oni nie gorsi od Marzany; imię Marzany jest Marynem. Brak artykułu o Maryi (są rozrzucone o Różańcu, koronacych Jej orbazów cudownych, Regina Poloniae i t. d.) i jej kulcie polskim, że się Marzą zwała u ludu (są dziś jeszcze wsi tej nazwy, np. Świętomarza), że „pirzwą Marzą“ Wniebowzięcie zwano, o Wniebowzięciu i święceniu ziół znowu niema mowy, a brak i innych

wielu świąt i obchodów czy zwyczajów: widocznie niechciał autor powtarzać swych własnych dzieł o zwyczajach dorocznych i Roku polskim.

Artykuł *Resty* (IV, 157) niepotrzebny; należało odesłać do wici, ponieważ *restes* tylko łacińskie tłumaczenie prastarych wici, które i Czesi pierwotni znali (ostatni raz wspomina u nich ich kronikarz pod r. 1037 o rozsyłaniu takich wici, ale ów Koźma, piszący r. 1120, już tego wyrazu i zwyczaju nie rozumiał i fałszywie go wytłumaczył); co u Czechów już w jedenastym wieku z obyczaju wyszło, dotrwało u nas do XVIII.

*Lachy*. Skoroż autor etymologię pomija z zasady, nie byłoz nią tu narabiać, właśnie w najtrudniejszym zagadnieniu. Zdaje się autorowi, że rozplątał kwestyę, że „mamy przed sobą drogę prostą”—skoro plemiona polskie, mieszkające w lasach nazwały plemiona mieszkające po polach, Polanami, toć musieli odwrotnie Polanie mieszkańców lasów nazwać lachami (por. Piachy—Piaski). Ależ to wierutna bajka; od lasów byłiby ich przewali Drzewianami (porównaj Polan i Drzewian nad Dnieprem na Rusi!), nigdy Lachami: jest to termin ruski, nie polski, i brzmiał pierwotnie *Lęchami*, co Litwini i Węgrzy do dziś zachowali, podczas gdy na Rusi rodzime jej ę w ja przejść musiało (święty—swiatyj i t. d.) *Lech* jest formą sztuczną, kronikarską i ani z *lecha*—zagonem, ani z *lechami* w nazwach *Bolecha*, *Sieciecha* i t. p. związku żadnego niema: podobnie niefortunnie wywodził prof. Baudouin de C. nazwę Słowian od—sław w *Bolesławach*, *Włodzisławach*, *Mirosławach* i t. d. I w innych razach podaje autor wiadomość pewną, która bynajmniej pewną nie jest, np. pod nazwami rzek powie, że „Niemen starożytni zwali Chronus”—ba, gdybyż to pewne było! I tak zakwestyonowalibyśmy niejedno inne, np. nawet autentyczność opowiadania Bandtkiego o „rochwiście” pod Wrocławiem (przytoczone pod *Roduś IV*, 174), które nam również Majeranowskiego przypomina.

*Rękodajny sługa* nie nazywał się bynajmniej od tego, że „mógł podawać rękę przy wsiadaniu lub wysiadaniu pana lub pani”; powstało to pomyłką tylko z dawnego *rękodany sługa* t. j. sługa, którego *danie* ręki do służby obowiązywało i przyjmowano; w stuleciu XVI nigdy inaczej nie mówiono, *rękodajnego* spotykamy dopiero później. Np. gdy *Rej* w *Wizerunku* opisuje, jak *Epikurus* zaleca młodzieńca pani *Roskoszy* i za dworzanina go odaje, czytamy o niej: *Pani*



podrugie rękę słudze nowemu podała  
mówiąc: bądźże mi wierzen  
i t. d.

Lecz urywamy na tem nasze uzupełnienia i poprawki, bo chociażbyśmy ich znacznie przynależy mogli, nie ubliżają one w niczem zasłudze autorskiej. Wolimy natomiast wskazać kilka ciekawych przyczynków, które i najwybredniejszego znawcę czy uczonogo zająć mogą.

Oto np. pod artykułem *R e b u s* znajdzie czytelnik najdawniejsze łacińskopolskie i polskie, z XVI i XVII wieku, trafnie odczytane. Pod *Wieżą* przedrukował autor z rękopisu *Lament wieży warszawskiej*, która się r. 1605 obaliła i sześcioro ludzi zabiła, spółczesny wiersz polski, nie zły co do formy a ciekawy co do treści. Bardzo ciekawe są różne dawne nuty i melodye, np. *cenarowe* z XVI wieku. (*Cenar—Zeuner, taniec*), *polonez* z r. 1736 i inne, ale to zasługa innego zbieracza i znawcy, p. Polińskiego, który tych rzadkości p. Glogerowi chętnie udzielał.

Miał p. Gloger i kilku innych współpracowników, a artykuły ich bywają prawdziwą ozdobą wydawnictwa jego, np. prof. Hieron. Łopacińskiego wzorowo opracowane artykuły o pomnikach polskich publicznych i prywatnych, kościelnych i świeckich, dawnych i nowych, z wyczerpującą bibliografią przedmiotu (IV, 72—94); tegoż o *Słownikach polskich*, taki sam; prof. A. Kryńskiego o *Bibliach polskich* (I, 157—160); *Dział dawnej wojskowości* opracował p. Gembarzewski. Prof. Józef Rostafiński dostarczył znakomitego artykułu o *Roślinach miłośniczych* (IV, 177—181): znaczenie tegoż artykułu polega na wykazaniu, że przesady ludowe, podobnie jak znaczna część literatury ludowej, t. j. tradycyjnej, nie są pochodzenia rodzimego, prastarego, słowiańskiego, lecz opadły z warstw wyższych, uczonych itd. w ciągu wieków między niższe, że lud tylko przechował w pamięci i praktyce, co niegdyś księża, żacy, szlachta, mieszczenie, umieli, wierzyli, powtarzali czy używali. Wyróżniamy dalej znakomite artykuły dr. J. Kochanowskiego o *Kalendarzach polskich*; dyrektora Fel. Kopy o *Klejnotach koronnych*; Wikt. Gomulickiego o *litografiach polskich*, specjalnie o warszawskich hr. Chodkiewicza; *Henr. Sadowskiego* o *orderach polskich*; p. Łuniewskiego o *radle i sosze* itd. itd.

Bardzo ładnie i starannie opracował p. Gloger oddział Pieśni; przytoczył ich tyle, w całości i urywkach, że i historyk literatury, czy etnograf, z wielką korzyścią odczyta rozrzucone o nich artykuły; mianowicie obdarzył nas wiązką pieśni historycznych, np próbkami z unikatów: „Katalog książąt i królów polskich“ (z początku XVII-go wieku), z rękopisów i t. d. Pod Oczepiny, Wieniec, Adwent, Rezurekcyja, Pieśni wojackie i t. d., poumieszczał autor inne ciekawe próby; przytoczył pod Lamenty różne wiersze na śmierć Wapowskiego i inne rękopiśmienne — nie mówimy o rzeczach historycznych, np. pod Pikieta, Łażnią (opis wierszowany łaźni pińczowskiej z XVII wieku) i t. d.

Bogaty materiał praśtarych nazw rzek, osób, miejscowości, z dokumentów XI — XIII wieku, daje autor pod Rzekami i t. d.; opracował nawet język łowiecki i przytacza to nazwy psów, to terminy myśliwskie — szkoda, że innych, flisowych, rybackich, żebraczych nie zebrał, ale czegożbyśmy od niego nie żądali! może jeszcze i słowników prowincjonalizmów? Gdyby on je wszystkie znał, nie powiedziałby np., że „torf nie musiał być jeszcze za Jana Sobieskiego w Polsce używany, skoro i t. d.“, ależ Smogorzewo wielkopolskie właśnie od torfu nazwane. Bogato zastąpiony dział ubiorów, zabaw i gier, monet, broni, terminów dawnej palestry, dawnej administracyi — przytoczone ciekawe przykłady edyktów marszałkowskich (w Warszawie) i rozmaitych obwołań i obwieszczeń; teatralny, chociaż głównie z Dykeyonarzyka teatralnego poznańskiego (1808 r., ks. A. Czartoryskiego) czerpany; dla terminów konstytucyjnych i t. p. posługuje się autor chętnie zabarwionymi satyrycznie wywodami księdza Jezierskiego. I znajdzie miłośnik rzeczy dawnych wszystko, i afisze teatralne XVIII i XIX wieku, i klepsydry dawne, i kalendarze, i bilety wizytowe z czasu czteroletniego sejmu, i jeden z najstarszych listów polskich (Jana Potockiego do kasztelana Szydłowieckiego z r. 1529), i Bogurodnicę, i inne dawne teksty i t. d. i t. d.

Musimy jednak wyliczania nasze przerwać. Jeżeli przytoczyliśmy kilkanaście artykułów, które nas nie zadowolily, gdzie pragnęlibyśmy poprawek, lub usunięcia (np. etymologii Mierzei i innych), to musielibyśmy dziesięćkroć więcej wymienić artykułów, z których sami csegoś nowego, pożytecznego dowiedzieliśmy się, co nam oszczędzały szperania po różnych księgach, co czytaliśmy z największem zajęciem. Na zbytki nas nie stać, więc nie będziemy opłakiwać, że nie znalazł się mecenas, coby dział ilustracyjny bogaciej wyposażył, tablic kolo-



rowych np. użyczył (jedna jedyna zdobi książkę i jakżeż odbija ona od zwykłej szarzyzny życia) — podrożyłoby to książkę, która, pragniemy, aby jak najszerzej się rozeszła. I treść, bogata, swojska, ciekawa, zasługuje na to i rzetelny, mozolny trud autorski: dziękiż autorowi za to uwieńczenie, zsumowanie całej jego dotychczasowej, wieloletniej, gorliwej pracy obywatelskiej i uczonej zarazem!

A. BRÜCKNER.

---

Dr. E. STEMPFE: *Polenfrage und Ansiedelungs Kommission. Darstellung der staatlichen Kolonisation in Posen-Westpreussen und kritische Betrachtungen ueber ihre Erfolge.* Berlin.

Na czele swej pracy położył Stumpfę wyjątek z mowy kanclerza Bülowa, orzekający, że kwestya marchii wchodnich nie tylko należy do najważniejszych w niemieckiej polityce, ale od jej rozwiązania zależy najbliższa przyszłość niemieckiej ojczyzny. W imię powyższego kanclerskiego ostrzeżenia, Stumpfę poddaje krytyce dotychczasowe postępowanie komisji kolonizacyjnej, porównywa z niemi działalność polskich banków i stowarzyszeń kolonizacyjnych, a w końcu podaje wnioski i projekta własne, podług których postępując, odeprze się ostatecznie żywioł polski i zdobędzie stanowczo marchie wschodnie dla niemczyzny. Autor, zajęcie się szczegółowe polską kolonizacją odkłada na później i ma zamiar poświęcić powyższemu przedmiotowi specjalne studyum. Obecnie tylko zaznacza, że w roku 1888, występuje z czynnością, osłaniającą pierwiastek polski, bank ziemski, następnie spółki ziemskie, dalej bank parcelacyjny i spółka rolników parcelacyjna. Dzięki owym instytucyom, polacy w ciągu lat czterech wykupili z rąk niemieckich 63,300 hektarów ziemi, kiedy komisya kolonizacyjna wykupiła w ciągu tego samego czasu za ledwie 83,600 hektarów. Wreszcie istnieją również inne powody, dla których żywioł polski kolonizacyjny przemaga nieustannie nad niemieckim. Polacy opierali swą działalność na szerokiej massie ludności, którą starali się wspierać i pomnażać, gdy tymczasem niemcy uwzględniali przeważnie wyżej stojące warstwy i myśleli daleko więcej o średniej i większej własności włościańskiej. Z tego to powodu zabrakło Niem-

com w Poznańskim całej masy małych włościan, rzemieślników i robotników, a masy w polskiej walce narodowościowej dają stanowczą przewagę.

Stumpfe zapatruje się pesymistycznie na wszystkie usługi, jakie sprawie germanizacji marchii wschodnich, oddaje większy właściciel, ordynat czy dzierżawca królewskiej. Niemiecki właściciel dóbr rycerskich w marchiach wschodnich, jest obecnie bezwiednie, czy z świadomością, więcej sławizatorem, niż germanizatorem, a domeny państwowe, których dzierżawcy posługują się ludnością rękodzielniczą i robotniczą polską, stają się również prawdziwym grobem niemieczyny. Sprawa germanizacji nie zyskuje nie na tytułach własności, samymi tytułami posiadania nie zdobywa się kraju ani wypiera obcego żywiołu, tego dokonać mogą jedynie ludzie, którzy ów kraj, mający być zdobytym, zamieszkują i własnym go znojem uprawiają. Większość rycerskich posiadaczy w marchiach wschodnich, świeci nieobecnością i obojętnością dla sprawy niemieckiej. Tymczasem polacy obudzili się już oddawna pod względem narodowościowym i świadomi są zupełnie swych publicznych obowiązków. Dziś też nie ma już mowy o spokojnym i zgodnym pożyciu Polaków i Niemców w marchiach wschodnich. To dawne wyrażenie „Polacy i Niemcy“ przeistacza się stanowczo w inne, t. j. „Polacy albo Niemcy“, czyli że jedni muszą drugim ustąpić miejsca. W bieżącej chwili położenie polityczne przedstawia się w tem smutnem porównaniu, że można być tylko albo młotem, albo kowadłem. Kto nie chce być kowadłem, musi wyteńczyć wszystkie siły, aby być młotem, i w tym też duchu należy wszystko czynić, aby dla kultury niemieckiej w marchiach wschodnich, zyskać ostateczne zwycięstwo.

Działaniom komisji kolonizacyjnej przypatruje się Stumpfe ze stanowiska starego i wypróbowanego praktyka. Całą też twórczość kolonizacyjną, poddaje krytyce ze stanowiska technicznego, wskazując sposoby, któremi możnaby przyspieszyć tętno tej instytucji, która w dopomożeniu do zniemczenia marchii wschodnich ma odegrać pierwszorzędną rolę. Komisja kolonizacyjna kładła dotychczas główny nacisk na większe osady, za ich pośrednictwem zamierzała osiągnąć cele nie tylko ekonomiczne, ale i polityczne. Tymczasem większe osady zawodzą pod względem politycznym, a pod względem ekonomicznym nie okazują również wielkich pożytków w porównaniu z drobniejszymi osadami. Komisja kolonizacyjna żywiła uprzedzenia do osad poniżej 10 hektarów, dokładając wszelkiego starania, aby kolonie osadnicze miały więcej niż dziesięć hektarów, co usprawiedliwia utrzymywanie



sprzężaju, do czego drobniejsze gospodarstwo jest niezdolnem. W większem gospodarstwie włościańskiem, posługującym się sprzężajem, nieodzowny jest robotnik rolny i z nim wchodzi do osady niemieckiej pierwiastek polski, gdy tymczasem na obrobienie drobniejszej parceli wystarcza praca rodziny, a tem samem i uchronienie się od obcego pierwiastku. Dopóki komisya kolonizacyjna uważaną była za instytucyę, rozpowszechniającą i krzewiącą kulturę rolniczą, względy powyższe mogły nie mieć wielkiego znaczenia, obecnie jednak pomijać ich nie można, zwłaszcza, że kolonizacya polska wskazuje najwyraźniej kierunek, w jakim można rozwijać parcelacyę z większym pożytkiem.

Stumpfe przyglądał się pilnie i uważnie kolonjom, które bank ziemski i spółka ziemska urządziły niedaleko Torunia. Naturalnie że kolonii polskich nie można porównać z niemieckimi pod względem uposażenia gospodarczego. Ale też zauważyć należy, że polskie banki i stowarzyszenia przynoszą 6—8% dywidendy, kiedy komisya kolonizacyjna nie tylko że nie przyniosła żadnego procentu, ale roztrwonila poważną sumę z kapitału. Następnie, kolonizacyi polskiej, mimo wszystkich trudności, nie można uważać za dzieło poronione, jakkolwiek instytucye kolonizujące polskie walczyły z wieloma trudnościami i nie obfitowały w odpowiedni kapitał. Szybsza skuteczność kolonizacyi polskiej polegała na rozpowszechnianiu małych parcel, przeważnie 3—5 hektarów gruntu wynoszących. Ten system zapewniał polskiej kolonizacyi duże koło kupujących, oraz umożliwiał na małej stosunkowo przestrzeni i przy małym kapitale osadzenie sporej ilości familii. Jakkolwiek tak drobne gospodarstwa nie przedstawiają pod względem ekonomicznym wszystkich niezbędnych warunków, jednakże pod względem populacyonistycznym główny cel został osiągnięty i przyznać należy, że polacy obrali najwłaściwszy środek polityczny, aby odeprzeć żywioł germański.

Zdaniem więc Stumpfego należy w obozie nieprzyjaciół szukać odpowiedniego i skutecznego kierunku kolonizacyi wewnętrznej. Kierunek ów jest tem niezbędniejszy, że już swego czasu dążyła do niego praktyka kolonialna Fryderyka Wielkiego. Owa to praktyka powiększyła rzadko zaludnione jego państwo o poważną cyfrę 300,000 kolonistów i w nowo przyłączonych częściach państwa posunęła znacznie naprzód dzieło kolonizacyjne. Już wtedy przekonano się, że większe parcele włościańskie, posługujące się obcym robotnikiem, małe pod względem germanizacyjnym oddają usługi, dziś zaś tem większe usługi oddawać będą, im w danej okolicy będzie więcej pier-

wiastku społecznego polskiego. Statystyka wykazuje i potwierdza ten smutny rezultat, że w koloniach, złożonych z większych osad włościańskich, ludność polska powiększa się szybciej niż niemiecka i grozi zalewem a następnie wyparciem tej ostatniej. Dzięki polityce, popierającej większą własność włościańską, zostały spolonizowane wszystkie rękodzielnictwa i obecnie nie pozostaje nic innego jak naśladować polaków i postępować ich kolonizacyjnymi szlakami.

Stumpfe wykazuje starannie żywotność małych parceli w marchiach wschodnich, choć pozornie zdają się przeciwko temu przemawiać zasady ekonomii społecznej. Namawiając też komisję kolonizacyjną do położenia głównego nacisku na drobne parcele, autor przedstawia cały szereg technicznych środków, które jednocześnie zastosować należy, aby należyście wzmocnić owe drobne gospodarstwa włościańskie. Stumpfemu przedewszystkiem idzie o pozyskanie w marchiach wschodnich ludności rękodzielniczej, wyrobniczej i robotniczej niemieckiej, oraz o skłonienie jej do stałego osiedlenia się na owych rubieżach państwa niemieckiego. W tym celu powinna komisja kolonizacyjna zmodyfikować znacznie swe poprzednie wymagania, wytworzenie większych osad mające na celu. Parcele 1—2 hektarowe, na których osiąść może wygodnie rękodzielnik czy robotnik, posiadający 800 marek fortuny, będą najodpowiedniejszymi dla osiągnięcia ważnego, populacyonistycznego zadania. Nasuwa się przytem inne ważne pytanie, a mianowicie, czy do kolonizacji na wschodzie państwa, należy używać Niemców katolików? Stumpfe do powyższego żywiołu społecznego nie ma pełnego zaufania i nie radby się posługiwać prusakami, którzy lada chwila zdolni są służyć swemu państwu wypowiedzieć (*Preussen auf Kündigung*). Dotychczas katolicy niemiecy, nie są dostatecznie świadomi i pewni pod względem narodowościowym, chociaż jest wszelka nadzieja, że się to zmieni wkrótce na dobre. Zanim to jednak nastąpi, nie należałoby katolików niemieckich osiedlać na pozycjach, zbytecznie naprzód wysuniętych, lecz jedynie w takich, gdzie znajdują oparcie skuteczne w starych wsiach, rozparcelowanych między katolików niemieckich. W takich wsiach bowiem okazali się już katolicy niemieccy materiałem pewnym, zaufania godnym i w odpornej sile przeciw agitacyom polskim, wypróbowanym. Pod względem narodowościowym okazuje się jeszcze i tam osiedlanie katolików niemieckich pewnym i bezpiecznym, gdzie nowi osadnicy mogą znaleźć poparcie i wzmocnienie w większości społecznej niemieckiej, lub nawet w poważnej i silnej mniejszości. W tych warun-



kach jest nawet osiedlanie katolików niemieckich w marchiach wschodnich nakazanem i koniecznem, albowiem bez ich pomocy trudnoby było odeprzeć napływ polskiej ludności. Komisya kolonizacyjna winna też wszelkiemi sposobami starać się o pozyskanie dla marchii wschodnich kolonistów katolickich z Bawaryi, a w każdym razie unikać jej należy tego wszystkiego, coby mogło zrazić katolickich kolonistów do rządu pruskiego i popchnąć ich do obozu Polaków.

Następnie komisya kolonizacyjna powinna baczyć i na to, czy się dogodnego i pożytecznego materiału kolonizacyjnego nie da ściągnąć z zagranicy. Stumpfe uważa, że emigrujący z Rosyi koloniści, fińskiego, szwedzkiego, czy niemieckiego pochodzenia, są wyborym w tym względzie pierwiastkiem. Kto tylko na miejscu poznał nawskroś usposobienie i naturę polską, ten nabył dostatecznie siły odpornej przeciw polskim pokuszeniom i agitacyom. Stumpfe darzy nawet ów zagraniczny żywioł większem zaufaniem, niż katolików niemieckich i oczekuje też od niego znacznej pomocy w dziele kolonizacyjnem marchii wschodnich. W organizacyi komisji kolonizacyjnej, należy również przeprowadzić liczne ulepszenia technicznej natury, któreby pozwoliły tej instytucyi działać energiczniej i przyspieszyć tempo rozwoju kolonizacyjnego. Przedewszystkiem jednak komisya kolonizacyjna powinna odsunąć względy oszczędnościowe, które mogą przewodniczyć instytucyom i przedsiębiorstwom prywatnym. Nie należy zapominać, że nie ma i nie powinno być za wysokiej ceny za ziemię, którą się wykupuje z rąk polskich. Zwłaszcza obecnie, gdzie się rozwineła w przeciwnym kierunku agitacja polska, i to agitacja świadomie, skutecznie i z fanatyzmem narodowościowym działająca. Jeżeli komisya kolonizacyjna nie rozwinie całej energii i nie użyje wszystkich sił, które jej państwo przeznaczyło do dyspozycyi, to Niemcy nie powstrzymają i nie wytrzymają w marchiach wschodnich polskiego naporu i doczekają się tam wkrótce drugiej klęski Tannenberskiej. Aby uniknąć tej smutnej katastrofy, należy nie pogardzać najdrobniejszym środkiem, jeżeli on tylko może się cokolwiek przyczynić do osiągnięcia przewodniczącego całej działalności celu t. j. do zgermanizowania marchii wschodnich.

Stumpfe zastanawia się i nad drobniejszemi kwestyami rolniczogospodarczemi, które odstręczają osadników niemieckich od kupowania parcel w marchiach wschodnich. Jedną z takich spraw jest właśnie zabudowywanie nowych gospodarstw. Zdaniem autora, należy w powyższym kierunku poczynić wszelkie możliwe ułatwienia, ażeby

kolonistom niemieckim dostarczyć odpowiedni materiał budowlany, albo żeby im do wznoszenia budowli dać tańszego robotnika i uwolnić ich tym sposobem od smutnej ostateczności posługiwania się tanim polskim robotnikiem. Więźniowie powinni w tym celu być przeznaczani, aby tylko osadnicy niemieccy mogli taniej zaopatrzyć się w budowlę gospodarcze, co ich niewątpliwie przynęci do marchii wschodnich. Również powinny być zaprowadzone stacje reproduktorów, w celu podniesienia hodowli inwentarza, i to, nie tylko inwentarza większego, ale i mniejszego, jak np. kozy, króliki lub ptactwo, czyli drób. Oprócz ulepszeń, dotyczących techniki gospodarczej, powinny wspierać kolonistę niemieckiego w marchiach wschodnich, różnego rodzaju instytucje ekonomiczne, jak np. kasy oszczędnościowe, kasy pożyczkowe, stowarzyszenia mleczarskie i t. p. Osadom nowym trzeba nadawać nazwy niemieckie, wiadomy jest bowiem wstręt kolonistów niemieckich do osiedlania się wśród słowian. Germanizując nazwy miejscowości robi się przybyszom złudzenie, że się znajdują wśród dzielnic rdzennie niemieckich i usuwa się wstręt kobiet niemieckich do opuszczania rodzinnego kraju.

Jeżeli się rozważy, jakim rezultatem może się poszczycić kilkunastoletnia działalność komisji kolonizacyjnej, to się smutne wnioski każdemu nasunąć muszą. Ogółem nie więcej nad 4,000 kolonistów pozyskała komisya, a z tej cyfry 80% kolonistów pochodziło z Królestwa pruskiego. Cóż ten rezultat znaczy wobec 300,000 kolonistów, których dostarczyła polityka kolonizacyjna Fryderycyńska. Trzeba się przedewszystkiem energicznie starać o osadników, zręczniejsz ich werbować niż się to dotychczas działo. Dotychczas istnieją całe krainy niemieckie, w których zaniedbano starać się o kolonistów dla marchii wschodnich, chociaż nic nie wskazywało, aby ich tam znaleźć nie było można. Otóż nie należy zaniedbywać najmniejszego środka, aby tylko osiągnąć pomyślniejszy rezultat. Trzeba spotęgować energię, czujność, przedsiębiorczość, czyli, jednym słowem, powrócić do systemu przewodniczącego Fryderycyńskiej polityce. Zwykle zakupywała komisya kolonizacyjna w tych okręgach majątki, gdzie się znajdowały znaczne większości polskie. Był to system brania wołu za rogi. Przytem do takich osad trudno było znaleźć ochotników, bo każdy na propozycję, choćby najkorzystniejszą, odpowiadał: „w tych stronach nie rozumie nikt ani słowa po niemiecku“. Dotychczasowe doświadczenie wykazało również, że trudnem, jeżeli nie wcale nie niemożliwem jest wzmacnianie żywiołu niemieckiego tam, gdzie jest on słabo reprezentowanym. Kiedy napływ kolonizacyjny niemiecki



spotężnieje, będzie można prawdopodobnie usunąć powyższą trudność, ale dopóki on będzie ślepym, wskazanem jest inne, daleko ostrożniejsze postępowanie, które nie roztrwania nadaremnie sił kolonizacyjnych. Wreszcie, ponieważ Stumpfe dowiaduje się od kanclerza Hohenlohego, że jezuita francuski zaopatrzyli polaków w swe kapitały, w celu prowadzenia walki kolonizacyjnej na kresach wschodnich, przeto nie tylko dozwolonom, ale niejako nakazanem jest ze strony niemieckiej zacząć działanie, które polega na tem, ażeby polakom zabroniono nabywać więcej ziemi w marchiach wschodnich. Co się tyczy uwag, wypowiedzianych przez Stumpfego pod adresem komisji kolonizacyjnej, to najważniejszą i najdonioślejszą jest ta, że obszar, na którym komisja kolonizacyjna osadziła mniej więcej 30,000 głów, możnaby, racjonalnym systemem postępując, zaludnić pół milionem głów niemieckich. Stałoby się to wówczas, gdyby komisja kolonizacyjna więcej dbała o drobnych włościan, rękodzielników, robotników wiejskich, czyli, gdyby się oparła na masie ludności, a nie na większych i bogatszych chłopach.

Wypowiedziawszy tak cierpkie i dotkliwe uwagi komisji kolonizacyjnej, Stumpfe pociesza się jednak tem, że Prusy znajdują się zaledwie u kolebki swej polityki kolonizacyjnej. Wszystko więc jeszcze da się naprawić i wszystko uczynić, tylko nie wolno opuszczać rąk, nie wolno wątpić i oddawać marchii wschodnich na łup żywiołu niekulturalnego, a przynajmniej mniejszej kultury niż niemiecka. Cel jednakże najdonioślejszy nie zostanie osiągniętym, jeżeli rząd, rp. komisja kolonizacyjna nie odwoła się do mas zachodnio-niemieckich. Dopiero źródło niemieckie kolonizacyjne, wpływające z owych mas, zaleje marchie wschodnie i zdobędzie je na wieki dla państwa i narodu niemieckiego. Dla Stumpfego, jak widzimy, polityka kolonizacyjna nie uwzględnia, ani dopuszcza żadnej politycznej etyki. Ażeby zgermanizować marchie wschodnie i wyprzeć gdziekolwiek bądź żywioł polski, nie waha się on wstrząsnąć zasadami podstawowymi, na których spoczywa system rządów reprezentacyjnych i cała budowa konstytucyjna państwowa. Stumpfe zaprowadza, wbrew najwyraźniejszemu brzmieniu konstytucyi, dwie kategorie obywateli, z których tylko jedna, składająca się z Niemców protestantów, używa pełnych praw i zaufania rządowego. Druga kategoria, Niemców katolików musi cokolwiek zakosztować gorzkiego owocu nierówności w zakresie prawa publicznego; jedni Polacy stają się nowożytnymi, konstytucyjnymi paryasami, których dziś należy ograniczać co do możliwości kupowania majątków, a jutro prawdopodobnie będzie nale-

żało wykupić i wyrzucić z obrębu państwowego niemieckiego. Konstytucjonalizm, natchniony zasadami Stumpfego, musi, prędzej czy później, przejść w stan zwyrodnienia, w którym sprawiedliwość, słuszność, równość prawna i swobody indywidualne, ustępują miejsca samowoli rządowej, wspartej chwilowemi większościami parlamentarnemi, depreczającej wszystko, co tylko nie jest interesem tej większości i zamieniającej państwo konstytucyjne w jedno „magnum latrocinium“.

A. R.



## KRONIKA MIESIĘCZNA.

Ogromnie pocieszającym objawem w dziedzinie budzącego się u nas ruchu współdzielczego, jest powstawanie coraz to nowych spółek rolniczych włościańskich. Do niedawna opowiadano sobie jeszcze dziwy o „Jutrzence“, założonej w Kieleckiem przez p. Gabryela Godlewskiego, obecnie obok „Jutrzenki“ mamy już w kraju cały szereg pokrewnych instytucji, wzorowanych na tej pierwszej, i rozwijających się równie pomyślnie. Świadczy to, że włościanin nasz dorósł już zupełnie do należytego pojmowania korzyści, płynących z działania zbiorowego i że zrozumiał konieczność podniesienia kultury rolnej i zwiększenia przez nią wydajności ziemi, która, w braku przemysłu domowego, stanowi jedyne jego oparcie ekonomiczne. Nie dziw też, że w miarę przyjmowania się idei spółek, stopniowo rozszerzać się zaczyna i zakres ich działania, że stawiają one sobie zadania coraz poważniejsze i—rzec można—śmielsze, ogarniające niemal całość życia ekonomicznego rolnika, pracującego na małej posiadłości.

Oto np. program spółki rolniczo-handlowej „Świt“, założonej w Płońsku. Świeżo, jak dowiadujemy się z dzienników, uczestnicy tej spółki na wniosek p. Stefana Modelskiego uchwalili:

1-o) założyć sklep rolniczy, skład maszyn i narzędzi rolniczych, nawozów sztucznych, żelaza, smarów, worków, soli i t. d., oraz wynająć, a w przyszłości pobudować, magazyn i śpichrze w Płońsku;

2-o) skoncentrować w swoim ręku handel zbożowy, nasienny i poprawnego inwentarza w pow. płońskim;

3-o) dostarczać do siewu członkom swoim doborowych, uszlachetnionych przez selekcyę zbóż, nasion, ziemniaków i t. d.

4-o) urządzać stacye szlchetnych, rasowych reproduktorów, a więc ogierów, stadników, knurów;

5-o) zakładać pola doświadczalne z nawozami sztucznymi, oraz różnymi gatunkami zbóż, nasion, ziemniaków, a w przyszłości laboratorium chemiczne i muzeum rolnicze;

6 o) założyć bibliotekę rolniczą i czytelnię dla członków spółki;  
7-o) urządzać odczyty z dziedziny rolnictwa, hodowli inwentarza, stosowania nawozów sztucznych i t. d.

8 o) dawać wskazówki członkom, jak należy prowadzić rachunki i rejestra gospodarskie, sporządzać bilanse i t. d.;

9-o zakładać plantacje wierzby koszykarskiej i uczyć członków za pośrednictwem odpowiednich instruktorów koszykarstwa, wyrobów ze słomy, tkactwa i innych drobnych rzemiosł;

10-o) zakładać spółki mleczarskie i inne zakłady przemysłowo-rolne, (parte na udziałach);

11-o) urządzać co kilka lat wystawy powiatowe i

12-o) założyć niższą szkołę rolniczą.

Ten ostatni punkt na szczególniejszą zasługuje uwagę. Dotychczas o takich szkołach rozprawiano u nas teoretycznie i wskazywano na potrzebę zakładania ich po wsiach. Opierano się na przykładach zagranicy, na „rozumie ekonomicznym“, na umotywowanej potrzebie wiedzy fachowej dla rolnika. To wszystko jednak mówiła i nawoływała do tego t. zw. inteligencja. Lud natomiast tej potrzeby prawie nie odczuwał. Siał i orał po dawnemu, niewiedział co to są nawozy sztuczne, nie oceniał siewnika rzędowego, nie kwapił się do melioracyi, do osuszania łąk błotnych, do nawodnienia pól. Po bożemu szła praca, ale rozwijała się w ramach, uświęconych odwieczną tradycją, nieczuła na coraz to nowe zdobycze techniki i chemii. „Pola doświadczałne“, „selekcye zbóż“, „stacye reproduktorów“, „laboratoryum chemiczne“—o tem nikt nigdy nie słyszał, albo, jeżeli słyszał, dzięki sąsiedztwu z wzorowo zagospodarowanym majątkiem większym—to piąte przez dziesiąte. Nagle to wszystko zjawia się w programie spółki płońskiej, w programie, który, niby klamra, zamyka postulat „założenia niższej szkoły rolniczej.“ To już zupełnie świadomy głos włościanstwa, które dopomina się o należne mu wykształcenie z a w o d o w e, to już trzeźwe żądanie z a w o d o w c ó w, którzy pragną złamać obręcz rutyny, odgradzającej ich od szerszego świata i chcą na ten świat wydostać się przy pomocy jedynej, odpowiedniej drogi—o s w i a t y. Nadto, znamienną w tem rzeczczą jest objaw samodzielności, zerwanie z tradycyjnym u nas oglądaniem się na to, że szkoły takie k i e d y ś powstaną, że je k t o ś założy, a poleganie natomiast na własnych siłach i liczenie na nie przedewszystkiem. „Chcemy mieć szkołę i założymy ją sami“ mówią stowarzyszeni i niewątpliwie dążyć będą wszystkimi siłami do urzeczywistnienia tej myśli. Inna rzecz, że spotkać ich może z tej lub z innej strony pomoc, że mogą otrzymać jakieś subsydjum, jakieś poparcie, czy to właścicieli większych posiadłości, czy gubernialnych Towarzystw rolni-



czych, czy wreszcie ministerjum rolnictwa, w którego programie leży zakładanie takich szkół i opiekowanie się niemi.

Naturalnie, trudno wymagać, aby to wszystko powstało zaraz. Lata przejść muszą, zanim całkowity program spółki płońskiej wejdzie w życie, a zwłaszcza zanim ostatni jego punkt zostanie urzeczywistniony. Ale—*paulatim summa petuntur* i nikt nie może się łudzić tem, aby na tej drodze nie było żadnych przeszkód i żadnego opóźnienia. W każdym atoli razie początek jest zrobiony i życzyć tylko można innym powiatom i innym spółkom, tym, które już istnieją i które się zawiązały, aby corychlej poszły śladem „Świtu“.

---

Ważną sprawę „Zabaw dla ludu“ poruszył p. W. Olechnowicz w świeżo wydanej staraniem „Bluszczu“ książce zbiorowej p. t. „Współczesna kobieta“. — Zamknięcie karczem — mówi szanowny autor—o ile z jednej strony było dobrem, gdyż zmniejszyło rozpustę pijaczą i wszelką inną w miejscach widocznych,—o tyle znów spowodowało brak rozrywki, tak potrzebnej po pracy, brak bardzo dotkliwy.

Naturalnie, jak każda reakcja musi przejść ferment, tak i lud wiejski dał folgę namiętności i gra w karty weszła w użycie. Niema wsi, gdzieby nie było parę grup, uprawiających tę „rozrywkę“ z nieodstępną w takich razach tak zwaną „galeryą“. W inteligentnych sferach rzecz dobrze znana i każdy wie, jak to wygląda. Gra w karty u wieśniaków czyni jednakże poważną różnicę w ich kieszeni, dochodzącą j e d n o r a z o w o do kilku rubli. Młodzi uprawiają grę w g u z i k i. Ta rozrywka została znów wprowadzona na jarmarkach po małych miasteczkach, gdzie żydzi i różni inni oszuści, pozwalając czasem wygrać, rozwijają żyłkę do hazardu. Dalej—miłą „rozrywką“ w ostatnich czasach jest rozwinięta k r a d z i e ż d r o b n y c h r z e c z y, czasem większych, jak: trzoda, koniki, koła od wozów i wogóle kradzież przedmiotów, które mogą być zarówno Tomasa, jak Błażeja.

Widzą to starsi i boleją, ale zaradzić temu trudno, bo nikt nic przeciw temu nie działa.

Bogatsi urządzają wieczorki, na których zabawiają się tańcem; w ostatnich czasach wprowadzają gry biegane, „kotek i myszka“, „Przepióreczka“, „Ptaszek“, „Kogo lubię“ i inne. Szczupłe jednak mieszkania są powodem, że tylko mała garstka może wziąć udział, a przyjęcia takie rzadko mogą się zdarzać z powodu kosztów—bo to

i o jadle trzeba pomyśleć i gospodarz musi czekać, aż się wszyscy rozejdą, a tu rano trzeba wstać, i gospodyni z uporządkowaniem ma trud nielada.

Na ten cel potrzebna duża izba, któraby pomieściła bawiącą się młodzież i druga, mniejsza, gdzieby starsi, przy niezbędnem dziś paleniu pogawędzić mogli.

Młodzi mogą się bawić w gry biegane, może być uwzględniony dwugodzinny taniec od 6 ej do 8-ej, a cała zabawa tylko do 10-ej trwać może. W poobiednich chwilach młodzież lubi bardzo loteryjkę, młynek, warcaby, fortecę, domino. Na letnią porę trzeba baby kręgle zaprowadzić i podbijanie piłki nogą (font ball).

Gdzieby można założyć orkiestrę pod dyrekcją organisty, byłoby to wielkiem dobrem dla całej parafii, bo da rozrywkę i zarobek. Na tę ostatnią zabawę potrzeba wkładu około 1,000 rubli, ale, najpierw, po paru latach suma wyłożona wraca się, powtórę--zostaje, jako pamiątka na długie lata w parafii.

Tyle d-r Olechnowicz.

Niewątpliwie uwagi te są bardzo słuszne i bardzo na czasie. Warto też przypomnieć przy sposobności, że w Czechach, w każdej prawie wsi zamożniejszej, istnieją oddawna t. zw. „kasyna wiejskie“, duże, kryte halle, w których odbywają się zabawy taneczne dla młodszych, a gdzie starsi z całą swobodą gawędzą przy piwie, paląc fajkę lub ćmiąc długie cygara. Otóż tego rodzaju „kasyna“ powinny być wzorem i dla nas—oczywiście w granicach naszej możliwości, nie ulega bowiem kwestyi, że czesi stoją od nas wyżej, zarówno pod względem zamożności, jak i pod względem kultury towarzyskiej włościństwa. Lud czeski, odczuwając silniej od naszego potrzebę łączności towarzyskiej i rozrywek, a będąc bez porównania zamożniejszym, chętnie wydaje dość znaczne pieniądze na budowę i urządzenie „kasyna wiejskiego“. U nas poszłoby to znacznie trudniej, bo chociaż, jak to widać ze słów d-ra Olechnowicza, i po naszych wsiach zaczynają się budzić pewne objawy życia towarzyskiego i daje się zauważyć skłonność do szukania rozrywek po pracy w grach i zabawach, popularnych wśród ludności miejskiej, to wszakże, na ogół biorąc, przeważna większość naszych wsi składa się jeszcze z mieszkańców tak ubogich, że własnym kosztem nie mogliby oni żadną miarą dźwignąć potrzebnego budynku, zapłacić go choćby najprostszymi sprzętami, oświetlić, jak należy, urządzić przy nim kręgielnię i t. d. Na razie więc pozostaje jedna tylko droga — wyzyskać w tym celu istniejące po wielu wsiach b u d y n k i s z k o l n e, będące, jak wiadomo, własnością gmiu. W zimie w godzinach poobiednich, szkoła jest pusta, bez żadnej przeto przeszkody możnaby ją zamieniać w r e s u r s ę na kilka wieczorów w każ-



dym tygodniu. Naturalnie, byłoby jeszcze lepiej, gdyby dwory, o ile posiadają jakieś oficyny niezajęte, lub baraki, zechciały użyczać tych budynków włościanom na cele powyżej wskazane. Sprawa ta, zasługuje na bliższą uwagę, życie towarzyskie bowiem, nawet w najprostszycich swoich formach, jest wypróbowanym sprzymierzeńcem rozlewania się kultury na szerokie warstwy, a u nas proces ten na ogół odbywa się tak powoli, że nie należy zaniechać żadnego środka, który go może przyspieszyć.

„Gazeta sądowa“ w jednym z ostatnich swoich numerów zamieściła wiadomość następującą:

„Donoszą nam z Petersburga, iż rada państwa w dn. 23 lutego (7 marca) r. b. po naradach, w ciągu lat kilku ponawianych w sprawie wykupu czynszów wieczystych w Warszawie, postanowiła:

„Dla spłaty zostających w wieczystej dzierżawie placów rządowych w Warszawie i na przedmieściu Pradze, przywrócić moc Najwyżej zatwierdzonych 5 lutego 1896 roku przepisów o spłacie czynszów wieczystych z dóbr rządowych.“

Uchwała ta pozyskała najwyższe zatwierdzenie i po ogłoszeniu jej w zbiorze praw da możliwość licznym wieczystym dzierżawcom oswo-bodzenia się od uciążliwej zależności od *dominus directus'a* i pozyskania zupełnego, niczem nieograniczonego prawa własności—za opłatą niewielkiej stosunkowo kwoty.

Wedle art. 1 rzeczonych przepisów „suma kapitału okupnego“ ustanawia się przez kapitalizację czynszu z 5%, czyli przez pomnożenie go przez 20.

Za wszelkie inne prawa skarbu, jak możliwość podwyższania czynszu i t. p. spłatę ustanawia się przez pomnożenie  $\frac{1}{3}$  czynszu przez 20; — „jeżeli podwyższenie czynszu (kanonu) miało miejsce w ciągu ostatnich lat 10 przed dniem zgodzenia się skarbu na wykup“ (prawo z r. 1892. Z b. p r a w art. 857), to za mnożnik do wymienionej  $\frac{1}{3}$  części przyjmuje się cyfry wyższe, dodając po jedenastce za każdy rok, przenoszący lat 10, „tak jednak, aby takowy mnożnik w żadnym razie nie był wyższym nad 30.“ Tam wszakże, gdzie skarbowi nie służy prawo odnawiania i podwyższania czynszu, szacunek spłacalny ustanawia się przez kapitalizację czynszu z 4%, t. j. przez pomnożenie czynszu przez 25.

Jeżeli więc czynsz wynosił 12 rubli rocznie, to w pierwszym razie, gdy była zastrzeżona możność podwyższenia czynszu, „kapitał okupny“ wyniesie:

a) za czynsz . . . . .	$12 \times 20 = 240$
b) za prawo podwyższania czynszu może wypaść <i>maximum</i> : $\frac{1}{3}$ część 12 to jest .	$4 \times 30 = 120$
	Razem <u>360</u>

W drugim wypadku, jeżeli skarbowi nie służyło prawo podwyższenia czynszu, spłata będzie wynosiła  $12 \times 25 = 300$ .

Należy zachęcać każdego—pisze „Gazeta Sądowa“—do uskutecznienia tej spłaty, bo, jak wiadomo, cena szacunkowa domów czynszowych, a szczególnie tych, którym grozi podwyższanie co pewien czas czynszu, jest o wiele niższą od domów, nie obciążonych czynszami.

Jednak powyższa uchwała rady państwa nie rozwiązuje jeszcze w całości sprawy czynszowej. Dotyczy bowiem tylko czynszów skarbowych, a nie t. zw. szpitalnych, które podlegały spłacie na zasadach postanowienia komitetu urządzającego z dn. 12 (24) czerwca 1870 r. Wykup ich został także wstrzymany z mocy postanowienia komitetu ministrów z dn. 15 (27) listopada 1896 r.

Czynsze te o wiele są dokuczliwsze z powodu samowolnego, bez żadnej stałej normy, podwyższania, jak świadczy o tem wypadek z domem № 1394/1496/8 róg Marszałkowskiej i Zgoda, z 16 rb. 50 kop. do 4,711 rb. 99 kop. rocznie! Czynsze te pozostają ostatecznie pod zawiadywaniem p. ministra spraw wewnętrznych—rada państwa zaś rozpatrywała obecnie wniosek ministra dóbr państwa, do których to dóbr zaliczają się czynsze, należne z gruntów, stanowiących niegdyś własność kościołów i zgromadzeń zakonnych.

Rada państwa nie zgodziła się na żądane podwyższenie mnożnika skupu do 100 i do 125—lecz przywróciła skup co do tych tylko czynszów—na podstawie dawnego mnożnika, ustanowionego przez wyżej powołane prawo z roku 1869. Przy rozpoznawaniu powyższego wniosku ministerium spraw wewnętrznych obstawało przy tem, aby skup przywrócić na dawnych zasadach. Jeśli więc ta zasada przeszła—to niewątpliwie w krótkim czasie spodziewać się można nowej uchwały rady państwa, przywracającej skup czynszów szpitalnych na warunkach prawa z r. 1870,—lecz ta nowa uchwała może zapaść tylko



na podstawie oddzielnego wniosku ministryum spraw wewnętrznych. Pożądanem jest wielce, aby to mogło jaknajprędzej nastąpić i aby znikły te resztki feodalnych stosunków, których już nigdzie w Europie nie spotykamy. Warszawie tylko przypało w udziale—przechowanie ich do dziś dnia.

Wychodząca w Warszawie od nowego roku „Czytelnia dla wszystkich”—„tygodnik ilustrowany, poświęcony nauce, literaturze, polityce i życiu bieżącemu“ coraz częściej zabiera głos w sprawach pierwszorzędnej doniosłości. Z przyjemnością stwierdzamy, że dotychczasowe artykuły „Czytelni“ sprawom takim poświęcone, odznaczały się zdrowym, jasnym i wyraźnie sformułowanym sądem, że bez pustej retoryki i doktrynerstwa roztrząsano tam uważnie i rozumnie rozmaite objawy naszego życia społecznego i ekonomicznego, oświetlając je o ile można najdokładniej, a zawsze bezstronnie. Oto mamy właśnie pod ręką jeden z ostatnich numerów tego pisma. Autor podpisany literami K. B. porusza w numerze tym sprawę czytelnictwa wogóle, a czytelnictwa wśród ludu specjalnie, i dochodzi do wniosków następujących: „Od lat paru dziesiątków—czytamy—badając bliżej doniosłe zjawisko czytelnictwa wśród naszego ludu, zarówno wiejskiego, jak i małomiejskiego, stwierdzić możemy stanowczo, że postęp pod tym względem istnieje znaczny. Widać go przede wszystkim z niewątpliwego rozwoju naszych pism ludowych: „Gazety Świątecznej“ i „Zorzy“. Nie mamy danych co do pierwszej, ale wiemy, że ilość przedpłatników „Zorzy“ od r. 1892 wzrosła przeszło 12 razy. Z pewnością nie mniejszym był rozkwit „Gazety Świątecznej“. Nie dość na tem. Od półtora roku zaledwie zaczął wychodzić „Gospodarz“—dwutygodnik, poświęcony wyłącznie sprawom rolnictwa i ogrodnictwa—i oto widzimy, że pismo to zdobyło sobie odrazu grono czytelników, których potrzeby nadzwyczaj umiejętnie zaspokaja. A prócz tego dochodzi do ludu znaczna ilość pism ogólnych, a nawet takich, jak „Tygodnik ilustrowany“. Drugim dowodem rozwoju czytelnictwa po wsiach i miasteczkach jest rozchodzenie się książek ludowych.

Znakomity „Elementarz“ Promyka liczy 37 wydań w 670 przeszło tysiącach egzemplarzy. „Mały Elementarz dla dzieci i samouków“ w ciągu paru lat rozszedł się w przeszło 10 tysiącach egzemplarzy. Książka „Poradnik dla młodzieży“ ma 7 wydań w 70 tysiącach!

Jak widać z katalogów, wiele książek popularnych, nietylko powiastek i opowiadań, ale rozpraw naukowych i rolniczych, mają po kilka wydań, a każde w kilku lub kilkunastu tysiącach egzemplarzy. A ileż rozchodzi się jeszcze różnorodnej tandety, rozpowszechnianej umiejętnie przez spekulantów?

Wszystko to dowodzi potrzeby książek, potrzeby pilnej, gwałtownej, jednej z najważniejszych w naszym życiu społecznym.

A jednak—pisze p. K. B.—o tej potrzebie niebardzo myślimy. Faktem jest, że książek dla ludu wychodzi nadzwyczaj mało, że nasza literatura ludowa ma ogromne braki, że są całe działy dotąd zupełnie prawie nieporuszone.

Nie łudźmy się. Tych kilkaset tytułów, jakie podaje nam bibliografia książek ludowych, są kroplą w morzu wobec olbrzymich potrzeb umysłowych ludu. Potrzeba nam tysięcy książek, a mamy parę setek. To jest fakt, fakt niesłychanie smutny, dowodzący do jakiego stopnia inteligencja nasza nie umie, a raczej nie chce pracy swej poświęcić dla ludu. „Oni nie chcą chcieć!“ mimowoli wyrywa się za Wyspiańskim.

Stwierdzając to ubóstwo piśmiennictwa ludowego, wskazuje p. K. B. na dwie główne jego przyczyny: 1-o) na brak autorów, piszących dla ludu i 2-o) na brak uczciwego kolportażu, bez którego rozchodzenie się książek wśród ludu jest niezmiernie utrudnione.

To drugie jest zupełnie słuszne. Co do pierwszego jednak musimy uczynić pewne zastrzeżenie.

Ze „pisarze prawdziwego talentu“ nie pisują dla ludu—to prawda, ale czy istotnie zachodzi potrzeba takiego pisywania, czy tak jak jest osobna literatura dla dzieci, musi być koniecznie i osobna literatura dla ludu? Tam gdzie idzie o popularyzowanie zdobyczy naukowych, o wykład przystępny rzeczy trudnych i zawilych—zgoda. To jednak, co nazywamy literaturą piękną, a co stanowi jeszcze *gros* w czytelnictwie naszym wogóle—popularyzacyi nie potrzebuje, bo na tej popularyzacyi traci. Trylogię Sienkiewicza może czytać każdy—i d-r filozofii i chłop w jednym i tem samym wydaniu, tak samo może czytać Prusa i Orzeszkową, Konopnicką, Żeromskiego i Reymonta. Natomiast żadna przeróbka, żadne „opracowanie popularne“ nie udostępni mu Wyspiańskiego, albo Berenta. Takie zaś „opracowanie“ może zepsuć Sienkiewicza, Orzeszkową i t. d., bo będzie albo zrobione niedołącznie, albo wykoszlawione umyślnie dla celów tego lub innego obozu. Skąd zresztą bierze się to prawo krajania i „operowania“ utworów wybitnych pisarzy?

Zdaje nam się więc, że tu, poruszając słuszną sprawę, „Czytelnia“ uderzyła w ton fałszywy. Nie tyle pisać specjalnie dla ludu,



ile rzeczy dobre t a n i o dla niego wydawać należy. Dawać ludowi dzieła prawdziwych talentów w tej formie, w jakiej one powstały, ale dawać mu je po cenach niskich, przystępnych, groszowych. Nie patrzeć na lud, jak na dziecko, bo jak dzieci wyrastają z okresu niemienia i bon, tak i lud z tego okresu wyrasta, ale pozwolić mu śmiało i bez obaw pić piękno z tej samej krynicy, z której my je czerpiemy. Niech tylko to będzie—piękno prawdziwe.

Ze sprawozdań, nadesłanych do Rady Towarzystwa higienicznego, okazuje się, że działalność istniejących w niektórych miastach prowincjonalnych oddziałów Towarzystwa, daje wyniki bardzo poważne i rozwija się nadspodziewanie pomyślnie. Oto krótki przegląd tej prawdziwie kulturalnej pracy, którą prowadzą na prowincyi oddziały Warszawskiego Towarzystwa Higienicznego.

1-o) Oddział kaliski odbył od chwili założenia, t. j. od 16 maja r. z. 13 posiedzeń zarządu, oraz 3 zebrania ogólne. Zarząd utworzył trzy sekcye: wychowawczą, biologiczną i higieny ludu, nadto specjalny komitet redakcyjny. Sekcja wychowawcza urządziła zaraz w czerwcu, za pozwoleniem władzy gubernialnej, zabawy dziecięce na wzór ogrodów Rau'a, pod kierunkiem pań, honorowo pracujących; fundusze na ten cel zbiera T-wo głównie za pomocą sprzedaży pocztówek i powinszowań, specjalnie opracowywanych. Nadto oddział urządza w r. b. kolonję letnią dla dzieci we wsi Bartochów i wysyła kilkoro dzieci do Solca na kąpiele, oraz wydaje bilety do kąpiele. Wydział biologiczny prowadzi badania nad tępieniem szczurów, które, według nowych teoryi, odgrywają znaczną rolę w szerzeniu pewnych chorób zakaźnych. Sekcja ludowa czyni wielkie zabiegi nad założeniem łaźni ludowej, oraz utworzyła delegacyę do krzewienia zasad higieny wśród ludności żydowskiej. Sekcja ta nadto zarządziła wiele odczytów z higieny ludu. Delegacya redakcyjna, wreszcie, kwalifikuje do druku różne odezwy, kwestyonaryusze i t. d. nadto: redaguje odpowiedzi na pytania w zakresie higieny, wrzucane do skrzynek, przez Towarzystwo umieszczonych na miesiące. Odpowiedzi te udzielane są za pośrednictwem „Gazety Kieleckiej“.

Odczyty ludowe wygłoszono: „O alkoholizmie“—d-r Jaroszewski; „O budowie człowieka“—d-r Wernic; „O pomocy w nagłych wypadkach“—d-r Beatus i t. d.

2-o) Oddział lubelski utworzył wydziały: higieny wychowawczej, higieny miast i mieszkań, higieny szpitali i przytułków higieny zawodowej i higieny ludowej. Zarząd odbył 23 posiedzenia. Oddział czynił zabiegi około ustanowienia nadzoru nad higieną szkół miejskich i wiejskich, oraz urządzenia ambulatorium dentystrycznego, opracował memoryały do magistratu: o mieszkaniach stróżów i o targu miejskim, zajął się opracowaniem typów łaźni ludowej i krząta się obecnie dokoła sprawy urządzenia ogródków dziecięcych w Lublinie.

W wydziałach wygłoszono 22 referaty, z których ważniejsze są „Pedagog, jako higienista”—ks. Nowosielski; „Cel i zadanie higieny wychowawczej”—pastor Schöneich; „Hygiena zębów wieku młodego”—d-r Brzeziński; „O badaniu mąki”—p. Tyc; „O walce z gruźlicą”—d-r Rudzki; „O wentylacji fabrycznej”—d-r Leskiewicz i t.d.

Oddział liczył 135 członków rzeczywistych i 22 zwyczajnych.

3-o) Oddział częstochowski liczy członków 270, z tych 154 rzeczywistych i 116 zwyczajnych. Ponieważ do oddziału tego należy i kolonia Sosnowiecka, więc w Sosnowcu istnieje oddzielny komitet oddziału częstochowskiego.

W r. 1903 oddział częstochowski zajmował się bezpłatnem szczepieniem ospy (około 600 szczepień); opracował schemat do badania domów pod względem higienicznym i zbadał prawie  $\frac{1}{3}$  część ogólnej liczby domów w Częstochowie (wynoszącej 1600). Rozesłano kwestyonaryusz w sprawie rozpowszechnienia gruźlicy i różnych przyczyn jej w powiatach, objętych działalnością oddziału (częstochowski, noworadomski i będziński).

Na prośbę magistratu oddział zajmował się rozpatrzeniem najlepszego sposobu pozbywania się śmieci z miasta; nadto rozesłał odezwę do szkół prywatnych z wnioskiem o wprowadzenie wykładów higieny. Członek oddziału, inż. Poznański, zajął się badaniem mieszkań ludności uboższej. Rozpoczęto też badania wody w studniach i rzecznej, z Warty. Posiedzenia wydziału odbywały się w ofiarowanym bezpłatnie przez p. Majera, dyrektora szkoły handlowej, lokalu. Posiedzeń odbyło się 5, nadto 3 w Sosnowcu. Na posiedzeniach bywało osób około 50. Referatów wygłoszono 12. Między innymi: d-r Wrześniowski mówił „O znaczeniu higieny”; d-r Bellon—„O higienie skóry”; inż. Gryżewski—„O kąpielach ludowych; d-r Dehnel—„O zjeździe higienistów w Warszawie“ (sprawozdanie); d-r Batawia—„O dezynfekcyi mieszkań“ i t. d.



Dalej zarządzono badania stanu higienicznego ludu w powiecie noworadomskim i utworzono wydziały: popularyzacyi higieny i statystyczny, podzielony na dwie komisye: dla wsi i dla miast.

Odczytów publicznych wygłoszono dwa: „O czystości ciała“ — (d-r Nowak) i „o jaglicy“ — (okulista, d-r Marczewski).

Komitet będziński rozpoczął działalność energiczną, która wszakże dotychczas jeszcze, zważywszy na krótkość czasu od chwili związania się jego, znajduje się w okresie przygotowawczym. Obok innych starań o polepszenie stanu higienicznego miasta, usiłuje oddział skłonić magistrat miasta Sosnowca do założenia ogrodu miejskiego. Myśl ta zasługuje na gorące uznanie i dobrze byłoby, aby podobne postulaty wprowadziły do swych programów i inne oddziały.

4-o) O d d z i a ł ł ó d z k i liczył członków 209, w tej liczbie 80 zwyczajnych. Utworzono przy nim dwa wydziały: higieny teoretycznej i stosowanej, lecz właściwie tylko ten drugi był czynny. Na posiedzeniach jego wygłoszono cały szereg referatów, jak o alkoholizmie, o lekarzach szkolnych, o ankiecie mieszkań suterenowych, o wilgoci w mieszkaniach, o szerzeniu zasad higieny wśród ludu i t.d. Bardzo energicznie zajmowano się odczytami ludowymi, których wygłoszono sześć na następujące tematy: „O budowie ciała ludzkiego“ — d-r Pieniążek; „O powietrzu“ — d-r Michalski; „O oddychaniu“ — d-r Rundo; „O suchotach“ — d-r Sterling, „O trawieniu“ — d-r Rząd; „O higienie skóry“ — d-r Groszlik.

Dziwiewięciu lekarzy, członków oddziału, zajmowało się bezpłatnem szczepieniem ospy na pięciu stacyach, urządzonych w tym celu. Osobna delegacya obejrzała i opisała mieszkania suterenowe inna zajęła się sprawą urządzenia łaźni wiejskich i małomiasteczkowych.

Na uwagę zasługuje również postawiony przez oddział na porządku dziennym projekt konkursu na polu higieny, oraz ustanowienia nagród dla rzemieślników za higieniczne prowadzenie warsztatów.

Widzimy z tego, że w czterech wymienionych powyżej miastach oddziały znakomicie spełniają rolę czynników cywilizacyjnych, że nie szczędzą sił i starań, zmierzających do podniesienia życia prowincyi na wyższy szczebel rozwoju kulturalnego, że gorliwie pracują nad obudzeniem w szerokich warstwach poczucia potrzeb higieny i świadomego stosowania się do jej zasad. Widzimy również, że na prowincyi, acz w jednym tylko zakresie, spełniają one rolę niejako „uniwersytetów ludowych“ organizując odczyty popularne i wykłady, oświecające ogół. Nie należy też wątpić, że ta strona ich działalności,

prędzej czy później pożądanego i obfitego wydać owoce i dla tego byłoby rzeczą, ze wszechmiar godną życzenia, aby za przykładem Kalisza, Lublina, Częstochowy i Łodzi poszły corychlej inne nasze miasta prowincjonalne. Z miast tych jeden tylko Radom posiada „Towarzystwo lekarskie“ o tak szerokim zakresie działania, że doskonale mieści się w nim i program Towarzystwa higienicznego. Towarzystwo to wszakże dopiero w roku zeszłym zorganizowane zostało. Poza tem ani Siedlce, ani Łomża, ani Suwałki nie posiadają jeszcze żadnej w tym kierunku organizacyi, że jednak i tam niebrak ludzi dobrej woli i do pracy obywatelskiej chętnych, więc można mieć nadzieję, że w niedługim czasie będziemy mieli sposobność włączyć i te miasta do szeregu współpracujących z Warszawskiem Towarzystwem Higienicznym.

Sprawę walki z klęską alkoholizmu poruszaliśmy już niejednokrotnie na tem miejscu, a po raz ostatni poruszyliśmy ją nie tak dawno temu, omawiając dane, dotyczące spożycia gorzałki przez ludność Królestwa Polskiego.

W myśl ówczesnych naszych wywodów, uzasadniających potrzebę założenia u nas, działającego na szerokich podstawach, Towarzystwa ku zwalczaniu pijaństwa, przemówił świeżo w „Kuryerze Warszawskim“ p. W. Szukiewicz, występując z projektem, który wydaje nam się bardzo szczęśliwym. Uważamy też za swój obowiązek zapoznać z tym projektem naszych czytelników.

Zaznaczając, że społeczeństwo nasze nie zajęło do tej pory żadnego określonego stanowiska wobec alkoholizmu i oświadczając się bezwzględnie za potrzebą założenia „Towarzystwa przeciwalkoholowego“, p. Szukiewicz tak mówi dalej:

„Zanim jednak powstanie takie stowarzyszenie, mające za zadanie walkę z alkoholizmem, możnaby tymczasem, tytułem próby, zorganizować systematyczne wykłady popularne, ilustrowane obrazami niktąciami, a wygłaszane w różnych częściach miasta, szczególnie na Woli i na Powiślu, tam bowiem największe zło moralne się szerzy. Próba, jaką obecnie czyni kilku lekarzy (wykłady w domu robotniczym przy ul. Górczewskiej), pokaże, czego się można po tego rodzaju prelekcjach spodziewać. Oczywiście pamiętać należy, iż kropla żłobi kamień nie siłą, lecz ustawicznym padaniem i że, aby osiągnąć jaki taki rezultat, trzeba robotę prowadzić przez szereg lat



niestrudzenie i z niesłabnącą energią, a wtedy dopiero owoce pracy wystąpią.

„Pytanie jednakże zachodzi, czy masy zdemoralizowane i wcale walki z alkoholem nie pragnące, zechcą przychodzić na pogadanki? Wszak może się łatwo zdarzyć, że pomimo najusilniejszych starań sale wykładowe będą świeciły pustkami, ponieważ nie znajdują się słuchacze. Na to trzeba być przygotowanym. Śmiem wątpić, czy obecnie szereg wykładów przeciwalkoholowych, przeznaczonych dla inteligencji, cieszyłby się powodzeniem, tem mniej możemy się tego spodziewać od ciemnych i niekulturalnych mas. To też należy użyć atrakcyj, mających magiczną moc przyciągania, nietylko ludzi, ale nawet zwierząt, atrakcyj elementarnych, a pomimo tego szlachetnych i uszlachetniających! Mam tu na myśli muzykę, a zwłaszcza śpiew. O wpływie muzyki, w szczególności zaś śpiewu, na ducha ludzkiego mówić chyba nie potrzeba, znamy go wszyscy. Gdyby śpiew nie posiadał wysokiego znaczenia etycznego, nie używanoby go we wszystkich obrządkach religijnych, jako części integralnej. My jednak zapatrujemy się w ten sposób na śpiew jedynie w kościele, poza kościołem zaś uważamy śpiew tylko, jako miłą rozrywkę estetyczną.

Otóż zdaje się, że połączenie wykładów przeciw alkoholowi z odpowiednimi koncertami wokalnemi, dałoby doskonałe wyniki w pracy kulturalnej naszego miasta. Rzecz jest tem łatwiejsza do osiągnięcia, że posiadamy odpowiednich ku temu ludzi, o których istnieniu dowiedzieliśmy się z przyjemnością tak niedawno. Wszak Filharmonia urządzała koncerty historyczne, religijne przy pomocy pięciu połączonych chórów kościelnych, których słuchaliśmy z prawdziwą przyjemnością. Te same chóry powinnyby koniecznie zorganizować cały szereg występów dla najuboższej i najbardziej moralnie upadłej ludności naszego miasta w przekonaniu, że w ten sposób najlepiej użyją swojego talentu i swojej umiejętności, przynosząc bliźnim rozrywkę i pożytek.

Proponowane zgromadzenia wyobraża sobie p. Szukiewicz w ten sposób: zaczyna śpiew, po nim wykład z obrazami świetlnemi, kończy także śpiew.

Nie można wątpić, że tego rodzaju zebrania w krótkim czasie potrafiłyby zdobyć sobie w Warszawie popularność wśród tych warstw, o których mówi się zazwyczaj, że są zupełnie niewrażliwe na piękno. Naturalnie! Bo nikt tej wrażliwości nie próbował w nich obudzić i wykształcić. Piękno tymczasem we wszystkich swoich postaciach, czy to jako dźwięk, czy jako barwa, do każdej duszy w pewnej chwili skupienia i napięcia zmysłów, znajduje przystęp łatwy. Człowieka

cywilizowanego kołysze ono i upaja, barbarzyńcę zachwyca i wstrząsa głębokimi warstwami jego pokładów duchowych, wydobywając na jaw te pierwiastki, o których istnieniu on sam nawet nie wiedział, które istniały w nim wszakże „same w sobie“ i stanowiły gotowy materiał do wewnętrznej przebudowy człowieka, która już po takim jednym wstrząśnieniu staje się wrażliwą.

Nie należy więc projektu p. Szukiewicza bagatelizować i przejść nad nim do porządku dziennego, tak, jak się to u nas zazwyczaj czyni, projekt ten bowiem oparty jest na doskonałych motywach psychologicznych i wprowadzony w życie może się okazać niezmiernie pożytecznym. Trzeba wszakże, aby wykonaniem jego zajęła się jakaś instytucja, czy to już istniejąca, czy umyślnie w tym celu zawiązana, gdyż usiłowania jednostkowe, rozbieżne i nie skoordynowane nie tu nie zrobią.

---

P. H. St. Pytliński zamieścił w jednym z ostatnich numerów „Gazety Polskiej“ następującą notatkę o domu, w którym umarł Mickiewicz w Konstantynopolu.

„Dom ten był drewniany. Zniszczył go pożar d. 5 czerwca 1870 r. Plac nabyli pp. R., którzy na nim w r. 1879—1880 wybudowali dom, obecnie istniejący, o murowanym parterze i pierwszym piętrze, z drewnianem piętrem drugim. Przy budowie zachowano ten sam plan. Wygląd zewnętrzny, oraz cały rozkład domu, jest identyczny z dawnym“.

W r. 1883 nad wejściem wmurowano skromną tablicę pamiątkową, której istnienie było zagrożone, gdy w kwietniu r. 1900 dom miał być wystawiony na licytację. Wówczas jednak znalazł się ratunek. Obecnie wszakże znowu są zaległości podatkowe i ponowne niebezpieczeństwo się zbliża.

„Robiono już starania o kupno domu—pisze p. Pytliński—celem uratowania od zagłady tej wielkiej pamiątki — i przytacza swoją rozmowę w tym względzie z osobą dobrze o stanie rzeczy poinformowaną. Z rozmowy tej dowiadujemy się, że właścicielka, p. R., żąda za dom 10,000 fr., tj. t y l k o 4,000 rb. Część tej sumki jest nawet



podobno zebrana, istniał bowiem we Lwowie komitet specjalny, który na ten cel złożył proboszczowi przy kościele Santa Maria Draporia na Perze, ojcu Mikołajowi Kieferowi, 2,000 fr. i rozwiązał się dla tego, że... utworzył się drugi komitet w Krakowie. Ostatni jest czynny już, zdaje się, dwa lata i zebrał dotychczas 150 — wyraźnie s t o p i ę ć d z i e s i ą t franków. A dom przez właścicielkę musi być sprzedany. A jeżeli nabędzie go spekulant?

„Udawaliśmy się—mówi interlokutor p. Pytlińskiego—ze staraniami do różnych „wielkich“ ludzi—nie odpowiadano. Nie może być! Niestety, tak było.

„Na co dałby się ów dom użyć, prócz zachowania na wieczne czasy pamiątki? Ha, jeżeli to cel zamały, to wiedziecie, że nie mamy szkoły. nie mamy gdzie się skupiać dla braku miejsca. Myślę, że część odnajęta przynosiłaby dochód dostateczny na pokrycie podatków i jakie takie utrzymanie domu. Zresztą, najpierw należy dom nabyć. Bo—może niezadługo—żałować będziemy poniewczasie“.

Słowa powyższe komentarza nie potrzebują. Zaiste, byłoby rzeczą nad wyraz smutną, gdybyśmy pozwolili na zagładę tej pamiątki po Mickiewiczu. A niewiadomością tłómaczyć się już nie możemy.

---

Ziemiaństwo polskie poniosło stratę ciężką, tem cięższą, że przed wczesną i niespodziewaną.

W d. 21 lutego (a więc już po zamknięciu marcowego zeszytu Biblioteki, wskutek czego dziś dopiero możemy złożyć na tem miejscu hołd, należny pamięci zacnego człowieka i obywatela) zmarł nagle, na aneurizm serca, ś. p. Tadeusz Kowalski, właściciel dóbr Olbieńcin w pow. janowskim, gub. lubelskiej, radca Tow. kred. ziemskiego, jeden z najwybitniejszych naszych rolników i mąż, dobrze zasłużony na niwie pracy publicznej.

Ś. p. Tadeusz Kowalski urodził się w r. 1842 w Warszawie, gdzie też pobierał nauki gimnazjalne. Po ich ukończeniu przeszedł do słynnej naówczas szkoły rolniczej w Marymoncie, a po odbyciu w niej studyów agronomicznych, wyjechał do Getyngi, gdzie doktoryzował się na wydziale filozoficznym.

Po powrocie do kraju, jako dwudziestoletni zaledwie młodzieniec, powołany został w r. 1862 na katedrę rolnictwa w świeżo zało-

zonym instytucie politechnicznym w Nowej Aleksandryi (Puławach). W r. 1863 wszakże katedrę tę już opuścił, nabył dobra Olbiewicz i osiadł na wsi.

Tu wkrótce stał się wzorem światłego rolnika i obywatela. Postawiwszy swój majątek na pierwszorzędnej stopie pod względem zagospodarowania, dzieli się zdobytym doświadczeniem i głęboką wiedzą z szerszym ogółem, zasilając swemi pracami „Gazetę rolniczą“ i „Encyklopedyę rolniczą“, oraz tłómacząc kilka wybitnych dzieł fachowych z języka niemieckiego. Pełen inicjatywy i przedsiębiorczy, organizuje on peryodyczne zjazdy ziemian janowskich, pobudza ich do zawiązania kółka wzajemnego kredytu, stowarzyszenia leśnego, wzajemnego zabezpieczenia ziemioplodów od gradobicia i t. d.

Wybrany najprzód na radcę Dyrekcyi szczegółowej Tow. Kred. Ziemińskiego, a następnie w r. 1880 na radcę Dyrekcyi Głównej — od tej chwili ś. p. Kowalski poświęca się z wielkiem oddaniem sprawom tej instytucyi i przenosi się do Warszawy, gdzie zostaje nadto współredaktorem „Gazety rolniczej“, bierze udział w urządzeniu kilku wystaw rolniczych, w założeniu stacyi oceny nasion, oraz przewodniczy Sekcyi przemysłu rolnego przy Warsz. Oddziale Tow. popierania przemysłu i handlu. Nadto wydał wraz z Al. Trylskim szereg dzieł rolniczych oryginalnych i tłómaczonych. Zgasł w sile wieku z niepowetowaną szkodą dla kraju i społeczeństwa, które w nim utraciły jednostkę, pełną hartu i woli, umiejącą pracować i tworzyć, isć naprzód i prowadzić za sobą innych.

Nie dziw też, że śmierć jego wywołała ogólną żałobę.

---

W Krakowie zmarł w 58 roku życia ś. p. dr. Wacław Zaremba, autor wielu cennych prac z zakresu historii sztuki lekarskiej. Do prac tych należy: „Szkic dziejów sztuki lekarskiej w Rosyi“ (Nowiny lekarskie); „Lecznictwo żydów ze szczególnem uwzględnieniem Talmudu (*ibidem*)“; „Stanowisko stanu lekarskiego w Rzymie starożytnym wobec nauki, społeczeństwa i państwa“; „Kult Asklepiosa i połączone z nim wykonywanie sztuki lekarskiej w Grecyi starożytnej“; „ChOROBY nagminne w Wielkopolsce do r. 1800 (dzieło opracowane źródłowo według zapisek archiwalnych)“; „Kilka szczegółów o lecznictwie



w starożytnym Egipcie, wedle papyrusów dotychczas odczytanych" i w. in. Najobszerniejszem i najpracowitszem dziełem zmarłego była jego ostatnia praca, nagrodzona w Warszawie na konkursie im. prof. R. Płaskowskiego, p. t.: „Zarys dziejów rozwoju psychiatrii“ (Pamiętnik Tow. lekarskiego 1902 r.).

# WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

---

— POLSKA WYTWÓRCZOŚĆ UMYSŁOWA W R. 1903-cim. —  
W jednym z pism warszawskich podniesiono przed rokiem, jako zastraszający objaw, że polska wytwórczość umysłowa znajduje się w upadku w porównaniu z innymi narodami i wyprowadzono stąd krzywdzący wniosek o cofaniu się kultury naszego społeczeństwa. Twierdzeniu temu zadają kłam cyfry i wykazy, podane przez „Przewodnik Bibliograficzny“, znany miesięcznik, wychodzący w Krakowie pod redakcją d-ra K. Hecka, nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa. Grudniowy zeszyt tego pisma wykazuje, że w roku ubiegłym wyszło ogółem książek i broszur polskich 2,696, nie licząc czasopism.

Ogólna liczba pism peryodycznych wynosi w przybliżeniu 560 — 580. Na 17-milionowy naród jest to jeszcze stosunkowo nie wiele, zwłaszcza np. w porównaniu z Czechami, którzy na 6 milionów ludności (bez Słowaków) mają pism peryodycznych 914. O innych pierwszorzędnych narodach nie mówimy już wcale, bo z tymi nawet porównywać się nie możemy, skoro angielskich pism peryodycznych wychodzi około 30,000, niemieckich przeszło 9,000, a francuskich około 7,000.

Cyfry powyższe, odnoszące się do książek, są o tyle niedokładne, że pewna część książek, datowana na r. 1903, wyszła jeszcze w drugiej połowie r. 1902, tak samo, jak wiele książek, w roku bieżącym wychodzących, nosi na sobie datę roku 1903. Odnośny artykuł „Przewodnika Bibliograficznego“ wyszedł z pewnemi zmianami i uzupełnieniami w osobnej odbitce p. t.: „Spis peryodycznych pism polskich wraz z podaniem ceny i adresu redakcyi“ (Kraków, Warszawa, 1904, Gebethner i Wolff, str. 27). Broszura ta podaje po raz pierwszy wyczerpujący obraz ruchu polskiego na polu dziennikarskiem.

— „MATERIAŁY TOWARZYSTWA POLSKIEJ SZTUKI STOSOWANEJ“. (Kraków, 1903).

Pojawił się w tych dniach trzeci zeszyt tego, ruchliwie przygotowywanego, wydawnictwa. Zawartość jego jest nie mniej od poprzednich interesują-



ca: I. Motyw zakończenia złotolitego czterostronnego pasa z fabryki Franciszka Masłowskiego w Krakowie. Z oryginału malował Bolesław Leszczyński. II. Ganek (wieś Waksmund, Podhale, Galicya); Wejście do sieni (wieś Wojkowice Kościelne, pow. Będziński, gub. Piotrkowska); Słup podsieniowy (obok Modzejów, pow. Będziński, gub. Piotrkowska); Karczma szlachecka (wieś Sołowa na Podolu rosyjskim); Dworek przy ul. Biskupiej w Krakowie. Z natury rysował Józef Czajkowski. — Dworek przy ul. Bernardyńskiej w Krakowie. — Dworek przy ulicy Nad Wisłą w Krakowie. Z natury rysował Józef Czajkowski. — Zakończenie kądzieli, Żmudź, ze zbiorów Michała Brenszteina w Telszach gub. Kowieńskiej. — Zakończenie kądzieli. — Szpile do kądzieli. — Pólecza i kijanki (Żmudź. Ze zbiorów Michała Brenszteina w Telszach). — Skrzynia, wykończona około r. 1815 (z oryginału malował Jan Walach). — Ptaki, wycięte z papieru kolorowego (wycięła Julianna Wrzos z Grotowie i dziewczyna w Ks. Łowickiem).

Okładkę zaprojektował i wykonał sposobem drzeworytniczym w drukarni Uniwersyteckiej w Krakowie Jan Bukowski.

— NOWE DZIEŁO O RUSI. — Nakładem Towarzystwa dla popierania nauki polskiej we Lwowie, ukazała się publikacja prof. d-ra Władysława A b r a h a m a, pod tytułem: „Powstanie organizacji Kościoła łacińskiego na Rusi“, tom pierwszy. Cena egzemplarza 8 kor. Członkowie Towarzystwa, zarówno dawniejsi, jak nowoprzystępujący, mogą publikację otrzymać bezpłatnie, jako premium, w miarę postanowień statutu. Zgłoszenia o nadsyłanie adresować należy do sekretaryatu Towarzystwa: Lwów, archiwum Bernardyńskie.

— Wyszedł z druku zeszyt 185-ty „Słownika geograficznego“, zawierający dopełnienia do całości dzieła od „Szczuki“ do „Żyżków“, i dodatek do dopełnień. Z większych opracowań mieszczą się: „Ukraina“, „Warszawa“, „Wisła“, „Wola“, „Wołyń“, „Żmudź“. Zeszyt niniejszy kończy wydawnictwo, rozpoczęte w dniu 1-ym stycznia 1880-go roku i zamknięte w piętnastu wielkich tomów. Cześć cichej a wielkiej zasłudze!

— Wyszedł z druku zeszyt 9 tomu VI-go „Herbarza Polskiego“, wydawanego przez Adama Bonieckiego, zawierający nazwiska od *Goślinowscy* do *Gotartowa Gotartowscy*.

— Wyszedł z druku zeszyt 8 tomu VI-go „Encyklopedyi Wychowawczej“ i obejmuje następujące artykuły: „Literatura dla młodzieży“, przez St. Karpowicza i A. Szyćównę (dokończenie); „Literatura polska“, przez Romana Plenkiwicza.



## BIBLIOGRAFIA.

## FILOZOFIA.

Wiktor Cathrein S. J.: Filozofia moralna. Wykład naukowy porządku moralnego i prawnego. Część pierwsza. Ogólna filozofia moralności. T. I. Warszawa, 1904. („Bibl. dz. chrz.“, Luty, 1904, str. 217 + Notatki bibliograficzne, str. 32.

Dr I. Kodisowa: Studya filozoficzne. Wybór pism. Warszawa. Wydawnictwo „Przeglądu „Filozoficznego“, str. VI + 125.

## HISTORIA.

Henryk Brandt: Pamiętniki oficera polskiego (1808 — 1817). Przekład M. G. z przedmową prof. S. Askenazego. Cz. I. Warszawa. 1904, str. 176.

Ks. M. Godlewski, prof. Semin. Warsz.: Archeologia biblijna, oparta na ostatnich archeologicznych odkryciach na Wschodzie. T. II. Nakł. i własność autora. Skład główny w księgarni „Kroniki Rodzinnej“, 1903, str. 156.

J. F. Kierzkowski: Pamiętniki majora..., kapitana wojska francuskiego, kawalera Krzyża legii honorowej, a na ostatku majora wojska polskiego 1831 r. Warszawa. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka (b. r.), str. 241.

## SPRAWY SPOŁECZNE.

Dr Zofia Golińska: Spółki rolnicze i handlowe. Warszawa, 1904, str. 72, „Bibl. społeczna“. Cena kp. 20. Księgarnia naukowa.

T. Roosevelt: Życie wyteżone. W przekładzie i z przedmową Ludwika Włodka. Warszawa, 1904, „Bibl. dz. wybor.“, № 317, str. 159.

Veridicus: Sprawozdania naszych instytucji kredytowych w świetle krytyki! Warszawa. Druk K. Kowalewskiego. Mazowiecka 8, 1902, str. 30. Cena kop. 25.

## HISTORIA LITERATURY I SZTUKI.

Kazimierz Chłędowski: Siena. Kraków, MCMIV. Skład główny w księgarni G. Gebethnera i Sp., str. XVI + 528. Z 72 fototypiami.

Maurycy Mann: Wincenty Pol. Studium biograficzno-krytyczne. T. I. G. Gebethner i S-ka. Kraków, MCMIV, str. 402. Z portretem kolorowym według akwareli ze zbiorów Akademii Umiejętności w Krakowie.



Prof. R. Muther: *Historia Malarstwa. I. Trecento i Quattrocento.* Przełożył Stanisław Wyrzykowski. Warszawa. Nakł. Jana Fiszera (b. r. 1902), str. 157.

## POEZJA. — DRAMAT. — POWIEŚCI.

Wilhelm Feldman: *Życie. Sztuka w 4 aktach.* Lwów. Nakład księgi. H. Altenberga, 1903, str. 112 (E. Wende).

A. France: *Historia komiczna.* Przekład E. Węstawskiej z przedmową Władysława Jabłonowskiego. Warszawa. 1904. („Bibl. dz. wybor.“, № 318), str. 159.

Maryan Gawalewicz: *Dla ziemi. Powieść w dwóch tomach.* Warszawa. Nakł. Jana Fiszera, 1904. T. I, str. 246. T. II, str. 203. (Z portretem autora).

G. of Geyers tam; *Książka o małym braciszku.* Przekład Malwiny Posner-Garfeinowej. Nakł. Księgarni Naukowej, Warszawa, 1904, str. 153.

Andrzej Gide: *Prometeusz źle spętany.* Nakł. księgarni H. Altenberga we Lwowie. Przekład Miriama. Rysunki St. Dębickiego (b. r.), str. 108.

Kazimierz Gliński: *Obrazki z przeszłości.* Z przedmową H. Gallego. Warszawa, 1804 („Bibl. dz. wybor.“, № 319), str. 159.

J. Gordon: *Kaukaz, czyli ostatnie dni Szamyla.* Powieść historyczna. Warszawa. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp. 1904, str. 201.

Marya Kazicka: *Akwarelle.* Lwów, Księgarnia Polska, 1904, Warszawa, E. Wende i Sp. Z portretem.

St. Korczak: *Wieczornica wołyńska. Opowiadania i pieśni.* Obrazek rysunku M. Chromcewiczówny. Nakładem autora. Warszawa, Nowy Świat 46.—1904, str. 80.

Feliks Płazek: *Święta wiosna. Dwa dramaty.* Lwów. Nakład Księgarni Polskiej, 1904, Warszawa, E. Wende i Sp.

Edward Słowski: *Okruchy.* Odbito w drukarni Józefa Zawadzkiego w Wilnie r. MCMIV, str. 48.

Kazimierz Tetmajer: *Na skalnem Podhalu. II.* Warszawa. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 1904, str. VIII + 240. Dedykacja: „Pani Filipinie hr. Castell-Ruedenhausen, mojej tłumaczce niemieckiej z wyrazem najżywszej wdzięczności i wysokiego szacunku“.

Kazimiera Zawistowska: *Poezye.* Nakładem Księgarni H. Altenberga we Lwowie, b. r., str. 114. Z portretem poetki.

Borys Żaba: *Poezye.* Lwów. Księgarnia H. Altenberga, 1903 (E. Wende i S-ka), str. 109.

Stefan Żeromski: *Aryman mści się. — Godzina.* Warszawa. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 1904, str. 85. Wydanie ozdobne na papierze żółtawym, czerpanym; tytułowa okładka i inicjały z motywów egipskich. Druk staranny W. L. Anczyca i Sp. w Krakowie. Cena rb. 2.

## C Z A S O P I S M A.

Wiśła. Miesięcznik ilustrowany, poświęcony krajoznawstwu i ludoznawstwu, pod redakcją Erazma Majewskiego. Rok 1904 Zeszyt I. Styczeń—Luty. *Treść zeszytu I-go*: W. J. Jaskłowski: Wieś Mnichów w pow. Jędrzejowskim. — W. Klinger: Do sporu o folklor. (W sprawie polemiki między prof. Kawczyńskim a prof. Porębowiczem). — S. Dąbrowska: Wieś Zabno (pow. Krasnostawski) i jej mieszkańcy. — Witowt: Do pieśni „o starej kowalce”. — M. Parczewska: Gry dziecięce w Kaliszu. — P. Sterling: Koczownictwo czy osiadłość. Pierwszy stan społeczny). — Poszukiwania: XXI. Chleb (przyczynek Witowta). — Drobiazgi ludoznawcze. — Sprawozdania i krytyka: Dr Lorentz: Slovinzische Grammatik; Tenże: Slavjane v Pomeranii. Dr Nadmorski. — Życie i prace Jana Karłowicza (1836 — 1903): „Jan Karłowicz”. Zarys życia przez Erazma Majewskiego; Mowy pogrzebowe A. A. Kryńskiego, T. Korzona, J. Kallenbacha, E. Majewskiego; Wspomnienia przez A. Cernego, H. Gaidoza, Radwana Koszuticza, F. S. Kraussa, J. Polivkę, M. T. Sumcowa, S. Sołowjewa, Čenka Zibrta, K. Appa, M. Federowskiego, Z. Glogera, L. Szepielewicza, L. Uziębę, L. Benniową, A. Puławskiego, H. Wiercieńskiego, H. Łopacińskiego, E. Majewskiego. Prace ś. p. Jana Karłowicza: I. Historyczne — przez T. Korzona; II. Jan Karłowicz jako językoznawca, — przez A. A. Kryńskiego.

## SPROSTOWANIE.

W artykule: „Herbert Spencer i jego systemat filozofii syntetycznej”, w zeszycie marcowym „Bibliot. Warsz.”, wkrały się następujące omyłki: str. 425, wiersz 17-ty od dołu, zamiast: *podmiot*, powinno być: *przedmiot*; str. 431, wiersz 6-ty od dołu, zamiast: *poglądzie*, powinno być: *pochodzie*; str. 434, wiersz 7-my od góry, zamiast: *ideologicznem*, powinno być: *teologicznem*; str. 435, wiersz 19-ty od dołu, zamiast: *metafizycznych*, powinno być: *mechanicznych*; str. 453, wiersz 1-szy od dołu, zamiast: *idealizmu*, powinno być: *idealnego realizmu*.



# WYJAŚNIENIE.

*Audiatnr et altera pars.*

Ta starodawna zasada prawnicza, tak często u nas, niestety, w praktyce przestarzała, ośmiela mnie do napisania słów kilku w obronie własnej z powodu artykułu hr. W. Dzieduszyckiego: „Gdzie Arno płynie“ („Bibl. Warsz.“, styczeń, 1904), w przekonaniu, iż takowe znajdą gościnność na łamach tego poważnego miesięcznika.

„Proszę mi wytłómaczyć, jakim to się sposobem dzieje, że o tej książce nikt nie wie“ — mówi o mojej pracy o Fra Angelico p. Jadwiga w artykule hr. D.

Odpowiedź na to pytanie o ile łatwa, o tyle smutna. Gdyby to była powieść sensacyjna, lub drastyczna sztuka teatralna, albo chociażby poemat symboliczny, którego recenzję możnaby zawrzeć w tych dwóch wierszach:

Z tego wszystkiego to tylko pojmuje,  
Że echo i wielko nigdy nie rymuje... <sup>1)</sup>

— w takim razie zarówno pisma codzienne, jak tygodniowe i miesięczne, szeroko, by się o niej rozwdziły. Ale ponieważ jest to praca z dziedziny sztuki, i to jeszcze religijnej, przeto, z bardzo małym wyjątkiem, pisma te uznały za właściwe, przejść nad nią do porządku dziennego. Rzecz więc prosta, iż publiczność, nie będąc o jej istnieniu zawiadomiona, znać jej nie może.

Tem więc miłą dla autora niespodzianką była wzmianka, i to nader przychylna, o jego książce, tak kompetentnego pióra, jak hr. W. D. Jakkolwiek więc jestem za nią bardzo wdzięczny, muszę się jednak bronić od jednego, zdaniem mojem całkiem niesprawiedliwego zarzutu.

„Proszę mi powiedzieć, co panowie myślicie o zdaniu ks. Brykczyńskiego, że obrazy po kościołach powinny naśladować zawsze i jedynie nie malowidła brata Jana z Fiesole?“ — pyta znów p. Jadwiga, i na tak postawioną kwestyę, otrzymuje od profesora bardzo słuszną odpowiedź: „rada, podana przez ks. Brykczyńskiego, stanowczo na nic się nie przyda“.

Otóż, podzielając całkowicie zdanie szanownego profesora, nie jestem jednak w sprzeczności sam z sobą, bo ani w książce mojej *Fra Angelico*, ani w żadnej innej, nigdy nie zalecałem „naśladować zawsze i jedynie“ jego dzieł.

---

1) „Czyścic“ Słowackiego.

W książce mojej o Janie anielskim zalecam jedynie s t u d y o w a n i e jego prac z tego powodu, że z całych wieków średnich jest on malarzem najbardziej religijnym, a nawet, przewidując ten zarzut naśladownictwa, wyraźnie dodaje: „twierdząc to, nie mam wcale na myśli ślepego kopiowania średniowiecza, ale jedynie wzorowanie się na niem, przy spożytkowaniu wszelkich dodatnich stron odrodzenia i postępu naukowego“. Czyliż więc tak pisząc twierdząc, że obrazy po kościołach powinny naśladować z a w s z e i j e d y n i e malowidła brata Jana z Fiesole?“.

Co innego jest studyowanie jakiegoś artysty, a co innego naśladowanie. Nikt chyba nie posądzi Matejkę, że naśladował mistrzów włoskich, a jednak na *Holdzie pruskim* znać wyraźnie, że go robił po bytności we Włoszech.

Otóż, dzielając zdanie, które wyraził Cartier o Fra Angelico, że „pozostanie on na zawsze wzorem i doskonałym typem artysty chrześcijańskiego“, zalecam i sędzę, że słusznie, artystom naszym, pracującym na polu religijnem, aby, studyując jego prace, przejmowali się jego zaletami. A tych zalet pierwszorzędných jest niemało: 1-o absolutne unikanie nagości, przeciwko której i hr. D. występuje; 2-o skoncentrowanie charakteru postaci w wyrazie twarzy; 3-o namaszczenie.

Stosując zaś i do Fra Angelico zasadę moją, w jednym z dawniejszych artykułów wyrażoną: „artysta n i g d y i w niczem drugiego artysty naśladować n i e powinien, bo samodzielność jest główną jego zaletą“ — w innej swej pracy tak myśl moją o studyowaniu mistrza anielskiego wyjaśniam <sup>1)</sup>: „jeżeli artyści nasi chcą malować obrazy rzeczywiście religijne, to muszą studyować Fra Angelico. Bo, jak nie można umieć dobrze po polsku, nie studyując Skargi i Kochanowskiego, tak samo nie można być malarzem religijnym bez przejścia się d u c h e m brata Jana z Fiesole“.

Sędzę, że powyższe moje słowa wystarczą do zwolnienia mnie z tak przykrego zarzutu, jakobym miał zalecać rodzaj jakiegoś kanonu ikonograficznego z góry Atos, twierdząc, że „obrazy po kościołach powinny naśladować z a w s z e i j e d y n i e (!) malowidła brata Jana z Fiesole“. Nie—tego nigdy nie powiedziałem i nie powiem, bo przekonanie moje jest wprost przeciwnie.

Mam nadzieję, że moje to wyjaśnienie nie będzie źle przyjęte przez p. hr. D., któremu za wzmiankę o mej pracy raz jeszcze dziękuję.

Ks. A. BRŹKZYŃSKI.

---

1) „Przegląd Katolicki“, 1898, str. 130.